

BERNARD

MINIER

POLOWANIE

Martin Servaz walczy o honor i własne życie



REBIS

BERNARD

MINIER

POLOWANIE

Przełożyła
Monika Szewc-Osiecka



Dom Wydawniczy REBIS

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

*Tylko doskonała przenikliwość względem samego siebie może dać prawo do
sądzenia innych.*

Christa Wolf

Wstęp

Czytelniczki i Czytelnicy uznają zapewne, że coś takiego jak siedem napaści z nożem w rękę w centrum miasta podczas jednego weekendu mogło się wydarzyć jedynie w bujnej wyobraźni autora. Nic z tych rzeczy. Otóż do owych siedmiu niepowiązanych ze sobą ataków w ciągu czterdziestu ośmiu godzin naprawdę doszło – ja tylko przesunąłem je w czasie, ponieważ zdarzyły się w czerwcu, a nie w październiku 2020 roku. Podobnie zjawisko „pełni myśliwych” jak najbardziej istnieje, a pasjonaci tych tematów zauważą, że na potrzeby książki przesunąłem je o tydzień. Wreszcie liczne opowieści o sytuacji na przedmieściach francuskich miast oraz w policji inspirowane są rzeczywistymi zdarzeniami i relacjami, przekształconymi na potrzeby narracji i z szacunku dla osób, których one dotyczyły. Natomiast główna historia – o „polowaniu” – zrodziła się całkowicie w mojej wyobraźni. Taka jest bowiem misja autora powieści: wymyślać historie prawdziwsze od rzeczywistości. Zatem „wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób...” – i tak dalej.

Nie krzyczał. Oddychał spokojnie przez otwarte usta. Deszcz lał się na niego, spływał do oczu, ciekł po karku i plecach, prosto pod kurtkę bojową. Czuł tysiące drobnych nacięć metalowych ostrzy, które wbijały się w jego skórę, rozdzierając ją milimetr po milimetrze. Górną częścią ciała zawisł na drucie kolczastym. Cały puls czuł w miejscu, gdzie jedno z ostrzy naciskało na tętnicę szyjną. Ostre sploty galwanizowanej stali tworzyły straszliwe więzienie.

Bez ruchu patrzył, jak schodzą z boczem. Idą do niego. To zadziwiające, jaką jasność umysłu można mieć w takiej chwili. Jak wtedy, w Afganistanie albo w Kongu, gdy został wraz ze swoimi ludźmi otoczony przez liczniejszy oddział złożony z naćpanych, gotowych na śmierć bojowników. Ci, którzy się zbliżali, nie byli naćpani ani gotowi na śmierć, za to umierała ich cywilizacja. Cywilizacja, której bronił przez całe życie. Znalazł się po niewłaściwej stronie historii, wie o tym, ale w tej chwili nie miało to już żadnego znaczenia. Trzymał w ręku swój los. O tak, teraz brzmiało to bardzo adekwatnie: czuł, jak ostrza drutu wbijają mu się w dłonie, jak kapie krew. Wystarczy jedno szybkie pociągnięcie i będzie po sprawie. O czym w tej chwili myśleli? On myślał o tym, że to i tak nie jego czasy.

Pełnia

Pełnia. Jak w filmach klasy Z, które uwielbiał. Historie o zombi i wampirach. Ale wampirów nie było. Ani zombi. Było coś znacznie gorszego: za nim, niedaleko, gdzieś w lesie.

Źle mu się oddychało w tym skórzanym czymś na głowie. Kiedy wyciągnęli go z bagażnika i stanął, mrugając, oślepiiony blaskiem latarek i reflektorów, zdążył zobaczyć ich twarze. Przez ułamek sekundy, nie więcej. To wystarczyło, by zrozumiał. Błysk w ich oczach uświadomił mu, że to nie zabawa. Albo może i tak, zabawa, ale... śmiertelna.

Puścili go przodem. Las tonął w ciemnościach. Pomyślał, że ma szczęście. I to jakie! Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Przetrzytywali go w miejscu cuchnącym łajnem, zwierzętami i skórą, w którym zza jakichś drzwi słyszał pobrzękiwanie metalu, rzenie koni i stukot kopyt. Znał te dźwięki tylko z telewizji. Nigdy nie widział konia na żywo.

Potem zamknęli go w bagażniku dużego samochodu pachnącego nowością. I wieźli – przez godzinę, może dwie. A następnie wypuścili w środku lasu. Las okrywał pagórki, noc okrywała las, a jego myśli okrywał strach. Ten strach miał głos – był nim dźwięk jego strwożonego oddechu i walącego serca – oraz zapach – zapach jego potu i tej śmierdzącej rzeczy, którą miał na głowie; miał również kolor – czarny kolor lasu, czarny kolor duszy tych mężczyzn, czarny kolor jego skóry.

Uciekał... Przeskakiwał przeszkody, wspinał się, upadał, wstawał i biegł dalej... Biegł co tchu, po drodze czepiając się gałęzi, przeskakując strumyki ciurkające pod liśćmi, potykając się w ciemności o korzenie i skały. Jeszcze nie zwichnął kostki, ale pewnie wkrótce to nastąpi. To, co włożyli mu na głowę, dusiło go, ale nie mógł się uwolnić z powodu rzemienia zaciśniętego pod brodą. Nie miało nawet otworu na usta. A w środku cuchnęło zwierzęciem i rzygowinami. Mrugał, ponieważ pot spływający z czoła palił mu oczy. Miał coraz cięższe nogi i kłuło go w boku. Nie przywykł do biegania, tym bardziej po lesie. Znał tylko swoje miasto, swoje klatki schodowe, korytarze i punkty dilerskie. Pocił się jak świnia. A przecież był nagi i gdy biegł coraz bardziej niezdarnie, raniąc kolana i stopy o kamienie, jądra dyndały mu między udami.

Powinien marznąć – był koniec października i panował lodowaty chłód. Ale od biegu i strachu wrzała w nim krew, a wokół jego dziwnie opakowanej głowy w pudrowym blasku księżycy unosiły się pasma pary.

Nagle nad głową, przez dziury w tym skórzanym czymś, między ścianami wysokich, czarnych drzew, dostrzegł oślepiający blask, kulę mglistego światła, która rozjaśniała nocne niebo jak potężny reflektor. Mieniającą się poświatę, która go poprowadzi. Znowu nabrał nadziei. Szalonej nadziei. Ktoś tam jest – jakiś dom, pomoc...

W ciemnościach u stóp zbrocza za jego plecami, tam, skąd przyszedł, znowu rozległy się męskie głosy. Ze strachu prawie zwymiotował. Przyśpieszył, ale kwas mlekowy zgromadzony w mięśniach czworogłowych go spowalniał. Modlił się, by nie złapał go skurcz – nie teraz! Krew gotowała mu się w żyłach. Hemoglobina, leukocyty, limfocyty. Krew to życie. A on chciał żyć. Kochał życie.

2.30 w nocy. Jedzie podrzędną, coraz węższą drogą wiodącą to w górę, to w dół po pagórkach Ariège, daleko na południe od tuluskiej aglomeracji. Wjeżdża w las i wynurza się z niego, mijając łąki i samotne gospodarstwa, z powrotem wjeżdża do lasu. Krajobraz spowija ciemna noc. Dzień wstanie dopiero za kilka godzin.

Skończył dyżur w szpitalu i wracał do siebie. Kiedy dojedzie, jego żona i dzieci będą już spały, a gdy one wstaną, on będzie spał snem sprawiedliwego. Sprawiedliwego? To się jeszcze okaże. Nie zdejmując rąk z kierownicy, powąchał kołnierz koszuli. Sprezentował jej takie same perfumy jak żonie, ale używała ich zbyt obficie. Ciemność i drzewa przesuwają się za szybami samochodu, gdy brał kolejne zakręty. Był na drodze sam. Widok drzew i zakosów migocących w blasku samochodowych świateł miał w sobie coś hipnotycznego.

Chciał jak najszybciej dotrzeć do domu. Zaczynały mu już opadać powieki. Za mniej niż kwadrans będziesz w łóżku, pomyślał. Szeroko otworzył oczy, potrząsnął głową, rozruszał żuchwę i podkręcił głośnik. Dom Christine od jego domu dzieliło zaledwie dwadzieścia kilometrów, ale i tak włączył muzykę, by przewyciężyć senność. Stare kawałki, takie jak Traveling Wilburys, Dylan, Harrison, Tom Petty, Roy Orbison i Jeff Lynne. Dobra muza, nienaszpikowana jeszcze elektroniką, nielepsza przez ledwie opierzonych didżejów. Miał za sobą długi dzień w szpitalu, ale dwie ostatnie godziny spędzone w ramionach Christine dostarczyły mu błogosławionego i kojącego relaksu.

Poznał ją przez Tindera – apkę, dzięki której odbył wiele randek, ale która w zamian napełniała go poczuciem winy i zbrukania. O co tu chodzi? Jaki jest sens tych wszystkich lajków i matchy? Krytyczny głosik w głowie mówił mu, że relacje miłosne – z pornografią i portalami randkowymi w tle – coraz bardziej, przynajmniej w jego wypadku, przypominają targ bydłęcy.

Nie jesteśmy już tylko konsumentami, jesteśmy towarem podlegającym konsumpcji, pomyślał. Towarem, który się konsumuje i wyrzuca. Wiedział, że takie myślenie, podobnie jak jego muzyczne gusta, oznacza jedno: starzeje się. Że choć ma dopiero czterdziestkę, myśli jak staruch, tak samo jak wcześniej myśleli jego – świeć Panie nad ich duszą – rodzice. Żona i dzieci wciąż mu to powtarzali. Tylko Christine mile łechtala jego ego, mówiąc, że jak na faceta w tym wieku ma boskie ciało.

Cholera! Z lasu wyłonił się jakiś kształt i wyskoczył na drogę tuż przed nim. Jeleń! Pierdolony jeleń! Zaklął. Zbyt późno dostrzegł potężne rogi zwierzęcia, które chcąc przejść na drugą stronę drogi, wpadło w strumień samochodowych świateł. Uniósł się na fotelu i stanął na pedale hamulca, ale nie zdołał uniknąć kolizji. W ostatniej chwili przed zderzeniem z samochodem jeleń odwrócił łeb: w powodzi światła mężczyzna ujrzał pełne trwogi, niemal ludzkie oczy.

Uderzenie było potężne – wstrząsnęło całym samochodem w chwili, gdy zahamował z piskiem opon, które zostawiły gumowy ślad na asfalcie. Ciało wielkiego zwierzęcia spadło na maskę, a następnie osunęło się na drogę i znieruchomiło przed zderzakiem.

Natychmiast wysiadł. Spoglądając ponad wgniecioną maską, w blasku reflektorów zobaczył na asfalcie podłużny kształt i jego potężny cień rozciągający się obok. Otworzył usta, brakowało mu powietrza. Wytrzeszczył oczy. Był pewien, że nigdy nie zapomni tego widoku.

Bo to, co leżało na drodze, wcale nie było zwierzęciem. To był człowiek.

PONIEDZIAŁEK

Noc. Las. Światła samochodu. Księżyc na niebie. Smagane blaskiem reflektorów drzewa, mnóstwo drzew. I bardzo mało domów. Od czasu do czasu samotne, pojedyncze gospodarstwa. Zostali wyciągnięci z łóżek o czwartej nad ranem.

– Pusto tu – skomentowała Samira.

Nikt więcej się nie odezwał.

Wibracje telefonu na szafce nocnej wyrwały Servaza z koszmaru, w którym jadł kolację w towarzystwie wszystkich zmarłych spotkanych w swojej policyjnej karierze. W słuchawce usłyszał głos Chabrillaca, nowego szefa policji kryminalnej. Po nocnym telefonie od prokuratora z Foix dyżurny pracownik prokuratury w Tuluzie skontaktował się z policją kryminalną, informując o podejrzanej śmierci na drodze na terenie departamentu Ariège. Młody mężczyzna potrącony przez samochód o 2.30. Wyglądało na to, że wyszedł z lasu i wtargnął wprost pod samochód, kierowca nie mógł nic zrobić.

– Wypadek? – zapytał zbity z tropu, nie całkiem jeszcze obudzony Servaz, zerkając na zegarek.

– Miał głowę jelenia... Był ranny i wszystko wskazuje na to, że... hmm... przed czymś uciekał. A raczej przed kimś.

Servaz natychmiast poczuł się absolutnie przytomny.

– Wypadek? – powtórzyła z niedowierzaniem Samira, gdy zadzwonił do niej pięć minut później.

– Wypadek? – zapytał po chwili Vincent, szeptem, by nie obudzić Charlène.

Samira Cheung i Vincent Espérandieu: dwoje najlepszych ludzi w jego grupie śledczej. Z początku miał problem ze skłonieniem kolegów, by ich zaakceptowali. Samira przypominała wiecznie wkurzoną gotkę, a Vincent zmanierowanego młodzieńca. Ich pojawienie się uruchomiło reakcję łańcuchową w postaci półsłówki, plotek oraz mniej lub bardziej homofobicznych i seksistowskich docinków. Servaz położył temu tamę. Obojgu powierzał coraz więcej odpowiedzialności. Potrafił rozpoznać dobrego detektywa od pierwszego wejrzenia. Teraz mijало dwanaście lat, odkąd Samira i Vincent dołączyli do grupy. Wiele wody upłynęło w rzece. Sięgnął po termos z kawą, który podała mu siedząca na tylnym fotelu Samira. Napełnił swój kubek. Opuścił szybę, zsunął

maseczkę i upił łyk. Vincent prowadził. Servaz się pochylił i przez przednią szybę spojrzął na niebo. Towarzyszył im uśmiechnięty, okrągły księżyc.

Zwolnili na widok jasnego blasku zalewającego wielkie drzewa sto metrów przed nimi. Vincent zahamował. Servaza zaskoczyła duża liczba samochodów. Za żółtymi taśmami zauważył jakichś ludzi. Miejsce oświetlały bardzo mocne reflektory. W półcieniu odcinała się jaśniejsza plama namiotu. Zaparkowali na trawiastym poboczu.

– Nie jesteśmy pierwsi – stwierdził Espérandieu, wciąż trzymając ręce na kierownicy. – Można by pomyśleć, że to jakiś zlot służb.

– Co oni odwalają? – zapytała Samira, pochylając się między oparciami. – Biorą nas czy oddają sprawę żandarmerii?

– W każdym razie chyba jeszcze nie widziałem takiego tłumu z okazji zwykłego wypadku na drodze – podsumował Vincent.

Kiedy wysiedli, niebo zasnuwała warstwa chmur i księżyc nie było już widać. Zasłaniając oczy dłońmi przed oślepiającym blaskiem reflektorów, ruszyli w stronę ogrodzenia z taśmy. Servaz pomyślał, że życie jest jak te reflektory: to krótki błysk między dwiema wiecznymi nocami. Świeci przez krótką chwilę, a potem gaśnie. Pozostaje tylko wspomnienie blasku. Które w końcu również wygasa.

Zobaczył, że żandarmi, którzy stawili się jako pierwsi, wykonali swoją robotę szybko i porządnie. Podzielili obszar na trzy strefy, których niewidoczne granice wyznaczała obecność różnych specjalistów: strefa pierwsza obejmowała miejsce samego wypadku, stał w niej samochód, który badali jeszcze technicy w białych kombinezonach; w strefie drugiej znalazł się kawałek lasu – to stamtąd musiał nadejść młody człowiek, a teraz przeczesywali ją skrupulatnie ludzie odziani w inne kosmiczne stroje; i wreszcie w strefie trzeciej, na uboczu, zgromadziła się reszta personelu i funkcjonariusze wyższego szczebla.

Servaz pomyślał, że strefa pierwsza musiała ucierpieć wskutek interwencji służb ratunkowych. Nie było to zresztą miejsce zbrodni w ścisłym znaczeniu tego słowa. To, co najważniejsze, było gdzie indziej: w lesie. Tam, gdzie rozegrał się pościg za chłopakiem, nagonka – jeśli rzeczywiście mieli do czynienia z polowaniem.

Tak czy inaczej postarali się – z tym namiotem, reflektorami, potężną brygadą techników i funkcjonariuszy. Poczuł, jak w żyłach buzuje mu adrenalina, a jego ciekawość jeszcze się wzmogła: musiało się tu wydarzyć coś wyjątkowego. Nie wyciąga się tylu osób z łóżek bez powodu.

Idąc w kierunku grupy złożonej z żandarmów i innych przedstawicieli organów ścigania, wśród postaci stojących w blasku reflektorów rozpoznał nowego prokuratora z Tuluzy Guillaume'a Drecourta, który wcześniej pracował w Besançon. W wywiadzie przeprowadzonym niedawno przez jednego z lokalnych dziennikarzy wyznał on, że w młodości wahał się między prawem a karierą trenera sportowego. I że w związku z tym ma ducha zespołowego. Ciekawe, czy ten jego duch rozciąga się na policję, pomyślał Martin.

Prokurator patrzył na zbliżającego się Servaza z nieskrywanym zainteresowaniem. Świdrujące spojrzenie szarych oczu. Okrągłe okulary, maseczka.

– Komendancie – powitał go.

– Panie prokuratorze.

– Panie prokuratorze, zaczęliśmy już sporządzać protokół z oględzin, czekamy na pana decyzję – odezwał się stojący obok oficer żandarmerii.

Prokurator spojrzał na niego, a następnie na Servaza.

– Dużo słyszałem o panu i o pana grupie, komendancie.

– A to kapitan Espérandieu i porucznik Cheung – odparł Martin. – Możemy prosić o krótki raport sytuacyjny?

Odwrócili się w stronę oficera żandarmerii, który machnął ręką w kierunku pobocza obok uszkodzonego samochodu.

– Chłopak wybiegł z lasu, tam – powiedział przez maseczkę. – Kierowca – oficer wskazał na mężczyznę, który siedział na składanym krześle pod oświetlonym namiotem i pił parującą kawę z kubka – nie zdążył zahamować. Uderzył w niego i ciało upadło na drogę. Ofiara miała na głowie... głowę jelenia zapiętą z tyłu na zamek błyskawiczny i przywiązaną pod brodą rzemieniem.

Servaz się wzdrygnął.

– Głowę jelenia? Gdzie ona jest? – zapytał.

– Ratownicy musieli ją zdjąć, kiedy próbowali go reanimować. Na pewno przy okazji zostawili na niej ślady. Zabezpieczyliśmy ją. Jest jeszcze tam, pod namiotem. Zadeptali też mocno pierwszą strefę.

Jak na budowie, pomyślał Servaz, rozglądając się dookoła, po raz kolejny zaskoczony liczebnością sił porządkowych. Na pewno zdjęli odciski palców załogi karetki, żeby w odpowiednim czasie wyeliminować je spośród śladów zebranych w pierwszej i drugiej strefie.

– Kiedy chłopak wypadł mu przed maskę, kierowca w pierwszej chwili pomyślał, że to zwierzę. Jest w szoku – ciągnął oficer.

– Co tutaj robił o tej porze?

– Miał nockę w szpitalu. Jest pielęgniarzem. Wracił do domu.
– Powiedziano mi, że chłopak uciekał. Wiadomo przed czym?
– Zobacz pan – powiedział żandarm. – W każdym razie to... delikatna sprawa.

– Ach tak? Dlaczego?

– Zobacz pan – powtórzył tamten.

Servaz wyobraził sobie opisaną scenę. Noc. Światła samochodu. Las. Przed samochód wypada postać z głową jelenia, niczym jakiś mitologiczny stwór. Kierowcy nie udaje się jej ominąć. Na widok tego zjawiska jest zaskoczony, ale też zafascynowany. Martin zadrżał. Nagle zachciało mu się palić, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i przypomniał sobie, że ma na twarzy maseczkę. Era wirusa. Czas kary, śmierci, oczyszczenia, którego symbolem stała się maseczka. Noszona niczym knebel, znak rozpoznawczy antyseptycznego, zagubionego, zaszczutego społeczeństwa, któremu nałożono kaganiec.

– Panie prokuratorze, co robimy? – nalegał przedstawiciel żandarmerii. – Czas ucieka. Moi ludzie są gotowi, żeby...

– Ponieważ byliście tutaj pierwsi i zebraliście zeznania od kierowcy, zlecam wam śledztwo w sprawie samego wypadku – odpowiedział prokurator. – Natomiast grupę komendanta Servaza oficjalnie proszę o zbadanie wszystkiego, co dotyczy ewentualnych sprawców porwania, uwięzienia, tortur i usiłowania zabójstwa tego chłopaka, gdy tylko zostanie zidentyfikowany. Otwieram śledztwo. Liczę na dobrą współpracę między wami.

Servazowi nie umknęła zachmurzona mina żandarma.

– Vincent, sprawdź, czy technicy wszystko dokładnie fotografują. Samira, zajmiesz się procedurami. Zbierasz zapieczętowane dowody, robisz album ze zdjęciami z miejsca zbrodni, sprawdzasz czy protokoły są w porządku.

– Będą – ofuknął go oficer żandarmerii. – Moi ludzie nie mają w zwyczaju fałszować protokołów, komendancie.

– Jestem tego pewien – odpowiedział dyplomatycznie.

Spojrzał na uszkodzony samochód. Przed maską przy zwłokach kucała jakaś postać. Znał ją: doktor Fatiha Djellali. Patolożka z Wydziału Medycyny Sądowej Szpitala Uniwersyteckiego w Tuluzie. Profesjonalistka pod każdym względem. Kompetentna. Oddana. Dobry znak.

Postawił kołnierz płaszcza. Temperatura spadła w okolice zera. Wkrótce będzie listopad, miesiąc zmarłych i chryzantem. Początek sezonowych depresji.

Włożył kombinezon, rękawiczki i ochraniacze na buty, po czym wszedł do pierwszej strefy i ruszył w stronę lekarki. Zmrużył oczy; wciąż włączone światła

samochodu oślepiąły go, ale już zaczynał rozróżniać szczegóły. Nagie ciało leżało na boku, wprost na asfalcie. Fatiha Djellali kuciała nad nim i badała jego plecy, przyświecając sobie latarką do nurkowania – Servaz wiedział, co to za przedmiot, ponieważ widział już Fatihę przy pracy. Latarka była wodoszczelna, ultramocna i bardzo ekonomiczna. Nagle zrozumiał, dlaczego żandarm powiedział, że sprawa jest delikatna. Nie, to nie była tylko gra światła i cieni; młody człowiek miał czarną skórę.

– Cześć – przywitał ją.

– Cześć, Martin.

Pochłonięta pracą nawet nie podniosła głowy. Kiedyś, zanim poznał Léę, mało brakowało, by zaczęli się spotykać. To on się wahał. Fatiha Djellali była jedną z najbardziej atrakcyjnych kobiet, jakie znał, i miała bardzo miły sposób bycia. Ale była też, jak nazywali ją niektórzy policjanci, „boginią umarłych”. Podobnie jak Martin żyła w bliskości z nimi. Podobnie jak on przynosiła do domu pewne obrazy. Nie był pewien, czy dzielenie codzienności z tą kobietą byłoby dla niego najlepszym sposobem na walkę z własnymi demonami, czy pozwoliłoby mu trzymać je na dystans. A potem do jego życia wkroczyła Léa – ze swoją wesołością, energią, człowieczeństwem i prawością – i wszystkich pogodziła¹.

– Co o tym sądzisz? – zapytał.

– Pewnie się nie pomyłę, jeśli powiem, że zginął na miejscu wskutek uderzenia o jezdnię. Ale najpierw został potrącony przez samochód: na masce i zderzaku jest krew. I ma poranione stopy, to znaczy, że musiał dość długo biec przez las.

Mrużąc oczy, spojrział w stronę oświetlonego ostrym blaskiem ciała. Zwrócił uwagę na dłonie chłopaka, które patolożka zapakowała w przezroczyste torebki.

– Czy ktoś pobrał odciski linii papilarnych?

Pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Nie ma mowy o pobieraniu próbek ani żadnym innym działaniu, które mogłoby spowodować przypadkowe skażenie, dopóki nie zbadam opuszek palców i paznokci.

Wiedział, jaka jest zasadnicza i nieprzejednana w tych sprawach.

– Ale jeśli nie znajdziemy ubrań ani papierów i tak trzeba będzie pobrać odciski – zaoponował. – Można by zastosować nieinwazyjną technikę, jak proszki, które nie uszkadzają DNA. Albo po prostu zrobić zdjęcie...

– Martin, na tym etapie nikt poza mną nie dotyka tego ciała – ucieła. – Odciski pobierzemy po sekcji. Ale nikt nie tknie tych rąk, dopóki nie zbadam palców i paznokci, jasne? Żeby się nie okazało, że wstawiałam w środku nocy na darmo.

Cała Fatiha. Miała własny kodeks postępowania i nikomu nie pozwalała go naruszać. Servaz spotykał już mniej skrupulatnych lekarzy sądowych. Zdusił westchnienie. Zasadniczo cieszył się z jej profesjonalizmu, ale tym razem chętnie zyskałby na czasie.

– Pełnia – powiedziała nagle.

– Tak, zauważyłem – odparł, wznosząc oczy ku nocnemu niebu.

– Księżyc myśliwych.

– Co masz na myśli?

– Przypadająca dzisiaj pełnia to księżyc myśliwych. Tak się nazywa październikową pełnię, ponieważ kiedyś ułatwiała ona polowanie na wędrowne ptaki. Tradycyjnie następuje po wrześniowej pełni plonów. Ale rok dwa tysiące dwudziesty jest wyjątkowy pod każdym względem: zamiast dwunastu pełni mamy trzynaście. Z czego dwie w październiku. Księżyc myśliwych – powtórzyła.

Przypomniał sobie, że w mitologii greckiej Artemida, bogini łowów, była również boginią księżyca. Przeszedł go dreszcz.

– Myślisz, że to zbieg okoliczności? – zapytał.

– Ja tu nie jestem od myślenia, to wasza robota.

– Z tego, co słyszałem, chłopak przed czymś albo przed kimś uciekał. Czyli w sumie ktoś na niego... polował. Wiesz, skąd się wzięła ta hipoteza?

Skinęła głową.

– Patrz.

Skierowała snop światła latarki na jedną z łopatek. Pod lewym obojczykiem widać było ranę: wystawał z niej metalowy szpikulec, który lśnił w potężnym blasku. Servaz przykucnął.

– Co to ma być? Strzała?

– Raczej bełt...

Poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba.

– Nieźle, co? A to jeszcze nie wszystko – dodała. Odłożyła latarkę i chwyciła ciało za ramiona. – Pomóż mi.

Razem powoli, ostrożnie odwrócili zwłoki. Położyli je na plecach, na płachcie rozciągniętej bezpośrednio na żwirku i asfalcie. Fatiha najpierw skierowała snop światła na twarz mimo że reflektory już ją oświetlały.

Servaz zamarł. Martwe źrenice. Oczy, które ledwie zdążyły zobaczyć życie, a już musiały się z nim pożegnać: chłopak nie miał nawet dwudziestu lat. Fatiha przesunęła strumień światła latarki po podbródku i gardle aż do klatki piersiowej, która wyraźnie odznaczała się pod skórą, ponieważ ofiara była bardzo szczupła.

Martin poczuł się zaskoczony, a nawet oszołomiony. Na tym etapie starał się nie myśleć, nie snuć hipotez, nie wyciągać pośpiesznych wniosków. Na piersi młodego człowieka ktoś wyrył słowo

SPRAWIEDLIWOŚĆ.

1. Zob. Bernard Minier, *Siostry* (2018) i *Dolina* (2020), obie książki w przekładzie Moniki Szewc-Osieckiej, wydane przez Dom Wydawniczy REBIS. [\[wróć\]](#)

Powoli posuwali się naprzód wśród zarośli i drzew. Samira dołączyła do niego i szli trasą wyznaczoną w lesie przez techników, którzy – aby ocalić ślady przed zdeptaniem – od pnia do pnia, mniej więcej równolegle, rozciągnęli dwa pasy lśniącej żółtej taśmy. Reflektory oświetlały znajdujące się między taśmami plamy krwi i połamane gałęzie oznaczone również żółtymi, ponumerowanymi tabliczkami. Wszystko było wilgotne; po przejściu trzydziestu metrów miał przemoczone nogawki. Kawalek dalej zabrakło przewodu do reflektorów i ich miejsce zajęły umieszczone na masztach, zasilane bateriami słonecznymi świetliste kule, które wisiały na tle czarnego nieba jak martwe księżycy.

Jeszcze dalej, w odległości około pięciuset metrów, nie było już ani kul, ani taśmy. Technicy, którym skończył się sprzęt, porozstawiali tylko plastikowe tabliczki w miejscach, w których znaleźli ślady; przez ciemny las wiodła więc jaśniejsza ścieżka zrobiona z żółtych bojek, niczym z kamyczków Tomcia Palucha.

Wkrótce doszli do strumienia, który płynął u stóp stromego zbocza i wśród zarośli dostrzegli dwóch techników, którzy latarkami oświetlali drugi brzeg. Servaz zobaczył odcisnięte w błocie głębokie ślady. Bosych stóp, ale także butów. Technicy fotografowali je i mierzyli. Jeden z nich podniósł się i przeszedł obok Martina i Samiry. Być może wracał po zestaw do robienia odlewów.

Servaz pokazał legitymację.

– Tylko dorośli mężczyźni – oświadczył drugi z techników, wskazując na ślady. – Mniej więcej od sześciu do dziesięciu. I jedna dużo lżejsza osoba bez butów.

Miał na sobie biały kombinezon i białą maseczkę, ochraniacze na buty i dwie warstwy niebieskich nitrylowych rękawic: wyglądał jak zagubiony naukowiec na niegościnnej planecie.

– Dalej też są ślady? – zapytał Servaz, odgarniając gałąź i delikatnie stawiając stopę na płaskim kamieniu pośrodku strumyka.

Woda śpiewała i płażała, połyskując w blasku latarki. Strumień wyźłobił tunel wśród roślinności.

– Tak, ciągną się jakiś kilometr.

Nagle na sąsiednim kamieniu Servaz dostrzegł kształt przypominający martwą żabę. Leżała nieruchomo na brzuchu, z wielkimi tylnymi odnóżami rozłożonymi pod kątem prostym. Poczłł dziwną fascynację, widok tego małego płaza go poruszył. Jakby to nic nieznaczące stworzenie domagało się miejsca w wielkim łańcuchu życia i śmierci.

Ruszyli dalej. Przez niemal nieprzeniknione sklepienie z gałęzi i listowia nad ich głowami prześwitywało księżycowe światło. Znajdowali się poniżej drogi i nie dochodził tutaj żaden dźwięk. Uderzyła go ta cisza. Wreszcie, kawałek dalej, zobaczyli innych techników w białych kombinezonach.

Położoną w środku lasu okrągłą, otwartą na nocne niebo polanę zalewał księżycowy blask. Panował tu klimat nieokreślonej grozy i Servaz poczuł, że ogarnia go dziwny niepokój.

– Co tam macie? – zapytał, znowu pokazując legitymację.

– Tutaj kończą się ślady – oznajmił jeden z astronautów. – Od tego miejsca zaczął biec. Uciekał w kierunku, z którego przyszliście – dodał, wskazując na czarny las za ich plecami.

Następnie technik zwrócił ich uwagę na to, że trawa na pogrążonej w onirycznej, niebieskiej poświacie polanie w niektórych miejscach jest wgnieciona i wskazał na alejkę wchodzącą w las po drugiej stronie.

– Stało tu kilka samochodów. Ofiara musiała wysiąść z jednego z nich. Przyjechały stamtąd. Ta ścieżka prowadzi do innej drogi.

– Ile było aut? – zapytał Servaz.

Opuścił maseczkę pod brodę i usiłował zapalić zgaszonego papierosa. Skończył z nałogiem dwa lata wcześniej, przed morderstwami w Aiguesvives, ale w wyniku tamtej historii – i przez papierosa, którego wsunęła mu do ust psychiatra Gabriela Dragoman – znowu wpadł. Od tamtego czasu nie próbował już rzucić.

– Myślę, że trzy.

– Da się jakoś określić marki i modele?

Servaz domyślił się, że mężczyzna wykrzywia usta pod maseczką.

– Badanie śladów opon na mokrej trawie będzie skomplikowane – odparł tamten. – Być może będziemy mieć więcej szczęścia na tamtej alejce: jest wysypana żwirkiem, ale gdzieniegdzie widać błoto. Byłoby idealnie, gdybyśmy znaleźli fragmenty reflektorów albo ślady lakieru, ale nie ma co się łudzić. Tak czy inaczej, wszystko, co da się zbadać, wyślemy do wydziału identyfikacji pojazdów i zobaczymy.

Odwrócił się i wskazał na dwóch pomocników, którzy podobnie jak on poruszali się ostrożnie, jakby znaleźli się na planecie o rozrzedzonej atmosferze. Servazowi zakręciło się lekko w głowie: w klimacie tej polany naprawdę było coś głęboko niepokojącego. Pewnie wynikało to po prostu stąd, że Martin wyobrażał sobie, przez co musiała przechodzić ofiara.

– W każdym razie niedawno chodziło tędy sporo ludzi. Mamy kilka śladów obuwia: sami dorośli mężczyźni.

Servaz skinął głową. Myśliwi... Pomyślał o przerażonym chłopaku, którego w środku nocy wyciągnęli z samochodu. I o mężczyznach, którzy najwyraźniej przygotowywali się, by na niego zapolować. O jego strachu. Krew pulsowała mu w skroniach. Przez lata służby w policji miał okazję spotkać wszelkie typy charakteru, ale teraz zastanawiał się, kto mógłby być zdolny do tego, by zmienić ludzką istotę w zwierzynę łowną.

Wrócili na górę, by przesłuchać kierowcę volva.

– Ja... nie jechałem szybko, naprawdę – tłumaczył się mężczyzna siedzący pod namiotem na składanym krześle. – Włączyłem muzykę. Żeby nie zasnąć. Bo do wypadków najczęściej dochodzi na drogach, które znamy. – Miał zaczerwienione powieki, a jego ręka z kubkiem drżała. Według żandarmów badanie alkometrem wykazało, że jest trzeźwy. – Biedny chłopak – wyjąkał. – Kto mógł zrobić coś takiego?

– Coś jakiego? – zapytała Samira.

– No... Założyć mu tę głowę jelenia. I urządzić na niego nagonkę w lesie – odparł tamten.

– Na jakiej podstawie uważa pan, że ktoś go gonił?

Mężczyzna spojrział na nią spłoszony. Jej gotycki look najwyraźniej zbił go z tropu. Samira była ubrana w długą parkę podbitą sztucznym barankiem, oczy podkreśliła grubą kreską, prawie całe jej czoło zakrywała kruczoczarna grzywka, a usta i nos zasłaniała maseczka z rysunkiem czaszki. Szeroko otworzył oczy w osłupieniu.

– No... nie wiem... Biegł przez las. O trzeciej w nocy. W świetle reflektorów wyglądał na przerażonego.

– Może po prostu bał się, że zostanie potrącony przez pański samochód, co? – skontrowała. – Jest pan pewien, że nie jechał pan trochę za szybko?

Energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie! Nie jechałem za szybko! Była noc, a ja byłem zmęczony, jechałem nawet poniżej dozwolonej prędkości. Zakładam, że jesteście w stanie to

sprawdzić, prawda? – dodał błagalnym tonem.

– Owszem. I zrobimy to – odpowiedziała Samira. – Powiedział pan żandarmom, że wracał pan ze szpitala.

– Tak...

– Dzwoniliśmy tam. W rozkładzie godzin, który pan podał, jest dwugodzinna luka.

Mężczyzna zmarkotniał.

– Zdrzemnąłem się krótko przed drogą. Byłem, hmm, zmęczony.

– Jest pan dwadzieścia minut od domu, mógł pan to zrobić we własnym łóżku. Widzę, że jest pan żonaty. – Samira wskazała na obrączkę na jego palcu.

– Tak jest – odpowiedział drżącym głosem.

– Na ramieniu ma pan długi włos.

Mężczyzna się wzdrygnął.

– He?! Co?!

Spanikowany spojrział z ukosa na swój płaszcz. Niczego nie zobaczył, bo i niczego tam nie było.

– Gdzie pan był przez te dwie godziny?

Samira mówiła wyraźnie, zimnym głosem. Mężczyzna rzucił jej zrozpaczone spojrzenie.

– Z przyjaciółką... Błagam, nie mówcie o tym mojej żonie.

– Czy pańska... *przyjaciółka*... będzie mogła to potwierdzić?

– Tak, tak. Przepraszam. Co mi grozi za to, że skłamałem?

– Zobaczymy – przerwał im oficer żandarmerii, który właśnie podszedł. – Jest dwudziesty szósty października, godzina piąta trzydzieści osiem. Jest pan zatrzymany – dodał, zwracając się do kierowcy.

– Co?

– Niech się pan nie martwi, takie są procedury – pocieszyła go Samira.

– Jeśli macie do niego jeszcze jakieś pytania, prześlijcie je do nas – rzucił oficer do Samiry i Martina.

Niech żyje współpraca między służbami!

– Komisarzu – mężczyzna zwrócił się do Martina, jakby było oczywiste, że to on jest tutaj najwyższy rangą.

– Komendancie – poprawił go Servaz. – Słucham?

– Jego oczy... Widziałem je... Kiedy odwrócił głowę, gdy zobaczył samochód. Już wtedy się bał: nie samochodu, czegoś innego. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego przerażenia.

Servaz zamarł. Pozwolił, by słowa mężczyzny utorowały sobie drogę do jego umysłu. Nie zdarzyło mu się to już od jakiegoś czasu. Znajome mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Myśliwi, którzy polowali nie samotnie, ale całą sforą, jak wilki. Nagi młody mężczyzna przebrany za zwierzę.

Przypomniawszy sobie przygnębiający widok głowy jelenia w pokrowcu z przezroczystej folii, którą oglądał chwilę wcześniej w namiocie. Z rozgałęzionym, zakończonym odnogami porożem, którego dotykał przez opakowanie. O sterczących szpiczastych uszach. O lśniącej sierści w płowym kolorze wpadającym w rudy. Głowa była pozbawiona pyska i chrap. W ich miejscu znajdował się zwykły skórzany kaptur z otworami na oczy i nos. Patrząc na nią, wyobraził sobie wspaniałe zwierzę, które kiedyś żyło i oddychało. Wyobraził sobie też chłopaka, pomyślał o tym, jak musiał się czuć, gdy uciekał przed prześladowcami w tym dziwnym, ciężkim przebraniu.

Pewnie brakowało mu powietrza, był na skraju uduszenia, bo dziurki na nozdrza były małe i nie było otworu na usta.

Servaz zadrżał. Źródłem tego, co się wydarzyło, było zło w najczystszej postaci. Rozpoznawał wszystkie jego oznaki.

Był 26 października, minęła 5.43.

Wrócili na komisariat równo o ósmej. Na drugim piętrze panowało niecodzienne ożywienie. Servaza zaskoczył ten poranny ruch.

Przez otwarte drzwi zobaczył tłumek ludzi. W powietrzu jak zwykle wyczuwało się napięcie i agresję, zatrzymani pluli policjantom w twarz swoją arogancją, a adwokaci domagali się szacunku dla swoich klientów.

– Co to za wzmożenie? – zwrócili się do kolegi z wydziału spraw kryminalnych, który w korytarzu rozmawiał przez telefon.

Policjant schował urządzenie.

– Nie wiecie? Weekend był gorący. Siedem niezwiązanych ze sobą napaści z nożem w ręku między piątkiem a niedzielą: dziś w nocy w Bellefontaine człowiek, który wychodził z metra, został zaatakowany przez jakichś typków pod wpływem. Dostał w plecy, pojechał na sygnale do szpitala. W sobotę po południu za mediateką inny gość otrzymał dwa ciosy nożem. W piątek nastolatek dziabnął dwóch mężczyzn na place Arnaud-Bernard. W tym samym czasie przy avenue des Minimes jeszcze jeden został ciężko ranny w gardło i tchawicę – mówił, wyliczając na palcach obu dłoni. – Tego samego wieczoru dwóch gości wzajemnie się pocięło podczas bójkki na rue de l'Ukraine. A w sobotę wczesnym rankiem ktoś napadł na dwóch chłopców przy quai de la Daurade: wygląda na to, że chodziło mu o ich smartfony. – Przeniósł wzrok ze swoich palców na Servaza. – I wreszcie, w nocy z soboty na niedzielę na rue Georges-Brassens sąsiedzka sprzeczka zakończyła się ciosem w klatkę piersiową... Myślę, że to mamy nagrane. Większość spraw została przekazana BSU ¹, reszta trafiła do nas.

Rekordy są po to, żeby je bić, pomyślał Servaz. Cały kraj opanowała ta sama niepoohamowana wściekłość, upadek autorytetu jest powszechny. Prawdziwa wojna, która rozgrywa się na ulicach każdego dnia. Wojna z góry skazana na porażkę, dopóki policjanci będą zdani tylko na siebie, pogardzani lub opuszczeni przez sędziów, niedoposażeni i znienawidzeni przez niektórych spośród tych, których mają chronić.

– Mam też dwa gwałty i trzy napaści seksualne – wtrącił się kolega z obyczajówki, wychodząc ze swojego biura. – Co mam zrobić z kilkudziesięcioma sprawami, które już mam na tapecie? Codziennie dzwonią

do mnie ofiary, żeby się dowiedzieć, czy posuwamy się naprzód. Co mam im powiedzieć?

– Powinniśmy zaprosić polityków i innych mądrali, żeby spędzili tutaj kilka dni – podsumowała Samira.

Oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę. Zdjęła kurtkę i jej strój nie mógł nie zwracać uwagi: była ubrana w czarny sweter z lśniącym napisem HELL, skórzane spodnie z nakolannikami i ochraniaczami łydek zdobnymi w suwaki, dziurki i sprzączki, a na nogach miała martensy na nieprzyzwoicie grubej podeszwie – cały zestaw sprawiał, że przypominała adeptkę BDSM.

Servaz wszedł do swojego pokoju, a za nim jego zastępcy. Udzielił Samirze i Vincentowi wskazówek w sprawie wprowadzania postępowania do LRPPN, programu do redakcji postępowań policyjnych, którego trzecia wersja była nieco mniej kulawa od poprzednich. Z biegiem lat postępowania karne stawały się coraz bardziej uciążliwe, bo zamiast działać w terenie, policjanci tracili czas na papierologię.

Zaczął się zastanawiać, czy jeszcze się nadaje do tego zawodu. Wstąpił do policji z powołania. Przez niemal trzydzieści lat spędzał całe noce za kółkiem i poświęcał życie osobiste w jednym celu: powstrzymać działania najgroźniejszych i najbardziej szkodliwych dla społeczeństwa jednostek. Ale zasady się zmieniły: dziś od policjantów oczekuje się, że będą robili to samo z za biurka, że będą prowadzić przesłuchania niemożliwe do przeprowadzenia z powodu zabezpieczeń i bezsensownych, często sprzecznych ze sobą wymagań. Śledztwo kryminalne to wysoce złożona i wymagająca robota; cwany adwokat czy niedelikatny sędzia mogą w mgnieniu oka zrujnować miesiące wysiłków, a jakby tego było mało, mnoży się przeszkody i trudności. Rezultat? Statystyki nie pozostawiają wątpliwości: handel ludźmi lawinowo rośnie, wskaźnik zabójstw jest najwyższy w Europie, dwukrotnie wyższy niż w sąsiedniej Hiszpanii, Niemczech, a nawet Włoszech, bez obrazy dla *Gomorry*.

Servaz znalazł w szufladzie saszetkę paracetamolu z kodeiną. Bolała go głowa. Jakie to szczęście, że zrobił zapasy, zanim lek stał się dostępny tylko na receptę. Podczas gdy przestępcy pozostają bezkarni, resztę społeczeństwa upupia się zakazami i nakazami.

– Czarny chłopak, któremu założono na głowę łeb jelenia i na którego, jak wszystko wskazuje, polowano jak na zwierzynę: wyobrażacie sobie, co będzie, jeśli to trafi do prasy? – rozległ się nagle jakiś głos od drzwi. – Lepiej potraktujmy to śledztwo priorytetowo, jeśli ten cholerny pierdzielnik się potwierdzi.

Uniósł głowę. W progu stał Chabrillac, nowy szef, gość około pięćdziesiątki ubrany w zbyt ciasny garnitur opinający szerokie ramiona i sylwetkę rugbyisty (rugbyisty z poprzedniego wieku, zważywszy na wielkie brzuszysko). Grube czarne brwi, źrenice jak główki szpilek i wiecznie smętna mina. Zastąpił Stehlina, który na zakończenie kariery wyjechał na łagodniejsze pod względem klimatu, ale nie mniej kryminogenne Lazurowe Wybrzeże.

Servaz bardzo lubił Stehlina – gdy była taka potrzeba, facet nie wahał się podejmować ryzykownych decyzji. Nie miał jeszcze zdania na temat nowego dowódcy. Jedni twierdzili, że potrafi być grubiański wobec podwładnych, inni, że jest drobiazgowym biurokratą i asekurantem. Koledzy już nadali mu ksywkę „Hulk”. Servaz na razie mu się przyglądał.

– Poprosiłem, żeby jak najszybciej przeprowadzili sekcję – oznajmił Hulk.

Podejrzliwie rzucił okiem na Samirę, uniósł brew i przeniósł uwagę na Servaza.

– Komendancie, jest pan świadom, że mamy do czynienia z szalenie delikatną sprawą? Od teraz wszystkie pana pozostałe zajęcia schodzą na drugi plan.

Spojrzał na całą trójkę – Samirę, Vincenta i Martina – i ceremonialnie odwrócił się do drzwi.

– Poruczniku! Może pan tu podejść?

W progu pojawił się młody człowiek. Blond włosy, jasne oczy i opalenizna surfera.

– Przedstawiam wam nowego kolegę: porucznik Raphaël Katz – powiedział Chabrillac. – Porucznik przybywa do nas prosto z Cannes-Écluse. Ukończył uczelnię na drugim miejscu. – Zrobił pauzę, by dać im czas na przyswojenie sobie tej wiadomości. – Jak wiecie, tegoroczne dyplomy zostały opóźnione z przyczyn sanitarnych. Ze swoimi wynikami porucznik mógł wybrać bardziej, hmm... prestiżową placówkę, ale wybrał Tuluzę. Mam nadzieję, że godnie go przyjmiecie. – Odwrócił się do młodego policjanta. – Zgodnie z życzeniem zostaje pan przydzielony pod rozkazy komendanta Servaza.

Chabrillac wyszedł. Zaskoczony Servaz wpatrywał się w nowo przybyłego. Co to za pomysł, żeby przydzielać do jego grupy śledczej ucznia szkoły policyjnej, choćby z najlepszymi wynikami? Zamiast podać im rękę, jasnowłosy porucznik przywitał się skinieniem głowy.

– Dużo o panu słyszałem, komendancie – powiedział. – Mieliśmy w szkole jednego wykładowcę nonkonformistę. Jedyne, który dopuszczał niestandardowe rozwiązania. Po zajęciach, gdy zostawaliśmy z nim w kilka osób, lubił opowiadać o pana śledztwach.

– Nie ze względu na ich walory akademickie, jak mniemam.

Po oczach Katza było widać, że uśmiecha się pod maseczką.

– Nie, jasne. Interesował go właśnie ich aspekt obrazoburczy, pana podejście, pana, jak mówił, radykalny nonkonformizm. Na pana przykładzie uczył nas kwestionować stare schematy, wykraczać poza pewniki. Ale oczywiście robił to dyskretnie.

– No, no – skomentował Servaz, który dobrze wiedział, że treść wykładów w szkole policyjnej często jest oderwana od rzeczywistości.

Zerknął na Samirę: przyglądała się nowemu niezdecydowanym wzrokiem, starając się ocenić, z kim ma do czynienia. Servaz odgadł, że jeśli chodzi o wygląd, policjant otrzymał pozytywną notę. Na tyle, na ile mogli oszacować jego sportową sylwetkę, porucznik Katz prezentował się bardzo dobrze. Martin był pewien, że twarz pod maseczką również jest ładna.

– Poprosiłem o przydział do Tuluzy, bo wychowałem się w tej okolicy – wyjaśnił. – Ale w głębi duszy miałem też nadzieję na pracę z panem.

Servaz zrobił zdziwioną minę.

– Kto jeszcze w dwa tysiące dwudziestym roku chce być policjantem? – zapytał. – A spośród tych, którzy już się zdecydują, kto chce iść do kryminalnych? Za dużo roboty, zbyt uciążliwe procedury, za dużo nadgodzin i za słabe wyniki, dyspozycyjność dwadzieścia cztery godziny na dobę, poświęcanie życia osobistego, zmaganie z tonami papierów: mało atrakcyjne dla dzisiejszych absolwentów. A jednak pan, z takimi ocenami, się do nas zgłasza – powiedział, spoglądając na Katza.

– Jak już mówiłem, komendancie, w szkole policyjnej jest pan prawdziwą legendą. Praca z panem jest jak sen, który właśnie się spełnia. Czuję nagły wzrost stężenia serotoniny.

Servaz uniósł brew.

– Wzrost czego?

– Stężenia serotoniny. Wie pan, że mózg homara, który przegrał walkę, zauważalnie różni się od mózgu homara zwycięzcy? W przypadku zwycięstwa stężenie serotoniny silnie rośnie, a stężenie oktopaminy spada. W przypadku porażki przeciwnie. Homary o wysokim stężeniu oktopaminy to strachliwe smutasy, a te, które mają dużo serotoniny, są pewne siebie, zrelaksowane i energiczne.

– Kurwa – szepnęła Samira za plecami przybysza, na tyle głośno, by mógł ją usłyszeć.

Katz się odwrócił. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. W jego oczach malowało się to samo zaskoczenie, które odczuwali wszyscy przy pierwszym zetknięciu z Francuzko-Chinko-Marokanką. Większość osób się z tym kryła, ale nie on. Katz był pewnym siebie homarem nabuzowanym serotoniną.

– Pójdę po rzeczy! – oznajmił z entuzjazmem, kierując się ku drzwiom.

Gdy tylko wyszedł, Samira spojrzała najpierw na Servaza, a potem na Vincenta.

– Homary? Serio? A to nam się, kurwa, prymus trafił. W dodatku wygląda jak nazista.

Servaz zmarszczył brwi.

– No co? Co ja takiego powiedziałam? Mówiłam, że wygląda jak nazista, a nie że nim jest.

1. *Brigade de la sûreté urbaine* (dosł. Brygada Bezpieczeństwa Miejskiego) – jednostka policji podległa Wydziałowi Bezpieczeństwa Publicznego, zajmująca się ściganiem przestępstw mniej poważnych niż te, którymi zajmuje się Policja Kryminalna (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

W świetle lampy bezcieniowej wszystkie szczegóły anatomiczne, wszystkie pory i fałdy skóry widać było tak wyraźnie jak kratery księżycowe w blasku słońca. Była 17.30. W oczekiwaniu na telefon patolożki spędzili dzień na rozdzielaniu zadań i przekazywaniu bieżących spraw.

Nagle w głośnikach rozległy się pierwsze nuty dzikiej, pompatycznej muzyki z chórkami i żeńskim głosem w tle. Raphaël Katz i oficer żandarmerii zamarli.

– O ja pierdołę! – zawołał młody porucznik. Wstrzymał oddech. – *Eclipse*, Pink Floyd, wersja Hansa Zimmera z *Diuny*... Ale przypał!

W następnej sekundzie do sali dostojnym krokiem niczym rzymska westalka niosąca święty ogień weszła Fatiha Djellali o pięknej twarzy otoczonej burzą czarnych jak węgiel włosów. Kroczyła w blasku świateł w takt muzyki i nawet Servaz poczuł, że ma gęsią skórkę. Podniósł oczy na Katza: chłopak był bardzo blady.

– Pierwsza sekcja? – zwróciła się do młodego detektywa, wyłączając muzykę. Katz skinął głową. Doktor Djellali spojrzała na Servaza.

– Martin, gdybym cię nie znała, powiedziałabym, że to wygląda jak otrzęsiny.

No a jak, to są otrzęsiny, pomyślał. Wiedział, że muzyka zrobiła wrażenie na młodym poruczniku. Ta kiczowata inscenizacja była jedynym dziwactwem doktor Djellali. Pewnie w ten sposób się przygotowywała, koncentrowała – jak bokser przed wejściem na ring. Servaz wiedział też, że Katz brał już udział w sekcji zwłok w szkole policyjnej, ale odbywała się ona w auli, czyli daleko od ciała, gdzie nie czuło się żadnych zapachów.

– Odciski palców – przypomniał.

– Chwileczkę.

Patolożka zdjęła przezroczyste torebki z dłoni ofiary. Szczoteczką oczyściła paznokcie, a następnie pobrała z opuszek palców próbki DNA, które od razu zabezpieczyła, po czym zdjęła linie papilarne. Podała karty z odciskami dziesięciu palców swojemu asystentowi, milczącemu wysokiemu brodaczowi, który bez słowa podszedł z nimi do laptopa stojącego na blacie.

Włączyła nagrywanie.

– Przystępujemy do zewnętrznych oględzin zwłok. Wzrost metr osiemdziesiąt dwa, masa ciała sześćdziesiąt dziewięć kilogramów, bardzo szczupły, skóra od ciemnej do bardzo ciemnej, brak tatuaży i deformacji, ale widać... tak, liczne rany i skaleczenia na nogach, rękach i klatce piersiowej.

Opisała każdą z nich, zmierzyła, zaczekała, aż fotograf z wydziału identyfikacji kryminalnej uwieczni je we wszystkich możliwych ujęciach.

– Te rany to z pewnością efekt kontaktu z gałęziami i kamieniami podczas biegu przez las. Pobierzemy próbki, które powinny nam to potwierdzić.

Podeszła do głowy ofiary, ujęła ją dłońmi w rękawiczkach i delikatnie poruszyła, by sprawdzić sztywność karku. Z lewej strony spod zdartej skóry wyłaniało się mięso, białka oczu były nabiegłe krwią.

– Włosy czarne, krótkie, kręcone – wyliczała. – Trzy, czterodniowy zarost. Skóra zdarta, liczne otarcia i zadrapania na lewej kości skroniowej, jarzmowej i żuchwie.

Servaz zerknął na Raphaëla. Młody porucznik obserwował manewry doktor Djellali bez słowa, ale jego źrenice tak się powiększyły, że prawie nie było widać tęczówek.

– Żadna z ran nie była śmiertelna – mówiła dalej patolożka, robiąc krok w tył. – Wszystko wskazuje na to, że śmierć nastąpiła wskutek uderzenia o podłoże... albo o samochód – dodała, patrząc na oficera żandarmerii. Znowu uniosła głowę denata i bardzo ostrożnie obmacała kręgi. – Badanie czaszki, mózgowia i kręgosłupa nam to potwierdzi. – Uzbrojona w latarkę diagnostyczną obejrzała następnie przekrwione oczy, usta, zęby, dziurki od nosa i uszy, obmacała szyję, po czym przeniosła wzrok na klatkę piersiową. Podniosła się i zrobiła chwilę przerwy. Trzeba ją było znać tak jak Servaz, by wyczuć ledwo dostrzegalne poruszenie w jej głosie, kiedy westchnęła i powiedziała: – Założę się, że zrobiono mu to rozgrzanym żelazem... Jak u bydła.

– Co?!

Teraz on się pochylił nad wałeczkami stwardniałego ciała, które układały się w napis SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Popatrzyła na niego.

– Trzeba to jeszcze potwierdzić, ale tak to wygląda. W każdym razie napis wykonano *ante mortem*. Biedny chłopak został oznakowany jak krowa...

Wypuściła powietrze z płuc. W swojej karierze miała okazję oglądać niezliczone przykłady głupoty, okrucieństwa i egoizmu rodzaju ludzkiego. Nie mogła jednak przywyknąć do ich najbardziej skrajnych przejawów. Odwróciła się do stołu na kółkach, na którym leżały połyskujące w blasku lampy ostre

narzędzia, zaczęła je nerwowo przekładać, czemu towarzyszył głośny brzęk metalu.

Servaz stał bez ruchu, wstrzymując oddech, i przyglądał się temu napisowi. Myślał, co on oznacza. Obawiał się i był coraz bardziej przekonany, że mają do czynienia ze straszliwą zbrodnią. Nagle zapragnął znaleźć się gdzie indziej. Wiedział, jakie ślady potrafią zostawić w człowieku takie sprawy.

– Pani doktor... – wybełkotał oficer żandarmerii za ich plecami. Jego głos lekko drżał.

Odwrócili się do niego.

– Pani doktor, komendancie – jęknął. – Zmarły... zmarły się obudził!

Servaz z powrotem spojrzał na stół sekcyjny. Zakręciło mu się w głowie, miał wrażenie, że w jednej chwili uszło z niego całe powietrze. Oficer nie kłamał: nieboszczyk nie tylko wydawał się na nich patrzeć... Naprawdę się obudził!

Doktor Djellali również się odwróciła. Wytrzeszczała oczy znad maseczki.

– O kurwa!

Nie potrafiła znaleźć innych słów. Denat powrócił do życia, jak w *Żywych trupach*! Wił się na stole, wywracając gałkami ocznymi na wszystkie strony. Usiłował coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

Fatiha rzuciła się na chłopaka: jego noga konwulsyjnie podskakiwała, a palce uderzały o metalowy blat, jakby chciał wystukać jakiś rytm. Wydał z siebie przeciągły jęk i wybełkotał kilka słów.

Servaz miał wrażenie, że usłyszał słowo *le coq*. Kogut. Absurd, to nie miało sensu. Na pewno chodziło mu o coś innego. Ale o co? A może to było nazwisko: Lecoq? Obserwował cały spektakl w osłupieniu. Nigdy nie widział niczego podobnego. Jak to możliwe? Miał wrażenie, jakby przed jego oczami rozgrywała się współczesna wersja *Herberta Westa – reanimatora*. Brał udział w dziesiątkach sekcji zwłok, ale ze zmartwychwstaniem miał do czynienia po raz pierwszy!

Chłopak opadł z powrotem na stół i Fatiha ułożywszy skrzyżowane dłonie na jego piersi, usiłowała przywrócić go do życia.

– Ja pierdolę! – szepnął stojący obok Katz.

Servaz zobaczył, że młody porucznik jeszcze bardziej zbladł.

– Dzwon na OIOM! – zawołała patolożka do asystenta. – Niech natychmiast przyślą zespół reanimacyjny do prosektorium!

Brodacz pobiegł do telefonu. Fatiha energicznie uciskała klatkę piersiową chłopaka. Następnie zdjęła maseczkę i pochyliła się, by wykonać oddychanie usta-usta; kontynuowała do chwili, gdy do sali wpadła grupa ratowników, którzy przejęli od niej pacjenta. Nierealna chwila, w której Servaz miał wrażenie, jakby był w stanie nieważkości.

Patolożka się odsunęła. Spojrzała na niego zdruzgotana.

– Za późno. Nie uda im się, nie tym razem – powiedziała.

Martin wpatrywał się w nią bezradnie, niezdolny do ruchu.

– Co się stało? – zapytał bezbarwnym głosem.

Zawahała się.

– To niezwykle rzadkie, ale się zdarza. Stwierdza się zgon, ponieważ organizm wykazuje znamiona śmierci: ciało jest zimne, nie reaguje na bodźce, nie ma oddechu ani tętna. – Była blada jak ściana. – Możliwe, że był w stanie hipotermii... Albo katalepsji. Literatura medyczna opisuje przypadki takie jak ten, gdy człowiek budzi się w kostnicy po kilku godzinach.

– Ale teraz już nie żyje?

Zespół reanimacyjny traktował właśnie nieboszczyka defibrylatorami, które wydawały charakterystyczny dźwięk wyładowań elektrycznych.

– Obawiam się, że tak. Za kilka minut będziemy mieć potwierdzenie. Większość osób nie przeżywa takiego... hm... zmartwychwstania. Krew zbyt długo nie dopływała do tkanek, uszkodzenia narządów są zbyt poważne. Kiedy krew zaczyna płynąć, powstaje łańcuchowa reakcja zapalna we wszystkich narządach. Najczęściej zabójcza. Właśnie to się stało z tym biednym chłopakiem. Okropne...

Zachwiała się i oparła o jeden z blatów. Podtrzymał ją pod ramię. Pomyślał, że Fatiha Djellali przywykła do przestawiania ze zmarłymi, rozcinania im brzuchów, grzebania im we wnętrznościach – ale nie do tego, żeby umierali na jej oczach.

– Kurwa, chyba muszę wyjść na powietrze – szepnął Raphaël, zielony na twarzy, przypominając im o swojej obecności.

Nie czekając na odpowiedź, pośpiesznie opuścił prosektorium. Fatiha odprowadziła go wzrokiem, po czym spojrzała na Martina.

– Pierwszy raz, ale mu się trafiło – powiedziała.

Servaz w milczeniu skinął głową, wziął ją za rękę i ścisnął. Odwzajemniła jego gest. Dotyk przez lateks był dziwnym uczuciem. Dłoń patolożki była zimna. Przez sekundę patrzyli sobie w oczy.

W kieszeni Martina zawibrował telefon. Chabrillac.

– Tak?

– Jest pan jeszcze na sekcji? – zapytał dowódca.

– Mieliśmy tu... pewien problem – odparł.

Milczenie.

– Kiedy pan skończy, proszę szybko wracać. Pilne zebranie, czekamy na pana.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Odciski palców chłopaka właśnie zostały zidentyfikowane: mamy problem.

O dwudziestej trzeciej z groszami grupa śledcza zamknęła się w sali zebrań na drugim piętrze. Szuranie krzeseł. Pokasływanie. Szelest papierów. Niesmaczna kawa. Na miejscu był też dyrektor laboratorium kryminalistycznego oraz dwaj inni policjanci: jeden z brygady narkotykowej i jeden z brygady do spraw nieletnich.

Dwie minuty po wszystkich do sali wkroczył Chabrillac z marynarką przerzuconą przez ramię, rozluźniając krawat gestem, który Servaz uznał za nędzny popis aktorski. Stał przy jednym z końców stołu z rękami na biodrach. Zachowanie terytorialne. Klasyczna demonstracja władzy. Objął zgromadzonych spojrzeniem.

– A więc chłopak został zidentyfikowany. To Moussa Sarr, lat osiemnaście. – Zrobił chwilę przerwy. – Dzieciak ma rodowód jak czystej krwi beagle: dilerka, napaści, podejrzenie o co najmniej czterdzieści włamań, trzy pobyty w specjalistycznym ośrodku w Lavaur.

Mówił jak hodowca koni zachwalający zalety swojego najlepszego roczniaka. Servaz potarł powieki. Przerwaną sekcję wznowiono po godzinie, podczas której dwóch innych lekarzy stwierdziło zgon. Trwała kolejne trzy godziny. Doktor Djellali orzekła, że śmierć nastąpiła wskutek urazu czaszki, ogólnoustrojowej reakcji zapalnej po urazie i zatrzymania czynności serca. Wychodząc z oddziału medycyny sądowej mieszczącego się na poziomie minus dwa, Martin zadzwonił do Léi, by poinformować ją, że nie wie, o której wróci.

– Świetnie – odparła poirytowana.

Musiała wyczuć napięcie w jego głosie. Od czasu sprawy z Aiguesvives sprzed dwóch lat ¹ zawsze się obawiała, że jego śledztwa będą się odbijać na ich życiu prywatnym.

– Jestem zmęczona – dodała. – To był długi dzień. Chciałam wieczorem porozmawiać z tobą o czymś ważnym, ale cóż, zaczekamy do jutra.

Wychwycił w jej głosie nutę zakłopotania.

– O czymś ważnym? To znaczy?

– Tak, ważnym dla naszej trójki. Jutro pogadamy, Martin. Nie pali się. Gdybym spała, kolację znajdziesz w lodówce.

Nie jestem pewien, czy jestem głodny, pomyślał. Co takiego ważnego dla ich trójki chciała mu powiedzieć? Nagle poczuł niepokój. W głosie Léi pojawił się jakiś nowy ton.

– W pewnym momencie Moussa skończył z włamaniami i zajął się dilerką – kontynuował dowódca. – W styczniu dwa tysiące dziewiętnastego został zatrzymany podczas nalotu policyjnego na dziupłę w dzielnicy Mazades, gdzie BAC znalazła ponad cztery tysiące euro w gotówce, dziesięć kilogramów marihuany, haszysz, ecstasy, kominiarki i amunicję. Adwokat chłopaka dowodził, że lokal nie należy do jego klienta, który przyszedł tam tylko, hmm... pograć na konsoli. – Chabrillac uniósł oczy znad papierów i zauważył, że zdołał wywołać uśmiech na twarzach kilkorga zamaskowanych kolegów. – Wierście albo nie, ale to zadziałało: Sarra zwolniono, jak orzekł sędzia, z braku dowodów obciążających.

Przez grupkę przetoczył się pomruk oburzenia.

– Dwa miesiące później powtórka: chłopak wplątał się w paskudną aferę. Tym razem grubą. I tutaj rzeczy się komplikują, dla niego i dla nas.

Znowu teatralnie zawiesił głos. Servaz musiał przyznać, że dzięki tym błazeńskim metodom dowódcy udaje się przyciągnąć uwagę zespołu.

– Kiedy Moussa Sarr wrócił do liceum, pewna dziewczyna oskarżyła go o gwałt podczas jakiejś imprezy. – Policjant podwinął rękawy, odsłaniając owłosione przedramiona. – Sprawa jest poważna: dziewczyna była nieletnia, została rozebrana i zgwałcona na tylnej kanapie samochodu przez co najmniej dwudziestu gości. Rozpoznała tylko jego: niedługo wcześniej ze sobą chodzili. Twierdzi, że tego dnia się z nią umówił i wpadła w pułapkę. Chłopak zaklinał się, że jest niewinny. Tym razem postawiono go w stan oskarżenia i aresztowano. W sądzie jego adwokaci robili wszystko, żeby podważyć zeznania dziewczyny, popsuć jej reputację, twierdząc, że źle się prowadziła, była łatwa i naćpana. I że dopiero po wszystkim poczuła wyrzuty sumienia. Ale stwierdzone przez lekarza ślady na ciele, rany w obrębie waginy i odbytu zadane niezidentyfikowanym przedmiotem nie przemawiają na korzyść tej wersji. Moussa Sarr, jedyny napastnik, którego rozpoznała, dalej twierdzi, że jest niewinny, i odmawia wydania współników. Dostaje osiem lat, czyli średni wyrok za gwałt. W razie złagodzenia kary może mieć nadzieję, że wyjdzie po czterech latach. Cztery lata odsiadki w tym wieku to kiepski prezent na start. Ale nasz Moussa ma cholernego farta. – Chabrillac potrafił dawkować napięcie. Wszyscy zgromadzeni przy stole spijali każde słowo z jego ust, a on wyraźnie się tym delectował. – Prawie zaraz po uwięzieniu na wniosek swojego prawnika

o natychmiastowe zwolnienie decyzją przewodniczącej izby śledczej zostaje wypuszczony na wolność.

Wokół stołu znowu rozległ się pomruk. Servaz pamiętał tę sprawę: poprzedniej wiosny, krótko po ogłoszeniu lockdownu, zmieniło się kierownictwo izby sądu apelacyjnego odpowiedzialnej za nadzorowanie pracy tuluskich sędziów śledczych. A nowa przewodnicząca od razu wzbudziła kontrowersje, wypuszczając jedną po drugiej osoby, przeciwko którym toczyły się śledztwa w poważnych sprawach.

Grupa adwokatów z Tuluzy, którzy wcześniej narzekali na surowość sędziów do spraw wolności i aresztu, ucieszyła się z tego nagłego i niespodziewanego złagodzenia kursu. Policjanci z kolei pomyśleli, że bandyci pewnie odkorkowują szampana i że pojawienie się nowej szefowej nie wróży dobrze miejskim organom ścigania.

– Sarr został zwolniony nie dlatego, że obciążające go dowody były zbyt słabe albo że nie udowodniono mu winy. Nie, nie...

Servaz wyczuł, że słuchacze zaczynają się niecierpliwić i irytować.

– Nie, chodziło o błąd proceduralny: sędzia śledczy zapomniał powiadomić kuratora Moussy, w tym wypadku jego starszego brata, o tym, że chłopakowi postawiono zarzuty.

Skończył. Na sali rozległy się okrzyki i zapanowała wrzawa. Kuratela jest lżejszym środkiem nadzoru; polega na tym, że kurator doradza podopiecznemu uznanemu za niezdolnego do wzięcia za siebie odpowiedzialności i kontroluje go w zakresie czynności obciążonych poważnymi konsekwencjami, takich jak stawianie się w sądzie, pozostawiając mu wolność w zakresie innych czynności życia codziennego.

– A teraz znaleziono go martwego po tym, jak ktoś polował na niego jak na zwierzynę w lasach Ariège, wcześniej wypisawszy mu na piersi słowo SPRAWIEDLIWOŚĆ. Rozumiecie, do czego zmierzam? – Pochylił się w ich stronę, opierając się o blat na dłoniach zaciśniętych w pięści. – Wygląda to tak, jakby ktoś wymierzył mu sprawiedliwość, przed którą uciekł. A kto, jeśli szybko nie znajdziemy sprawcy, zostanie o to oskarżony?

– Rodzice ofiary gwałtu? – zasugerował głos z sali.

– Tak jest. A któż by inny? Pamiętajmy też, że jeśli sprawa trafi do kanałów informacyjnych i na portale społecznościowe, zostanie rozdęta jak ta żaba, która chciała być większa od wołu. Widzicie ten syf?

– Widzimy – przytaknęła powściągliwie Samira.

– Komendancie – zwrócił się do Servaza, zadowolony ze swojego występu – może podzieli się pan z nami wynikami sekcji?

– Księżyc myśliwych – powiedział Martin.

– Co?

– Takie były pierwsze słowa doktor Djellali: księżyc myśliwych...

Zobaczył zszokowaną minę Chabrillaca. Streścił im wydarzenia wieczoru. Nie musiał się specjalnie wysilać, by zrobili wielkie oczy, kiedy opowiadał im o zmartwychwstaniu nieboszczyka. Znowu rozległy się okrzyki zaskoczenia. Nie musiał też zabiegać o uwagę kolegów, kiedy wyjaśniał im, że słowo SPRAWIEDLIWOŚĆ z pewnością zostało wypalone na piersi młodego człowieka za pomocą rozgrzanego do czerwoności żelaznego pręta, jak to można zobaczyć w westernach. Poczuł, że dzielają przekonanie, które pojawiło się w nim jeszcze podczas badania na drodze: że mają do czynienia z działaniem zła w najczystszej postaci.

– Chłopak miał też bełt wbity w bark – mówił dalej. – Z wyglądu standardowy. Wysłaliśmy go do laboratorium, żeby ustalić, skąd pochodzi, a przede wszystkim, gdzie został kupiony.

W sali było cicho jak makiem zasiał.

– Bełt? – zdziwił się Chabrillac.

– W dwa tysiące osiemnastym w Clichy był taki przypadek – wtrącił się Vincent Espérandieu, który zdążył już przeszukać Internet i SALVAC, program analizujący powiązania między przestępstwami z użyciem przemocy. – Facet wpakował bełt w głowę przyrodniego brata, strzelając do niego z kuszy, którą wcześniej kupił. Zaopatrzył się też w piłę łańcuchową, żeby poćwiartować zwłoki i sześćsetlitrową zamrażarkę, by je tam umieścić, a także bromazepam, żeby uspić ofiarę przed jej zabiciem. Był też jeden przypadek w dwa tysiące dziewiętnastym w Niemczech, w urokliwym zajeździe w Passau. Kobieta i mężczyzna ubrani na czarno, którzy leżeli na łóżku i trzymali się za ręce, obydwójce zastrzeleni z kuszy. W tym samym pokoju na podłodze leżała kobieta, również martwa, ze strzałą tkwiącą w szyi – mówił dalej. – A sześćset kilometrów stamtąd w mieszkaniu trzeciej ofiary znaleziono ciała dwóch innych kobiet. Prawdziwy horror. I ostatni przypadek, w Normandii, w dwa tysiące dziewięćmiesiątym: zbrodnia małżeńska.

– To potwierdza hipotezę o polowaniu – stwierdziła Samira. – Potraktowali go jak zwierzynę.

Servaz znów poczuł mrowienie w karku. Jego puls przyśpieszył. Zadrzał na myśl o ludziach, którzy za tym stali. Przypomniał sobie słowa technika na

polanie: dorośli mężczyźni, trzy samochody. Plus chłopak biegnący nago przez las. W środku nocy.

– Mieli pecha – powiedział nagle, podnosząc głos. – Prawdopodobieństwo, że o tej porze ktoś będzie tamtędy przejeżdżał, było znikome. – Zamilkł na chwilę. – Co by zrobili, gdyby ten samochód go nie potrącił? Albo gdyby nie było żadnego samochodu? Kierowca twierdzi, że chłopak bał się, zanim zobaczył auto. Mówi, że jeszcze nigdy nie widział takiego przerażenia, to jego słowa. Oczywiście można je zrzucić na karb emocji. Ale z dużym prawdopodobieństwem gdyby nie ten samochód, tamci ludzie złapaliby Mousse, zabili go i pozbyli się zwłok. I nigdy byśmy o nim nie usłyszeli.

– Do czego pan zmierza, komendancie? – zapytał Hulk ostrożnie, jakby się obawiał dalszego ciągu.

– Byli świetnie zorganizowani. Znaleźli zagubioną w lesie polanę, do której trudno dojechać. Możliwe, że mieli nawet czujki: według techników ludzi była minimum szóstka i co najmniej trzy wozy. I jeszcze ten jeleni łeb. W tej historii nic nie jest banalne ani przypadkowe.

– No i?

– A jeśli to nie był ich debiut? Jeśli urządzili takie... polowanie nie po raz pierwszy?

Na kilka sekund na sali znów zapadła absolutna cisza. Ludzie ścigani jak zwierzyzna... Ta wizja u wszystkich budziła dreszcz przerażenia. Servaz przypomniał sobie widok szalonych oczu chłopaka budzącego się na stole sekcyjnym i ścisnął mu się żołądek.

– Kurwa... – podsumował ktoś mrocznym głosem.

– W takim razie trzeba sprawdzić, czy wśród zaginionych w regionie nie ma kogoś o takim samym profilu jak ten dzieciak – zasugerował Espérandieu.

Servaz uświadomił sobie, że napięcie sięgnęło zenitu.

– Spokojnie – przystopował go Chabrillac, unosząc dłonie. – Spokojnie. Na razie nic nie przemawia za taką hipotezą.

– Ale nie można jej całkowicie odrzucić – zripostowała Samira, która oparła trzewiki o grube podeszwy o blat i huśtała się na krześle.

Dowódca zbył sprzeciw młodej kobiety poirytowanym gestem, a potem zerknął na zegarek.

– Jest późno, a i tak mamy dość roboty. Zostało nam kilka godzin na wyjaśnienie wszystkiego, zanim powiadomimy rodzinę o śmierci. Oczywiście historia o zmartwychwstaniu nie może wyjść za drzwi tej sali. Mam nadzieję, że

jednostka medycyny sądowej nie wypuszcza przecieków do prasy? Czy patolożka jest godna zaufania? – zapytał, zwracając się do Servaza.

– Milczy jak grób. Jest dyskretna jak jej denaci.

Domyślił się uśmiezków pod maskami, ale napięcie nie opadło. Strach odbierał im wszelką ochotę do żartów, choć zazwyczaj od nich nie stronili: wszyscy wiedzieli, że najbliższe godziny i dni będą niespokojne.

– Okej, komendancie, niech pan rozdzieli zadania. Jutro rano znajdzie pan rodzinę. – Zrobił chwilę przerwy i spojrzał po zgromadzonych, na chwilę zatrzymując wzrok na każdym z nich. – Sprawdzajcie wszystko dwa razy. Sprawozdania mają być bez zarzutu. Wierzcie mi, ta sprawa wywoła piekielny jazgot. O tak, czeka nas tsunami.

Raczej cholerna gównoburza, pomyśleli.

1. Zob. Bernard Minier, *Dolina*, op. cit. [\[wróć\]](#)

WTOREK

Przejechali na drugą stronę obwodnicy w kierunku Mirail, dzielnicy położonej w zachodniej części miasta. Piętnaście minut później zaparkowali przy skwerze przed blokami.

Niebo było czyste, rozświetlone. Kiedy wysiadali z samochodu, poczuli ukąszenie zimna. Wzięli stare clio Samiry. Tablice nieoznakowanych samochodów służbowych nie były zmieniane od trzech lat i bandyterka trzęsąca osiedlem znała numery na pamięć. Policjanci od dawna nie zapuszczali się tutaj bez wsparcia kowbojów z BAC albo niebieskich drelichów z BST, Specjalistycznej Brygady Terenowej.

Servaz pomyślał, że pierwszymi ofiarami tej sytuacji są sami mieszkańcy. Ludzie, których nie stać na mieszkanie gdzie indziej, którzy późnym wieczorem wracają z pracy wyczerpani, którzy muszą się legitymować przed dilerami i którzy bardzo często wstają o świcie, by sprzątać biura mieszkańców spokojniejszych dzielnic – osób wyrozumiałych wobec wspomnianych dilerów, tłumaczących ich na tysiąc sposobów, przede wszystkim, co całkiem zrozumiałe, środowiskiem pochodzenia.

Szybkim krokiem przeszli po trawie między drzewami, którymi obsadzony był skwer: *chouf*, młodociani strażnicy rozstawieni na dachach i w przejściach, jakimś szóstym zmysłem rozpoznawali policjantów w cywilu. Żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi, przyjechali z Samirą tylko we dwoje. Weszli na klatkę schodową. Na szczęście dla nich było wcześniej i dilerzy nie zdążyli jeszcze rozstawić swoich blokad filtrujących osoby wchodzące do bloków.

Obeszło się bez kodu: przeszkłone drzwi wejściowe ktoś zablokował w pozycji otwartej. Klatka schodowa była pusta. Servaz wcisnął guzik windy. Zero reakcji. Zamigotały jarzeniówki. Poranne światło wpadało przez szyby równoległymi pasami. Samira pomyślała, że gdyby oprócz drzew na zewnątrz była tu jeszcze sadzawka, miejsce mogłoby być całkiem przyjemne. Może nawet o niektórych porach dnia takie było. Martin spróbował jeszcze raz. Nic. Ruszyli schodami. Przed stopniami leżała metalowa sztaba – taka sama, jakie stosują siły porządkowe. Za jakiś czas dilerzy użyją jej do kontrolowania dostępu do bloku

i zatrzymywania intruzów. Servaz wyteżył słuch. Wśród wielu dźwięków dochodzących z kolejnych pięter trudno byłoby rozpoznać ten, który oznaczałoby zagrożenie.

Kiedy zadzwonili do drzwi, w mieszkaniu rozległy się jakieś głosy. Usłyszeli kroki. Otworzył im mężczyzna około trzydziestki w bluzie z kapturem, czarnych dżinsach i sportowych sandałach. Servaz go rozpoznał. Widział jego zdjęcie w aktach, które zdążył przejrzeć, zanim z głową opartą na skrzyżowanych rękach na kilka godzin zasnął na blacie biurka. Chérif Sarr. Brat i kurator Moussy.

Starszy Sarr miał spojrzenie ostre i zabójcze jak sztylet, lśniące oczy, wydatną zuchwę i długą brodę przyciętą w kwadrat. Pod bluzą odcinały się okrągłe, nabite mięśnie barków, klatki piersiowej i ramion.

Servaz pokazał legitymację. Młody mężczyzna nawet na nią nie spojrzał, wolał z zaciętą miną patrzeć mu prosto w oczy. Martin się wyprostował. Coś tu nie grało: było widać, że Chérif Sarr wie, z kim ma do czynienia. A przede wszystkim, że spodziewał się tej wizyty. Bez słowa przytrzymał im drzwi. Samira i Martin weszli do środka.

Przez cienkie ściany z sąsiedniego mieszkania dochodził dźwięk telewizora. Przedpokój prowadził do salonu. Na środku pomieszczenia stała łkająca, zdruzgotana kobieta około pięćdziesiątki i mężczyzna w zbliżonym wieku, w garniturze i pod krawatem. Z ich postawy Servaz wywnioskował, że nie są małżeństwem. Wcześniej zresztą przeczytał, że Moussa był wychowywany tylko przez matkę.

Mężczyzna w garniturze patrzył na nich z potępieniem, poruszając nozdrzami, jakby wyczuł jakiś brzydki zapach. Nie wyglądał na wstrząśniętego, raczej okazywał okolicznościowy smutek. Adwokat, pomyślał Servaz. Po co przyszedł? Żeby się upewnić, że policja dobrze wykonuje swoją robotę?

– Proszę przyjąć kondolencje – zaczął Martin. – Czy mógłbym się dowiedzieć, kto państwa zawiadomił?

Z prawej strony, na granicy jego pola widzenia rozległ się chropawy kobiecy głos okraszony ochrypłym kaszlem palaczki:

– Ja, komendancie.

Esther Kopelman. Pięćdziesiąt trzy lata. Reporterka „La Garonne”. Wiele razy spotykał ją na swojej drodze. Miała wszystko, czego potrzeba dobrej dziennikarce: była zadziorna, nieustępliwa, wścibska, nie zadowalała się informacjami z drugiej ręki. Często docinała kolegom, którzy przekręcali nazwiska, kaleczyli składnię albo mylili plotki z faktami.

Niezależna pracoholiczka miała też swoje wady: z równą radością dobierała się do tajemnicy śledztwa, co do domniemania niewinności, gdy już uzyskano przekonanie o czyjejś winie.

Z zewnątrz: metr pięćdziesiąt dwa bez obcasów, kręcone włosy ufarbowane na brąz przypominający kolor pasty do butów, nadużywająca szminki i kredki do brwi.

– Dzień dobry, Esther – powitał ją Servaz.

– Cześć, Martin.

– Kto pani powiedział? – zapytał.

Zaniosła się kaszlem.

– Serio? Chyba pan nie myśli, że odpowiem na to pytanie?

W odróżnieniu od pozostałej trójki miała na twarzy maseczkę. Opuściła ją jednak i popijała kawę z filiżanki, którą trzymała za uszko. Drugą ręką podtrzymywała porcelanowy spodek. Servaz był gotów się założyć, że im nikt nie zaproponuje kawy.

– Co się stało Moussie? – zapytał mężczyzna w garniturze, nie bawiąc się w ceregiele. – Czy to prawda, że, jak mówi pani Kopelman, polowano na niego w lesie, a potem wpadł pod samochód?

Servaz zamrugał zaskoczony. Z wahaniem zerknął na matkę.

– A kto pyta?

– Mecenas Fonbelle. – Adwokat zmierzył Servaza wzrokiem, poprawiając krawat. – Bronię interesów rodziny.

Servaz popatrzył na niego, po czym znowu spojrział na matkę. Jej pełne łez oczy na chwilę zatrzymały się na Samirze; widok policjantki jakby ją zmieszał. Martin dał Samirze znak, a ta opisała wypadek i pościg po lesie. Pominęła fakt,

że Moussa miał wypalone na piersi słowo „sprawiedliwość”, że obudził się na stole sekcyjnym oraz że włożono mu na głowę łeb jelenia.

Servaz obserwował reakcję pani Sarr. Jej ból był ogromny jak ocean. Obraz syna biegnącego przez las, ściganego niczym dzikie zwierzę, będzie ją prześladował do ostatnich dni. Moussa już nigdy nie przestanie dla niej biec. Tak właśnie działa żałoba. To jeden z najtrudniejszych momentów w tym zawodzie. Bycie zwiastunem złej nowiny. Tym, który kładzie kres nadziei i radości.

Samira złożyła kondolencje matce i bratu. Odwróciła się, by popatrzeć na starszego Sarra. Ten rzucił jej spojrzenie wyrażające absolutną pogardę, niemal fizyczną odrazę, najczystszej wody klasową nienawiść. Chodziło nie tylko o to, że była Arabką i policjantką, lecz o to, że była Arabką, policjantką i kobietą. Z tego tytułu dla Chérifa Sarra zasługiwała na podwójną pogardę. Nie spuściła wzroku. Servaz dostrzegł w oczach mężczyzny wściekłość, która w każdej chwili groziła eksplozją.

– Macie podejrzanego? – zapytał adwokat.

– Dopiero zaczynamy, mecenasie.

– Czy to prawda, że na klatce piersiowej miał napis „sprawiedliwość”? – wtrącił pełnym furii głosem Chérif Sarr.

Servaz się spiął. Matka znowu zalała się łzami. Adwokat zrobił krok w jej stronę, ale Chérif szybko przeszedł przez pokój, odsunął prawnika i wziął kobietę w ramiona. Nie wypuszczając jej z objęć, odwrócił się do nich. Jego oczy miały płomienie.

– To musiały zrobić psy – rzucił. – Wszyscy wiedzą, że policja to rasiści. To przez was mój biedny brat o mało nie zgnił w więzieniu, chociaż był niewinny!

– Zabiliście go! To policja zabiła mojego syna! – zawołała nagle matka. – Zabójcy, mordercy!

Servaz milczał. Zamurowało go, jakby dostał w twarz. Nawet jeśli rozumiał ten gniew. Podobnie jak wielu jego kolegów sam czuł złość za każdym razem, gdy stróże prawa potwierdzali swoim zachowaniem strukturalnie rasistowski wizerunek policji, hańbiąc w ten sposób cały zawód.

– To pani sprzedała mu tę informację? – zapytał dziennikarkę.

Esther Kopelman nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego z nieprzeniknioną miną. Zwrócił się więc do matki:

– Chciałbym z panią porozmawiać na osobności. Z Chérifem również – powiedział, wskazując podbródkiem na adwokata i dziennikarkę.

– Nie ma mowy, ja zostaję – uciął papuga.

Servaz powstrzymał westchnienie. Matka Moussy Sarra odwróciła się w stronę Esther Kopelman. Kobieta skinęła głową i odstawiła filiżankę na stolik w kącie salonu.

– Pani Sarr, jeszcze raz składam pani wyrazy współczucia. Mówię szczerze, naprawdę bardzo mi przykro. Chérif, niech pan dba o matkę – powiedziała i ruszyła ku drzwiom, gestem żegnając Servaza.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni? – zapytał.

Matka rzuciła mu nieufne, wrogie spojrzenie. Zawahała się.

– W piątek... Albo w czwartek. W czwartek – odpowiedziała.

Siedzieli na sofach i fotelach w salonie.

– A kiedy ostatni raz do pani dzwonił?

– Nie pamiętam. W zeszłym tygodniu. Nie kontaktował się często.

– Czy dzwonił w ten weekend?

Wytarła oczy chusteczką.

– Nie.

– Więc od czwartku nie miała pani od niego żadnych wieści?

Matka zmieniła pozycję na sofie i skinęła głową.

– Nie zaniepokoiło to pani?

– Moussa był pełnoletni – odpowiedział za nią Chérif, który siedział w fotelu po prawej stronie Servaza. – Nie zawsze tu nocował. Pojawiał się i znikał. Nie było w tym nic niezwykłego.

– A gdzie nocował, kiedy nie spał tutaj? – zapytała łagodnie Samira.

Chérif nawet na nią nie spojrzał.

– U kumpli, u dziewczyn... W sumie to nie wiem. Powtarzam: Moussa był wystarczająco dorosły, żeby sam o siebie zadbać – odparł, patrząc na Servaza.

– A jednak był pan jego kuratorem – zauważył policjant.

Chérif westchnął. Jego opór był wyczuwalny.

– Sędzia mnie wyznaczył. To jest właśnie ten śmieszny wymiar sprawiedliwości z jego debilnymi zasadami. Ciekawe, jak oni wpadają na takie pomysły.

– A czy pamięta pan, kiedy ostatni raz pan z nim rozmawiał?

Chérif znowu spiorunował go wzrokiem.

– Po co te wszystkie pytania? Mówiłem już: niech pan raczej szuka wśród swoich. To wy go zabilicie – powtórzył. – Wy albo ktoś z waszych kolegów. A teraz udajecie, że prowadzicie śledztwo. Ale ja wiem, że to tylko dla picu,

żebyście mogli powiedzieć: Przecież przeprowadziliśmy śledztwo. Wiem, że sprawa zostanie szybko zamknięta.

– Niech pan odpowie.

Chérif się zawahał.

– W czwartek wieczorem. Zadzwoił, żeby powiedzieć, że nie wróci, że będzie nocował u kumpli. Są wakacje, nie miał lekcji.

– Miał wrogów?

Chérif zmrużył oczy.

– Kurwa, ile razy mam powtarzać? To wy, psy. Zrobiły to pierdolone psy.

Nie zareagowali na obelgę.

– A poza nami?

– A co pan sądzi o rodzinie tej dziewczyny, która oskarżyła go o gwałt? – rzucił zimno mężczyzna.

Niegłupie, pomyślał Servaz.

– Kiedy będziemy mogli odebrać ciało? – zapytała matka. – Powinien zostać pochowany.

– Wkrótce – wykręcił się Servaz.

Wstał.

– Obejrzymy jego pokój, jeśli pani pozwoli. Kto tam wchodził od czwartku?

– Ja, żeby zabrać jego pościel i posprzątać – odpowiedziała matka słabym głosem.

Rozplakała się. Chérif usiadł przy niej.

Ściany pokrywały plakaty przedstawiające raperów o muskularnych torsach, obwieszonych złotymi łańcuchami niczym antyczni półbogowie w bejsbolówkach na głowach, afisze z koncertów, zdjęcia połyskujących samochodów sportowych o ogromnej mocy, o które opierały się dziewczyny w bikini.

Cały arsenał pragnień i braków, chimeryczny wszechświat, sztuczna rzeczywistość maskująca prawdę: świat betonu, frustracji, obrzeża miasta położone daleko od centrum, na które zsyła się młodych pokroju Moussy, z nadzieją, że ich wściekłość nie dotrze do pięknych dzielnic. Ale choćby między piękne dzielnice i przedmieścia wstawiono nie wiadomo ile obwodnic, rokad czy pasów ziemi niczyjej, rzeka gniewu i tak w końcu wystąpi z koryta. Kiedy człowiek czuje się zepchnięty na margines, odrzucony, zdewaluowany, z pokolenia na pokolenie obarczany winą, jak miałyby nie nosić w sobie nienawiści i pragnienia zemsty?

Servaz i Samira włożyli niebieskie nitrylowe rękawiczki. Podnieśli poduszkę i materac, na klęczkach zajrzeli pod łóżko, otwierali szuflady niewielkiego biurka, szafę, przeglądali półki.

Samira stanęła przed plakatem *Grand Theft Auto 5*.

– Zastanawiam się, jakie jest prawdopodobieństwo, że dzieciak, który od najmłodszych lat gra w megaprzemocowe gry wideo, gdzie punkty zdobywa się za zabijanie, pobicia i gwałty, słucha raperów udających, że są gangsterami, i chwalcących się czymś, czego nie zrobili, dzieciak, który wie aż za dobrze, że nie ma przed sobą żadnej przyszłości i że o wiele łatwiej zarobić w narkobiznesie niż w normalnej pracy, którą zresztą będzie mu trudniej zdobyć niż jego rówieśnikom wychowanym gdzie indziej, jakie jest prawdopodobieństwo, że taki dzieciak zejdzie na złą drogę, a jakie, że na dobrą?

Dobre pytanie, pomyślał Servaz.

– Żeby nie było: lubię rap i gry wideo – zastrzegła, kontynuując przeszukiwanie.
– Istnieje rap z treścią, dziewczyny i chłopaki z cholernym talentem. I nie jestem aż taką idiotką, żeby sądzić, że granie w takie gry wystarczy, żeby zrobić z człowieka psychopatę. – Przejrzała jedną z szuflad, pokazała Servazowi trzy pendrive’y i dysk zewnętrzny, a następnie włożyła wszystko do zabezpieczonej torebki na dowody elektroniczne, którą wyjęła z kieszeni. – Tak czy inaczej, do pierdła powinny trafiać nie dzieci, lecz ci fałszywi gangsterzy, którzy zgrywają ważniaków, żeby sprzedać swoją muzykę, bufony, które robią im wodę z mózgu.
– Jej głos drżał z wściekłości.

– Skupmy się – zasugerował Martin.

– Taaa.... Konsolę też zabieramy?

Przerwał, by rzucić okiem na konsolę PS4 leżącą na blacie biurka.

– Tak. Mogą tam być dane ściągnięte z sieci, jakieś pliki albo kontakty.

Samira wsunęła urządzenie do dużej, prostokątnej torebki. Włączyła laptop. Żądanie hasła. Wyłączyła go, zamknęła i umieściła w kolejnej szarej torebce pełniące funkcję klatki Faradaya.

– Popatrz – powiedziała.

Miała w dłoni jakąś książkę w wydaniu kieszonkowym. Koran. Otworzyła, przekartkowała. W środku było mnóstwo notatek. Na stronie tytułowej widniał wykonany piórem odręczny podpis: Chérif Sarr.

Servaz zerknął na zegarek. 9.30. Wyjrzał przez okno. Czas się zbierać.

– Będę panią osobiście informował o postępach śledztwa. Pominę tylko to, co mogłoby zaszkodzić dalszemu postępowaniu – obiecał matce. – Może pani

przyjechać na komisariat, kiedy pani zechce. Proszę o mnie zapytać, zejść do pani.

Podał jej wizytówkę. Podziękowała mu, ledwie poruszając ustami. Chérif Sarr przyglądał im się z kąta salonu.

Niebo nad blokami całkowicie zasnuły stalowoszare chmury, od których okolica wyglądała jak obsypana popiołem, pozbawiona tej odrobiny wesołości, którą słońce wlewa nawet w najbardziej ponure zakamarki.

Ruszyli do zaparkowanego kawałek dalej clio. Esther Kopelman stała pod pobliskim drzewem i paliła papierosa. W maseczce pod brodą, zmrużywszy oczy, patrzyła na nich zza chmury nikotynowego dymu.

– Nic pan dla mnie nie ma?

Samira otworzyła samochód, nawet nie patrząc w jej stronę.

– Nie na tym etapie – odpowiedział. – Chyba, że powie mi pani, kto sypnął.

– Przykro mi, komendancie. Mam swoją etykę.

– Pierwsze słyszę.

– Nie powinniście się włóczyć po okolicy – rzuciła, zerkając ostrożnie w stronę zewnętrznych galerii. – Zrobił się ruch. Chyba was zauważyli.

– A pani? Nie boi się pani spacerować sama po osiedlu?

– Raczej nie wymachuję tu legitymacją prasową. Zresztą kto by się interesował zbyt mocno wytapetowaną kobietą w dojrzałym wieku, która kopci jak parowóz?

Zaśmiał się.

– No, Martin, niech mi pan rzuci jakiś ochłapek. Tekst będzie obiektywny, ma pan moje słowo.

Servaz westchnął i obszedł samochód.

– Byłoby fajnie, gdybyśmy ciągle nie trafiali na te same osoby – stwierdził.

– W tej dzielnicy mieszkają dzielni ludzie, którym należałoby pomóc – odparowała Esther Kopelman. – Wszyscy ich porzucili.

– Do zobaczenia, Esther – powiedział, otwierając drzwi.

– Hej, naprawdę nie chce pan wiedzieć, z kim chłopak był ostatnio widziany?

Servaz zamarł.

– A co to za historia?

– Coś za coś, komendancie.

Popatrzyła w stronę budynków.

– Uwaga! – zawołała nagle.

Servaz podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Odskoczył do tyłu. Przednia szyba clio pękła z hukiem od uderzenia kuli do pétanque rzuconej z któregoś

z pięter. Przy takiej prędkości mogła roztrzaskać mu czaszkę.

– Kurwa! – ryknęła wściekła Samira.

Po chwili usłyszeli dźwięk miażdżonej blachy: to druga kula uderzyła w dach, żłobiąc w nim mały krater. Z zewnętrznych korytarzy dobiegały krzyki. Zobaczyli, jak z dalej położonych budynków wybiegają jacyś ludzie. Żaden z nich nie miał maseczki, po ich otwartych ustach można było poznać, że krzyczą. Ruszyli w stronę samochodu.

– Musimy spadać! – rzuciła Samira.

Servaz odwrócił się nagle w stronę dziennikarki.

– Chłopak miał na głowie łeb jelenia – powiedział.

– Jaki łeb?

– Jelenia! Skórzany, zapinany na zamek! A pani informacja?

Esther Kopelman zrobiła wielkie oczy. Przez chwilę wyglądała na naprawdę zbitą z tropu. Nagle na jezdni w odległości niecałych czterech metrów od samochodu Samiry pośród ogłuszającego łomotu roztrzaskała się pralka automatyczna. W ślad za nią posypały się inne przedmioty. Śruby, butelki, kamienie. Jeden z nich przeleciał tuż obok twarzy Servaza, tak że ledwie się uchylił.

– Musimy jechać! – wrzasnęła Samira.

Nie mógł w tej chwili nie pomyśleć o tym, co zdarzyło się trzy tygodnie wcześniej w Herblay, w regionie paryskim: dwaj policjanci siłą wyciągnięci z samochodu, pobici, zmasakrowani, wgniecenie czaszki, rozcięta tętnica udowa, a potem sześć kulek z ich własnej broni w podbrzusze i kolana. 18 lipca w Lyonie młody żandarm wleczony ponad osiemset metrów za samochodem, a potem zabity. Gdy sytuacja stawała się napięta, każdy francuski glina miał przed oczami te obrazy. Dzienniki telewizyjne poświęcały takim informacjom jakieś trzy minuty i o ofiarach bardzo szybko zapominano. W przeciwieństwie do innych ofiar. Servaz żałował, że akty tak straszliwego okrucieństwa wzbudzały mniejsze zainteresowanie i potępienie w prasie, u niektórych polityków i celebrytów oraz na portalach społecznościowych niż przypadki funkcjonariuszy przemocowców i funkcjonariuszy rasistów, za których tak bardzo się wstydził, że osobiście wysłałby ich za kratki. Żałował, że oburzenie i nienawiść kierują się pewną hierarchią, ale wiedział, że tak to już jest. W filmach i literaturze policjant od zawsze był wrogiem klasowym, zbrojnym ramieniem państwa, symbolem represji. I rzeczywiście przez wieki tak było, a w niektórych sytuacjach wciąż jest.

Esther Kopelman ostrożnie odsunęła się od drzewa. Samira przekręciła kluczyk w stacyjce, szybko włączyła wsteczny bieg i przechyliła się w stronę Servaza.

– Martin, no już, wsiadaj!

Erik Lang, pisarz podejrzany o kilka morderstw, powiedział mu któregoś dnia: „Ma pan parazyty zawód”. Servaz pamiętał też obejrzany w jakimś kinie studyjnym film *Zegarmistrz od świętego Pawła*, gdzie jedna z postaci mówi: „Dajcie robotnikowi pozwolenie na broń i rewolwer, a zostanie gliną”. Wiedział również, że zarówno solidarność, jak i współczucie nie przekraczają granic klanu, grupy, bractwa, rodziny duchowej. Rzadko sięgają dalej. A właściwie nigdy...

Przez rozbitą przednią szybę do wnętrza samochodu wpadła kostka brukowa, która wylądowała na tylnej kanapie. Dziennikarka z zadziwiająco zimną krwią oddalała się tymczasem w stronę swojego auta, jakby nie miała z tym wszystkim nic wspólnego.

– Moussa Sarr był widziany kilka razy w towarzystwie mężczyzny, który nie był stąd – rzuciła na odchodne. – Gość był nadziany. I biały.

26 października, noc z poniedziałku na wtorek. Ariane nasłuchuje w ciszy. Czuje strach. Wciąż tak samo przemożny, tak samo silny. Nie może powstrzymać szalonego bicia serca.

W domu nie słyhać żadnych odgłosów, które usprawiedliwiałyby te nocne lęki, ale czy cisza nie jest bardziej niepokojąca niż hałas? Dla Ariane wszystko stało się przerażające. Na przykład męski głos za drzwiami. Albo czyjeś kroki na ulicy. Na uczelni jeden z przyjaciół mówił jej o arabskim słowie *nakba*, które oznacza „katastrofę” lub „kataklizm”. Powiedział, że historycznie odnosi się ono do ucieczki siedmiuset tysięcy Palestyńczyków wygnanych ze swojej ziemi po wojnach z Izraelem w 1948 roku. Zapamiętała sobie to słowo. *Nakba*. Ona też przeżyła swoją *nakbę*... Osobisty kataklizm.

Nagle pomyślała, że chciałaby, żeby już było rano. Poranek był brzegiem, do którego musiała dopłynąć, ilekroć zapadał zmierzch. Każdego dnia. Jak wyczerpany pływak. Ale wcześniej trzeba było przebrnąć przez noc. A wraz z nocą powracało wspomnienie ich krzyków, śmiechów, ich obmacujących ją dłoni, ich gorących oddechów na jej twarzy...

Poczuła, że po policzku płynie jej łza. Chciało jej się wymiotować. Ale wiedziała, że to strach. W tym pokoju na końcu korytarza nagle poczuła się taka krucha. Jako dziecko często miała koszmary. Kiedy była nastolatką, przeczytała gdzieś, że w japońskim folklorze istnieje stwór o nazwie baku, który karmi się snami i koszmarami. Uwielbiała wszystko, co miało związek z japońską kulturą. Mangi, anime. Do zeszłego roku nie wiedziała, że baku naprawdę istnieją i żywią się koszmarami innych, które sami tworzą.

Wstała. Wyszła z pokoju. Przeszła przez korytarz i uchyliła drzwi na jego drugim końcu. Rodzice spali głęboko, nie usłyszeli skrzypnięcia. Oddychali tak spokojnie. Leżeli w dużym łóżku, w rozkopanej pościeli, w odległości dobrego metra od siebie – ojciec na plecach, matka na boku, bezbronni jak antylopy na sawannie.

Światło księżycy wpadało przez prześwit między zasłonami, oświetlając ich blade twarze. Blade jak u zmarłych. Ariane na chwilę ujrzała oczami wyobraźni, jak leżą w ustawionych obok siebie trumnach i jej ciało pokryło się gęsią skórą.

Na myśl o tym, co by było, gdyby jej mama i tata umarli, zrobiło jej się słabo. Kto by ją wtedy chronił? Co by się z nią stało w tym wielkim, pustym domu, wydaną na łup krążących wokół drapieżników? Bestii, które polują na niewinność takich jak ona.

Stąpając na palcach, podeszła do fotela stojącego w kącie niedaleko okna. Skuliła się, zwinęła w kłębek, chwyciła koc i owinęła się nim szczelnie aż po podbródek. Spojrzała na nieruchome twarze rodziców. Zamknęła oczy. Jej oddech pogłębił się i zwolnił. Chwilę później zasnęła.

Przebudziły ją czyjeś głosy. Natychmiast poczuła lęk. Wciąż siedziała w fotelu. Ani tata, ani mama jej nie obudzili. Od czasu Nakby wiele razy zastawali ją śpiącą w ten sposób. Spojrzała na zegar w stylu dyrektoriatu stojący na kominku z kararyjskiego marmuru.

Była prawie jedenasta. Pamiętała, że około czwartej wyszła z pokoju. Przespała w tym fotelu siedem godzin bez przerwy. Wstała z trudem. Poczowała mrowienie w ścierpniętych mięśniach. Wytężyła słuch. Na parterze toczyła się jakaś rozmowa. Rozpoznała głos ojca i jej puls się uspokoił. Choć nie rozróżniała słów, zorientowała się, że chodzi o przyjazną wymianę zdań, bez gróźb i wyzwisk. Boso wyszła z pokoju i zbliżyła się do połączanej poręczy schodów. Teraz słyszała wyraźniej:

- Tylko jeden z tych barbarzyńców został skazany – mówił właśnie jej ojciec.
- Moussa Sarr – odparł nieznajomy męski głos.
- Właśnie. Ale ta sędzina go zwolniła... Przez błąd w procedurze. Wyobraża pan sobie? Po całym tym piekle, które przeszła przez niego moja córka!
- Moussa Sarr nie żyje – powiedział tamten.
- Jak to?

Jej twarz momentalnie zrosił lodowaty pot. Serce podskoczyło jej do gardła, jakby zaraz miała je wypluć. Pobiegła do swojego pokoju, zatrzasnęła drzwi, rzuciła się na łóżko, zakopała się pod kołdrą, narzutą i wszystkimi dostępnymi poduszkami. Zwinięta w kłębek w norze z pościeli, odcięta od zewnętrznego świata, zaczekała, aż dudnienie w tętnicy szyjnej się uspokoi, a strach powoli ją opuści.

– Wczoraj w nocy jacyś ludzie... polowali na niego w lesie na terenie Ariège. Podczas ucieczki chłopak wpadł pod samochód.

– Polowali? – powtórzył Clovis Hambrelot, wytrzeszczając oczy. – Jacy ludzie?

Servaz spojrzał na niego.

– Staramy się to ustalić. To dopiero początek śledztwa. Panie Hambrelot, czy pan ma jakiś pomysł, kto to mógł być?

Ojciec Ariane zerknął z ukosa na Samirę i odchrząknął.

– Nie... Ale oczywiście nie zamierzam płakać z powodu śmierci tego młodzieńca.

– Panie Hambrelot, czy pan jest zwolennikiem kary śmierci?

– A cóż to za pytanie?

– Niech pan odpowie.

– Nie. Jestem przeciw. Chciałem tylko, żeby ten śmieć i jego kumple trafili na wiele lat do więzienia. Zamiast tego wyfrunął na wolność, a jego adwokaci zajęli się szkalowaniem mojej córki.

Clovis Hugues Hambrelot był założycielem i dyrektorem C2H Aviation, podwykonawcy Airbusa. A co za tym idzie – by użyć drogiego ekonomistom eufemizmu – obecnie miał problemy. Odkąd większość samolotów została uziemiona, a po lotniskach hulał wiatr, portfel zamówień Airbusa był pusty jak pustynia Gobi. Firma C2H Aviation produkowała części zamienne do samolotów i przemysł lotniczy stanowił osiemdziesiąt procent jej odbiorców. W halach fabryki w Blagnac pracowało ledwie pięć na trzydzieści maszyn, na regałach piętrzyły się części zamienne, a trzy czwarte pracowników było na postojowym. Jak w przypadku setek podwykonawców Airbusa w regionie kryzys położył brutalny kres dziesięcioletniemu boomowi, choć jeszcze przed sześcioma miesiącami firma ugięła się pod ciężarem zamówień.

– Rozmawiał pan z kimś o tym, co spotkało pana córkę?

Ojciec Ariane skinął głową. Miał na sobie sweter i dzinsy – wszystko markowe. Stał boso na dywanie Keszan, który też musiał swoje kosztować. Servaz oceniał mężczyznę na jakieś czterdzieści lat.

– Oczywiście – powiedział.

– Z kim?

– Z moimi prawnikami, z policjantami, którzy prowadzili śledztwo, z przyjaciółmi, z dziennikarzami.

Nagle Servazowi przypomniały się słowa Esther Kopelman: „Moussa Sarr był widziany kilka razy w towarzystwie mężczyzny, który nie był stąd. Gość był nadziany. I biały”.

– Czy kiedykolwiek spotkał się pan z Moussą Sarrem poza sądem? – zapytał.

– Czy był pan w jego dzielnicy?

– Co? Nie!

– Jest pan myśliwym? – wtrąciła się Samira.

– Co?

– Dobrze pan słyszał.

– Nie.

– Panie Hambrelot, czy możemy porozmawiać z pańską córką? – spytał Servaz.

– Jest jeszcze w kiepskiej formie, choć minął już ponad rok. Co tydzień chodzi do psychologa i psychiatry. Ona...

– To ważne.

Miała dziewiętnaście lat. Była dyskretnej urody. Regularne, ale niezbyt wyraziste rysy, jasna karnacja, grube kasztanowe włosy upięte w luźny węzeł i ogromne, jasne, pełne trwogi oczy. Narzuciła koc na ramiona, była jeszcze w piżamie.

Samira pomyślała, że nie jest to typ dziewczyny, która od razu rzuca się w oczy – wzbudzi raczej zainteresowanie zdolnego, nieśmiałego studenta literatury czy matematyki. Taki pomyśli, że może miałby u niej jakieś szanse.

Bardzo szybko okazało się jednak, że u Ariane Hambrelot nikt od dawna nie miał szans. Że cały świat stał się w jej oczach miejscem okrutnym, wrogim, pełnym niebezpieczeństw, pułapek i drapieżców. Samo poruszanie się po nim było dla niej torturą i nieustannym źródłem lęku.

Nie mieli najmniejszego zamiaru przypominać jej o gwałcie. Wszystkie informacje – łącznie z jej zeznaniami zebranymi przez wykwalifikowaną do takich celów policjantkę – znajdowały się w aktach. Teraz chcieli się tylko dowiedzieć, czy Moussa Sarr próbował się z nią kontaktować po wyjściu na wolność.

Była bardzo blada. Siedziała w głowach łóżka, przyciskając do brzucha poduszkę. Jej policzki były mokre od łez i Servaz bał się, że dziewczyna znowu się rozplacze. Zaprzeczyła ruchem głowy. Odpowiedziała, nie patrząc na nich, utkwivszy oczy w jeden punkt pokoju, ale jej głos brzmiał stanowczo.

– Nie – powiedziała. – Zresztą pozamykałam wszystkie konta: Snapchat, TikTok, Instagram...

– I nie dzwonił do ciebie? – zapytała cicho Samira, która przysiadła na krawędzi łóżka.

Servaz stał w pewnej odległości, niedaleko drzwi.

– Nie. Po raz ostatni słyszałam go... w sądzie – głos dziewczyny zmienił się teraz w słaby jak jedwabna nitka szept, który z trudem wypłynął z głębi jej gardła wraz z wydychanym powietrzem.

– Dziękuję – powiedziała policjantka, wstając.

Nie wiedzieli, że gdy wychodzili, wpatrywała się w ich plecy, a następnie, kiedy znaleźli się na zewnątrz – w zamknięte drzwi.

Trzy minuty później wyszli z fin de siècle'owej rezydencji o porośniętej bluszczem fasadzie. Gdy znaleźli się u podnóża schodów ganku, zobaczyli okrągłą fontannę zwieńczoną rzeźbą fauna. Servaz zauważył – niefortunne, zważywszy na okoliczności – podobieństwo tej postaci do satyra. Dalej, za fontanną i biegnącą wokół niej zwirowaną ścieżką znajdował się sad otoczony wysokimi topolami.

Ich samochód służbowy stał za szarym kabrioletem Porsche 718 Boxster. Po prawej ogrodnik na czerwonym traktorku przycinał trawniki. Kryzys sanitarny może i rzucił C2H Aviation na kolana, ale wciąż dbano o posiadłość.

– Tu jest jakby luksusowo – stwierdziła Samira.

Ruszyli po żwirku, który chrząścił im pod butami.

– Na Mousse polowali jacyś drapieżcy – dodała. – Ale Ariane Hambrelot również padła ofiarą drapieżników. Wspólnym mianownikiem jest polowanie.

Skinął głową. Była piękna, słoneczna pogoda. Wokół nich pejzaż rodem z płócien Watteau czy Fragonarda. Niektórych ciemności nie rozproszy żadne słońce, pomyślał. Znow wróciły do niego te straszne obrazy: chłopak z głową jelenia biegnący nocą przez las, niewinna dziewczyna, która krzyczy, błaga i płacze, wydana na łaskę drapieżców, uzbrojeni w kusze dorośli podnieceni wezwaniem do polowania jak sfera psów. Mroczne rytuały przodków, żądza zemsty w stwardniałych sercach.

– To dopiero początek – powiedział.

Wczesnym popołudniem tego samego dnia w biurze dowódcy.

– Dlaczego pojechaliście tam sami? Dlaczego nie wezwaliście posiłków?

Rezultat: o jeden samochód więcej w warsztacie.

– To był mój prywatny wóz, szefie – zauważyła Samira.

– Czemu wzięła pani prywatny samochód? – zapytał, marszcząc grube, czarne brwi.

– Bo od dawna nikt nie uznał za stosowne, żeby zmienić tablice w naszych autach i pojawianie się w nich jest jak stawanie do walki z podniesioną przyłbicą – odparowała. – Wie pan, jak to wygląda.

Chambrillac spochmurniał. Nie lubił, kiedy podwładni mu się stawiali.

– A jak było u rodziny? – zapytał. – Nie mieli pretensji?

– Pretensji? – powtórzyła Samira. – Oskarżyli nas, że to my go zabiliśmy!

Chabrillac zbladł. Pewnie pomyślał, że jeśli sprawa zostanie nagłośniona i ludzie oskarżą policję, nikt poza kilkoma komentatorami telewizyjnymi, którzy za bardzo umiłowali prawo i porządek, nie weźmie ich w obronę.

– Na miejscu zastaliśmy też dziennikarkę, Esther Kopelman z „La Garonne” – dodał Servaz. – Ciekawska. Ktoś jej sypnął.

– Jak to?

– Wiedziała o napisie na klatce piersiowej chłopaka – powiedziała Samira. – Informacja wyciekła. Ktoś od nas albo któryś z medyków.

Przez surową twarz dowódcy przemknął cień niezadowolenia.

– Czyli to trafi do gazety... Cholera! Będziemy musieli zwołać konferencję prasową. Komendancie, liczę, że dostarczy mi pan konkretów. Solidnych informacji.

Servaz się skrzywił. Jasne, jakby nie miał nic innego do roboty. Wciąż pamiętał, co mówiła dziennikarka o tamtym białym mężczyźnie, z którym spotykał się Moussa.

Po południu z Samirą i Raphaëlem pojechali do liceum imienia Jeana Mermoza, jednej z trzech szkół średnich w Mirail. Matka Moussy wyjaśniła im, że po

zwolnieniu z więzienia jej syn na polecenie Chérifa wrócił do pierwszej klasy o profilu ekonomiczno-społecznym.

Przywitał ich dyrektor placówki. Wygadany, drobny, łysy mężczyzna okazał wielkie poruszenie z powodu śmierci Moussy, choć przyznał, że chłopak bynajmniej nie był wzorowym licealistą. Przeszli przez puste podwórko. Od siedemnastego uczniowie i kadra pedagogiczna mieli ferie. W gabinecie dyrektora Servaz powtórzył prośbę, którą zgłosił wcześniej przez telefon: chciał się spotkać z nauczycielami chłopaka.

– Trójka profesorów zgodziła się przyjść. Niedługo powinni dotrzeć. Reszta wyjechała na groby swoich zmarłych albo jest nieosiągalna.

Servaz tylko skinął głową. Miał ochotę zwrócić dyrektorowi uwagę, że oni też są tu w sprawie zmarłego. Zmarłego ucznia.

– Ma pan ich numery?

– Oczywiście.

Na biurku zadzwonił telefon.

– Przyjechali, chodźmy – powiedział mężczyzna, odłożywszy słuchawkę.

Wstał i zaprowadził ich do pokoju nauczycielskiego, gdzie przyjęto ich zdecydowanie chłodniej. Przez kilka sekund troje nauczycieli wpatrywało się w policjantów w milczeniu z wrogością, z jaką patrzy się na żołnierzy okupanta.

Poprosili o możliwość rozmowy z każdym z osobna. Nie padła żadna odpowiedź, co Servaz postanowił uznać za zgodę. Przydzielono im niewielki gabinet obok pokoju nauczycielskiego.

Pierwszy nauczyciel mówił przez zaciśnięte zęby, co dało się słyszeć mimo maseczki. Servaz poczuł narastający gniew.

– Nie rozumiem – powiedział mężczyzna, obrzucając ich surowym spojrzeniem. – Sądziłem, że Moussa jest ofiarą, a wy mówicie o nim jak o podejrzanym.

Jego pogarda dla wszystkiego, co miało związek z instytucją policji, aż biła w oczy.

– Czy zdarzyło się panu spotkać Moussę poza szkołą, na mieście? – zapytał Servaz.

Mężczyzna przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, po czym popatrzył na niego wyniośle i odpowiedział:

– Nie, nigdy. Dlaczego pan pyta?

– Dziękuję – odparł policjant.

Nauczyciel westchnął.

– To wszystko?

– Tak.

Wzruszył ramionami i opuścił gabinet. Kobieta, która weszła po nim, okazała się jeszcze mniej chętna do współpracy. Odpowiadała tak lakonicznie, że bardziej już się nie dało, z agresją, która ocierała się o zwykłe chamstwo. Servaz nie potrafił do tego przywyknąć. Dlaczego przedstawiciele niektórych profesji reagowali na jego zawód aż taką alergią? Sam był synem nauczyciela i praca ojca zawsze budziła w nim najwyższy szacunek.

Oświadczyła, że Moussa był przeciętnym uczniem z przeciętnymi ocenami oraz że „nie zachowywał się jakoś szczególnie wzorowo, ale cóż w tym dziwnego, skoro wyrósł w takiej dzielnicy, bez perspektyw, bez nadziei na zmianę, każdego dnia znosząc upokarzające kontrole policji... Ale to wszystko nie czyni go z automatu przestępcą, prawda?”. Te słowa, a do tego oskarżycielskie spojrzenia, jakby to oni byli winni sytuacji Moussy, sprawiły, że Servaz znowu poczuł gniew.

– Co jest z tymi ludźmi? – zapytał Katz, gdy kobieta wyszła z pokoju.

Samira się zaśmiała.

– Witamy w policji.

Jako trzecia weszła Mona Diallo, nauczycielka historii i geografii. Mona miała niespełna trzydzieści lat. Doskonały owal twarzy, bardzo ciemna karnacja, żywe, uważne, pozbawione wrogości spojrzenie zza okularów bez oprawek. Skinęła każdemu z nich na powitanie i usiadła. Wyglądała na bardzo poruszoną.

– Proszę nam opowiedzieć o Moussie – zaczął Servaz, pochylając się w jej stronę nad stolikiem.

– W ostatnim czasie Moussa się bał – oświadczyła od razu.

Martin się wyprostował.

– Bał się? Jak to? Czego się bał?

– Nie wiem.

– Na jakiej podstawie pani tak pomyślała?

– Nie wiem – powtórzyła ze łzami w oczach. – Widziałam to w jego mowie ciała, zachowaniu. W jego oczach: wyglądał na zaszczutego. Nie był taki jak wcześniej. Znam Moussę od dziecka, wychowywał się w mojej dzielnicy. Co za tragedia...

– Hmm... Skoro go pani znała, to może opowie nam pani o nim więcej?

Spojrzała na Servaza, potem na Samirę – oboje siedzieli przy stole naprzeciw niej, a Raphaël Katz stał kawałek dalej przy oknie.

– Moussa miał wiele zalet. Ale stoczył się, jak wielu innych w naszej dzielnicy.

– To znaczy?

Nauczycielka wzruszyła ramionami.

– Na pewno przeglądaliście jego akta, więc nic nowego nie powiem.

– To prawda... Ale nauczyciele, którzy byli tu przed panią, twierdzili, że był normalnym chłopakiem, który nie stwarzał problemów.

Mona Diallo westchnęła.

– To, co wam powiem, nie może wyjść poza ściany tego pokoju, dobrze? – podjęła po chwili wahania. – W razie czego zaprzeczę, że o tym mówiłam.

Servaz wzmógł czujność. Skinął głową.

– W tym liceum, tak jak w innych miejscach, są nauczyciele, którzy bronią wolności wypowiedzi i ze wszystkich sił walczą z ciemnogrodem. Ale wielu moich białych kolegów boi się, żeby nie oskarżono ich o rasizm, dlatego w stosunku do czarnych uczniów konsekwentnie stosują strategię pobłażliwości. Cokolwiek taki uczeń zrobi, nigdy nie jest winny: winne jest społeczeństwo, liberalizm, rasizm, policja.

– A pani jest innego zdania? – przerwała jej Samira, zaskoczona tą przemową. – Nie uważa pani, że gdyby te dzieciaki wychowały się gdzie indziej, nie w tych gettach, z dala od handlu narkotykami, od łatwego zarobku, gdyby miały takie same szanse edukacyjne jak ich rówieśnicy, mniej z nich schodziłoby na złą drogę?

Nauczycielka spojrzała na Samirę.

– Jestem o tym przekonana – odparła niespieszona. – Ale przyczyną, dla której część moich kolegów reaguje w ten sposób, nie jest realizm, tylko ideologia. W imię ideologii, którą przedawkowali już na uniwersytecie, są gotowi usprawiedliwiać najgorsze zbrodnie; przemoc tłumaczą pierwotnym doświadczeniem niesprawiedliwości wynikającej z dorastania w takiej dzielnicy oraz niebycia białym.

– Frantz Fanon – wtrącił Katz.

Kobieta jakby dopiero teraz dostrzegła jego obecność. Skinęła głową.

– Dla wielu moich kolegów nie podlega dyskusji, że Francja jest państwem strukturalnie rasistowskim, a jej dług wobec potomków niewolników czy osób pochodzących z kolonii, czyli takich jak ja, jest nie do zmazania. Nie rozumieją albo nie chcą zrozumieć, że pierwszymi ofiarami aktualnej sytuacji nie jest biała klasa średnia zamieszkująca piękne dzielnice, lecz ludzie stąd, tutejsze dziewczęta i chłopcy. Aby nie narazić się ekstremistom, nieustannie łagodzą własny dyskurs. Ale znacie to zdanie, podobno z Camusa: „Źle nazywać rzeczy...”

– „...to powiększać nieszczęście tego świata” – dokończył Katz.

Diallo popatrzyła jasnowłosemu policjantowi głęboko w oczy:

– Mamy w tym liceum chłopaków, którzy mówią, że homoseksualistów należy palić. Mamy dziewczyny, które mówią o wyższości czarnej rasy. Dwieście metrów stąd jest siłownia z zakazem wstępu dla Żydów i kobiet. Mój brat tam chodził. Opowiadał mi, że kiedy jakaś kobieta chce się zapisać, mówią jej, że na ten rok nie ma już miejsc. W końcu zrezygnował, bo nie mógł znieść tego, co się tam wygadywało w szatniach na temat Żydów. W wielu szkołach za wykładanie niektórych tematów nauczyciele są zastraszeni przez część uczniów i rodziców: takim tematem jest oczywiście Holocaust, ale także teoria ewolucji, powstanie wszechświata, edukacja seksualna, gender...

Servaz skinął głową. Podobnie jak wszyscy był do głębi wstrząśnięty tragedią która dziesięć dni wcześniej spotkała nauczyciela Samuela Paty’ego, a może bardziej tym, że jego egzekucję entuzjastycznie poparły tysiące drani na portalach społecznościowych i niektórzy politycy. Ci ostatni, nie zachowując choćby minimum przyzwoitości, mimo że zwłoki jeszcze nie ostygły, dali dowód skrajnego tchórzostwa i oportunisty, gdy zaczęli sugerować, że być może nauczyciel uraził uczucia niektórych grup.

– Codziennie spotykam rodziców, którzy skapitulowali. Kiedy ich dziecko źle się zachowa, mówią: „Niech je pani ukarze, to pani zadanie”. Ale jeśli nauczyciel jest biały, oskarżają go o rasizm. Kiedy rozmawiam z mężczyzną, czasem słyszę, że kobieta nie będzie mu mówić, jak ma wychowywać swojego syna. Niektórzy nawet odmawiają podania ręki. Moussa mógł być dobrym uczniem, to był inteligentny chłopak – powiedziała.

– Oskarżono go o gwałt.

– Słyszałam o tym. Nie wiem. Wiem tylko, że wplątał się w dilerkę i że od niedawna za pośrednictwem brata miał kontakt z salafitami.

– Chérif jest salafitą?

Skinęła głową.

– Tak. Należę do stowarzyszenia „Przyszłość dla młodych”. Próbuje wyrywać tę młodzież z rąk dilerów i integrystów przez muzykę, sztukę, rozmowy. Uczymy ich odczytywać aktualne zdarzenia inaczej niż w kluczu religijnym, rasowym czy wspólnotowym. Mówimy im, dlaczego filmiki krążące po Internecie niekoniecznie ukazują prawdę. Przekonałam Mousse, żeby do nas przychodził. Ale ostatnio już się nie pojawiał, a ton jego wypowiedzi był coraz bardziej mizoginistyczny i szowinistyczny. Jeśli nie będziemy w stanie dać tej młodzieży niczego poza wegetacją na marginesie, bez prawdziwej przyszłości,

ekstremiści nie przestaną być dla niej atrakcyjni. – Wyglądała na bardzo przybitą. – Sporo moich uczniów wręcz szczyli się tym, że nie są Francuzami. Raz nieszczęśliwie postanowiłam opowiedzieć o tym na radzie pedagogicznej i przyznać się do swojej dumy z powodu bycia Francuzką. Część nauczycieli rzuciła się na mnie, jakbym powiedziała coś strasznego. Jakbym była jakąś neokolonialistką. Jakbym opowiadała się po stronie panujących. Facet, który wykłada filozofię na Uniwersytecie Toulouse-II oświadczył studentom, że, cytuję, „musimy pielęgnować w sobie wrogość do tego, co zniszczyło naszych przodków” i dodał: „Czyli raczej kałasznikow niż łuk”. I taki gość prowadzi zajęcia na uczelni!

– Kilka razy Moussa był widziany w towarzystwie dorosłego mężczyzny spoza dzielnicy. Domyśla się pani, kto to mógł być?

– Nie. Nie mam pojęcia.

– Nie wierzy pani w tę historię z gwałtem, prawda? – naciskała Samira.

Mona Diallo spojrzała na nią i pokręciła głową.

– Moussa nie był święty. Brał udział w różnych przekrętach. Ale ten gwałt... Nie, to do niego niepodobne. Chyba że inni go do tego nakłonili. – Popatrzyła na nich znad okularów: – W każdym razie jedno jest pewne: w ostatnim czasie Moussa się czegoś bał.

O siedemnastej wszedł do sali zebrań, wcześniej przemywszy twarz zimną wodą. Od ilu godzin nie spał? Wszyscy byli wykończeni, ale zupełnie nie było tego po nich widać: w sali panowało wielkie ożywienie. Pracować nad taką sprawą, to jak grać w drużynie narodowej w finale Pucharu Świata. Nikt nie chciał siedzieć na ławce rezerwowych.

– Wszyscy macie dużo pracy, więc postaramy się streszczać – zaczął Servaz.

Zespół jeszcze się powiększył. Funkcjonariusze z wydziału narkotyków, z brygady finansowej, z komisariatu w Mirail. Poinformował ich, że prokurator otworzył postępowanie sądowe. Śledztwo powierzono sędziemu Nogaretowi, który był tego dnia na dyżurze. Na myśl o tym Servaz się skrzywił. Nogaret był znanym karierowiczem, należał do bardzo upolitycznionego związku zawodowego sędziów i nienawidził policji.

– Jutro ta sprawa będzie na pierwszych stronach lokalnych, a nawet ogólnokrajowych gazet. Wszyscy mamy w rękach łakome kąski, na które prasa i kanały informacyjne tylko czekają. Za chwilę w siedzibie sądu odbędzie się zwołana przez prokuratora konferencja prasowa. Za wszelką cenę musimy panować nad przepływem informacji. A to znaczy, że każda z osób siedzących przy tym stole ma uważać na to, co i komu mówi.

Przebiegł wzrokiem po zwróconych ku niemu twarzach. Ile takich zebrań już prowadził? Ile śledztw ma za sobą, ile rozwikłanych tajemnic?

Ścigał jednego z najstraszliwszych seryjnych zabójców, jakich znał ten kraj, studentów morderców i dzieci morderców, upiorne małżeństwo, miłośnika węży, astronautkę zabójczynię. Czasem miał ochotę odpuścić, przekazać pałeczkę komuś innemu. Ale czy potrafi zrobić coś innego?

– Nic nowego wam nie powiem: na tym etapie musimy sprawdzać wiele tropów. Na razie żaden nie jest najbardziej prawdopodobny. Nie wiadomo nawet, gdzie ani kiedy Moussa został porwany. Wiemy jedynie, że rodzina widziała go po raz ostatni w czwartek. I że żadna spośród przesłuchanych osób później go nie spotkała. Trzeba się dowiedzieć, co robił między czwartkiem wieczór a wypadkiem w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Jeden z oficerów policji kryminalnej wystukał coś na klawiaturze laptopa. Za plecami Martina pojawiła się mapa departamentów Haute-Garonne i Ariège, z zaznaczoną dzielnicą Mirail w południowej części Tuluzy oraz małą drogą departamentalną, na której znaleziono Mousse Sarra.

– Oczywiście pozostaje kwestia motywu – mówił dalej Servaz. – Słowo wypalone na klatce piersiowej wydaje się sugerować pewien trop... Jak wiecie, Moussa Sarr miał na swoim koncie czterdzieści włamań, był oskarżony o gwałt i zamieszany w handel środkami odurzającymi. W pierwszej kolejności poproszę więc o głos kolegów z narkotyków.

Gość z brygady narkotykowej wstał. Niewysoki, krępy, w skórzanej kurtce, łyśy, jasnooki. Przypominał policjanta z serialu *The Shield: świat gliniarzy*.

– Rzeczywistość jest taka, że Moussa bynajmniej nie jest wyjątkowym przypadkiem – zaczął. – Po ulicach chodzi mnóstwo chłopaków w jego wieku z dziesiątkami wykroczeń na koncie, siedemnasto-, osiemnastolatków, którzy prowadzą bez prawa jazdy, mimo że byli już skazani za niezatrzymanie się do kontroli drogowej czy nawet za posiadanie broni.

Oficer z kryminalnych znowu postukał w klawiaturę i na ścianie ukazał się podświetlony plan Tuluzy. Zaznaczono na nim dwie dzielnice: Izards i jeszcze raz Grand Mirail.

– Dzięki narkotynom dzielnice żyją. Dzieciaki w wieku dwunastu lat zaczynają pracować jako czujki za piętnaście euro dziennie. Łatwy zarobek. Jako osiemnastolatkowie jeżdżą wynajętymi autami i noszą broń. Dwa lata później zarabiają dwadzieścia tysięcy euro miesięcznie. Nie boją się więzienia: codziennie ryzykują własną skórę w walkach o kontrolę nad terenem.

Funkcjonariusz z brygady narkotykowej miał byczy kark, mięśnie kapturowe napinały skórzaną kurtkę. Musiał godzinami siedzieć na siłowni. Podobno kiedyś na dyskotecę w jakimś klubie poszedł się wysikać i spotkał młodego dilerka, który na oczach wszystkich wciągał kreskę: rozwalił mu twarz o umywalkę, tak że chłopak zalał się krwią.

– Narkotyki to najważniejsza bitwa, ale ją już przegraliśmy: większość ulicznej przemocy ma związek z dilerką, pranie brudnych pieniędzy niszczy prawdziwą gospodarkę, a wielu lokalnych włodarzy woli nie tykać tego podziemia, ponieważ przede wszystkim chcą mieć spokój w mieście, nie przyciągać uwagi mediów. – Wzruszył ramionami. – Porwania to obiegowa waluta, drobni watażkowie nie wahają się porwać swoich wrogów. Ale nie sądzę, żeby w tym przypadku chodziło o wyrównanie rachunków. To polowanie w lesie to coś nowego, coś szczególnego. Nigdy czegoś takiego nie widziałem –

dodał, marszcząc czoło. – Gangsterzy nie bawią się w taką reżyserię: seria z kałacha na parkingu i *adios*. Od czasu do czasu kogoś torturują, ale nie sądzę, żeby chciało im się odstawiać taki numer. Poza tym Moussa się wycofał. Chyba że oszukał nasze radary. – Policjant pochylił się nad laptopem i na ścianie pojawiła się twarz mężczyzny. Twarde spojrzenie, broda przycięta w kwadrat, zaciśnięte usta. Chérif Sarr. – Ale ma brata, Chérifa, który kręci z salafitami. Również były przestępca. Od czasów Mohammeda Merah wiemy, że ekstremizm religijny i handel narkotykami są ze sobą ściśle związane.

Wstała kobieta około trzydziestki. Grube okulary, zapadnięte policzki, suche, matowe włosy. Była wykładowczynią na uniwersytecie Toulouse-I-Capitole, napisała kilka prac na temat socjologii handlu narkotykami we Francji, ale także na temat grup tożsamościowych. Nie po raz pierwszy zapraszali ją w roli konsultantki.

– Gangsterzy, którzy stoją na czele handlu narkotykami w miastach, finansują integrizm. Sprzedaż środków odurzających *kuffar*, czyli niewiernym, uważana jest za *hallał*, dozwoloną, ponieważ finansuje sprawę i osłabia wroga. Młodzi są ulubionym celem integrystów, którzy próbują ich zwerbować, narzucić szariat w dzielnicach i zbudować społeczno-kulturową granicę między nimi a resztą populacji. Salafici infiltrują muzułmańską społeczność Tuluzy. Chérif Sarr figuruje w FSPRT, bazie danych stworzonej w celu zapobiegania radykalizacji o charakterze terrorystycznym. Baza ta liczy dwadzieścia dwa tysiące osób. Stopień ich radykalizacji jest różny. Jeśli jest wysoki, są monitorowane przez MSW. Ale Chérif to nie ten przypadek. I nie figuruje już na liście osób poszukiwanych. Chodzi więc raczej o mniej znaczące sprawy. To prawda, że Chérif uczęszcza do meczetu słynącego z radykalnych kaznodziejów, ale z tego, co nam wiadomo, Moussa w ogóle tam nie bywał.

Servaz pomyślał o Koranie znalezionym w pokoju młodego człowieka.

Kobieta skinęła na operatora laptopa, który wyświetlił zdjęcie głowy jelenia, a potem bełtu w ramieniu Moussy.

– Nie widzę zresztą w tej zbrodni żadnej symboliki religijnej. Oczywiście można uznać, że ma ona pewien wymiar rytualny. W sumie jak wiele polowań. Ale jeśli miałabym jakoś powiązać tę rytualizację ze słowem „sprawiedliwość”, raczej myślałabym o jakiejś grupie przywiązanej do francuskich wartości i tradycji. Polowaniem na jelenie zajmują się w większości ludzie, którzy tęsknią za dawnym porządkiem i tradycją. Przy czym wybrany przez nich cel z pewnością nie był przypadkowy. Musieli mieć informacje na temat Moussy.

– O tym, że został zwolniony, pisali w gazecie – powiedział ktoś z sali.

– Jasne. Ale dlaczego właśnie on, a nie kto inny?

– Doskonałe pytanie – przyznał Servaz. – A jeśli chodzi o rytuał, czy głowa jelenia została zbadana? – dodał, zwracając się dyrektora laboratorium kryminalistycznego.

Mężczyzna skinął głową.

– Tak, zatrudniłem do tego specjalistę od jeleniowatych z Krajowego Zrzeszenia Łowców Zwierzyny Grubej. Nie ma żadnych wątpliwości, że to jelen szlachetny, *Cervus elaphus*. Zachowano głowę i po części rogi, całość wzmocniono od wewnątrz kawałkami skóry, z tyłu wstawiono zamek błyskawiczny, a od dołu doszyto rzemień. To pojedynczy egzemplarz, robota w stu procentach rzemieślnicza. – Szef laboratorium spojrzął na zgromadzonych. – Sześćdziesiąt tysięcy, tyle jeleni szlachetnych zabija się średnio każdego roku we Francji. Sześćdziesiąt tysięcy... Ale nie myślcie, że ich populacja się zmniejsza. Ten specjalista twierdzi, że jelenie zamieszkują obecnie ponad połowę francuskich lasów, podczas gdy trzydzieści lat temu było to poniżej dwudziestu procent. I wbrew temu, co mówią niektórzy, liczba zwierzyny grubej rośnie: nigdy nie było jej aż tyle. Przytaczam te fakty, żeby wam powiedzieć, że ustalenie, gdzie i kiedy został ustrzelony ten konkretny osobnik będzie bardzo skomplikowane, jeśli nie niemożliwe.

Zła wiadomość, pomyślał Servaz. Sądził, że ślad jelenia dokądś ich doprowadzi. Poczul jednak ulgę, że grupa pracuje szybko. To oznaczało, że jest zmotywowana.

– Ale na coś trafiliśmy – dodał szef laboratorium tonem, który ewidentnie miał wzbudzić uwagę zebranych.

Udało się. Ci, którzy szeptali po kątach, umilkli. Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

– Dawaj – powiedział Servaz.

– Być może mamy inne źródło DNA: włos zakleszczony w ząbkach suwaka. Nie należy do ofiary. Nie chcę wam robić nadziei: jak wiecie, badanie DNA włosów często zawodzi, w przeciwieństwie do analizy krwi, spermy, śliny czy nawet kości i zębów. Materiał genetyczny znajduje się w cebulce, łodyga jest martwa. Prawdopodobieństwo uzyskania wyniku wynosi mniej niż dziesięć procent.

– Skąd wiesz, że nie należy do ofiary? – próbował go zgasić Servaz.

Mężczyzna uśmiechnął się pod maską.

– Bo choć jeszcze nie mamy wyników, tymczasowo nadaliśmy jego właścicielowi ksywkę „Rudzielec”.

Wrócił do domu wieczorem, wyczerpany. Konferencja prasowa przebiegła tradycyjnie: minimum informacji o śledztwie i sprawianie wrażenia, że posuwa się ono do przodu. Nie po raz pierwszy spośród ograniczonego ze względów sanitarnych grona dziennikarzy wyróżniła się Esther Kopelman, która podniosła rękę i zapytała:

– Czy pańskim zdaniem przestępstwo miało podłoże rasistowskie?

Brawo. Machina poszła w ruch. Wkrótce to pytanie powróci jak bumerang ze strony organizacji pozarządowych i mieszkańców.

Ucałował Léę, która czytała w salonie. Rzucił okiem na okładkę.

– *Les Impatientes*¹, Djaili Amadou Amal. O czym to jest?

– O przerażającej sytuacji kobiet na terenie Sahelu: o poligamii, przymusowych i aranżowanych małżeństwach, o gwałtach, o przemocy w rodzinie, o patriarchacie...

– Znowu Afryka. W ubiegłym tygodniu czytałaś *L'Enfant peul*².

Uśmiechnęła się do niego. Wrócił do przedpokoju i delikatnie otworzył drzwi do sypialni Gustava. Jego syn spał na boku z kciukiem w ustach i podkulonymi nogami. Rozkopana kołdra leżała obok.

Servaz popatrzył na dziewięcioletniego synka. Jesteśmy tacy krusi, pomyślał. Milion rzeczy może pójść nie tak na milion różnych sposobów. Zdrowie, pokój, zgoda są trudne i zdobywa się je każdego dnia. Przemoc, nienawiść i wojna to ustawienia domyślne.

Na ścianie obok łóżka wisiał dziecięcy rysunek przedstawiający kobietę o długich rudych włosach ubraną w białe fartuch; u dołu widniał podpis „Mama”. Servaz poczuł, że wilgotnieją mu oczy. To nie do końca była prawda: Léa nie była prawdziwą matką Gustava i chłopiec zaczął ją tak nazywać dopiero przed kilkoma miesiącami. Nic dziwnego. Léa Delambre miała rękę do dzieci: była lekarką na oddziale pediatrycznym szpitala Purpan w Tuluzie, specjalistką od gastroenterologii, hepatologii i żywienia. Wkroczyła do życia Martina przed dwoma laty, a Gustav zaledwie rok przed nią³.

Od czasu rozwodu tak długo był sam, że wciąż nie mógł uwierzyć, iż jako pięćdziesięciodwulatek po raz drugi założył rodzinę.

Zamknął drzwi, zawahał się. Powinien wziąć prysznic. Nie, chciał wziąć prysznic. Ale jedna sprawa nie dawała mu spokoju. Wrócił do salonu i zauważył, że Anastasia, opiekunka Gustava, po raz kolejny zostawiła na stoliku swoje słuchawki. Dwa dni wcześniej, zanim zadzwonili do niego w środku nocy, wyszli z Léą na koncert Orchestre national du Capitole, który z powodu godziny policyjnej został przesunięty na osiemną. Ich sąsiad z piętra, a zarazem ojciec rzeczonyj opiekunki, był pierwszym skrzypkiem w tej orkiestrze.

Léa nadal była pogrążona w lekturze. Siedziała na sofie z podciągniętymi nogami, w grubym i miękkim białym szlafroku, na którego kołnierzu rozsypywały się jej płowe włosy. Szlafrok był rozchylony, tak że Martin widział, że jego partnerka ma pod spodem tylko czarne majtki od Calvina Kleina. W normalnych okolicznościach podnieciłby się na samą myśl o jej zwinnym, ciepłym ciele. Ale nie dziś.

Przechodząc, zobaczył, że telewizor jest nastawiony na jakiś kanał informacyjny, dźwięk wyciszony, a Léa kątem oka zerka na ekran. Sztuczna opalenizna, żółte włosy uczesane w dziwny kształt czapki z daszkiem, uśmiech rekina, zimne spojrzenie. Był 27 października. Zbliżały się wybory. Nie tutaj – w Ameryce. Wszystkie sondaże wskazywały na przegraną Trumpa. Ale ostatnim razem sondaże grubo się pomyliły, nieprawdaż? Bo czasy stały się nieprzewidywalne. W jakich czasach my właściwie żyjemy? W czasach hysterii i błaznów. W czasach manicheizmu. W czasach portali społecznościowych i związanego z nimi szaleństwa. Na pewno nie w czasach rozumu.

Następnie na ekranie pojawił się prezenter i na pasku Servaz wyczytał, że zapowiada jutrzejsze wystąpienie prezydenta Francji i możliwość wprowadzenia nowego lockdownu.

– Co to za ważna rzecz, o której chciałaś mi powiedzieć? – zapytał, opadając na fotel.

Podniosła na niego piękne zielone oczy i odłożyła książkę na stolik z udawaną niedbałością, która, jak się domyślił, miała przykryć jej zdenerwowanie. Blask lampy stojącej obok sofy podkreślał jej wysokie kości policzkowe i lekko zadarty nos.

– To może poczekać do jutra – powiedziała z wahaniem. – Wyglądasz na wykończonego.

Znowu napięcie w jej głosie. Poczuł, że sam zaczyna się denerwować.

– Nie, zdaje się, że to coś ważnego. A skoro dotyczy całej naszej trójki...

– To ty prowadzisz śledztwo w sprawie tego chłopaka? – zapytała. – Mówili o tym na France 3.

– Nie ja, moja grupa – poprawił ją. – Tak, możliwe, że w najbliższych dniach nie będę spędzał w domu dużo czasu.

Teraz, kiedy usiadł wygodnie, uświadomił sobie, że jest ledwie przytomny ze zmęczenia. Ale także, że to, co Léa zamierza mu powiedzieć, na pewno mu się nie spodoba, inaczej tak by nie kluczyła.

– Mhm. Czyli śledztwo znowu cię pochłonie tak jak ostatnim razem, będziesz... Ale nie jestem właściwą osobą, żeby ci robić wymówki – powiedziała, nagle zakłopotana, tak że Servaz znowu wzmógł czujność.

– No dobra, to o czym chciałaś mi powiedzieć?

Wyprostowała się. Siedziała teraz ze ściśniętymi kolanami i skrzyżowanymi kostkami. Servaz się wzdrygnął. Nauczył się obserwować stopy i nogi swoich rozmówców. One rzadko kłamią. Léa była zestresowana.

– Przede wszystkim chcę, żebyś wiedział, że jestem z tobą szczęśliwa. I że cię kocham... Gustava też. Ogromnie. I że zależy mi na was obu.

Źle się zaczynało. Miał wrażenie, jakby ktoś wlewał mu do żołądka płyn chłodniczy.

– A co to za wstęp? – zapytał, mrużąc oczy.

– Skontaktował się ze mną przyjaciel. Pracuje w Lekarzach bez Granic...

Spojrzał na nią niepewnie.

– Zaproponował mi misję w Afryce. W Burkina Faso. W związku z falą przemocy, która dotknęła północną część kraju, masakrami dokonywanymi przez dżihadystów i lokalnymi akcjami odwetowymi pod koniec dwa tysiące dziewiętnastego swoje domy musiało opuścić ponad pięćset tysięcy osób, a w tym roku prawie osiemset tysięcy. Potrzeba więcej personelu medycznego na miejscu. Chodzi o pomoc ludziom, którzy są pozbawieni kompletnie wszystkiego. Żeby zapewnić podstawową i dodatkową opiekę, potrzeba mnóstwa rąk do pracy. A wśród setek tysięcy uchodźców jest dużo dzieci.

Servaz utkwiał w niej wzrok.

– Mam nadzieję, że mu odmówiłaś – szepnęła. – Że mu powiedziałaś, że w tej chwili to niemożliwe...

Spuściła oczy, trochę mocniej zacisnęła nogi.

– Powiedziałam, że się zastanowię. Że najpierw muszę o tym porozmawiać z tobą i ze szpitalem.

– I z Gustavem – odparł, nie wierząc w to, co słyszy, ze zjadliwością, której natychmiast pożałował.

– Proszę, daj mi dokończyć. To tylko kilka miesięcy, maksymalnie rok.

– Rok?! – Nie posiadał się ze zdumienia. – Czyli poważnie myślisz, żeby tam jechać?

Patrzyła na niego z nieprzeniknioną miną. Nic nie mówiła. Ale odpowiedź była twierdząca. Czytał to w jej oczach.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział, kręcąc głową.

– Martin, te dzieci...

– Nie opowiadaj mi o tych dzieciach. Przypominam ci, że tutaj też jest dziecko. Które cię potrzebuje. Które mówi do ciebie „mamo”.

– Nie rób tego...

– Czego mam nie robić? Jestem egoistą tak? Nie jesteś z nami szczęśliwa? Na pewno jest ktoś, kto mógłby tam pojechać zamiast ciebie. Poza tym to niebezpieczne, myślałaś o tym?

– Nikt nie zajmie się tymi dziećmi lepiej niż ja – tłumaczyła.

Miał ochotę podnieść głos, ale tego nie zrobił. Które z nas dwojga jest egoistą? – zastanawiał się. Ona z tą swoją kruczają? Czy ja, nie umiając podjąć ryzyka czasowego rozstania? Nagle wyobraził sobie Afrykę. Obrazek z *Pożegnania z Afryką*. Drapieżniki w buszu. Wspaniałe zachody słońca na sawannie. I Léa w otoczeniu młodych doktorków, kawalerów, pod prowizorycznymi namiotami. Spożywająca z nimi posiłki, dzieląca ich radości i smutki. Uczestnicząca we wspólnej dumie z wykonywania szlachetnej, niezbędnej pracy. Miesiące przebywania razem, zawierania coraz ściślejszych znajomości, zbliżania się do siebie... Z dala od Francji, na tym magicznym kontynencie. Magia Afryki... Nagle poczuł się zazdrosny. Zazdrosny o przyszłość, która jeszcze nie istniała.

Wiedział, że wcale tak nie będzie. Że będzie mieszkała w obozie, w warunkach urągających standardom higieny. W błocie, wśród much, wśród niezliczonych chorych i niedożywionych, pośród krzyku, płaczu, biegunki i gorączki. Wśród martwych dzieci. Wśród tragedii. To jakby chcieć opróżnić studnię bez dna. Mimo to ogarnął go głęboki niepokój.

– Wrócisz zmieniona. Nie będziesz już tą samą osobą – powiedział.

Cisza.

– Martin, ja jeszcze nie podjęłam decyzji...

– Jesteś tego pewna?

Wstał. Poszedł do kuchni. Otworzył okno i zapalił papierosa. Zawsze tak jest. Jeśli życie coś człowiekowi daje, prędzej czy później mu to odbiera. To, czego najbardziej pragnął, zostało mu zabrane. Z jakiegoś tajemniczego powodu

wszyscy, na których mu zależało, zawsze w końcu go opuszczali. Nie wierzył w przeznaczenie. A to oznaczało, że ma to jakiś związek z jego naturą.

Zaciągnął się dymem, wsłuchując się w tuluską noc. Choć wypełniające ją dźwięki w niczym nie przypominały sawanny, wokół także roiło się od drapieżników: lampartów, gepardów, hien, lwów. Jakie drapieżniki polowały na Mousse Sarra? Jaki był ich cel? Czy Moussa był drapieżnikiem, którego ścigały bestie potężniejsze od niego, czy niegroźnym przeżuwaczem?

Jedno pytanie nie dawało Servazowi spokoju. A co, jeśli drapieżcy wywodzą się z szeregów jego formacji? Jeśli wróg jest wewnątrz? Jak zareagują, gdy się do nich zbliży?

Samira Cheung wyciszyła Slayera, wysiadła z samochodu, który odebrała z warsztatu, i wyszła na błotnisty nieużytek pełniący rolę ogródka. Jej wielki stary dom otoczony lasem, leżący dwadzieścia kilometrów od Tuluzy, był pogrążony w ciemnościach. Samira nabyła tę dziwaczną, pełną kątów i zakamarków, zdewastowaną, koślawą budowlę przed dziesięcioma laty. Od tamtego czasu wciąż ją odnawiała. Nie śpieszyła się. Remontowała po trochu: prace uzależnione były od jej skromnych oszczędności, a także od jej chłopaków, których często rekrutowała spośród przedstawicieli takich zawodów, jak murarze, dekarze czy hydraulicy. Od singli pakujących na siłowniach i głoszących pozytywne wartości brodatych konsumentów żywności ekologicznej wolała mężczyzn, którzy pracują własnymi rękami i budują tężyznę fizyczną harówką. Bo tacy, ogólnie rzecz ujmując, nie posuwają się za daleko i zazwyczaj są dobrzy w łóżku.

Miała świadomość, jak bardzo protekcyjne lub generalizujące jest to podejście, ale w jej opinii było ono wręcz komplementem: ceniła sobie prostotę, brutalną szczerłość i kompletny brak hipokryzji – czyli prawo do mówienia bez zastanawiania się nad każdym słowem – mięsne posiłki oraz seks bez sentymentów i ściemniania. Bardzo lubiła Martina, ale nigdy nie mogłaby żyć z tak skomplikowanym facetem, abstrahując od faktu, że zupełnie nie był w jej typie i miał upodobania muzyczne staruszka.

Zerknęła na motocykl stojący na nóżce przy wejściu i przekręciła klucz w zamku. Wcisnęła włącznik światła. Nic. Kompletnie ciemności. Poczwała, jak jej puls przyśpiesza. Ostrożnie przeszła kilka kroków pogrążonym w półmroku korytarzem. Dom spowijała absolutna cisza.

– Jest tu kto?! – zawołała.

Żadnej odpowiedzi. Noc była dość jasna i przez przeszkloną część drzwi do środka wpadała ciemnoszara poświata. Samira szła przed siebie, postawiwszy wszystkie zmysły w stan gotowości. Pod ścianami stały jeszcze wiadra z farbą i leżały foliowe płachty. Łatwo można było się tu ukryć.

– Jest tu kto? – powtórzyła.

Nagle zza jej pleców wyłonił się jakiś cień i gwałtownie przycisnął ją do ściany. Napastnik zakrył jej usta jedną dłonią i napał na nią drżącym ciałem. W nozdrza uderzył ją zapach mydła i wody toaletowej.

– Nie ruszaj się – szepnęła jej do ucha chrapliwy głos. – Nawet nie próbuj.

Skinęła głową. Serce tak mocno waliło jej w piersi, że prawie zakręciło jej się w głowie.

– Wiesz, że Kuba Rozpruwacz nigdy nie został zidentyfikowany? Wiesz, że w *Stu dwudziestu dniach Sodomy* czterej arystokraci zamykają się w zamku z czterdzieściorgiem dwojgiem młodych ludzi, dziewcząt i chłopców, i mają nad nimi absolutną władzę? – mówił dalej mężczyzna.

Mówiąc to, włożył drugą rękę pod jej sweter i pieścił piersi, po czym zsunął ją niżej, by rozpiąć pasek i suwak jej spodni. Dłoń znalazła się w jej majtkach. Samirze drżały nogi. Czuła na pośladkach napierającą erekcję. Wcisnęła dłoń między siebie a mężczyznę i chwyciła jego penis.

– O nie, cholera, to nie fair! – jęknął, odsuwając się. – Samira, to nie jest śmieszne!

W sumie pod względem fantazji i perwersji ten gość też nie był zły... Czegoś ją to nauczy: po raz pierwszy wybrała nauczyciela literatury.

1. *Les impatientes* – fr. „Niecierpliwe” (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

2. *L’Enfant peul* – fr. „Dziecko z ludu Peul” (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

3. Zob. Bernard Minier, *Noc*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, REBIS, Poznań 2018 i *Dolina*, op. cit. [\[wróć\]](#)

Sto kilometrów od Tuluzy. Północ. Błady księżyc oświetlał doliny, czarne lasy i trawiaste zbocza, w zagłębieniach terenu unosiła się lekka mgła. Jasny blask padał też na zamek stojący na szczycie wzgórza, kawałek od miasteczka, za wielką, zardzewiałą bramą i murem, wzdłuż którego biegła lokalna droga.

Pośród lodowatej nocy budowla wydawała się olbrzymia i groźna. Na tle czarnego nieba odcinał się dach najeżony wysokimi kominami. Wraz z przyległościami takimi jak stodoła, stajnie i znajdujący się nieopodal bramy domek strażnika rzucał on posępny cień na park, w którym rosły dwustuletnie drzewa. Wydawało się, że wszystkie światła są pogaszone. Ale gdyby obejść budynek od prawej strony, przez zadbane żywopłot z bukszpanu, za częścią okien złożonych z małych szyb zamocowanych w ołowianych szprosach można by dostrzec nikłą poświatę.

Wewnątrz znajdował się duży salon z monumentalnym kominkiem; jasny ogień rzucał rozbłyśki na pogrążone w półmroku pomieszczenie. Na ścianach płótna mistrzów. Biblioteczka. Trofea z polowań na grubą zwierzynę zamieszkującą lasy Europy: dziki, daniele, jelenie, ale także perełka w kolekcji – ogromna głowa lwa.

Drapieżnik wydawał się wpatrywać w zebraną grupkę dzikim wzrokiem. Jego oczy lśniły w słabym świetle. Jakby zastygł w bezruchu, by zmylić ofiarę i rzucić się na nią znienacka. Na zewnątrz wył wiatr, ale w tonącym w półmroku salonie panowała cisza, którą zakłócał tylko trzask płomieni. Gdy więc wreszcie ktoś się odezwał, wydawało się, że przemówiły same trzewia zamku.

– Jak to możliwe, że nikt nie pomyślał o tym, żeby kontrolować drogę? – zapytał jedyny siedzący mężczyzna. Zajmował krzesło o wysokim oparciu na wprost kominka.

Z jego głosu – podobnie jak z całej postaci odcinającej się na tle płomieni – emanowały władza i nieustępliwość. Słabe odbłaski z paleniska pieściły jego długie, żyłaste dłonie oparte na dębowych podłokietnikach. Twarz mężczyzny była niewidoczna.

– Ale tamtędy nikt w nocy nie jeździ – ośmielił się zaoponować jeden ze stojących członków grupy. – I jest godzina policyjna. Ten samochód nie miał

prawa się tam pojawić.

Na chwilę w pomieszczeniu wszystko zamarło. A potem wysoka postać bardzo powoli się wyprostowała:

– Meslif, jest pan kretynem. Mówiłem, żeby pan zabezpieczył okolicę.

Rzeczony Meslif, niewysoki, przysadzisty mężczyzna o czarnych włosach i brwiach oraz twardym spojrzeniu, stał ze spuszczoną głową.

– Trzeba by do tego więcej ludzi – tłumaczył się bojaźliwie, co było niezwykle u człowieka, który zazwyczaj sam budzi respekt. – A więcej ludzi oznaczałoby większe ryzyko przecieku.

Znowu zapanowała cisza. Wysoki mężczyzna wstał. Wyłonił się z cienia, by podejść do kominka i wyciągnął dłonie w stronę ognia. W pozostałej części salonu było lodowato.

– Nie tak miało być – powiedział, a jego bezcielesny, grobowy głos zabrzmiał jak potępienie.

W palenisku świstało i syczało. Płomienie wznosiły się i opadały, kołysane wiatrem wpadającym do środka przez komin. Oświetlały od dołu pomarszczoną twarz, ogoloną głowę, policzki tak zapadnięte, że wyglądały, jak zassane do środka, powleczone skórą pomarszczoną jak kora jesionu. Miał na sobie jedwabną podomkę przewiazaną w pasie, pod spodem sweter i sztruksowe spodnie, na stopach wsuwane kaptcie.

– Nie tak miało być... – powtórzył. – Mieliśmy go odesłać do domu żywego, z napisem wypalonym na piersi. Żeby mógł opowiedzieć innym, jak na niego polowaliśmy. Żeby ci dranie zrozumieli, że na scenę wkroczył nowy gracz i teraz już naprawdę zapanuje sprawiedliwość.

– Już zaczęli się zastanawiać. Dzięki temu napisowi musieli zrozumieć, że reguły gry właśnie ulegają zmianie – powiedział mężczyzna wzrostem niemal dorównujący przedmówcy, o długiej, psiej twarzy okolonej brodą przyciętą w koślawy wianuszek.

Jego przedmówca się odwrócił.

– Ale teraz we wszystko wmiesza się prasa. Dziennikarze aż się ślinią do takich historii. Wiadomo, kto prowadzi śledztwo?

– Tak, grupa komendanta Servaza – odparł trzeci z mężczyzn, krępy, brzuchaty i bardzo brzydki, starszy niż dwaj pozostali, jako jedyny w garniturze i pod krawatem. – Świetny glina. To on dwa lata temu wyjaśnił sprawę morderstw w Aiguesvives. I to, co się stało dziesięć lat w Saint-Martin-de-Comminges: tę historię z koniem wiszącym na słupie kolejki linowej i serię zabójstw, które potem nastąpiły. Zdecydowanie nie jest to dobra wiadomość.

– Powinniśmy znaleźć jakiś sposób, żeby mieć dostęp do ustaleń śledztwa – odezwał się inny mężczyzna.

Minęła północ. Był 28 października. Wisząca na ścianie głowa lwa obserwowała czterech mężczyzn, którzy w przestronnym, ciemnym salonie wyglądali na małych. Temperatura na zewnątrz jeszcze spadała, a okolice zamku, trawniki i potężne dęby spowijał głęboki mrok.

ŚRODA

Obudził się, gdy wszyscy już byli na nogach. Przez okno wpadało jasne światło. Zmrużył oczy. Nie usłyszał budzika w telefonie. Ani Léi, kiedy wstawała.

Usiadł na brzegu łóżka i wciągnął w nozdrza zapach kawy. Kupował ją w pewnej palarni wyłącznie z tego powodu, że zapach unoszący się na ulicy w pobliżu sklepu przenosił go do dzieciństwa. Ostatnimi czasy zauważył jednak, że im jest starszy, tym bardziej wspomnienia z tego okresu stają się słodko-gorzkie, i raczej wolał je od siebie odsuwać.

– Martin, możesz się zająć Gustavem? – rozległ się głos z drugiego końca mieszkania. – Jestem jeszcze w lesie!

– Ja też! – odpowiedział spod gorącego prysznica, nie do końca pewien, czy Léa go słyszy (jeśli w ogóle chciała go usłyszeć).

– Czy możesz odstawić Gustava do świetlicy? Słyszysz mnie?

– Tak, słyszę! Ale to ty tamtędy przejeżdżasz! Ja musiałbym nadrobić drogi! – zaprotestował.

– Proszę! Mam ważne zebranie!

– A, no okej.

Mimo woli wałkował w głowie to, co powiedziała poprzedniego wieczoru. Bardzo źle spał. Co chwilę budziło go wspomnienie ich kłótni.

– Dzięki, wynagrodzę ci to! – zawołała Léa.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi. Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył, że Gustav siedzi przy stole i je śniadanie. Oglądał jakąś kreskówkę. Wyglądał na rozluźnionego i szczęśliwego – i już to było małym zwycięstwem, zważywszy na ich wcześniejsze doświadczenia.

– Mama się śpieszyła – powiedział chłopiec z uśmiechem na twarzy.

Servaz poczuł, jak skręca mu się żołądek. Popatrzył na syna. Może będziesz musiał się przyzwyczaić do życia bez niej, pomyślał. I przestać ją nazywać mamą...

– Ma teraz dużo pracy – odpowiedział.

– Ty też – zauważył Gustav. – Późno wracasz.

– Wiem, smyku.

– Nawet nie przychodzisz mi powiedzieć dobranoc.

– Wczoraj wieczorem przyszedłem, nie zauważyłeś?

– Nie – odparł Gustav, uśmiechając się tak szeroko, że Servazowi zrobiło się wstyd z powodu kłamstwa.

Przed wyjściem z mieszkania zgarnął słuchawki Anastasii ze stolika w salonie. Radomil ćwiczył od samego rana. Najwyraźniej sąsiad otworzył okno, dźwięki skrzypiec mogła bowiem słyszeć cała ulica. Servaz nasłuchiwał w skupieniu: *Koncert skrzypcowy* Mieczysława Karłowicza. Utwór wymagał dogłębnego opanowania instrumentu, wirtuozerii, polotu, perfekcyjnego wykonania.

Zastukał do sąsiada, z żalem przerywając *legato*. Za drzwiami zapadła cisza. Rozległ się odgłos kroków i po chwili w progu stanął długowłosey, siwy muzyk z ciemną brodą.

– Twoja córka to zostawiła – powiedział Martin.

Radomil wziął słuchawki wolną ręką. W drugiej trzymał skrzypce.

– Dobrze, że je przyniosłeś. Inaczej musiałbym słuchać hip-hopu Anastasii z głośników w salonie. Dzień dobry, Gustavie – dodał, schylając się do jasnowłosego chłopca, który z uśmiechem na buzi odwzajemnił jego powitanie.

– Grałeś *Koncert skrzypcowy* Karłowicza?

Muzyk, dryblas o aparycji podstarzałego hippisa, wyprostował się i zmarszczył brwi. Nie po raz pierwszy Martin zaskoczył go swoją wiedzą.

– Jak to możliwe, żeby glina był muzycznym erudytą? – zapytał, nie kryjąc zdziwienia. – Wszyscy francuscy policjanci są tacy otrzaskani?

Radomil i jego córka przed pięcioma laty przyjechali z Bułgarii. Muzyk, który do niedawna korzystał z karty pobytu, złożył wniosek o przyznanie obywatelstwa.

– Oczywiście będę miał dla was zaproszenie i dopilnuję, żeby Anastasia zajęła się Gustavem. Żebyście nie mieli z Léą żadnej wymówki.

– Sąsiedzi jeszcze się nie skarżą?

– A tobie to przeszkadza?

– Nie, oczywiście, że nie – odparł Martin, kierując się do windy.

– Muzyka łagodzi obyczaje, nieprawdaż?

Servaz pomyślał o awanturach, które podczas wiosennego lockdownu wywoływał zbyt wybuchowy sąsiad o odmiennych gustach muzycznych. Zakończyła je dopiero interwencja policji.

– Nie byłbym tego taki pewien – odpowiedział.

– Dobrego dnia, Gustavie! Baw się dobrze! – zawołał za nimi kurtuazyjnie Radomil, zamykając drzwi.

Po chwili Servaz znowu usłyszał muzykę.

Korytarz na drugim piętrze komendy był pełen ludzi w масечkach, którzy chodzili wte i wewte. Bywały takie dni, że Servaz czuł się tam jak w filmie science fiction. Albo jak we śnie, z którego w końcu się obudzi. Ale koszmar ciągnął się w nieskończoność. Vincent Espérandieu siedział u siebie: miał na uszach takie same słuchawki jak Anastasii. Najpewniej słuchał niezależnego rocka. Próbował wtajemniczyć Servaza w ten gatunek, ale dał sobie spokój, gdy tamten znowu zaczął go przekonywać do genialnego austriackiego kompozytora o nazwisku Mahler.

Servaz przelotnie przypomniał sobie okres, gdy zbliżyli się do siebie z Charlène Espérandieu, piękną żoną Vincenta. Czuli nieprzeparte wzajemne przyciąganie. Charlène była wtedy w ciąży z Flavienem, który miał teraz jedenaście lat. Martin był jego chrzestnym. Nigdy jednak nie przekroczyli granicy. Często się zastanawiał, co by było, gdyby to zrobili.

Na widok szefa Vincent zdjął słuchawki.

– Dzwoniła Catherine Larchet. Mają trafienie w bazie FNAEG.

W bazie śladów genetycznych. Martin poczuł, że jego puls przyśpiesza.

– Kto?

– Rudy włos wkręcony w suwak na głowie jelenia. Chłopak nazywa się Kevin Debrandt. Siedemnaście lat. Pięciokrotnie notowany, ostatni raz za szczególnie brutalny napad razem ze współnikiem na willę w Tuluzie. Umieszczony w specjalistycznym ośrodku dla nieletnich, z którego uciekł.

Nazywa się czy nazywał się? – pomyślał Servaz i poczuł mrowienie w karku. Kevin Debrandt miał siedemnaście lat i najwyraźniej dość obciążoną kartotekę. To żadne zaskoczenie: nieletni są sprawcami czterdziestu pięciu procent brutalnych napaści i jednej trzeciej włamań. Rozporządzenie o postępowaniach sądowych wobec nieletnich z 1945 roku nijak się ma do współczesnej przestępczości i brutalności. Nie wspominając już o pełnoletnich cudzoziemcach, którzy zaniżają swój wiek, by uniknąć cięższych kar.

Uświadomił sobie, że zaczynają się spełniać jego najgorsze obawy. Obawy, które on i Samira wyartykułowali głośno, a które dowódca zbył machnięciem ręki: że być może Moussa Sarr nie był pierwszą ofiarą. Ile jeszcze ich było? Zrobił głębszy wdech. Nie mógł dłużej ignorować narastającego niepokoju, który czaił się w jego wnętrzościach.

– Okej, zwołaj wszystkich.

– Kevin Debrandt. Siedemnaście lat i gruba kartoteka. Dwa ostatnie dokonania: w dwa tysiące dziewiętnastym posługując się atrapą broni, zmusił młodą kobietę, żeby odwiozła go do Montauban, gdzie mieszkała jego ówczesna dziewczyna. Zakładniczce udało się uciec na stacji benzynowej. Urowadzenie trwało poniżej godziny. Adwokat Kevina tłumaczył, że jego klient sądził, że po prostu łapie stopa.

Na ekranie za jego plecami ukazało się pociągłe, blade oblicze o jasnych, jakby spłowiałych oczach, otoczone rudą czupryną. Wąski pyszczek upodabniał Kevina Debrandta do jakiegoś ryjącego zwierzątka. Albo do lisa. Servaz odwrócił się w stronę sali.

– Drugie jest poważniejsze: na początku dwa tysiące dwudziestego włamał się razem ze współnikiem do prywatnej willi w Tuluzie. Wyposażeni w krótką broń, prawdziwą lub atrapę, nóż, kominiarki i rękawiczki, potraktowali gazem łzawiącym właścicieli domu: tuluskiego bankowca i jego małżonkę, związali ich i uwięzili. Mężczyznę pobili, kobiecie zagrozili gwałtem i wydobyli od nich kod do sejfu. Ukradli biżuterię, laptop, telefony i uciekli. Właściciel źle się poczuł. Jego żona zdołała się wyswobodzić i wezwała pomoc. Śledztwo zostało powierzone brygadzie kryminalnej z Departamentalnego Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, która zabezpieczyła ślad DNA. Ten sam kod genetyczny znaleziono na głowie jelenia. Należy do Kevina Debrandta.

Przerwał na chwilę, by dać im czas na przyswojenie tych informacji. Żeby sobie uświadomili, co się tak naprawdę stało. Właśnie dokonali przełomowego odkrycia – znaleźli związek między głową jelenia, którą nałożono Moussie, a innym chłopakiem, również znanym z działalności przestępczej.

– Kevin Debrandt został złapany, ale odmówił ujawnienia nazwiska współnika. Umieszczono go w specjalistycznym ośrodku dla nieletnich, z którego uciekł tego samego wieczoru. Nikt się nie pofatygował, by go szukać.

Wokół stołu przetoczył się pomruk.

– Próbowaliśmy do niego zadzwonić, ale jego telefon nie odpowiada. Może jest wyłączony, a może chłopak go upłynnił. Zdobędziemy historię logowań, wtedy będziemy mogli odtworzyć jego trasę. Ostatni adres Debrandta, który znamy, to squat w centrum miasta. Trzeba też będzie przesłuchać jego rodziców.

– Na chwilę zamilkł. – Miejmy nadzieję, że Kevin Debrandt nie zniknął...

Miał mówić dalej, gdy nagle do pomieszczenia wpadł Chabrilac z egzemplarzem „La Garonne” w dłoni. Miał bardzo niezadowoloną minę. Ze złością rzucił gazetę na blat. Servaz pochylił się i przeczytał:

NASTOLATEK ŚCIGANY W LESIE JAK ZWIERZYNA *Rasistowska zbrodnia czy akt zemsty?*

Niech cię szlag, Esther! Było gorzej, niż się spodziewał. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie Moussy, które dziennikarka musiała wyciągnąć od rodziny. Servaz się oburzył. Jaki nastolatek? Moussa Sarr był pełnoletni! Co do reszty tytuł mówił prawdę. Martin bał się zapoznawać z całym tekstem i linią, którą obrała dziennikarka.

– To klęska! – zawołał Chabrilac. – Tu jest napisane o głowie jelenia i o tym, że Mousse znalaziono nagiego, postrzelonego z kuszy. Ta upiorna dziennikarka pisze nawet o praktykach godnych, cytuję, Ku Klux Klanu! Słusznie się niepokoi, że w dwudziestym pierwszym wieku coś takiego mogło się zdarzyć w naszym regionie. Krótko mówiąc, będziemy pod piekielną presją, a media nie dadzą nam spokoju. – Chabrilac popatrzył na Martina. Jego oczka miały gromy. – Komendancie, potrzebuję wyników. Nie chcę, żeby to się przeciągało. Pośpieszcie się.

Członkowie grupy oponowali, mówiąc, że to będzie długie i trudne śledztwo. I że potrzeba czasu.

– W dupie mam wasze obiekcje! – ryknął nagle. – Za kogo wy mnie macie? Przez tę historię będziemy mieć na karku zagraniczne media! Prefekta! Głównego komendanta policji! I pewnie jeszcze ministra! I to ja będę z tego rozliczany! Nie wy! – wrzeszczał, czerwony na twarzy.

Zaskoczenie było tak wielkie, że zebrani umilkli.

– Możliwe, że mamy jeszcze jedną – oświadczył spokojnie Servaz, niespeszony.

– Jeszcze jedną co? – zapytał poirytowany dowódca, odwracając się w jego stronę.

– Jeszcze jedną ofiarę. Kevin Debrandt. Siedemnaście lat. Jego włos wkręcił się w suwak w głowie jelenia. Chyba że chłopak należał do grupy polującej na Mousse.

Chabrilac dosłownie podskoczył.

– Co? Boże drogi... Poważnie? Jeszcze jedna ofiara? Czy on jest...?

– Biały – odpowiedział Servaz, zgadując, do czego zmierza dowódca. – Ale poza tym profil jak Moussa Sarr: drobny przestępca, który mimo licznych wyroków przebywał na wolności.

Dowódca odetchnął z wyraźną ulgą.

– Proszę, żeby ta informacja wyciekła do prasy – powiedział.

– Nie ma mowy – zaproponował Servaz. – To bardzo ważne odkrycie. Musimy je zbadać w absolutnej tajemnicy i zobaczyć, dokąd nas zaprowadzi.

Chabrillac wskazał na gazetę, która krążyła z rąk do rąk.

– Nie życzę sobie więcej takich tytułów!

– Szefie, jeśli pan chce, żebyśmy szybko złapali sprawców, niech nam pan pozwoli wykonywać naszą robotę.

Chabrillac na chwilę zamarł jak pies, który usłyszał sygnał ultradźwiękowego gwizdka. Martina zaskoczyła jego rzucająca się w oczy wrogość. W końcu dowódca oświadczył lodowato:

– Komendancie, niech mi pan nie mówi, co mam robić. Chyba ma pan w grupie kogoś, kto rozmawia z prasą. Jak na mój gust ta dziennikarka trochę za dużo wie... Na pana miejscu zamiast mnie upominać, zatroszczyłbym się o to, żeby się dowiedzieć, co to za kurewski pomiot chłapie ozorem na zewnątrz. – Mówił twardym, otwarcie wojowniczym tonem. To było na granicy obelgi.

Martin pobladł. Poczł, jak zalewa go gniew.

– Pan kieruje tą grupą, komendancie – kontynuował dowódca, celując palcem w klatkę piersiową Servaza, tak że przez chwilę wszyscy myśleli, że go dotknie.

– Ponosi pan odpowiedzialność za wszystko, co się tutaj dzieje. Wiem, że ma pan osiągnięcia, ale wiem też, że pańskie, delikatnie mówiąc, obrazoburcze metody nie wszystkim się podobały. Dwukrotnie stawał pan przed komisją dyscyplinarną. Nie mam pojęcia, jakim cudem jest pan jeszcze szefem grupy, ale w stosunku do mnie ma pan być posłuszny. I robić to, co mówię. Nie wiem, jakie miał pan układy z moim poprzednikiem, ale teraz ja tu rządę i nie pozwolę, żeby taki inteligencik jak pan traktował mnie z góry, rozumiano? – I w końcu to zrobił: dźgnął Servaza w klatkę piersiową, jakby chciał wbić w nią palec. –

Może i jest pan tutaj legendą, może lubi pan być na pierwszych stronach gazet, ale powiem panu: mam na to wywalone. Pańskie osiągnięcia nie robią na mnie wrażenia. Ma się pan uwijać i dostarczyć mi konkretów, niczego innego od pana nie chcę. Czy wyraziłem się dość jasno?

Po tych słowach Hulk odwrócił się na pięcie i opuścił salę.

– Jest pan pewien, że to tutaj?

Raphaël spojrział na właściciela – mężczyznę około sześćdziesiątki w kaszkiecie na gęstych, siwych włosach.

– Oczywiście – odparł tamten.

Servaz, Samira i Katz znajdowali się w samym centrum władzy, którym przed dwustu pięćdziesięcioma laty rządzili *capitouls*, miejscy konsulowie. Stali pod arkadami na place du Capitole, naprzeciwko wielkiej esplanady, którą po drugiej stronie zamykał ratusz. Mimo bladego słońca, które muskało ryzality i kolumny, panował przenikliwy ziąb.

Drobny facecik nieświadomie wystylizowany na irlandzkiego złodziejaska – chyba że był fanem *Peaky Blinders* – wskazał na drzwi obok witryny restauracji.

– Te drzwi są otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę. Lokalni licealiści znają to miejsce. Przesiadują na schodach, piją i palą. Znają je też wszyscy bezdomni w tym mieście.

Przestąpili próg. Przepych budowli natychmiast się ulotnił. Posadzkę przed schodami pokrywały setki niedopałków, szary popiół, puste butelki i puszki. Farba na ścianach łuszczyła się płatami, wymalowane hasła głośiły: NIE DLA EKSMISJI, PRAWO DO SCHRONIENIA PONAD PRAWEM DO WŁASNOŚCI.

– Zablockowali wyjście ewakuacyjne – tłumaczył mężczyzna, idąc przed nimi po rozchwianych, brudnych stopniach. – Wchodzą na dach i wrzucają płonące kosze na śmieci do komina, który służy im jednocześnie jako zsyp, toaleta i spalarnia odpadów.

Dotarli na pierwsze półpiętro, torując sobie drogę wśród zużytych strzykawek i opakowań po lekach. W nozdrza uderzyła ich woń odchodów, moczu, trawy i spalenizny.

– Kurwa, ale smród! – zawołała Samira. – Idealne miejsce na obfity połów drobnicy.

– Hę? – zdziwił się Katz.

– Połów drobnicy. Jedna płotka, czyli jeden gram shitu równa się jedno zatrzymanie. To dobrze wygląda w statystykach. Łapiesz wszystko, co się rusza,

skupiasz się na małych rybkach i możesz olać długie, męczące śledztwa, dzięki którym może i złowiłbyś rekiny, ale które wymagają zbyt wiele czasu i energii, a przekładają się na mizerny wynik statystyczny. A szefostwo jara się statystykami.

– Ale w ten sposób nigdy nie złapie się rekinów – zauważył Raphaël, ostrożnie stąpając wśród strzykawek.

– Widać, że jesteś nowy – odparła Samira, patrząc na niego niezbyt wyrozumiale.

Ruszyli ostatnim ciągiem schodów. Z góry groźnym wzrokiem przyglądało im się dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Żadne z nich nie miało maseczki.

– A ty tu czego? – zwrócił się jeden z mężczyzn do właściciela.

– To moja kamienica, jestem u siebie – odpowiedział Pan Kaszkiet, ośmielony obecnością policji.

Młody mężczyzna parsknął śmiechem.

– Pokażę ci, kto tu jest u siebie, staruchu!

Servaz wyjął legitymację. Trzy kobiety natychmiast spojrzały na niego z nienawiścią.

– Nie przyszliśmy was wywalić, szukamy kogoś – oświadczył szorstko.

Był w podłym humorze. Wciąż nie przetrwał wysoko Hulka.

– Wszystko jedno. I tak nie gadamy z psami, nie chcemy się zarazić głupotą – odparł tamten, nie okazując ani krztyny stresu.

Jego słowa powitał rechot reszty.

– Szukamy Kevina – nalegał Servaz, pokonując ostatnie stopnie. – Obawiamy się, że coś mogło mu się stać. Coś poważnego. Widzieliście go ostatnio?

– Kevina? – rozległ się mocny głos w korytarzu po ich lewej stronie. – Od jakiegoś czasu się nie pokazuje. Dlaczego go szukacie? I czego się boicie?

Stanął przed nimi wysoki typ w tradycyjnym afrykańskim stroju. Potężny, masywny, przerastał pozostałych o dobrą głowę. Twarz o delikatnych rysach otaczała obfita broda. Servaz oszacował go na jakieś trzydzieści pięć lat.

– Możemy porozmawiać?

Mężczyzna dał im znak, by poszli za nim. Servaz, Samira i Raphaël minęli piątkę młodych ludzi i ruszyli słabo oświetlonym, ale zatłoczonym korytarzem. Szli niemal ocierając się o tubylców, którzy rzucali im nieufne, pełne pogardy spojrzenia. Servaz oszacował, że w korytarzu jest co najmniej trzydzieści osób, ale z pewnością było ich więcej w sześciu pokojach, których drzwi, jeśli nie zostały wyrwane, były półotwarte.

– Katz, wylegitymuj wszystkich – rzucił i wszedł za szefem sreatu do dużego pomieszczenia, którego obydwie okna wychodziły na place du Capitole.

Servaz zobaczył materace, lampy i kolorowe świece. A także zlew pełen garnków i talerzy, płyty indukcyjne, gitarę, tamburyn, sziszę, ulotki, a na ścianach duże plakaty z hasłami broniącymi prawa do zamieszkania.

– Piękny widok, nieprawdaż? – zagaił jowialnie mężczyzna, wskazując na okna. – Wiecie, co widziałem tego lata zaraz po przebudzeniu? Odkąd na fasadzie ratusza są rusztowania, ludzie wchodzą po nich na dach merostwa i tam śpią! Każdego ranka patrzyłem, jak przed przybyciem robotników zwijają swoje rzeczy. – Uśmiechnął się. Wskazał na różnokolorowe poduchy leżące na podłodze. Usiadł na jednej z nich. – Szokuje was to? Być może gdyby mieli inne miejsce do spania, nie nocowaliby tam. Jak myślicie?

Mówił niskim, miłym głosem. Miał lśniące oczy, na których widok wielu pewnie spuszczało wzrok. I charyzmę przywódcy. Pasterza prowadzącego stado. Ale o jakie stado chodziło? I czy taki pasterz w ostatecznym rozrachunku nie stanowił zagrożenia dla owiec? Takie pytania zadawał sobie Servaz, również sadowiac się na poduszce. Samira poszła w jego ślady. Gospodarz nie odwracał do nich elektryzującego spojrzenia.

– Jak się pan nazywa?

– Malik Ba. Życzy pan sobie zobaczyć papiery? – odparł dryblas, uśmiechając się.

Servaz zaprzeczył ruchem głowy.

– Urodziłem się w Senegalu. Mam trzydzieści trzy lata, wiek chrystusowy. Ale jestem obywatelem francuskim, jeśli to pana interesuje.

Tak, to było to: czarny Chrystus. O monumentalnej budowie ciała, spokojnym, głębokim głosem i sposobie mówienia pełnym ciepłych, wibrujących modulacji. Do pomieszczenia weszła jakaś dziewczyna. Wyglądała tak młodo, że Servaz zastanawiał się, czy i ona nie jest nieletnia. Podeszła do pana domu.

– Zrób nam herbatę – rzucił do niej.

To był rozkaz, nie prośba. Malik Ba zauważył ich zakłopotanie.

– Nie mamy tu żadnej hierarchii – wyjaśnił, jakby chciał zaprzeczyć temu, co właśnie zaszło. – Ta młoda kobieta postanowiła mi usługiwać z własnej woli, nikt jej nie kazał. Tutaj każdy jest wolny i robi, co chce. Nie jestem ich szefem, lecz przewodnikiem, doradcą duchowym, mentorem. Przynoszę im światło i nadzieję. Jesteśmy autonomiczną wspólnotą żyjącą w pierwotny sposób, z dala od opresyjnych struktur państwa i nierówności, które stworzył kapitalizm. Praktykujemy demokrację horyzontalną, jak w ZAD.

– Jasne – powiedział Servaz.

Nie był naiwny. Wiedział, że stosunki panujące w *Zones à défendre*, „Strefach do obrony”, wcale nie są tak idylliczne, demokratyczne i przejrzyste, jak to przedstawiają ich mieszkańcy. Że często rządzą w nich przemoc fizyczna, psychiczna i słowna, dezinformacja. Że mieszkańcy bynajmniej nie są wobec siebie tak pełni tolerancji, jak opowiadają na zewnątrz, że nierzadko pod wpływem alkoholu wywołują bójki, a silniejsi narzucają swoją wolę słabszym.

– A więc martwicie się losem Kevina? Można wiedzieć dlaczego?

– Możliwe, że coś mu się stało – odparł Servaz.

Brodacz zmarszczył brwi. Jego oczy zabłysły.

– Zechce pan powiedzieć więcej?

– Powiedzmy, że mamy uzasadnione powody, by sądzić, że mógł zostać porwany i jego życie jest w niebezpieczeństwie. Próbujemy odtworzyć jego rozkład dnia i dowiedzieć się, kiedy po raz ostatni... wchodził w interakcje z innymi osobami.

– W interakcje... Ciekawe słowo. Jesteście wyjątkowo grzeczni jak na policjantów rozmawiających z czarnym – skomentował z zadziwiającą łagodnością i oczywistą ironią. – Szkoda, że wasi koledzy nie zawsze się tak zachowują. Wiecie, ile razy w tym roku byłem kontrolowany na ulicy? Policzyłem: trzydzieści osiem. Bogu ducha winny szedłem sobie chodnikiem i spośród wszystkich znajdujących się tam ludzi patrol zatrzymywał właśnie mnie. Można się udusić w tym kraju... – Lśniącymi oczami popatrywał to na Servaza, to na Samirę. – Jak byście reagowali, gdyby to was kontrolowano każdego dnia?

Pogładził brodę długimi, delikatnymi palcami o czystych paznokciach. Mówił spokojnym głosem, a każde jego słowo niosło w sobie więcej sensu i treści niż wszystkie gadki medialnych mądrali. Servaz wciąż jednak miał przed oczami usiane strzykawkami korytarze squatu. Dobrze też wiedział, że utopia, którą głoszą Malik Ba i jemu podobni, jego wiara w świętość wolności osobistej, wrogość wobec wszelkich przejawów państwa – cała ta ideologia pomija niezaprzeczalny fakt, iż państwo to nic innego jak zbiór praw i zasad, które narzuca sobie grupa ludzi, by uniknąć wojny wszystkich ze wszystkimi. I że po zakończeniu epoki plemiennej, feudalnej i fazy prawa dżungli społeczeństwo bez aparatu państwa, który ma władzę i siłę do egzekwowania powyższych zasad, nie może istnieć.

– Dwa razy w końcu się zdenerwowałem – powiedział Malik Ba. – Wykręcili mi rękę, przycisnęli mnie do maski samochodu, rzucili na ziemię. Prawie złamali

mi nadgarstek, a od leżenia z głową przyciśniętą do asfaltu miałem kilkudniową migrenę. Oto jak się tutaj traktuje ludzi takich jak ja. – Skrzywił się ze zboląłą miną. – Podobno ten kraj nie jest rasistowski. Wytłumaczcie mi, dlaczego w Zgromadzeniu Narodowym, w radach miast, w mediach, w telewizji jest tak mało czarnych? Czy wiecie, że w ostatnich latach różnicowanie rasowe wśród pracowników telewizji zamiast się powiększać, maleje? Część kolorowych pracowników się zwolniła. Czytałem badania na ten temat. – Zmrużył oczy i uśmiechnął się. – Ale nie wygracie, bo mamy po swojej stronie poetów, bardów. Wiecie, dlaczego poeci wolą pisać o biedakach niż o bogaczach? Ponieważ biedacy są o wiele bogatsi od bogaczy, a bogacze są o wiele biedniejsi od biedaków. Biedacy są bogaci swoim cierpieniem, swoją historią. Cierpienie buduje, bogactwo rujnuje.

– Czy możemy porozmawiać o Kevinie? – zapytała Samira, zdradzając lekkie zniecierpliwienie.

Mężczyzna spojrzał na nią.

– Kevin nie pokazywał się tu od dłuższego czasu – powiedział. – Sądziłem, że wrócił do rodziców. Dzwoniliście do nich?

– Tak, nie ma go tam. Niedługo miną dwa tygodnie, odkąd go nie widzieli – odpowiedział Servaz.

Malik Ba zrobił zmartwioną minę.

– Mniej więcej wtedy powiedział nam, że się do nich wybiera. Spędził tu kilka dni. Kevin pojawiał się i znikał, nie tłumaczył się. Wiele osób tutaj tak robi. Każdy może przyjść i wyjść, kiedy uzna to za stosowne. – Mężczyzna się zasępił. Pociągnął się za brodę. – Ale generalnie rzecz biorąc, Kevin nocuje albo tutaj, albo u swoich rodziców. Nie wiem, gdzie jeszcze bywa. Czego się obawiacie? – zapytał nagle. – Co mogło mu się stać?

Na korytarzu podniosły się jakieś krzyki. Servaz wyjął zdjęcie Moussy Sarra i pokazał Malikowi.

– A tego pan zna?

Gospodarz przez chwilę się zastanawiał, przyglądając się fotografii spod zmrużonych powiek.

– Nie, kto to jest?

Znowu krzyki w korytarzu. Wyzwiska, wrzawa.

– Mam wrażenie, że na zewnątrz trwa jakaś awantura z udziałem waszego kolegi – stwierdził spokojnie Malik Ba.

Samira poderwała się jednym susem. Servaz zrobił to samo. Wypadł na zewnątrz i oniemiał z wrażenia. Młody porucznik celował ze służbowego

pistoletu do małej grupki, która darła się wniebogłosy, drwiąc z niego i obrzucając go wyzwiskami.

– Katz, zwariowałeś? Co ty odstawiasz, do cholery?! – zawołała Samira.

– Oni we mnie rzucali! – zaprotestował blondyn, chowając broń.

– Czym?

– Szklaną butelką i zużytą prezerwatywą!

Zarechotała. Wrzaski i wyzwiska jeszcze się wzmogły.

– Zamknijcie się! – ryknęła na grupkę. – Albo skonfiskujemy trawę i wszystkich weźmiemy na dołek na dwadzieścia cztery godziny! I wiercie mi, zapamiętacie to sobie jak pierwszy strzał. Nie mówiąc już o tym, że nie będzie wam wolno nawet zająć fajki. To znaczy jointa.

Bardzo konkretna groźba, w dodatku wypowiedziana przez młodą kobietę ubraną w skórę i wymalowaną jak na Halloween, wywołała natychmiastowy efekt.

– Skuteczna, co? – skomentował Malik, uśmiechając się szeroko i wskazując na Samirę. Patrzył na nią z podziwem.

– Ej! Nikt pana nie pytał o zdanie, okej? – odcięła się, piorunując wzrokiem wielkiego czarnego Chrystusa.

Olbrzym się zmięgował.

– Przepraszam. Coś mi się przypomniało – dodał, patrząc najpierw na Servaza, a następnie na Samirę.

Czekali na dalszy ciąg.

– Wydaje mi się, że w ostatnim czasie Kevin się czegoś bał...

Po ciemnym niebie niczym pasma dymu przesuwwały się długie, cienkie, czarne chmury. Okolicę spowijał cień. Nagle się rozpadało. Rzęsisty, pionowy, zimny deszcz i unoszący się w powietrzu zapach mokrej ziemi.

Samira wyłączyła silnik. Przypominający miniaturowy zamek trzykondygnacyjny dom z blankowanym tarasem na dachu i kwadratową wieżyczką był nie tyle zniszczony, ile wręcz chylił się ku ruinie.

Smagane deszczem potrzaskane płytki chodnikowe, trawy rosnące w rynnach, czarne pęknięcia w murze, tak wielkie, że można by w nie włożyć palec. Sądząc po nieotynkowanych, niemalowanych ścianach z surowego kamienia, budowa nigdy nie została ukończona. Przyjrząwszy się bliżej, Servaz dostrzegł jednak tu i ówdzie oznaki życia: dwie rdzewiejące anteny paraboliczne na wieżyczce, zasłony z surowego płótna w niektórych oknach, kilka zdezelowanych samochodów oraz dwa zaskakująco nowe. Pomyślał, że Debrandtowie do perfekcji opanowali żerowanie na socjalu.

Żadnego ogrodzenia ani bramy. Żeby nikomu nie przyszło do głowy, że rodzina ma pieniądze. Samira i Martin – a za nimi Katz – przeszli przez piaszczyste podwórko, na którym rosła rachityczna palma. Zastukali do drzwi (bo dzwonka również nie było). Kiedy drewniane skrzydło się uchyliło, rozpoznali ojca Kevina. Miał identyczne, ognistorude włosy jak syn, taką samą mlecznobiałą skórę, z tą różnicą, że prześwitywały przez nią niebieskie żyłki, jak to bywa czasem u alkoholików. Przekrwione oczy, czerwone powieki. Był ubrany w koszulkę klubową Stade Toulousain i bojówki w kolorze khaki.

– Pan Debrandt?

Mężczyzna popatrzył na nich podejrzliwie i zatrzepotał rzęsami. Nadal nie otworzył drzwi, zastawiając wejście własnym ciałem.

Servaz wyjął legitymację.

– Policja kryminalna. Dzwoniliśmy do pana w sprawie syna. Możemy wejść?

Przez chwilę ojciec Kevina wyglądał, jakby mu ulżyło, że nie ma przed sobą przedstawiciela pomocy społecznej albo kuratora sądu okręgowego. Odsunął się i trójka policjantów znalazła się w cuchnącym papierosowym dymem korytarzu, który był równie zaniedbany jak otoczenie domu. Następnie weszli do salonu,

gdzie oprócz zbieraniny mebli zobaczyli telewizor o przekątnej ponad dwóch metrów. Samira aż gwizdnęła.

– Samsung QLED osiem K – powiedziała z uznaniem. – Przekątna osiemdziesiąt pięć cali, rozdzielczość siedem tysięcy sześćset osiemdziesiąt na cztery tysiące trzysta dwadzieścia pikseli... Gadżet za co najmniej dziesięć patoli. I pomyśleć, że sama o czymś takim marzę.

Debrandt roztropnie powstrzymał się od komentarza.

– Nadal pan nie wie, gdzie jest pana syn?

Mężczyzna miał taką minę, jakby wietrzył podstęp.

– Nie.

– Nie dzwonił do was?

Paul Debrandt na chwilę się zamyślił. Już miał odpowiedzieć, ale uprzedził go ostry jak brzytwa, wysoki kobiecy głos:

– Nie. Tak jak mówiliśmy, nie odzywa się od prawie dwóch tygodni.

Jak jeden mąż odwrócili się w stronę matki Kevina, która pojawiła się w progu kuchni; zaciągała się papierosem, w drugiej ręce trzymała popielniczkę. Jak to często bywa w małżeństwach, była w jakiś sposób podobna do pana Debrandta – z tą różnicą, że miała popielate włosy opadające jej na ramiona jak kotara. I dodatkowy bonus w postaci oczek lśniących jak monety oraz miny psa, który gotów jest kąsać każdego, kto spróbowałby go pogłaskać.

A potem do pokoju wpadła banda dzieciaków. Przeleciały przez środek jak błyskawica, rozwrzeszczane i rozchichotane. A to ci urwisy, pomyślał Servaz, zauważając przy okazji, że ma przed sobą nieodrodne Debrandciątka.

– Kiedy dokładnie? – zapytał, gdy nalot minął.

Kobieta zakasłała, zupełnie nieskrępowana faktem, że pali w obecności dzieci. Zastanawiała się przez chwilę.

– Ostatni raz widzieliśmy go w sobotę. Nie w ostatni weekend, w poprzedni.

– Siedemnastego – powiedziała Samira, zerknąwszy na telefon.

– Często zdarzało mu się nocować poza domem?

Matka Kevina wzruszyła ramionami.

– Syn rzadko sypiał tutaj... Wpadł tylko po jakieś rzeczy i wyszedł – odparła z zaciętą miną.

– A czy wie pani, gdzie mieszkał w pozostałe dni?

Zaprzeczyła gestem pełnym najgłębszej obojętności.

– Jest nieletni, więc nie jeździ samochodem – powiedział Servaz. – Jak się tutaj dostawał? Mieszkacie na uboczu.

Dom leżał około dwóch kilometrów od najbliższego miasteczka, na północny wschód od Tuluzy.

– Ma skuter – odpowiedział ojciec.

– W jakim kolorze?

– Niebieski.

– Zna pan numery?

Mężczyzna sięgnął do szuflady w kredensie pod wyciszonym gigantycznym telewizorem, w którym prezenter nie przestawał gardłować o wyborach w USA. Wrócił z papierami i podał je Servazowi.

– Możemy je zatrzymać? Oddamy.

Ojciec w milczeniu skinął głową.

– I od dziesięciu dni do państwa nie dzwonił ani nie esemesował?

Matka pokręciła głową i strząsnęła z papierosa popiół w kolorze swoich włosów.

– Przecież mówiliśmy.

– I nie zmartwiło to pani?

– Kevin nie jest dzieckiem. Taki już jest, przychodzi i odchodzi – powiedziała. – Rzadko się odzywa. Chyba że potrzebuje pieniędzy.

Prawie słowo w słowo to samo, co powiedział Chérif o swoim młodszym bracie, pomyślał Servaz.

– Co się dzieje? – zapytała matka tonem, w którym wreszcie dało się wyczuć lekką nutę niepokoju. – Czy coś mu się stało?

Najwyższy czas, żebyś zaczęła się niepokoić, stwierdził w duchu Servaz. Chyba że wiesz, co się stało z twoim synem.

– Właśnie próbujemy to ustalić, proszę pani – odparł, patrząc jej w oczy. – Czy tym razem prosił was o pieniądze?

Spojrzała na niego prowokująco, wydmuchując w jego stronę smugę dymu.

– Może i tak.

– Poproszę państwa o zapisanie tutaj waszych numerów telefonów – powiedział, wręczając im notes i długopis. – Damy znać, jeśli czegoś się dowiemy.

Bez słowa wykonali polecenie.

Niezbyt gadatliwi ci Debrandtowie, pomyślał. Choć ich syn zniknął, nie popadają w przesadną czułość. A instynkt macierzyński rodzicielki jest ograniczony do absolutnego minimum.

– Jezu, tych ludzi nawet nie obchodzi, gdzie nocuje ich syn – skomentował Raphaël, kiedy wrócili do samochodu.

Były to jego pierwsze słowa od czasu zdarzenia w squacie.

Servaz spojrział na zegarek: dochodziło południe. W drodze powrotnej znowu przejechali przez miasteczko. Ceglane fasady typowe dla południowego wschodu Francji, placyk z zakurzonymi platanami przed kościołem, główna ulica o nazwie, nomen omen, rue Principale, kilka sklepów, bank.

– Stop – rzucił nagle Servaz. – Stań tutaj.

– Co? Zobaczyłeś coś?

– Bank.

– Chcesz wypłacić pieniądze?

– Nad wejściem jest kamera.

– Naprawdę uważasz, że...?

– Co nam szkodzi spróbować – stwierdził, wpisując datę, zakres dochodzenia i numer postępowania do wstępnie wypełnionego i opieczętowanego formularza rekwizycji sądowej, który wyjął ze schowka.

Nieoczekiwana wizyta najwyraźniej ucieszyła dyrektora agencji banku. Śledztwo policyjne to było coś w zestawieniu z nudną rutyną. Przez większość czasu w prowincjonalnej agencji niewiele się działo. Odległa od newralgicznych ośrodków placówka była trochę jak forteca z *Pustyni Tatarów*.

– Zapraszam – powiedział, otwierając drzwi klitki bez okien.

Pokoik wypełniały metalowe regały uginające się pod ciężarem kartonów i teczek; w jednym kącie znajdował się stół z dwoma monitorami i komputerem. Na ekranach przesuwaly się obrazy ukazujące ulicę i wnętrze banku. Dyrektor pochylił się nad nimi.

– W tej kamerze widać wejście, które nas interesuje – powiedział Servaz.

Miał nadzieję, że mimo wytycznych dla urządzeń monitoringu w przestrzeni publicznej nie filmowała tylko chodnika. Dyrektor powiększył obraz na pełen ekran. Bingo. Ujrzeni oba pasy wąskiej rue Principale.

– O który dzień chodzi? – zapytał dyrektor, zionąc zza maski zapachem miętowych pastylek.

– Siedemnasty października – odparł Raphaël.

Mężczyzna cofnął nagranie. W prawym górnym rogu ekranu Servaz zobaczył datę i godzinę. Przed kamerą przesuwali się piesi, samochody i jednoślady. Wisienka na torcie: obraz był kolorowy. Nie było jednak tłumów: najwyraźniej główna ulica miasteczka wcale nie należała do najbardziej uczęszczanych – czasem przez dwie czy trzy minuty nikt się nie pojawiał.

– Może pan przyśpieszyć? – zniecierpliwiła się Samira.

Bankowiec spojrział na nią z lekkim niepokojem. Miała na sobie prześwitujące wzorzyste legginsy wpuszczone w bardzo wysokie sznurowane botki, czarne mitenki, skórzaną kurtkę i jak zwykle przesadziła z kredką do oczu i cieniem do powiek.

– Oczywiście.

Obraz oszalał. Servaz próbował się skupić na jednośladach. Nie było ich zresztą bardzo dużo.

– Tutaj! – zawołał nagle Katz.

– Stop – zarządził Servaz. – Proszę cofnąć. Już. A teraz niech pan odtworzy w normalnym tempie.

Dyrektor wykonał polecenie z gorliwością ochroniarza zatrudnionego na czas określony. Przejechał jeden samochód, za nim drugi, potem przez chwilę nic się nie działo i oto nagle na ekranie pojawił się niebieski skuter.

– Tu.

Stopklatka. Nachylili się do monitora. Mimo że kierowca miał na głowie kask, nie było najmniejszych wątpliwości: młodym mężczyzną na skuterze był Kevin Debrandt.

– Jeszcze raz – powiedział Servaz.

– Od początku? – zaniepokoił się dyrektor agencji, który zaczynał sobie uświadamiać, że prowadzenie śledztwa to praca, która ma niewiele wspólnego z tym, co pokazują w serialach.

– Od chwili, kiedy się pojawił.

Już wcześniej w przyspieszonym tempie przejrzeni nagranie od momentu pojawienia się Kevina aż do zmroku. I nic. Ani śladu po skuterze. Albo go przeoczyli, albo więcej tamtędy nie przejechał.

Ale ulica była ślepa. Służyła za dojazd do garstki niedawno zbudowanych identycznych rezydencji, a także nieużytku, na którym wznosił się dom Debrandtów. Po półgodzinie zatrzymali przyspieszone odtwarzanie: Kevin Debrandt nie przejechał drugi raz przez miasteczko.

– Myślisz o tym co ja? – zwróciła się Samira do Martina.

Skinął głową.

– Albo rodzice mają coś wspólnego z jego zniknięciem, albo porwano go po drodze z domu do tego miejsca. Trzeba tam wrócić i sprawdzić te dwa kilometry. Proszę odłożyć te nagrania gdzieś na bok – polecił dyrektorowi.

Bo jeśli Kevin Debrandt został porwany po wyjściu z domu rodziców, istniało duże prawdopodobieństwo, że kamera nagrała samochód porwacza.

– Niech pani tutaj zatrzyma! – zawołał Katz z tylnej kanapy.

Wyjechali właśnie z krótkiego tunelu przebiegającego pod linią kolejową Auch-Tuluza, jakiś kilometr od granic miasteczka. Samira zahamowała. Zaparkowała za wiaduktem. Wysiedli z samochodu i ruszyli za młodym detektywem, który już szedł w stronę ciemnego otworu.

– Tutaj – powiedział, odwracając się do nich.

Wskazywał na barierkę zabezpieczającą w tunelu. Servaz włączył latarkę. Raphaël Katz miał dobry wzrok: na metalowej barierce widać było dużą plamę niebieskiej farby, na oko identycznej jak kolor skutera, a na ziemi kawałki potłuczonych świateł.

Servaz zrobił krok naprzód. Jakiś samochód minął ich, trąbiąc. Martin skierował strumień światła w dół – na żwir na skraju drogi i rosnącą dalej trawę – tam, gdzie połyskiwały odłamki plastiku. Wstrzymując oddech, spojrzał na Samirę, a potem znowu na pobocze.

Krew... Miał przed oczami plamę zakrzepłej krwi o średnicy około dziesięciu centymetrów, znajdującą się częściowo na żwirku, a częściowo na trawie, którą osłaniał od deszczu pomost wiaduktu.

Technik, który kuczał obok barierki, zdejmował właśnie próbkę zaschniętej krwi za pomocą wacika zwilżonego solą fizjologiczną.

– Zabezpieczę jeszcze trochę żwiru i trawy – wyjaśnił.

Servaz wiedział, że w sprawach przestępczości masowej – drobnych kradzieży, włamań do domów i samochodów – nawet jeśli daje się zabezpieczyć próbki ze śladami DNA, laboratorium woli materiał pobrany wacikiem, by uniknąć gromadzenia dodatkowych próbek. Ale tutaj nie chodziło o zwykłe śledztwo. Zastosowano specjalne środki: ruch został wstrzymany, a kilku techników uwijało się w poszukiwaniu śladów. Na zewnątrz lał deszcz, układając się po obu końcach krótkiego tunelu w półprzejryste, brudne zasłony.

Servaz przyglądał się przez chwilę krzątaniu techników, po czym odwrócił się do Samiry i Katza.

– Porywacze musieli mu zajechać drogę pod mostem – powiedział. – Pewnie zaczęli, aż będzie pusto, i dopiero wtedy zaatakowali. Kevin na skuterze wpadł na barierkę i albo zranił się do krwi wskutek uderzenia, albo oni go pobili przed porwaniem.

– Albo jedno i drugie – dodała Samira.

– W takim wypadku byłoby więcej krwi – zaproponował Katz.

Servaz machnął ręką na te dywagacje.

– Ci, którzy go porwali, są metodyczni i zorganizowani, ale do tej pory nie troszczyli się o zacieranie śladów, bo byli pewni, że nikt nie powiąże tej sprawy z porwaniem Moussy. I gdyby nie dwukrotne zrządzenie losu: po pierwsze ten wypadek, a po drugie włos w zamku, tak właśnie by było. – Przerwał na chwilę. – Ważne, że nie ma tutaj skutera. To znaczy, że musieli go stąd zabrać razem z chłopakiem i skitrać gdzieś, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Czyli mają wystarczająco duży samochód. Trzeba wrócić do banku i jeszcze raz przejrzeć nagrania. Droga jest ślepa, więc musieli wracać przez miasteczko.

Tym razem dyrektor okazał się mniej chętny do współpracy. Jednak ich powrót go zaintrygował: czyżby coś znaleźli? Był człowiekiem niepoprawnie ciekawskim i wielkim miłośnikiem plotek. Jeszcze raz zaprowadził ich do pokoiku bez okna.

– Czy będę państwu potrzebny? – zapytał, włączony komputer.

– Nie, dziękuję, poradzimy sobie – odparła Samira.

Na ekranie znowu zaczął się przesuwac sznur samochodów i pieszych. Zatrzymywali odtwarzanie, ilekroć – a nie było to często – po przejeździe Kevina zauważyli furgonetkę lub ciężarówkę jadącą w stronę wiaduktu. Tylko dwa spośród czterech takich samochodów przejechały obok banku dwukrotnie: brudny biały transit z logo jakiejś firmy hydraulicznej i czarny volkswagen van o przyciemnianych szybach.

– Najpierw sprawdź volkswagena – zwrócił się Servaz do Samiry, która już sięgała po telefon.

Zobaczył, jak wstała.

– Mamy do sprawdzenia cztery rejestracje, to nie powinno zająć zbyt dużo...

– zaczął chwilę później Katz.

Servaz powstrzymał go gestem. Spoglądając ponad ramieniem porucznika, zauważył twarz Samiry. Kobieta wpatrywała się w Servaza z dziwną miną. Poczuł, jak przyśpiesza mu tętno.

– Co? Co jest? – zapytał.

– Chujnia. Właścicielem vana jest policjant.

– Nazywa się Serge Lemarchand – powiedziała Samira.

Skinął głową.

– Sierżant zatrudniony na stanowisku oficera w referacie prewencji w komisariacie północnym – dodała.

– Tak, wiem, kto to jest – odparł Servaz.

Pamiętał go. Gość około czterdziestki, z brzuszkim. Czupryna kręconych, kasztanowych włosów i wory pod bladymi, wodnistymi oczami. Nieufne spojrzenie. Brał udział w operacji prowadzonej w czerwcu 2018 przez Departamentalny Wydział Bezpieczeństwa, dzięki której została rozbita bułgarska siatka zajmująca się handlem ludźmi działająca w romskim obozie przy chemin de Gabardie na północ od Tuluzy. Ci Bułgarzy byli znacznie mniej wrażliwi i romantyczni niż Radomil: sprowadzali obywateli swojego kraju, których wcześniej namierzali w najsłabszych społecznościach, mając ich perspektywę ziemi obiecanej. Później we Francji konfiskowali ich paszporty, znęcali się nad nimi i zmuszali do żebrania na rondach w Minimes i Ponts-Jumeaux. Kilku opornych zasztyletowano, innych tłuczono kablami, przywiązywano do drzewa na całą noc, jeszcze inni zginęli pod kołami samochodu. Stu sześćdziesięciu funkcjonariuszy, w tym stu dziesięciu śledczych, którzy uczestniczyli w operacji, znalazło grupę zmaltretowanych ludzi – z połamanymi kończynami i ranami, które świadczyły o ich codziennej udręce. Oprawcy wozili się tymczasem luksusowymi limuzynami i często kursowali między Francją a Bułgarią.

Servaz został zaproszony przez Wydział Bezpieczeństwa do udziału w akcji rozbijania siatki, ponieważ kilku Bułgarów podejrzewano o zamordowanie policjanta, a śledztwo w tej sprawie prowadzili właśnie kryminalni. Obserwując przesłuchania, bardzo szybko zrozumiał, że choć Lemarchand jest tylko sierżantem, to on – dzięki swojemu doświadczeniu i gorliwości – ma w grupie dominującą pozycję. Facet nie zrobił na nim dobrego wrażenia. Był gliną starej daty w negatywnym znaczeniu tego słowa: uciekał się do wszelkich możliwych sztuczek i z pewnością częściej niż on sam przekraczał granice, zapomniawszy po drodze o różnicy między dobrem a złem.

– O tej porze Lemarchand powinien być na komisariacie albo z kolegami w terenie – powiedział. – Najpierw sprawdzimy, czy nie zgłosił kradzieży samochodu. Potem zaczekamy, aż skończy pracę i wróci do siebie, i zadamy mu parę pytań. Policjant w domu zawsze jest słabszy. Po za tym nie chcę, żeby jego koledzy widzieli, że z nim rozmawiamy. Znam ten typ. Stary dobry materiał. Trudny do obróbki.

Wyjął telefon i zadzwonił do sędziego Nogareta.

– Jak tam, komendancie? Jakież to błyskotliwe wyniki śledztwa ma dla mnie tym razem policja? Nie mogę się doczekać – zażartował.

Ironia nie umknęła Servazowi. Nogaret nigdy nie tracił okazji, by poniżyć gliny. To było silniejsze od niego. Servaz miał ochotę go usadzić, ale wiedział, że dalszy ciąg śledztwa zależy w dużym stopniu od sędziego śledczego.

– Możliwe, że mamy jeszcze jedną... – powiedział bez zastanowienia.

– Jeszcze jedną co? Nie jestem miłośnikiem zagadek, komendancie.

Servaz zaklął w duchu.

– Jeszcze jedną ofiarę. Możliwe, że nie tylko Moussa Sarr padł łupem tych... myśliwych.

Po drugiej stronie słuchawki na chwilę zapadła cisza.

– To znaczy?

Servaz opowiedział mu o włosie, który utknął w zamku. A potem o zniknięciu Kevina Debrandta, którego od dwóch tygodni nikt nie widział. O tym, że być może porwano go pod wiaduktem. Powstrzymał się natomiast na tym etapie od wspomnienia o podejrzeniach ciężących na policjancie, choć wiedział, że Nogaret rzuciłby się pewnie na tę informację jak szczerbaty na suchary.

– Potrzebne nam billingi z telefonów rodziców. I historia logowań aparatu Kevina Debrandta.

– W porządku – powiedział sędzia.

– I jeszcze coś.

– Słucham?

– Musielibyśmy przesłuchać Bernarda Lantenaisa i jego żonę.

Znowu milczenie.

– Jest pan pewien?

– Tak. Zostali napadnięci i obrabowani w swojej willi przez Kevina Debrandta i jego współnika, którego nie zidentyfikowano.

– Tak, przypominam sobie tę sprawę – powiedział sędzia.

– To był ostatni wyrok Kevina przed jego zniknięciem. Nie możemy lekceważyć żadnego tropu. Jeśli jacyś przestępcy na wolności są zamieszani w tę

historię, to nie przez przypadek. Musi to mieć jakiś związek z ich przeszłością.

– Dobrze, prześlę panu nakaz mailem. Ale niech pan nie naciska na Lantenausów. Dobra robota, komendancie – pochwalił go.

Servaz był zaskoczony. Spodziewał się raczej złości.

Stali przed monumentalną bramą przy rue Dalbelle w historycznym centrum miasta. Jest zbyt wąska, żeby zmieścić się w niej powóz z czasów, gdy została zbudowana, pomyślał Servaz. Bramę zdobiły kolumny korynckie i przepiękne manierystyczne dekoracje utrzymane w stylu tuluskiego renesansu.

– Kurwa, że też ktoś chce mieszkać w takim miejscu – skomentowała Samira, kończąc kanapkę. – Gdybym miała tyle kasy co oni, kupiłabym chatę na Seszelach.

Było po piętnastej. Przestało padać, ale niebo wciąż wyglądało groźnie. Servaz powstrzymał się od wyznania Samirze, że sam ani trochę nie chciałby spędzić emerytury na plaży, wysmarowany balsamem do opalania, i że to miejsce jest jednym z licznych tajemniczych zakątków, dzięki którym kocha Tuluzę. Teraz jednak nie kontemplował rzeźbionego portyku, lecz przyglądał się kamerze i klawiaturze do otwierania bramy. Przeczytał raport ze śledztwa: kamerę unieszkodliwiono za pomocą farby w spreju i napastnicy weszli do środka, używając kodu. Znalazłszy się za bramą, nie wahali się ani przez chwilę: Kevin Debrandt znał rozkład podwórza. I nic dziwnego, ponieważ był chłopakiem córki bankowca. To ona podała mu kod. Śledczym nie udało się jednak wyjaśnić, czy zrobiła to przy innej okazji, czy też współpracowała z Kevinem. Tak czy owak, nie postawiono jej żadnych zarzutów.

Servazowi przemknęła przez głowę pewna myśl. Jedną rzecz należało sprawdzić: Moussa Sarr znał Ariane Hambrelot, Kevin znał Apolline Lantenais. Dwie córki tatusiów. Nawet jeśli popełnione przez nich przestępstwa nie miały ze sobą nic wspólnego, to czy Moussa i Kevin się znali?

– Minutkę – powiedział, wyrzucając zatłuszczony papier po pan bagnat do kosza i sięgnął po papierosa.

Gdy skończył palić, zadzwonili do bramy. Samira przedstawiła ich przez domofon. Zamek zabrzączał i brama się otworzyła. Za ciężkim drewnianym skrzydłem znajdowało się podwórze wąskie jak studnia – jednak była to studnia ozdobiona imponującymi, kunsztownymi ornamentami.

Servaz omiótł wzrokiem rzeźby atlantów i kariatyd, medaliony i żłobione gzymsy, arkady na parterze i witraże w oknach na piętrach – i nigdzie nie

dostrzegł więcej kamer. Z trzech stron podwórze otaczały skrzydła budynku, z czwartej zamykał je mur z bramą. W dwóch oknach na pierwszym piętrze zauważył światło: podwórze nawet w środku dnia było ciemne, a teraz niebo zasnuwały chmury.

– Jak w muzeum – stwierdziła Samira, którą od zadzierania głowy rozboleła szyja.

Uświadomił sobie, że to już drugi bankowiec tego samego dnia. Ale pracownik agencji i Bernard Lantenais to zupełnie inna liga. Servaz zasięgnął informacji: Lantenais był potomkiem jednego z najstarszych tuluskich rodów, w którym zawód bankowca stał się już tradycją. Ale przodek Bernarda, Auguste Lantenais, w XIX wieku zbił fortunę na ornamentach z terakoty, technice odpowiadającej zapotrzebowaniu na przepych wśród bogatego mieszczaństwa tamtej epoki. Wujek Google nie mówił, kiedy rodzina przerzuciła się z terakoty na finanse, jednak Lantenaisowie od kilku pokoleń należeli do lokalnej śmietanki. Servaz po raz kolejny uświadomił sobie, że śledztwo będzie pełne pułapek.

– Tutaj. – Samira wskazała na zdobione drewniane drzwi pod arkadami.

Tuż za drzwiami znajdowały się kręcone schody prowadzące prosto na piętro. Wewnątrz panował wilgotny chłód jak w podziemnym lochu. Drżąc z zimna, pokonali wysokie kamienne stopnie. Bankowiec czekał na nich na górze, gdzie temperatura była przyjemniejsza. Nawet bankierzy oszczędzają, pomyślał Servaz.

– Komisarzu – zaczął Lantenais.

– Komendancie.

Dół twarzy gospodarza był zasłonięty czarną maseczką, przez co jego stalowoszare oczy były jeszcze bardziej wyraziste. Trudno też było oszacować jego wiek, ale Servaz wyczytał wcześniej, że mężczyzna tak jak on ma pięćdziesiąt jeden lat, choć on sam nie miał aż tylu siwych włosów. A przede wszystkim nie paradował po własnym mieszkaniu w jedwabnym krawacie i szlafroku za kosmiczne pieniądze.

– Proszę za mną.

Ruszyli korytarzem zwieńczonym wysokim kasetonowym sufitem po woskowanym parkiecie, który skrzypiał pod ich stopami, tak jak skrzypią podłogi w domach bogaczy. Na ścianach z surowego kamienia wisały zabytkowe gobeliny, pomiędzy którymi na jaskrawych cokołach ustawiono współczesne rzeźby. Ta mieszanka staroci i nowoczesności przypominała

Martinowi salę kapiteli rzymskich w Musée des Augustins. Przy tym w willi było tak ciemno, że od rana do wieczora musiały być włączone światła.

– Proszę spocząć.

Mężczyzna wskazał im ciemnoczerwone skórzane sofy. Salon, w którym się znaleźli, wymiarami prawie dorównywał hali dworcowej. Mężczyzna podszedł do niewielkiego barku, na którym królował ekspres do kawy.

– Kawy?

Wokół było cicho jak makiem zasiał. Servaz zastanawiał się, gdzie są pozostali domownicy. Zapewne spędzali listopadowe ferie w jakimś weselszym miejscu. Bo to tutaj przypominało grobowiec. Martin i Samira nie skorzystali z propozycji. Lantenais usiadł naprzeciwko nich z filiżanką gorącego napoju.

– Panie Lantenais, prowadzimy śledztwo w sprawie zniknięcia Kevina Debrandta – zaczął Servaz. – Zakładam, że to nazwisko coś panu mówi?

Gospodarz zmrużył oczy i nie odrywając filiżanki od ust, skinął głową.

– Mamy wszelkie podstawy, aby sądzić, że chłopak został porwany.

– Nie rozumiem, w jakim sensie ta sprawa miałaby mnie dotyczyć – odparował Lantenais. – Porwania to powszechna praktyka stosowana w ramach wyrównywania rachunków. Kto jak kto, ale państwo dobrze wiecie, że to miasto upodabnia się do Marsylii i Grenoble.

– Czy to prawda, że pana córka była... w związku z Kevinem Debrandtem? Tak pan zeznał po włamaniu.

Lantenais spojrzał na niego z obojętną miną.

– Czytał pan moje zeznania, po co mi je pan powtarza?

– Czy mógłby nam pan jednak opowiedzieć o tamtym napadzie?

Mężczyzna westchnął. Nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Sądzę, że wszystko już wiecie z akt, ale dobrze. Skoro pan uważa, że to może pomóc... Byłem w łóżku i obudziło mnie brzęczenie bramy otwieranej kodem. Mam lekki sen. Apolline tamtego wieczoru wyszła, więc sądziłem, że to ona. Stałem na szczycie schodów, tam, gdzie dziś czekałem na was, i nagle pojawiło się na nich dwóch osobników w kominiarkach, którzy ruszyli w moją stronę. Zanim zdążyłem zareagować, psiknęli we mnie gazem łzawiącym, uderzyli mnie i zaciągnęli tutaj, do salonu, gdzie związali mnie plastikową liną, zakneblowali i zostawili na dywanie. Potem poszli po moją żonę do sypialni, która znajduje się na drugim końcu domu, i przyprowadzili ją. – Lantenais wziął głęboki wdech. – Prawie naga. W samych majtkach. Była przerażona. Ja również. Płakała, błagała ich. Rzucili ją na sofę, na której pan siedzi. I znowu zaczęli mnie bić. Grad ciosów. Wyglądali na wściekłych.

Servaz zobaczył, że w szarych oczach mężczyzny pojawił się strach.

– Myślałem, że nas zabiją – kontynuował bankowiec drżącym głosem. – A potem zapytali mnie, gdzie przechowuję kosztowności. Kiedy zwlekałem z odpowiedzią, podeszli do Françoise i zaczęli ją... obmacywać i robić aluzje seksualne. To było obrzydliwe. – Pokręcił głową. – Oczywiście powiedziałem im, gdzie jest sejf, i podałem szyfr. Ukradli biżuterię, zabrali też nasze zegarki, telefony, laptop, w końcu wyszli tak samo jak się pojawili. Było około trzeciej w nocy. Chwilę później zasnąłem. Straciłem przytomność. Na szczęście żona wezwała pogotowie.

Servaz skinął głową. Françoise Lantenais otrzymała pomoc psychologiczną, jej mąż nie chciał skorzystać ze wsparcia. Na chwilę zapadła cisza.

– W raporcie jest kilka luk – powiedział Martin.

Lantenais zrobił poważną minę.

– Jak to?

– Czy oprócz bramy na noc zamykacie państwo drzwi na dole schodów?

– Jesteśmy w Tuluzie. Jak pan sądzi?

– Ale zamek nie został wyłamany. Wygląda więc na to, że mieli wytrych albo zapasowe klucze, ale Kevin nie odpowiedział na to pytanie. Czy sądzi pan, że pańska córka mogła być jego współniczką?

Bernard Lantenais wyprostował się i spiorunował go wzrokiem.

– Absurd! To żalosne.

– Panie Lantenais, czy córka jest w domu?

– Tak, ale...

– Czy moglibyśmy jej zadać kilka pytań?

– A czy jesteście do tego upoważnieni? – zdenerwował się Lantenais.

– Jeśli pan chce, możemy zadzwonić do sędziego. Wezwie ją na przesłuchanie do swojego biura.

Przez szare oczy mężczyzny przemknął błysk prawdziwej furii.

– To jest właśnie policja! Zamiast się zajmować bandziorami i kryminalistami, którzy chodzą wolno po mieście, wolicie się czepiać uczciwych ludzi: fakt, to mniej ryzykowne – wyrzucił z siebie.

Zaczyna się, pomyślał Servaz. Przez długi czas sądził, że jest odporny na takie zachowania. Musiał jednak przyznać, że na dłuższą metę zaczynały go one dotykać, jak przypływ, który każdego dnia podmywa podstawę klifu. Były jak powoli, podstępnie działająca trucizna. Która niszczy najbardziej zahartowane dusze. Dziś nikt już nie chce być policjantem. Policja stała się piorunochronem dla wszystkich frustracji i pretensji.

Apolline Lantenais bezsprzecznie przypominała im Ariane Hambrelot. Takie same blond włosy, taka sama blada cera. Jak siostry. Ale o ile młoda Hambrelot była małym, przerażonym, rozdygotanym zwierzątkiem, o tyle Apolline Lantenais emanowała buntem.

Patrzyła na nich twardo, z najwyższą klasową pogardą.

– Wiesz, gdzie jest Kevin? – zapytał Martin.

– Nie.

Poprosili o możliwość przesłuchania jej bez obecności ojca. Apolline Lantenais wyłoniła się z czeluści domu, cicha jak duch, od początku okazując wrogość i dystans, z których później również nie zrezygnowała.

– Nadal jest twoim chłopakiem?

– Nie.

– Jesteś tego pewna?

Westchnęła.

– Kurwa, nie jest. Nie po tym, co zrobił mojej matce!

– On i jego wspólnik pobili też twojego ojca – zauważył Servaz.

– I co z tego? Przecież przeżył, nie?

Zszokował ich lodowaty ton tej odpowiedzi.

– Przypominasz sobie, kiedy ostatni raz rozmawiałaś z Kevinem?

– Tak. W sądzie.

– I o czym rozmawialiście?

– Powiedziała mu, że jest dupkiem i skurwysynem.

– Kontaktował się z tobą później?

– A niby po co? – odwarknęła.

– Odpowiedz, proszę.

– Nie.

Servaz bezwiednie przełknął ślinę. Tą swoją wrogością i wściekłością dziewczyna działała mu na nerwy.

– Wiedziałaś, że znali kod do bramy?

– Tak, tamte psy mi powiedziały – słowo „psy” wypowiedziała z całą bezczelnością, na jaką było ją stać.

– Ty dałaś Kevinowi kod?

– Kurwa, odpowiadałam już na to pytanie. Nigdy się ze sobą nie komunikujecie?

Jej głos przepełniał zimny gniew. Servaz zignorował zaczepkę.

– Powiedziałaś, że od czasu do czasu wpadał tu do ciebie pod nieobecność twoich rodziców i że przy takiej okazji podałaś mu kod.

– Właśnie.

Wciąż ta sama arogancja.

– A twój ojciec? Co sądził o waszym związku? – zapytała Samira, która do tej pory się nie odzywała.

Młoda kobieta spojrzała na Francuzko-Chinko-Marokankę, na dłużej zatrzymując wzrok na jej stroju i piercingach.

– Jesteś gliniarą? Bez jaj! – zarechotała drwiąco.

– Jeszcze raz odezwij się do mnie w ten sposób, a dostaniesz w ryj – powiedziała Samira.

Apolline Lantenais szeroko otworzyła oczy.

– Złożę skargę do...

– Zamknij się.

Słowa Samiry były jak trzaśnięcie z bicia. Wbiła w Apolline groźne spojrzenie czarnych jak węgiel oczu. Dziewczyna odpuściła, wzruszając ramionami, reakcja policjantki zbiła ją z tropu tak samo jak jej wygląd.

– No więc? Co sądził? – powtórzyła Samira.

– A jak myślisz? Nie cierpiał Kevina. Chciał, żebym z nim zerwała.

– Gdzie się poznaliście?

– Na imprezie studenckiej, na którą jakoś się wkręcił. Od razu się zorientowałam, że nie jest taki jak inni, że nie jest studentem. Miła odmiana po tych wszystkich dupkach, którzy spędzają czas na naprawianiu świata i analizowaniu go swoim krytycznym umysłem, jakby mieli zielone pojęcie o tym, jaki naprawdę jest.

– Bo ty wiesz? – zażartowała Samira.

Apolline Lantenais tym razem nie odpowiedziała. Servaz wiedział, że jest o dwa lata starsza od Kevina. Co ją pchnęło w jego ramiona? Może po prostu chęć zrobienia na przekór rodzicom albo upajające wrażenie „dzikości”.

– Dlaczego szukacie Kevina? – zapytała.

– Obawiamy się, że coś mu się stało. – Servaz postanowił być szczery.

Młoda kobieta zamrugała. Przez jej twarz przemknął wyraz niepokoju.

– Powinniście o to zapytać mojego ojca – rzuciła.

Servaz pochylił się w jej stronę.

– Dlaczego?

Wyczuł jej wahanie.

– Kiedy się dowiedział, że Kevin jest na wolności, wiele razy powtarzał, że tego tak nie zostawi. Że sam się tym zajmie. Wyglądał przy tym na cholernie poważnego i wkurzonego.

– Myślisz, że twój ojciec mógł zatrudnić kogoś, żeby się zajął Kevinem?

– No, to by było całkiem w jego stylu – odpowiedziała, wpatrując się w swoje stopy.

Servaz i Samira wymienili spojrzenia.

– To poważne oskarżenie – powiedział.

– Uważa, że za swoją forszę może kupić wszystko i wszystkich. Gardzi ludźmi. Próbuje kontrolować moje życie, tak jak kontrolował życie mojej matki. Ale ja nie jestem moją matką.

– Dlaczego tak go nienawidzisz? – zapytała łagodnie Samira.

– Ponieważ to bogaty dupek. I pieprzony egoista. To przez takich jak on ten świat rozpada się na kawałki.

Servaz wiedział, że ten język ma przede wszystkim zaznaczyć różnicę między nią a ojcem oraz podkreślić jej przynależność do innej klasy społecznej niż on. Był to rodzaj gry, której jednak oddawała się z całą powagą.

Sięgnął do kurtki po zdjęcie. Przy okazji wyjął kompletnie spłaszczoną paczkę gum z nikotyną. Jak długo już tam była? Schował ją z powrotem i pokazał dziewczynie podobiznę Moussy Sarra.

– Kojarzysz tego chłopaka?

– Nie.

– Dziękuję. Na razie nie mamy więcej pytań.

– Nie ma problemu – odparła, nagle uspokojona, znowu spoglądając z byka na Samirę.

– Dzięki – powiedziała Samira i puściła do niej oko.

Młoda kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

Apolline Lantenais / Ariane Hambrelot. Bernard Lantenais / Clovis Hambrelot. Kevin Debrandt / Moussa Sarr. Martin zrozumiał, że trafili na jakiś trop. Na wspólny mianownik... Ulotny, ale zawsze to coś. Taka symetria nie jest przypadkowa. Zarysowywał się pewien kształt. Tylko co w tym wszystkim robił miłośnik kontrowersyjnych metod, skorumpowany glina Serge Lemarchand? Servaz drżał z niecierpliwości. Wiedział jednak, że trzeba czekać: wyniki badań, wykaz połączeń. Lantenais, Hambrelot... Miał już nie tylko przeczucie, ale wręcz pewność, że w tym śledztwie w każdej chwili mogą wejść na minę.

Zebrali się w sali na komendzie. Gawędzili, czekając, aż wybije dwudziesta. Kiedy na ekranie pojawił się Pałac Elizejski, umilkli. Najmłodszy prezydent V Republiki ogłaszał właśnie lockdown na kolejne tygodnie. Zamknięcie barów, restauracji, salonów fryzjerskich, księgarń, teatrów, kin, bibliotek, małych sklepików uznanych za „niekluczowe”. Ktoś wyłączył telewizor. Zapadła przedłużająca się cisza. A potem zaczęły padać pierwsze komentarze.

– Przed nami kupa roboty – podsumował jeden z zebranych.

Zapadł zmierzch. Dom Serge'a Lemarchanda rzucał na ulicę złowieszczy cień. Był wyższy i masywniejszy niż sąsiednie budynki, jakby policjant chciał pokazać, kto w tym rejonie jest samcem alfa.

Zaparkowali jakieś dwadzieścia metrów dalej, przy chodniku, i obserwowali willę. Zobaczyli zbudowany z piaskowca parter z dawno niemalowanymi garażowymi drzwiami i niewielkimi świetlikami chronionymi przez grube kraty. Do wejścia znajdującego się na pierwszym piętrze prowadziły pionowo betonowe schody. Servaz oszacował czas powstania budynku na lata pięćdziesiąte lub sześćdziesiąte XX wieku.

Nie wychodząc z samochodu, patrzyli na oświetlone okna. Van policjanta stał przed kutą bramą. Mężczyzna był w domu, jego sylwetka wielokrotnie mignęła w dwóch kuchennych oknach na południowo-wschodnim narożniku willi.

– Idziemy? – zapytał Katz.

Martin zastanawiał się, jak Lemarchand zareaguje. Sierżant był twardzielem. Odwiedzić takiego z zamiarem przesłuchania, to jak wypowiedzieć mu wojnę. A Servaz nie zamierzał się bawić w dyplomację. Chciał raczej sprowokować tamtego do reakcji, zobaczyć w jego oczach gniew, oburzenie albo przeciwnie – przebiegłość. Poczuł w żyłach przypływ adrenaliny, jak zawsze, gdy przygotowywał się do działania.

– Idziemy – powiedział, otwierając drzwi.

Raphaël Katz, który siedział z tyłu, wyczuł napięcie szefa grupy. Przeszli na drugą stronę spadzistej uliczki. Kiedy tylko stanęli na przeciwległym chodniku, w ich kierunku rzucił się owczarek niemiecki, stając na dwóch łapach, ujadając i trzęsąc bramą. Drzwi wejściowe u szczytu schodów otworzyły się na oścież i w progu stanął Lemarchand.

– Coście za jedni? – zapytał. – Z której jednostki?

Zrozumiał, z kim ma do czynienia, ale z powodu słabego oświetlenia ulicy nie mógł rozpoznać ich twarzy.

– Servaz! – rzucił Martin przez bramę. – Możesz zawołać psa?

– Servaz? Co cię tu sprowadza? Myślałem, że twoi ludzie mają teraz dość roboty w związku z tym czarnym dzieciakiem.

Dwa ostatnie słowa wypowiedział bez odrobiny współczucia. Moussa Sarr najwyraźniej był w jego oczach tylko kolejnym wyrzutkiem. Albo nawet kimś jeszcze mniej ważnym.

– Możemy wejść? Nie będziemy rozmawiać na ulicy.

– Otwarte.

Mówił ostrożnym, nieprzyjaznym tonem. Po żwirku przeszli przez podwórze, powoli gęsiego pokonali schody i stanęli na ganku.

– No dobra, to słucham – powiedział Lemarchand.

– Nie możemy wejść do środka?

– Nie.

Lemarchand stał na progu położonym nieco wyżej niż reszta ganku. Dzięki temu mimo bardzo średniego wzrostu górował nad wszystkimi. Facet był starym wygą. Szeroka twarz i lekko wyłupiaste, czujne oczy. Udawał obojętność, ale jego spojrzenie było niepokojąco intensywne.

– Czego, kurwa, chcecie? Nie mogliście mnie złapać w pracy?

– Zależało nam na dyskrecji – wyjaśniła Samira. – Pomyśleliśmy, że będziesz wołał porozmawiać na osobności.

– O czym?

Jego ton był coraz bardziej wrogi.

– Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, co robiłeś siedemnastego października w Grignac – powiedział Servaz. – A potem pogadać na inny temat.

– Nie kumam. O czym wy do mnie rozmawiacie?

Serge Lemarchand wytrzymał wzrok Servaza bez mrugnięcia. Kłamał i Servaz był tego świadom. Facet doskonale wiedział, o czym mówią kryminalni.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia Kevina Debrandta. Mówi ci to coś?

Ledwie dostrzegalne mrugnięcie. Lemarchand przygotowywał się do kolejnego kłamstwa. Nie zrobiłby kariery jako pokerzysta.

– Kurwa, dajcie sobie spokój z tymi zagadkami.

Servaz spojrzał funkcjonariuszowi z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego prosto w oczy.

– Żeby nie przedłużać. Siedemnastego października byłeś swoim vanem w miasteczku Grignac. Chcielibyśmy się dowiedzieć, co tam robiłeś.

– Na co wam ta wiedza?

Lemarchand nieporadnie badał teren.

– Najpierw odpowiedz.

Sierżant znowu zamrugął.

– Ach tak, już sobie przypominam. Jechałem przesłuchać podejrzanego. Tak, w Grignac. Siedemnastego albo osiemnastego października. To musiało być wtedy. W związku ze sprawą, którą prowadzimy.

– Z jaką sprawą? Możemy poznać nazwisko i adres podejrzanego?

Lemarchand zmarszczył brwi.

– Dlaczego mam wrażenie, że to ja jestem podejrzany? W czym problem? Dość tej ściemy. Albo mówicie, o co chodzi, albo spadajcie.

– Kevin Debrandt jest jednym z podejrzanych o brutalne włamanie do domu Bernarda Lantenaisa.

– Tak, słyszałem o tej sprawie. „La Dépêche” i „La Garonne” pisały o niej na pierwszych stronach. No i?

– Zniknął. Sądzymy, że został porwany między swoim domem a Grignac, dwa kilometry od miasteczka. Siedemnastego października. Tego samego dnia, kiedy tam byłeś. Pomyśleliśmy, że może istnieje jakiś raport, może ty też prowadzisz śledztwo w sprawie Debrandta.

Lemarchand skrzywił się sceptycznie. Nie był naiwny.

– Nie wciskaj mi kitu, Servaz. Czy ja śnię, czy insynuujecie, że mam coś wspólnego ze zniknięciem tego dzieciaka? Że niby zapakowałem go do vana? Pojebało was!

– A zapakowałeś? – szepnęła Samira niebezpiecznie oskarżycielskim tonem.

Sierżant poczerwieniał na twarzy. Patrzył to na Servaza, to na Samirę.

– Walcie się. Nawet nie wiem, kim jest ten chłopak.

Zbliżył się do Martina tak, że prawie go dotykał. Jego oczy lśniły wściekłością.

– A teraz zróbcie mi tę przyjemność i wypierdalajcie. Albo rozpowiem wśród kolegów, że szukacie winnego wśród swoich. To powinno się spodobać: policjanci, którzy nawet nie są z wydziału kontroli, ryją pod innymi policjantami.

Servaz stłumił gniew. Wobec funkcjonariuszy pokroju Lemarchanda czuł jedynie odrazę. Jednostki, które swoim zachowaniem przynoszą wstyd całej policji. Zgniłki, które dyskredytują pracę większości policjantów walczących każdego dnia z zepsuciem społeczeństwa toczonym gangreną przemocy i handlu narkotykami.

– Idziemy. Ale wrócimy tu – zapowiedział.

Był tego pewien. Kiedy schodzili po stopniach willi, a potem szli przez ogródek w stronę bramy, pewność ta wlewała się w niego jak lodowata woda: w zniknięcie Kevina Debrandta zamieszany był co najmniej jeden policjant.

– Kłamię – rzucił, otwierając drzwi od strony pasażera.

Lemarchand wciąż stał na szczycie schodów i nie spuszczał ich z oczu.

– Musimy się teraz skupić na nim.

– Nie będzie łatwo przekonać sędziego, żeby nas w tym poparł – zauważył Raphaël Katz.

– Może choć raz przyda nam się fakt, że Nogaret nienawidzi policji.

Na piętrze było cicho jak makiem zasiał. Najwyraźniej Radomil i Anastasia już spali.

Servaz cicho zamknął za sobą drzwi. Po jasnych rozbłyskach światła w salonie poznał, że telewizor jest włączony. Léa nie spała. Przekręcił klucz w zamku, zasunął dwa rygle. Cena, którą trzeba zapłacić za spokojne życie w mieście.

Wpatrywał się w wejście do salonu. Obawiał się chwili, kiedy Léa zakomunikuje mu swoją decyzję. Na myśl o tym poczuł ucisk w żołądku. Jego odwaga gdzieś uleciała. Miał już dość wrażeń na ten dzień. Bezszelestnie skierował się w stronę łazienki.

Roland Neveu był handlowcem. Sprzedawał środki ochrony roślin. Od ponad dwudziestu lat przemierzał drogi Ariège i Haute-Garonne, zaopatrując rolników w substancje grzybobójcze, chwastobójcze i pestycydy. Doskonale wiedział, że niektóre z tych produktów to trucizny, prawdziwe bomby chemiczne z opóźnionym zapłonem, które statystycznie rzecz biorąc, zmniejszają spodziewaną długość życia jego klienteli, ale mówił sobie, że na coś trzeba umrzeć. Wypadek samochodowy, zawał serca, pożar w wyniku zwarcia instalacji elektrycznej czy rak: cóż za różnica? Kilka lat w tę czy w tamtą: i co z tego? Czy człowiek jako jednostka jest aż tak ważny, żeby miał żyć sto lat?

Dobrze zarabiał i lubił spotykać się z tymi ludźmi, którzy zawsze podejmowali go dobrą kawą, kawałkiem tarty, obdarowywali płodami z własnego pola – i opowiadali mu o swoim życiu. W kolejnych latach śledził karierę ich dzieci, które nie chciały przejąć rodzinnego gospodarstwa i wyjeżdżały studiować w mieście, obserwował starzejących się, niedołęznijących rodziców, którym coraz trudniej było stawiać czoło rzeczywistości, młodych rolników, którzy przyjeżdżali na ojcowiznę, by zrealizować marzenia o sielskim życiu, i takich, którzy bankrutowali – jeden czy dwóch nawet popełniło samobójstwo.

Lubił też przemierzać swoim zabytkowym fordem mustangiem pofałdowane, zieloniejące krajobrazy. Ekolodzy fantaści, politycy ze swoimi planami zabudowy, dziennikarze i ich newsy. W telewizji i prasie wszystko kręciło się wokół miast. A przecież ten kraj stoi wsią. I wieśniakami.

Tego wieczoru po ostatnim spotkaniu wracał do swojego hotelu na peryferiach Foix. Miał za sobą długi, wyczerpujący dzień i był spóźniony – naruszył też godzinę policyjną – ale się uśmiechał: był zadowolony ze swoich wyników. Zresztą ryzyko kontroli w tym miejscu było minimalne. Choć niezbyt lubił jeździć tutejszymi opustoszałymi drogami po zmroku. Zawsze czuł się w takich sytuacjach jak na planie horroru, gdzie bohaterom, którzy wpadli na kiepski pomysł samotnego włóczenia się nocą po odludziu, przytrafiają się złe rzeczy.

Dla podkreślenia atmosfery padał deszcz. Walił o dach mustanga, a wycieraczkom trudno było walczyć z zasłoną brudnej wody, która zalewała przednią szybę i zniekształcała obraz. Zresztą nie było widać dalej niż na odległość świateł, ponieważ w takiej okolicy próżno byłoby oczekiwać latarni czy linii na drodze. Nic, tylko atramentowa czerń i połyskujące krople deszczu.

Jechał więc z prędkością znacznie mniejszą od dozwolonej. Tuż przed północą zobaczył wydobywający się spod maski biały dym – jak po wyborze nowego papieża. Cholera... Najpierw pomyślał, że to po prostu deszcz, który zmienia się w parę przy zetknięciu z nagrzaną blachą, ale nie: to nie było normalne.

Potem zauważył na desce rozdzielczej czerwoną kontrolkę. Do tej pory jej nie dostrzegł, ale możliwe, że świeciła się już od jakiegoś czasu. Olej. Szlag, tego tylko brakowało. Roland Neveu zwolnił, zatrzymał się na poboczu, zgasił silnik i wysiadł, nie wyjmując kluczyka ze stacyjki.

Walenie deszczu o blachę natychmiast się wzmogło, brzmiało teraz jak solo na perkusji; Neveu poczuł, że w tym samym takcie zimne krople uderzają o jego głowę. Podniósł maskę, zmarszczył nos, wyczuwając w białych oparach zapach oleju, i usłyszał tykanie stygnącego silnika. Trzeba było kupić nowy samochód, zamiast jeździć tym rżęchem.

Schronił się w kabinie, żeby zaczekać, aż silnik całkiem ostygnie, a potem wrócił i wyjął bagnet ze zbiornika oleju. Wytarł go szmatką. Ależ ze mnie kretyn, pomyślał. Pozwoliłem, żeby poziom spadł poniżej minimum! Ledwie widząc z powodu deszczu zalewającego mu oczy, podszedł do bagażnika. Sięgnął po kanister z olejem, otworzył go. No nie, tylko nie to!

Może jedynie mieć nadzieję, że ford wytrzyma do Foix. Włączył silnik. Jechał jeszcze wolniej niż przedtem, obserwując białe opary wydobywające się spod maski. Czy mi się zdaje, czy jest ich coraz więcej? Delikatnie dodał gazu – i nagle pojawiło się tyle dymu, że praktycznie nie widział drogi. Zwolnił, włączył światła awaryjne i zatrzymał samochód.

Kurwa! Nie pozostawało mu nic innego, jak wezwać pomoc drogową. Wyjął telefon i odszukał numer. Wcisnął guzik połączenia. Brak sieci. Kurwa, kurwa, kurwa mać!

Rozejrzał się dookoła przez ociekającą wodą szybę. Żywego ducha. Żadnych świateł. Nie wiedział nawet, gdzie jest, a ponieważ nie było sieci, nie mógł określić swojej lokalizacji. Nagle parsknął nerwowym śmiechem. Co gorszego mogło mu się przytrafić? Musi przynajmniej znaleźć jakiś dom, jakąś wioskę,

skąd będzie mógł zadzwonić. Znowu ruszył, obserwując silnik, który wypuszczał sygnały dymne jak indiański wartownik na szczycie góry.

Ulewa zelżała, teraz już tylko siąpiło. Lasy się skończyły i dotarł do porośniętego wrzosami płaskowyzu. Zwolnił. Z lewej, po drugiej stronie drogi, zobaczył duży budynek. Zaparkował. Budowla o dachach najeżonych kominami i jasnej fasadzie odcinającej się na tle czarnego nieba sprawiała wrażenie ogromnej. Neveu się jej przyjrzał. Liczne okna były ciemne; pomodlił się, by zamek – podobnie jak wiele innych zamków – nie był opuszczony. A potem w parku za zardzewiałą bramą zauważył kilka samochodów i odetchnął z ulgą.

Znowu zerknął na telefon. W dalszym ciągu nie było sieci. Handlowiec sięgnął do schowka po maseczkę i wyszedł w lodowatą noc.

Na omszałych filarach nie było dzwonka, więc mężczyzna pchnął zardzewiałą bramę. Zaskrzypiała. Nie była zamknięta. Ruszył przed siebie. Miał przemoczony kołnierzyk koszuli i było mu zimno. Zapiął pod szyję kurtkę z puchową podpinką. Zadrżał. Blask księżyca prześwitujący między dwiema chmurami oświetlał park, w którym nad trawnikami zwieszały się konary potężnych dębów. Szedł wysypaną chrzęszczącym żwirkiem aleją w kierunku dużej fasady ozdobionej obfitością gzymsów, belkowań i kapiteli, która z pewnością nie zmieniła się od dwóch wieków. Omiótł wzrokiem okna, ale za szybami była tylko ciemność. Spoglądając na fasadę, która w blasku księżyca zyskiwała nierzeczywisty, baśniowy wygląd, poczuł się w tym pogrążonym w absolutnej ciszy parku nieskończenie samotny.

Ale obecność kilku samochodów wskazywała na to, że wbrew pozorom wcale nie był sam. Na zwirowym parkingu rozpoznał nieruchome sylwetki dacia sander, mercedesa, lexusa i peugeota. Nie wiało już i deszcz prawie ustał, ale za sprawą utrzymującej się wilgoci nocne powietrze było jak mokra szmata. Roland Neveu zauważył, że krew dudni mu w skroniach. Dziwne miejsce. Miało w sobie coś niepokojącego, ba, nawet groźnego. Nie bądź śmieszny! – skarcił się w duchu.

Już miał wejść po szerokich stopniach na ganek, ku masywnym podwójnym drzwiom, gdy nagle dostrzegł coś po swojej prawej stronie. Światło! Za narożnikiem budynku zobaczył światło. Żółtawy blask padający na przycięte bukszpany. Ruszył wzdłuż fasady, ominął samochody, a następnie okrążył krzaki. Na bocznej ścianie budowli, na wysokim parterze półtora metra nad ziemią kilka okien było oświetlonych. Podeszedł jeszcze kawałek, by znaleźć się pod nimi, i stanął za palcach. Zajrzał do pomieszczenia.

Pomyślał, że to sen. Bo to, co zobaczył, nie mogło się dziać naprawdę. To nie miało sensu. Mieściło się co najwyżej w pokręconej, straszliwej logice koszmarów. Nie był pewien, czy rozumie to, co widzi.

Kilku mężczyzn z głowami zwierząt stało w kręgu wokół innego mężczyzny, który klęczał na podłodze z zakrwawioną twarzą. Neveu nie słyszał, o czym mówią, ale widział otwarte usta klęczącego młodego człowieka. Płakał i zdawał się błagać obserwujące go postaci, które stały sztywno i nieruchomo, pochylając ku niemu wielkie łby.

Handlowiec rozpoznał głowę geparda z dwiema charakterystycznymi czarnymi pręgami, a także głowę szympansa, olbrzymią, lśniąca mordę byka i złowieszczy łeb koguta o czerwonym grzebieniu.

Obraz był przerażający i groteskowy zarazem, tak że Roland Neveu nie wiedział, czy się śmiać, czy krzyczeć. Nagle poczuł się tak, jakby jego serce miało eksplodować. Jakby pulsujący, nabrzmiały narząd miał mu zatkać gardło i uniemożliwić oddychanie. Stał na całych stopach, obawiając się, że mężczyźni z głowami zwierząt mogą go zauważyć.

Jego oddech przyśpieszył, a twarz pokryła się potem. Musi jak najszybciej stąd spieprzać. Natychmiast. I zawiadomić policję. Zgięty wpół zaczął iść z powrotem, omijając przycięte bukszpany, przemknął wzdłuż fasady i samochodów i ruszył ciemną żwirową alejką w kierunku bramy. Skradał się w absolutnej ciszy, jeśli nie liczyć – zbyt głośnego jego zdaniem – chrzęstu kamyczków pod podszewkami jego butów.

Delikatnie przyciągnął do siebie skrzydło bramy. Tym razem zgrzytnęła tylko nieznacznie, ale on przeraził się na myśl, że mężczyźni mogli go usłyszeć, i pędem przebiegł na drugą stronę drogi. Otworzył drzwi forda i z sercem tłukącym się w piersi usiadł za kierownicą.

Próbował uspokoić zbyt szybki oddech i galop krwi, który rozpoznawał po silnym pulsowaniu w tętnicach szyjnych. Miał zadyszkę. Po raz ostatni rzucił okiem na zamek i przez chwilę zastanawiał się, czy to wszystko mu się nie przyśniło. Dobrze jednak wiedział, że nie. Przekręcając kluczyk w stacyjce, modlił się, żeby jego stary rzęch nie wyzionął ducha. Tylko kilka kilometrów, błagał.

Ruszył bardzo wolno i natychmiast spod maski uniosły się pióropusze dymu.

– Nie, nie, nie – jęknął głośno.

Droga w tym miejscu była prosta, a teren dookoła pozbawiony drzew i porośnięty wrzosami, tak że gdyby auto się tutaj rozkraczyło, tamci wracając

z zamku, na pewno by je dostrzegli. Ta perspektywa wzbudziła w nim paniczny strach, wcisnął więc mocniej pedał gazu, wzniecając jeszcze więcej oparów. No już, jedź! Pocił się, niemal leżał na kierownicy. Jedź! Wreszcie samochód dotarł do końca prostej drogi i mężczyzna z ulgą dostrzegł zakręt, za którym szosa opadała stromo z boczem pagórka. Tak! Dobrze! Delikatnie zdjął nogę z gazu i pozwolił, by ford sam się rozpędził na spadzistej drodze. Wchodził w zakręty, operując pedałem hamulca. W prawo, w lewo, znowu w prawo... W miarę oddalania się od mrocznego dworu jego nadzieja rosła, a imadło ściskające klatkę piersiową stopniowo się rozluźniało.

W dole jego oczom ukazały się stłoczone dachy i dzwonnica. Był uratowany. Prawie chciało mu się płakać. Co za koszmar. Teraz musi zawiadomić policję, nawet gdyby miał kogoś obudzić. Nie chciał zbyt wiele myśleć o tym, co widział, ale nie miał wątpliwości, że młody człowiek klęczący wśród mężczyzn z głowami zwierząt był w wielkim niebezpieczeństwie.

Stary ford dotarł do podnóża pagórka. Jechał teraz prostą drogą między dwoma szpalerami platanów: w blasku księżyca ich czarne cienie układały się na asfalcie w pasiasty wzór. Nie obawiając się już awarii, delikatnie dodał gazu.

Jadąc główną ulicą, widział fasady starych domów o pozamykanych okiennicach, pogaszone latarnie. Miasteczko spało. Nagle poczuł parcie na pęcherz. Już miał się zatrzymać i obsikać kamienne ogrodzenie jakiegoś ogródka, gdy dwieście metrów przed sobą zauważył podświetlony szyld. Posterunek żandarmerii.

Zapominając o pilnej potrzebie, Neveu przyśpieszył. Nie przejmował się dymiącą maską. Zaparkował przed wejściem. Posterunek mieścił się w ceglany budynku starego typu, przy głównej ulicy, naprzeciw kościoła, przed którym rozpościerał się niewielki plac.

Nadstawił uszu. Nie słyszał żadnych dźwięków, tylko ciszę. Za opuszczonymi roletami widać jednak było światło i obecność drugiego człowieka, tym razem wreszcie krzepiąca, dziwnie go wzruszyła – do tego stopnia, że zanim wysiadł, zdusił w sobie szloch. Okrążył samochód, przeciął chodnik i pchnął przeszkłone drzwi. Pusto. Za drewnianą ladą nie było żywego ducha. Pomyślał, że to miejsce również przywodzi na myśl film grozy: właśnie wtedy, gdy człowiek myśli, że jest uratowany, czyha na niego największe niebezpieczeństwo.

– Jest tu kto? – zapytał, wkładając maseczkę.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegło skrzypienie krzesła i czyjeś kroki. Na korytarz wyszedł funkcjonariusz żandarmerii poniżej trzydziestki – niechybnie

miłośnik kulturystyki, na co wskazywała muskularna klatka piersiowa pod obcisłą niebieską koszulką polo.

– Tak?

– Ja... Nazywam się Roland Neveu, jestem handlowcem i... i myślę, że powinien pan wysłuchać tego, co mam panu do powiedzenia – oświadczył.

Młody żandarm zmarszczył brwi, przyglądając się przemoczonej odzieży przybysza: zauważył, że mężczyzna jest blady i drży.

– Na pewno dobrze się pan czuje?

– Właściwie to nie – odparł Neveu, który opadał już z sił. – Niech pan posłucha, to pilne.

Funkcjonariusz skinął głową.

– Zapraszam do mojego biura – powiedział, wskazując na otwarte drzwi.

– Mężczyźni z głowami zwierząt?

Nie krył sceptycyzmu.

– Tak, wiem, że to się wydaje porąbane, ale... to były takie maski, coś w stylu przebrania.

– A gdzie jest ten zamek?

– Trzy kilometry na zachód stąd. Na równinie.

Żandarm skinął głową.

– Zna pan to miejsce? – zapytał Neveu.

– Tak, wiem, gdzie to jest – odpowiedział tamten ostrożnym tonem. – Co pan robił na zewnątrz w czasie godziny policyjnej?

– Ekhm... Jestem przedstawicielem handlowym. Wracalem do hotelu, ale, ekhm, miałem awarię... Niech pan posłucha, trzeba coś zrobić – nalegał Neveu, który nie przestawał się trząść. – Ten młody człowiek... Naprawdę uważam, że jest w niebezpieczeństwie. Trzeba działać bez zwłoki.

Żandarm zmarszczył brwi.

– Może to była jakaś impreza – zasugerował z powątpiewaniem. – Gra fabularna, bal przebierańców albo... *escape game*.

Neveu zamachał rękami.

– Nie, nie! Zapewniam pana, że ten młody człowiek był przerażony. Nie zgrywał się. Płakał, błagał. I miał całą twarz we krwi! Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego i jestem na sto procent pewien, że to nie były wygłupy!

Wciąż wpatrując się w Neveu, młody żandarm znowu zmrużył oczy. Coś w jego zachowaniu sprawiało, że handlowiec czuł się bardzo nieswojo.

– Dobrze – powiedział wreszcie funkcjonariusz, wyjmując telefon. – Niech się pan stąd nie rusza. Zadzwonię do kogoś.
Wyszedł z pokoju, zostawiając Neveu samego.

Trzej inni żandarmi – a może to byli policjanci? – którzy weszli do niewielkiego pomieszczenia dziesięć minut później, byli w cywilu.

– Dobry wieczór – powiedzieli.

– Ekhm... dobry wieczór.

Ominęli go, a także biurko, na którym stały tylko komputer, lampka i telefon i przy którym z pewnością przyjmowano petentów, ponieważ w pomieszczeniu nie było nic poza metalową komodą i plakatami promującymi bezpieczeństwo ruchu drogowego.

Jeden z trzech mężczyzn usiadł w fotelu zajmowanym wcześniej przez młodego żandarma, a dwaj pozostali stali, patrząc na niego w taki sposób, że skulił się na krześle. Wszyscy mieli na twarzach maseczki chirurgiczne i handlowiec uznał, że wyglądają w nich jak rozbójnicy.

– Proszę nam opowiedzieć, co pan widział w zamku – zaczął ten, który siedział, szczupły, ale o atletycznej sylwetce i gęstych, kręconych włosach.

Roland Neveu przełknął ślinę. Dlaczego w ich zachowaniu wyczuwał zawołaną groźbę? Czyżby brali go za wariata? Możliwe. Gość, który pojawia się nagle o tej godzinie i opowiada niestworzone historie. Ale w sposobie, w jaki na niego patrzyli, było coś jeszcze.

– Słuchamy pana – powiedział jeden ze stojących, wysoki, chudy facet o podłużnej twarzy, małych, blisko osadzonych oczach i wystającej spod maski brodzie.

Opowiedział wszystko jeszcze raz. Wiedział, że z pewnością trudno im w to uwierzyć, ale trzech mężczyzn słuchali go w milczeniu z zadziwiająco nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jakby to, co mówił, ani ich nie zaskakiwało, ani nie szokowało.

– Myślę, że powinniście pojechać zobaczyć, co się tam dzieje – stwierdził. – Sądzę, że temu młodemu człowiekowi grozi wielkie niebezpieczeństwo. Trzeba mu pomóc.

– Na jakiej podstawie uważa pan, że coś mu grozi? – zapytał spokojnie trzeci, przysadzisty mężczyzna starszy od pozostałych, który jako jedyny był pod krawatem.

– Bo płakał, błagał. Wyglądał na przerażonego... I był zakrwawiony.

– Jest pan pewien? Może to był makijaż?

– Nie!

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie. Przez chwilę na ich twarzach malowało się niezdecydowanie.

– W porządku – podsumował wreszcie ten, który siedział. – Pojedzie pan tam z nami.

Neveu zeszywniał. Nie tak sobie to wyobrażał. Nie był pewien, czy chce tam wracać, tym bardziej w towarzystwie tej trójki. À propos, a gdzie się podział młody żandarm?

– Chodźmy, Neveu – powiedział mężczyzna i wstał.

Neveu... Nawet nie udawali, że są mili albo że chcą mu dodać otuchy. Przeciwnie, zachowywali się tak, jakby chcieli, żeby poczuł się zbity z tropu, wytracony z równowagi.

On również wstał i wyszedł za nimi na zewnątrz. Nagle zamarł w bezruchu. Poczuł, jakby jego klatkę piersiową ścisnęło imadło. Rozpoznał samochód zaparkowany przy krawężniku: peugeot 508, który widział w zamkowym parku. W przedniej szybie wozu odbijał się napis ŻANDARMERIA.

– Co się dzieje? – zapytał jeden z mężczyzn, wyczuwając jego wahanie.

To mógł być zbieg okoliczności. Przecież czego jak czego, ale peugeotów w tym kraju nie brakuje.

– Niech pan siada koło mnie – powiedział pierwszy z mężczyzn, sadowiąc się za kierownicą.

Dwaj pozostali zajęli tylną kanapę.

Nagle poczuł, że najchętniej wzięłyby nogi za pas. Ale dokąd by poszedł? Było późno, nie znał w tym miasteczku nikogo i nie miał dość sił, by uciekać. A przy założeniu, że byli po prostu sceptyczni, gdyby spróbował im się wymknąć, potwierdziłby tylko to, co z pewnością o nim myśleli: że jest wariatem.

Odetchnął głęboko, próbując uspokoić oszalałe serce, otworzył drzwi i usiadł na fotelu pasażera. Kierowca natychmiast ruszył, wykonał ciasną zawrotkę na placu i skierował się w stronę, z której przyjechał Neveu.

– Proszę zapiąć pasy – powiedział, ponieważ w kabinie rozległ się natarczywy alarm.

W mgnieniu oka wjechali na wzgórze. Jeden z siedzących z tyłu mężczyzn pochylił się między fotelami i wyciągnął rękę.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zobaczyć pana dokumenty.

Neveu sięgnął do kieszeni po portfel, w którym nosił karty kredytowe i dowód osobisty.

– Roland Alexandre Neveu – przeczytał głośno i wyraźnie mężczyzna, w taki sposób, że handlowiec znowu poczuł się nieswojo. – Urodzony dwudziestego szóstego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku w Béziers. Zamieszkały w Saint-Gaudens, przy avenue François-Mitterrand pod numerem dwieście trzynaście b. Jest pan żonaty, Neveu?

– Eee... Tak.

– Ma pan dzieci?

– Córkę.

– Ile ma lat?

– Szesnaście.

– Trudne są dziewczyny w tym wieku, he?

Neveu milczał. Jedna myśl nie dawała mu spokoju. Dlaczego miał wrażenie, że facet mu grozi? Przecież zadawał tylko nic nieznaczące pytania. Ale ten ton... Rolandowi ani trochę nie podobał się ton, jakim mężczyzna mówił o jego córce.

– I nieostrożne – dodał drugi gość z tylnej kanapy takim głosem, że Rolandowi włosy stanęły dęba.

– Łatwo narażają się na niebezpieczeństwo – dodał facet siedzący za kierownicą, patrząc w jego stronę. – Narkotyki, chłopcy i zboki, których wszędzie pełno. Tyle okazji, żeby coś poszło nie tak...

Roland Neveu poczuł, jakby wzdłuż jego kręgosłupa spływał lodowaty płyn. Miał coraz większą ochotę, by znaleźć się gdzie indziej. Wjechali na równinę. W blasku księżyca widać było dużą bryłę budynku.

– To tutaj? – zapytał jeden z mężczyzn.

Handlowiec w milczeniu skinął głową. Znowu miał problem z oddychaniem. Zaparkowali przed bramą.

– Nie widzę żadnego samochodu – stwierdził kierowca.

– Ale one tutaj były...

– Mhm. Pamięta pan marki?

– Tak. Lexus, czarny mercedes, dacia i peugeot... Taki jak pański.

– Pięćset osiem?

– Tak.

– W jakim kolorze?

– Ekhm... W takim jak ten. Tak mi się zdaje.

– Naprawdę? A może przez przypadek zapamiętał pan numery?

– Nie.

– Mhm. Szkoda.

Dlaczego Neveu miał wrażenie, że facet ani trochę tego nie żałuje?

– Okej. Jutro rano odwiedzimy lokatorów tego dworu.

Handlowiec się wzdrygnął.

– Ależ trzeba to zrobić teraz! Nie możemy zostawić tego młodego człowieka w ich rękach!

– Nie sądzi pan, że trochę pan przesadza? – odezwał się głos za jego plecami.

– Tak czy owak nie możemy nachodzić ludzi bez nakazu – wyjaśnił drugi. – Tym bardziej w środku nocy.

Neveu był spanikowany, ale odważył się zaproponować:

– Ale jutro może być za późno!

– Spełnił pan swój obowiązek – odparł sucho mężczyzna za kierownicą. – Reszta należy do nas. Niech się pan nie martwi: to z pewnością była jakaś zgrywa albo impreza.

Oczywiście, że nie. A wy dobrze o tym wiecie, pomyleńcy, pomyślał nagle.

– Nie widział pan twarzy żadnego z tych ludzi, prawda?

– Nie.

– Czy rozpoznaliby pan tego chłopaka, gdyby ktoś panu pokazał zdjęcie?

A jakże. Doskonale zapamiętał jego twarz. W tej chwili zrozumiał jednak, że jeśli sam chce przeżyć, nie powinien się do tego przyznawać.

– Nie. To się działo zbyt szybko.

Zapadło milczenie, które trwało całe wieki. Jakby mężczyźni obmyślali, co zrobić dalej. Usiłował zachować zimną krew, ale słyszał, jak serce wali mu w piersi, i zastanawiał się, czy oni również to słyszą.

– Okej – powiedział w końcu kierowca. – Odwieziemy pana do pańskiego samochodu.

– Jest zepsuty.

– Wezwiemy pomoc drogową, ale o tej godzinie zapłaci pan jak za zboże.

– Tylko olej się skończył – odpowiedział.

– Neveu, mamy pana adres, niech pan o tym pamięta. Weźmiemy też od pana numer telefonu. Żeby pana powiadomić, gdybyśmy zdobyli jakieś nowe informacje.

Podał im numer. Pragnął teraz tylko jednego: być daleko stąd, wysiąść z tego samochodu, wrócić do siebie. Był przekonany, że nigdy więcej do niego nie zadzwonią.

– Proszę się trzymać od tego z daleka – poradził jeden z mężczyzn siedzących z tyłu. – To już nie jest pańska sprawa, tylko nasza. I niech pan nikomu nie

opowiada o tym, co się wydarzyło: dochodzenie jest tajne, rozumie pan?

Skinął głową.

– Nie usłyszałem, Neveu.

– Tak, zrozumiałem – powiedział.

– A teraz niech pan wraca do siebie. Do swojej miłej żony i córki. Do Saint-Gaudens, na rue François-Mitterrand numer dwieście trzynaście b. I niech pan o tym wszystkim zapomni. To już pana nie dotyczy. My się tym zajmujemy, Neveu.

CZWARTEK

W czwartek Servaz wstał wcześniej rano. Kiedy wszedł do kuchni, by włączyć ekspres do kawy, Léa i Gustav jeszcze spali. Z filiżanką w dłoni wyszedł na balkon i wciągnął w nozdrza rześkie powietrze. Na niebie po wschodniej stronie majaczyło jakby przecucie światła. W ciemności słyszał śmieciarki opróżniające kontenery na opustoszałych ulicach.

Wrócił do mieszkania. Włączył telewizor w salonie, ściszył głos. Mówili tylko o jednym. Powtórny lockdown. Wszyscy udzielali rad, wyrażali własne zdanie, mówili, co zrobiliby inaczej (lepiej, rzecz jasna). Jego wzrok padł na broszurę leżącą na stoliku. Gazetka Lekarzy bez Granic.

Usiadł na sofie i zaczął przerzucać kartki. Jego wzrok padł na tekst o tragicznej sytuacji na wschodzie Burkina Faso, gdzie tysiące osób żyją w strachu przed napaściami uzbrojonych bojówek, porwaniami, rabunkiem mienia, a także epidemiami spowodowanymi brakiem elementarnej opieki zdrowotnej i leków – temu drugiemu winne są oczywiście kradzieże – a także dramatycznym brakiem personelu medycznego.

W takich właśnie okolicznościach osoby pokroju Léi starają się nieść pomoc społecznościom, których nie łączy z nimi ani wspólny kontynent, ani – bardzo często – religia. Które jednak należą do tej samej ludzkiej rasy – i tylko to się liczy, zarówno dla Léi, jak i dla Martina.

Nagle poczuł się winny. Że chce ją zatrzymać, że chce jej tylko dla siebie. Nie: dla siebie i dla Gustava. A to nie to samo. Był w pełni świadom tego, co Léa dała im obu. Odkąd była z nimi, Gustav stał się spokojniejszy, lepiej się rozwijał i po prostu czuł się szczęśliwszy. A on sam pokonał bezsenność, zapomniał o samotnych pobudkach, o czasach, gdy codziennie przeżywał dzień świstaka, zapomniał o wieczorach przywodzących na myśl pustynię, którą wypełniał tylko dźwięk telewizora, winyle z utworami Mahlera czy gotowe dania pochłaniane na sofie w salonie. Nie wiedział, czy budzenie się obok drugiej osoby, wspólne śniadania, zabawa z Gustavem na dywanie w salonie albo długie rozmowy w środku nocy – głębokie lub lekkie, odbywane szeptem i przerywane wybuchami śmiechu – to właśnie szczęście, ale wszystko na to wskazywało.

Usłyszał ruch od strony sypialni. Zamknął gazetkę i wrócił do kuchni. Léa jeszcze się wahała. Wolałby się już dowiedzieć, raz a dobrze, ale bał się jej decyzji. Włączył tablet, zobaczył, że przyszedł mail od Margot. Jego dwudziestodziewięcioletnia córka wiodła szczęśliwe życie w Quebecu. Dwuletni synek, partner, praca w branży wydawniczej – kiedy widział ją ostatni raz, pomyślał, że zbuntowana punkowa, która dzięki wysokim ocenom w szkole dostała się na jeden z najbardziej wymagających kursów przygotowawczych w regionie, bardzo się zmieniła ¹. Otworzył wiadomość.

Nie tęsknisz za wnukiem? Teraz, kiedy to dziadostwo uziemiło samoloty, przynajmniej masz dobrą wymówkę, żeby nie przyjeżdżać. Tęsknimy za Tobą. Ja za Tobą tęsknię.

Kolejna fala poczucia winy. Krótko mówiąc, Margot zarzucała mu – osładzając pretensje końcową formułką – że jako dziadek nie staje na wysokości zadania.

W kuchni pojawiła się Léa.

– Cześć – powiedziała, a on zrozumiał, że topór wojenny bynajmniej nie jest zakopany.

Na powitanie ledwie go cmoknęła, tak że zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek był między nimi aż taki dystans. Nie przypominał sobie.

– Odstawię dziś Gustava do świetlicy – oświadczył, dolewając sobie kawy.

– Tak? Ale dziś przecież nie twoja kolej.

– Od kilku dni późno wracam, więc chciałbym spędzić z nim trochę czasu.

– A twoje śledztwo?

– O dziesiątej mam zebranie.

– Cześć, tato – powitał go Gustav, wchodząc do kuchni.

– Cześć, smyku. Zjesz płatki czy płatki?

– Płatki! – zawołał chłopiec. Odsunął krzesło i usiadł przy kuchennym stole.

– I owoce – wtrąciła się Léa, odwracając się w stronę blendera.

Za jej plecami Gustav spojrział na ojca i skrzywił się – nie przepadał za smoothies – ale powstrzymał się od komentarza. Servaz się uśmiechnął. Patrzył na chłopca. To zadziwiające, jak bardzo zmienił się jego temperament odkąd Léa z nimi zamieszkała. Niesamowite, jak umiała rozproszyć jego mroczne nastroje i otoczyć go czułością i radością, w żaden sposób nie tracąc przy tym autorytetu. Odwzajemnił krzywą minę syna, groteskowo przesadzając. Gustav się zaśmiał.

Zrobiłem to, pomyślał, podziwiając swoje jasnowłose dziecko. Dziecko, które dzięki nim nie wiedziało nic o brutalności tego świata. Widziało tylko jego piękno, miłość, radość. Zrobił to. Po raz kolejny. Założył rodzinę. Trzymał to szczęście w garści. Doskonałe porozumienie między trzema niepodobnymi do siebie, a jednak uzupełniającymi się nawzajem istotami. Niezależnie od tego, ile to miało trwać.

Wychodząc z metra przed komendą policji, zobaczył jakieś zgromadzenie. Kilkadziesiąt osób trzymało w rękach plansze z takimi sloganami, jak: „Sprawiedliwość dla Moussy” czy: „Stop zbrodniom władzy”. Inne wykrzykiwały wrogie hasła pod adresem policji. Dostrzegł kilka ekip telewizyjnych, w tym reportera jednego z kanałów informacyjnych, który stał przed kamerą na tle manifestacji z mikrofonem w dłoni; widział go już w telewizji. Oznaczało to, że od teraz śledztwo będzie miało zasięg krajowy. I wcale nie była to dobra wiadomość.

Aby nie przechodzić przed manifestantami, których trzymali w ryzach funkcjonariusze policji, ani przed kamerami, pokazał strażnikowi legitymację i wszedł przez podwórze, na którym parkowały samochody, po prawej stronie budynku. Wysiadł na drugim piętrze, z nadzieją, że szef go nie zauważy. Nic z tego. Chabrillac jakby wiedziony szóstym zmysłem wychylił się z pokoju akurat w chwili, gdy Servaz wychodził z windy. Musiał go widzieć przez okno.

– Servaz! – rzucił.

– Tak?

– Do mojego biura.

Westchnął, przywitał się po drodze z sekretarką szefa i wszedł do jego stanowczo zbyt przestronnego pokoju.

– Niech pan zamknie drzwi. Widział pan ten burdel na zewnątrz? Jak tam śledztwo? Ma pan coś nowego?

Przez chwilę Servaz zastanawiał się, czy powiedzieć mu o Lemarchandzie. Za wcześniej. Potrzebowali więcej kwitów.

– Badamy kilka tropów.

– Rozumiem. Czyli nic pan nie ma. Zdaje pan sobie sprawę, że tkwimy w gównie? Jeśli szybko nie znajdziemy sprawcy, dzielnice eksplodują. Nie chcę oglądać komisariatów ostrzeliwanych z moździerzy! Ruszajcie się! I jeszcze jedno. Chcę wiedzieć, kim jest ten skurwysyn z waszej grupy, który przekazuje poufne informacje prasie.

Servaz ponuro skinął głową.

– Wie pan o ataku w Nicei?

– O jakim ataku?

– Pół godziny temu, atak nożownika w kościele. Trzy osoby zabite, dwie z nich z podejrzanym gardłem. Napastnik został unieszkodliwiony przez lokalną policję. Ten kraj jest na granicy rozpadu. Więc niech się pan ruszy.

Servaz nie wiedział, co powiedzieć. Poza tym, że nie widział związku.

– Za dwie godziny robimy briefing prasowy na temat postępów w śledztwie – dodał Chabrilac. – Chcę, żeby pan tam był.

Servaz się zachnął.

– Ja? I co miałbym mówić? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, by na tym etapie moja gęba pojawiła się w gazetach. Mogłoby to zaszkodzić śledztwu.

– Nie pytam pana o zdanie – odparował dowódca. – Chcę, żeby stawił się nie tylko pan, ale cała pana grupa i wszyscy bardziej lub mniej zaangażowani w dochodzenie. Musimy pokazać prasie, że mobilizujemy maksimum ludzi.

– Sądzę, że bylibyśmy bardziej użyteczni w terenie – nalegał.

Chabrilac nadał się jak balon, rozpychając dopasowany garnitur.

– Powtarzam, komendancie: nie pytam pana o zdanie. I na przyszłość odradzam panu rozmawianie ze mną w ten sposób. Wie pan, na czym polega pana problem? Nie jest pan aż tak wybitny, jak się panu wydaje.

Servaz wszedł do biura Vincenta, który akurat rozmawiał przez telefon.

– Chwileczkę – powiedział do słuchawki i zasłonił mikrofon dłonią. – Dzwonił gość od traseologii. Powiedział, że w błocie na drodze dojazdowej do polanki znalazł ślady kół. Mówił coś o śladach wgłębionych, obwodzie kół, powtarzających się oznaczeniach. Twierdzi, że tej nocy, gdy zginął Moussa Sarr, na polanie były dwa sedany i van.

Van... Martin słuchał dalszego ciągu.

– Nie ma natomiast wystarczająco dużo elementów, by określić marki i modele. Ale jeśli będziemy mieć auta, gość będzie mógł rozpoznać opony. Jeszcze jedno: dzwoniła matka Moussy. Chce rozmawiać tylko z tobą.

Wyprostował się.

– Mówiła, czego chce?

Espérandieu zaprzeczył ruchem głowy i wrócił do rozmowy telefonicznej. Servaz zastanawiał się nad słowami zastępcy. Matka Moussy próbowała się z nim skontaktować. Czyżby miała dla niego jakąś ważną informację?

Usiadł za biurkiem i wyjął telefon. Przez chwilę myślał o Chabrilacu i znowu poczuł złość.

– Pani Sarr? Chciała pani ze mną rozmawiać? – zaczął.

– Tak. Dzień dobry, komendancie. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, więc pomyślałam o panu.

Wstrzymał oddech. Ton jej głosu był znacznie bardziej ugodowy niż poprzednim razem. Słysząc było, że kobieta jest spięta, nieledwie zrozpaczona.

– A o co chodzi?

– O właściciela. Mieszkam w lokalu socjalnym. Przysłali kondolencje i dalej, w tym samym liście, wyjaśniają, że po śmierci Moussy mieszkanie jest dla mnie za duże i że będę musiała się przeprowadzić do mniejszego. Mieszkam w tym miejscu od dwudziestu pięciu lat. To mój dom. Chérif i Moussa się w nim wychowali. Jest pełen wspomnień...

Kobieta po drugiej stronie słuchawki rozpląkała się. Dranie, pomyślał. Mogli trochę zaczekać.

– Pomyślałam, że może pan będzie mógł coś zrobić – mówiła dalej. – Jest pan policjantem, zna się pan na sądach, na prawie...

Super, podsumował w duchu. Przez chwilę się zastanawiał. Jak miałby odroczyć termin eksmisji? W tych czasach nawet policjantom trudno znaleźć przyzwoite lokum. Nagle wpadł na pewien pomysł.

– Pani Sarr, nie jestem pewien, czy możemy im wyperswadować kwestię pani przeprowadzki. Ale możemy spróbować ją opóźnić. Może do czasu ostatecznego wyjaśnienia sprawy. Zrobimy tak – przerwał na chwilę, zastanawiając się, jak kobieta zareaguje – wyślę do pani osobę, która opieczętuje drzwi do pokoju Moussy. W ten sposób pokój będzie traktowany jak, hm, miejsce zbrodni. Dopóki śledztwo się nie zakończy, nikt nie będzie mógł go legalnie tknąć, a zatem eksmitować pani i przejąć mieszkania.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Zrozumiała pani?

– Oczywiście, że zrozumiałam. Nie jestem idiotką.

Servaz się zaczerwienił.

– Naprawdę nie ma innego rozwiązania? – zapytała.

– Przykro mi, ja go nie widzę. To będzie bardzo dyskretne: tylko woskowa pieczęć i etykieta na zamku. Ale oczywiście nie będzie pani już mogła wchodzić do pokoju syna.

– Skoro w ten sposób będę mogła zachować mieszkanie... Proszę mi dać trochę czasu na zabranie kilku jego rzeczy – powiedziała.

– Świetnie. Niech się pani nie śpieszy. Przyślę kogoś do pani.

– Dziękuję, komendancie. – Znowu na chwilę umilkła. – Znajdzie pan morderców mojego syna, prawda?

Nie składaj obietnic, których spełnienia nie możesz zagwarantować.

– Tak, ma pani moje słowo.

– Dziękuję.

Przez chwilę wpatrywał się w ścianę przed sobą. Był straszliwie zmęczony. Jakikolwiek będzie wynik tego śledztwa, narobi sobie wrogów. W jednym albo w drugim obozie. A może i w obu. Wezwał Katza.

– Tak? – powitał go tamten od progu.

– Pojedziesz zapieczętować drzwi pokoju Moussy Sarra. Nie naklejaj grubej taśmy, tylko etykietkę. Zrób to jak najdyskretniej. I wyślij oficjalne pismo do właścicieli z informacją, że mieszkanie ma status miejsca zbrodni, więc nie można go tknąć do zakończenia śledztwa. Ani proponować go innym lokatorom.

Młody porucznik przeciągnął dłonią po włosach.

– Po co to robimy?

– Później ci powiem. Jedź. Weź ze sobą ludzi. Gości z brygady kryminalnej i jeszcze jakieś wsparcie.

– Żeby założyć pieczęcie?

– To już nie te czasy, kiedy policjant mógł w pojedynkę wyjść na miasto. Nie chcę też powtórki tamtej historii ze squatu.

Katz zbladł.

– A, i jeszcze jedno: pozwól pani Sarr zabrać z pokoju syna wszystko, co uzna za stosowne. Nawet meble, jeśli będzie miała taką chęć.

– Hę?

Tamtej nocy na polanie był van. Czy należał do Lemarchanda? – zastanawiał się Servaz.

Stwierdził, że trzeba będzie wysłać kogoś, żeby namierzył ewentualne kamery monitoringu na trasie. By potwierdzić tę hipotezę, wystarczyłoby znaleźć zdjęcie czarnego vana tej samej marki przejeżdżającego kilka godzin wcześniej, nawet kilka kilometrów dalej. Nawet jeśli taki materiał nie miałby mocy dowodowej dla sądu, dowiedzieliby się przynajmniej, że Lemarchand kręcił się w pobliżu w ostatnich chwilach życia Moussy Sarra.

Było też inne rozwiązanie: zdobyć numer telefonu Lemarchanda i poprosić o historię logowań jego komórki. Rzykowny manewr. Nie tylko dlatego, że przy tak niewielkim materiale dowodowym sędzia odmówiłby wydania nakazu, ale również dlatego, że możliwości wycieku były w takiej sytuacji ogromne,

a gdyby do niego doszło, śledztwo zostałoby im odebrane, a powierzone IGPN, czyli Inspekcji Generalnej Policji Narodowej, zwanej potocznie „policją policji”.

Zadzwoił telefon. Servaz odebrał. Usłyszał Catherine Larchet, szefową laboratorium kryminalistycznego:

– Chodzi o próbkę krwi, którą znalazł pan pod wiaduktem. Ktoś ją ukradł...

1. Zob. *Krąg*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2013.

[\[wróć\]](#)

Servaz zaniemówił.

– Co?!

– Dzisiaj rano ktoś wszedł do laboratorium i wyszedł z próbką.

Potrzebował czasu, żeby przetrwać tę informację. Szefowej laboratorium nie umknęło jego milczenie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Martin. Poza tym, że nie ma wątpliwości, że to jest kradzież.

– Jak można ukraść próbkę przeznaczoną do analizy genetycznej z policyjnego laboratorium? – zdziwił się.

Wiedział oczywiście, że kradzieże na policji się zdarzają, jak wszędzie. Przypomniał sobie, jak Vincentowi ktoś ukradł wodę toaletową, prezent od Charlène, podczas gdy był pod prysznicem, a Samirze pojemnik Tupperware ze wspólnej kuchni. Zdarzyła się nawet taka sytuacja, że kiedy pewien funkcjonariusz, któremu na komisariacie ukradziono kamizelkę kuloodporną, wpadł na niefortunny pomysł zgłoszenia tego w raporcie, otrzymał nagane i przez dwa lata nie dostał awansu.

– Ile osób ma dostęp do laboratorium? – zapytał.

– Dużo. Policjanci, technicy. Wiemy, w jaki sposób to zrobił – dodała cicho, skonsternowana. – Rano wyjście awaryjne jest otwarte, żeby podłogi wyschły po sprzątaniu.

– Hę?

– Wiem, wiem... Nic nie mów, wyklócałam się już w tej sprawie z górą. W nagraniu z monitoringu widać człowieka w okularach korekcyjnych, ubranego w biały fartuch. Okulary to najprawdopodobniej ściema. Dolną część twarzy miał oczywiście pod maseczką, co utrudnia identyfikację. Niech żyją zabezpieczenia. A kiedy mijał kamerę, pochylił głowę. Jak zwykle o tej porze w laboratoriach, które znajdują się w tym korytarzu, nikogo nie było. Facet albo już tutaj był, albo miał informacje na temat rozkładu pomieszczeń, ponieważ się nie pomylił: poszedł prosto do pokoju, gdzie przechowujemy próbki, który mimo godzin porannych jak zwykle był zawalony. Musiał znać numer pieczęci na próbce albo numer zlecenia, ponieważ wiedział, który materiał ukraść.

Wspólnicy, pomyślał Servaz. Lemarchand i jego koledzy mają wspólników.

– Przejrzałaś nagrania z kamery, żeby sprawdzić, czy nie znasz tej osoby?

– Tak. Mimo maseczki i okularów jestem prawie pewna, że nie znam. To mógł być ktoś z zewnątrz.

Ktokolwiek, byle miał legitymację, pomyślał Servaz. W budynku było na pęczki funkcjonariuszy i techników, których Catherine Larchet nie widziała na oczy. Do tego pracownicy innych tuluskich komisariatów, którzy z różnych powodów każdego dnia odwiedzali komendę. Przejrzenie nagrań z kamer przy wejściu do budynku nic im nie da: będą mieli listę kilkudziesięciu potencjalnych złodziei.

Kto narażałby się na takie ryzyko? – zastanawiał się. Może jakiś policjant, który i tak tkwi już w gównie po szyję. W każdym razie oznaczało to, że Lemarchand jest głównym dowodzącym całej grupy, nie jakimś podrzędnym ogniwem. Servaz gotów był się założyć, że ukradziona krew należała do Kevina Debrandta. Ci, którzy ją ukradli, wiedzieli, że zniknięcie próbki potwierdzi tę hipotezę. Myśleli na zapas: jeśli któregoś dnia ta sprawa trafi przed sąd, Servaz i jego grupa będą potrzebować na poparcie swoich oskarżeń namacalnych dowodów, a nie tylko hipotez.

Dla spokoju sumienia postanowił wysłać swoich ludzi pod wiadukt w Grignac, ale wiedział, że w miejscu, w którym była plama krwi, znajdą co najwyżej ślady benzyny lub jakiegoś kwasu. Być może kamery z banku dostarczą im nowych obrazów, choć Servaz w to wątpił: sprawcy na pewno wyciągnęli wnioski z poprzedniej lekcji.

Dostrzegał jednak pewien pozytywny sygnał ze strony przeciwników. Zacierali ślady. To mogło oznaczać tylko jedno: wiedzą, że teraz to na nich się poluje. Działali coraz bardziej nerwowo. A w nerwach popełnia się błędy.

Usiadł, upił łyk kawy, rozejrzył się po zebranych.

– Okej. Co tam mamy?

Na miejscu byli Vincent, Samira, Katz i drugi zespół – Roussier i Gadebois, którzy wyglądali jak Don Kichot i Sancho Pansa: jeden był wysoki i szczupły, a drugi niski i spasiony. Byli to funkcjonariusze starej daty, szczerze mówiąc, niezbyt pracowici, którzy lubili przyciężkawe dowcipy, spędzali dużo czasu na jedzeniu, a niewiele w terenie. We względnym spokoju czekali sobie na emeryturę.

– Znaleźliśmy coś – powiedział od razu Vincent.

Po takim wstępie wszyscy od razu zrozumieli, że chodzi o coś ważnego.

– Dawaj.

– W ciągu ostatnich lat doszło do trzech zaginięć osób o podobnym profilu jak Sarr i Debrandt. Wielokrotni recydywiści wypuszczeni na wolność, którzy ulotnili się kilka tygodni po zwolnieniu.

Usłyszawszy sprawozdanie Vincenta, zebrani umilkli. Servaz się wyprostował: nie mylił się, takich ofiar było więcej...

– Romain Heyman, Lahcene Kheniche i Nelson da Rocha – mówił dalej jego zastępca, spoglądając w notatki. – Kheniche, lat dwadzieścia sześć, był uznawany za jednego z największych dilerów trawy w regionie. Podejrzewano, że był szefem meliny z trawą w Edgar-Varèse w Reynerie. Ale nie miał kartoteki. Nigdy nie udało się go przyskrzynić, zawsze się wymykał. Jego adwokat zdołał ukrećić łeb sprawie i wypuszczono gościa na wolność. Trzy tygodnie później Kheniche zniknął z obiegu.

Uczestnicy zebrania nadstawili uszu. Wszyscy, także Don Kichot i Sancho Pansa, byli pewni, że trafili na coś naprawdę ważnego.

– Nelson da Rocha. Trzydzieści sześć lat. Odsiadywał sześć lat w ośrodku zamkniętym Mureta za serię mniej i bardziej poważnych kradzieży. Kilka razy groził funkcjonariuszowi policji, z którym się kłócił. Powiedział mu, że zna jego miejsce zamieszkania i że po wyjściu znajdzie go i zabije. Podpalił też swoją celę, przez co trafił do izolatki i stracił ponad sto dni, o które zmniejszyliby mu odsiadkę.

Servaz, podobnie jak wszyscy zgromadzeni, wiedział, że zmniejszanie wymiaru kary odbywa się we francuskich więzieniach niemal automatycznie.

– Mimo to zdołał wyjść na wolność przed czasem. A miesiąc później zaginął bez śladu. Romain Heyman – kontynuował Vincent. – Pięćdziesiąt pięć lat. Złodziej starej daty. Skazany w dwa tysiące drugim roku przez sąd rejonowy w Bouches-du-Rhône na trzydzieści lat pozbawienia wolności za porwanie i zamordowanie bogatego biznesmena, mimo że rodzina zapłaciła okup. Odsiedział wyrok w centralnym więzieniu w Lannemezan. W dwa tysiące siedemnastym roku anulowano resztę kary i wyszedł na wolność. W dwa tysiące dziewiętnastym był podejrzany o porwanie córki innego biznesmena w Pech-David: również dla okupu. Nie ma alibi na wieczór porwania, a jeden ze świadków uprowadzenia rozpoznaje go na zdjęciu. Ale, co dziwne, świadek ostatecznie wycofał zeznania i sędzia z braku dowodów odmówił przesłuchania sprawcy. Dwa miesiące później zniknął i wszelki ślad po nim zaginął.

Servaz poczuł, jak włos jeży mu się na karku. Porwanie córki bogatego biznesmena. Pamięta tę historię, była na pierwszych stronach gazet: dziewczyna została uwolniona, porywacz nie stosował wobec niej przemocy seksualnej. Ale trauma została.

Wszystkich tych recydywistów coś łączyło. Kheniche zwolniony z braku dowodów, choć wszyscy wiedzieli, że jest winny, da Rocha zwolniony mimo że groził strażnikowi śmiercią, Heyman skazany na trzydzieści lat więzienia, z których odsiedział połowę, a po wyjściu dopuścił się recydywy, Moussa zwolniony z powodu błędów formalnych i Kevin – uciekinier z ośrodka dla nieletnich. Myśląc o wymiarze sprawiedliwości w tym kraju, Martin czasem wspominał wikingów, którzy przez sto pięćdziesiąt lat zamieszkiwali Grenlandię i ponieśli śmierć za odmowę sprzeniewierzenia się swoim podstawowym wartościom. Jedną z nich było niejedzenie ryb. Otoczeni niemal niewyczerpanymi zapasami żywności zmarli z głodu z przyczyn kulturowych, nie chcąc naśladować Inuitów, którzy nie mieli takich obiekcji. Odmawiając dla zasady przystosowania się do nowej sytuacji, wikingowie z Grenlandii sami skazali się na śmierć, ale zachowali swoje wartości. Wyglądało na to, że wikingowie z wymiaru sprawiedliwości są na najlepszej drodze, by podzielić ich los.

– Sprawdź, czy tej trójki nie łączy coś jeszcze – polecił.

– Na przykład? – zapytał Espérandieu.

Martinowi przemknęła przez głowę pewna myśl.

– Czy nie napadali na osoby z wyższych sfer w Tuluzie albo nie mieli z nimi jakichś kontaktów.

To było tylko przeczucie, mglisty wzór, ale Servaz miał wrażenie, że na horyzoncie majaczy jakiś kształt. Jak szczyt góry lodowej, który powoli wyłania się z mroku. A teraz był w dodatku pewien, że na tych trzech przypadkach się nie skończy.

– Dobra robota. Szukajcie dalej. Raphaël?

– Billingi rozmów rodziców Kevina Debrandta nic nie dały. Na profilach Moussy i Kevina na portalach społecznościowych niczego nie znaleźliśmy, na USB i twardych dyskach również. Ale trafiliśmy na coś w historii logowań ich telefonów. Telefon Moussy po raz ostatni logował się do nadajnika w Donneville przy A sześćdziesiąt jeden z czwartku na piątek, czyli w noc jego śmierci, a telefon Kevina do nadajnika w Mazères przy A sześćdziesiąt sześć tego dnia, gdy odwiedził rodziców.

Servaz zrozumiał, dokąd zmierza Raphaël: la route de l’Ariège – droga, którą jechali, by dotrzeć na miejsce zbrodni. Istniało duże podobieństwo, że porywacze pozbyli się telefonów ofiar po drodze. Kevin i Moussa zostali zabrani do Ariège. Góra lodowa była coraz bardziej widoczna.

– Roussier, Gadebois, odwiedźcie więzienia: najpierw Muret, potem Lannemezan. Przesłuchajcie strażników, wydobądźcie wszelkie możliwe informacje na temat da Rochy i Heymana.

Dwaj policjanci wymienili spojrzenia, które mówiły bardzo wiele na temat ich motywacji, i z ociąganiem wstali. Chętnie by jeszcze posiedzieli, siorbiąc małą czarną i słuchając tego, co mówią inni.

– Naprawdę uważasz, że ci goście coś znajdą? – zapytała zaskoczona Samira.

– Po prostu chciałem się ich pozbyć. Jak ich znam, zajmie im to cały dzień.

– Żeby swobodnie porozmawiać o Lemarchandzie?

– Mhm.

Samira zaczęła:

– Będziemy musieli namierzyć jego telefon, żeby śledzić w realnym czasie jego trasę. Ale to oznacza, że trzeba wtajemniczyć sędziego.

W roku 2017 sąd kasacyjny rozstrzygnął: namierzanie telefonu komórkowego stanowi naruszenie prywatności, w związku z czym wymagana jest na nie zgoda sędziego. Śledczy skakali z radości.

– O tym na razie zapomnij. Nogaret mógłby nam odebrać sprawę i oddać ją IGPN. – Zmarszczył brwi. – To, co się stało dziś rano w laboratorium, oznacza wypowiedzenie wojny. Lemarchand ma w dupie, że go podejrzewamy. On i jego

kolesie chcą nam po prostu przeszkodzić, żebyśmy nie dowiedli ich udziału. Kpią sobie z nas. Uważają, że są nietykalni. Więc my też sobie z nich zakpimy. Będziemy na zmianę dyżurować przed jego domem. Rano, wieczór, we dnie i w nocy. Chcę, żebyście się w niego wpili jak wszy. Aż mu zmięknie rura.

Vincent gwizdnął.

– Obserwacja dwadzieścia cztery na dobę, będziemy potrzebowali posiłków.

– I zgody sędziego.

– Żadnych posiłków. Bez sędziego też się na razie obejdziemy. Samira, weźmiesz pierwsze cztery godziny, Vincent drugie, Raphaël trzecie... Ja obstawię kolejne. Nie ma potrzeby, żebyśmy byli po dwoje w samochodzie. I nie będziemy się ukrywać: chcemy, żeby Lemarchand nas widział. Laurela i Hardy'ego w to nie włączamy, żeby się nie rozniosło. Dobra, spadam na konferencję prasową.

Redakcja „La Garonne” była skromniejsza niż siedziba „La Dépêche du Midi”. Dziennik ukazywał się w nakładzie sześćdziesięciu pięciu tysięcy egzemplarzy, czyli o połowę mniejszym niż jego największy rywal, który wiódł prym w regionie od ponad wieku i który miał w redakcyjnych szeregach Jaurès a i Clemenceau. Lokal mieszczący się na półpiętrze starego budynku przy rue des Lois został w zasadzie zredukowany do ogromnego pomieszczenia z niskimi sufitami, poprzecinanego kwadratowymi betonowymi filarami wzmacniającymi starą konstrukcję. Każdy centymetr sześcienny zajmowały biurka, komputery, kserokopiarki, drukarki laserowe, ekspresy do kawy, szafki na dokumenty i rojny open space, w którym pracowało około trzydziestu dziennikarzy – przynajmniej zanim w wyniku kryzysu sanitarnego opustoszał tak jak ulice.

Osobne biura mieli tylko dyrektor finansowy i redaktor naczelny. I właśnie do tego ostatniego skierowała się Esther Kopelman, pędząc przez open space, jakby gonił ją sam diabeł. Na uszach miała słuchawki, w których John Lennon śpiewał *Gimme Some Truth*. Skinęła głową kolegom i zastukała do drzwi naczelnego.

– Proszę! – warknął Chaumette głosem, na którego dźwięk człowiek wolałby raczej pozostać na zewnątrz.

Nie wyglądał na szczególnie ucieszonego jej widokiem. Gestem poprosił stażystę, żeby wyszedł. Chaumette doceniał pracę swojej najbardziej doświadczonej dziennikarki, ale panowanie nad nią było pełnoetatowym zajęciem, które odbierało mu większą część energii.

– Cześć, Esther – przywitał ją ostrożnie. – Zamknij drzwi.

– Nie rób takiej miny, mam dobre wieści.

– Nie byłbym tego taki pewien...

Chaumette był mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał niemal kredowobiałą skórę, która wyglądała, jakby była nieustannie pokryta warstewką potu. Poza tym był olbrzymem: wielkie dłonie, potężne ciało, ogromna głowa zwieńczona ognistą wiechą kręconych włosów oraz duże, wyłupiaste oczy, dzięki którym wyglądał na wiecznie zaskoczzonego albo wściekłego.

Prawie zawsze chodził w samej koszuli, nawet gdy na zewnątrz panował mróz. Esther wiedziała, że naczelny cierpi na kilka chorób – cukrzyca,

nadciśnienie, bezsenność, rozedma – i bierze sporo leków: opakowania wały się wśród papierzyk na jego biurku.

Podeszła bliżej, stanęła po drugiej stronie blatu i czekała. W końcu podniósł wzrok.

– Tak? Zamieniam się w słuch – powiedział.

Wyjęła pięć zdjęć i rozłożyła przed nim na papierach.

– Kto to jest? – zapytał. Pochylił się i włożył okulary. Przeniósł wzrok na dziennikarkę. – Tego rozpoznaję. To ten chłopak znaleziony w Ariège. Wszyscy o tym mówią.

– Pogrzebałam trochę w naszych archiwach. Cała piątka to przestępcy. Mimo opasyłych kartotek wszyscy zostali wypuszczeni na wolność i wszyscy... zniknęli jakiś czas po zwolnieniu. Ten się nazywa Kevin Debrandt, ten Lahcene Kheniche, ten Nelson da Rocha, a ten Romain Heyman. I do kompletu jeszcze Moussa Sarr, chłopak, którego zwłoki znaleziono w Ariège. Trzy dni przed tym, jak wpadł pod samochód, przestał się kontaktować z rodziną.

Naczelnny powoli odłożył okulary.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie uważasz, że ta zbieżność jest na tyle uderzająca, że powinniśmy o tym pogadać?

Uniósł brwi, tak samo kędzierzawe jak włosy na głowie.

– No i? Co chcesz napisać? Że zniknęli? W każdym roku znikają tysiące osób. Może gdzieś się zaszyli. Jakie masz dowody, że coś ich łączy?

Nie prosząc o pozwolenie, przysunęła sobie krzesło i usiadła.

– Moussa Sarr został potrącony przez samochód, kiedy uciekał przed ludźmi, którzy ścigali go jak zwierzynę. I miał na głowie tę piekielną głowę jelenia. I...

– Wiem o tym, Esther: opublikowaliśmy twój artykuł na pierwszej stronie, ale...

– Na wiosnę został zwolniony ze względu na błędy proceduralne. Był oskarżony o gwałt. Czterej pozostali również z tego czy innego powodu wyszli na wolność, a jakiś czas po opuszczeniu gmachu sądu czy więzienia zniknęli. Ot tak! I od tamtego czasu nie dali znaku życia.

– Powtarzając to samo kilka razy, nie sprawisz, że zmienię zdanie: nie zgadzam się na tekst.

– A jeśli na nich wszystkich polowano tak jak na Sarra? Załóżmy, że spotkało ich to samo...

Mężczyzna odchrząknął i mimo maseczki widać było, że się krzywi.

– To tylko hipoteza, nie masz pojęcia, jak było.

- Nie uważasz, że wypadaloby przynajmniej zbadać temat?
- Co ty sobie wyobrazasz? Że jesteśmy „Washington Postem”?

– Chaumette, wiesz tak samo dobrze jak ja, że w tym zawodzie zdobywanie prawdziwych informacji kosztuje dużo czasu i energii. Chyba że zamierzamy się zadowalać depeşami AFP i kopiowaniem treści konkurencji. Wiesz również, że istotą naszej pracy jest dokopywanie się do prawdy ukrytej pod hałdami kłamstwa, konfabulacji i pozorów, przynajmniej jeśli nie jest się dziennikarzem tylko z nazwy.

Wzruszył ramionami, grzebiąc w stosie dokumentów wznoszącym się przed nim jak mur obronny.

– Nie darujesz sobie tego pouczenia, co, Kopelman? To jest silniejsze od ciebie. – Westchnął. – Patrz, to jest dobry artykuł, który przemawia do ludzi – dodał, rozkładając anachroniczny szeleszczący egzemplarz drukowanej gazety. – *Skutki uboczne koronawirusa w zakresie praktyk seksualnych*. Sądzono, że po seksualnej posusze spowodowanej przez pierwszy lockdown po zniesieniu obostrzeń będziemy świadkami istnego szaleństwa w tej dziedzinie. Otóż nic z tych rzeczy. Trzydzieści trzy procent zapytanych singli zadeklarowało, że w miesiącu, który nastąpił po otwarciu, uprawiali seks. To więcej niż w trakcie lockdownu (trzyście procent), ale mniej niż przed nim (czterdzieści cztery procent). W dodatku dziewięćdziesiąt procent respondentów zdecydowało się na jednego partnera. Wirus sprzyja wierności. Ale przyczynia się też do stygmatyzacji grup ryzyka. Pięćdziesiąt dziewięć procent ankietowanych singli nie zdecydowałoby się na seks z osobą, która była narażona na zakażenie, na przykład członkiem personelu medycznego, a pięćdziesiąt osiem procent z osobą, która chorowała na COVID-19. Ciekawe, nie?

- Same liczby. I ty nazywasz coś takiego dobrym artykułem?

– Nieprawda – powiedział. – Jest dobrze napisany, a mówi nie tyle o braku seksu, ile o braku bliskości. To do ludzi przemawia. Singiel jest przyzwyczajony do braku seksu. Ale Francuzi potrzebują emocjonalnego ciepła, chcą, żeby ktoś przy nich był w tym kryzysie. I o tym jest ten artykuł. Mówi nam, kim w głębi serca jesteśmy. Dlatego interesuje naszych czytelników bardziej niż korupcja, handel narkotykami czy skandale. To najczęściej czytany artykuł na naszej stronie internetowej. – Kilka razy stuknął palcem wskazującym w tekst. – Badania wykazały, że ludzie po lekturze prasy czują niepokój – zażartował. – Zakładam, że słyszałaś o ataku nożownika w bazylice w Nicei dziś rano? Trzy osoby martwe, dwóm z nich podcięto gardło. Mamy w tym momencie

wystarczająco dużo wiadomości budzących lęk. Jeśli nie masz więcej dowodów, odpuszczamy temat.

– A jeśli je znajdę?

– To pogadamy.

– Okej. Ale posiadanie informatora w policji kosztuje.

Naczelnny westchnął.

– Ile?

Przekręciła klucz w drzwiach swojego mieszkania na poddaszu. Pchnęła skrzydło, które przez chwilę stawiało opór, i weszła do małego M3, w którym pachniało kadzidelkiem i papierosowym dymem. Odłożyła torebkę i poszła do łazienki, by zdezynfekować dłonie żelem z dodatkiem alkoholu. Gdy weszła do salonu z aneksem kuchennym, jej wzrok padł na opróżnioną do połowy butelkę bourbona stojącą na blacie. Nalała sobie pełną szklankę i wypła wszystko jednym haustem. Następnie sięgnęła po nową paczkę papierosów i zeszła do mieszczącego się na parterze lokalu z kebabem o nazwie Sami Kebab – na cześć właściciela.

– *Salam alejkum* – przywitała się, zajrzawszy do mikroskopijnej kuchni otwartej na wąską jak korytarz salę.

– *Alejkum salam* – odpowiedział Sami.

Miał ujmującą, pociągłą twarz, nos à la Cyrano de Bergerac, szpakowatą brodę przyciętą w wianuszek i czarne oczy tryskające humorem. Tego dnia jednak czał się w nich smutek.

– Dlaczego masz taką minę, Sami?

Spojrzał na nią wzrokiem kota, któremu drzwi przycięły ogon.

– Dlaczego mam taką minę? Jesteś dziennikarką, powinnaś wiedzieć: będzie następny lockdown. Nie słyszałaś wczorajszego przemówienia prezydenta?

– A, o to chodzi...

– Tak, o to. Uważasz, że to nic ważnego? Masz robotę, dostajesz wypłatę. Ale ja już nie żyję: nie ma Samiego, nie ma kebaba, nic już nie ma. *Finito*. Żegnaj, Sami.

– Naprawdę mi przykro.

– A do tego te potworności, które zdarzyły się rano w tamtym kościele w Nicei. Ludzie tacy jak ja znowu będą wytykani palcem. Znowu będą nas mylić z tymi dzikimi bestiami. Gość, który to zrobił, podobno jest na OIOM-ie. Żal mi lekarzy, którzy muszą ratować tego potwora. Gdybym był na ich miejscu, nie ruszyłbym palcem. Leczenie własnych zabójców? Jacy wy w tym kraju jesteście

słabi. Zbyt słabi. Jedz szybko, Kopelman, póki nie zasunąłem rolety i ten świat nie wybuchł – powiedział smutno. – Co podać?

– Zrób mi dürüm.

– Z domowym ras el hanout?

– I bez kwaśnego sosu, nie tak jak ostatnio.

– Słyszę, co do mnie mówisz, Kopelman, dobrze słyszę – odparł Sami.

– Usiądę sobie – powiedziała, sięgając po jedno ze składanych krzeseł stojących w pustej sali.

Sami zostawił przed lokalem tylko jeden stolik bez krzesła. Było za zimno, by jeść na dworze. Dziennikarka usiadła jednak na zewnątrz nie tylko, by jeść, ale żeby przy okazji obserwować: ludzi, swoje miasto, życie. To było silniejsze od niej. Ludzkość była dla Esther Kopelman jak narkotyk.

– Bez kwaśnego sosu! – powtórzyła, przekraczając próg.

– Dlaczego ciągle tu przychodzisz, skoro nic ci nie pasuje? – rzucił mężczyzna.

Esther wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Ponieważ twój lokal znajduje się dokładnie pod moim mieszkaniem i masz najlepsze mięso w Tuluzie – odparła, nie odwracając się.

Mięso było przepyszne. Poszła wyzebrać kieliszek chianti do sąsiedniej pizzerii, gdzie po ostatnim wystąpieniu prezydenta panowały równie ponure nastroje jak u Samiego. Postawiła kołnierz puchówki. Było cholernie zimno. Wyjęła komórkę. Osoba, do której zadzwoniła, nosiła w jej spisie numerów nazwę „Kontakt nr 1”.

– Deklaracja współpracy aktualna? – powiedziała, usłyszawszy głos po drugiej stronie. – Masz czym pisać? Potrzebuję informacji o następujących osobach: Lahcene Kheniche, Nelson da Rocha i Romain Heyman. –

Przeliterowała. – Potrzebne mi nazwisko sędziego odpowiedzialnego za śledztwo i policjantów, którzy je prowadzili.

– Za ile?

– Zgodnie z umową.

Niebo nad blokami dzielnicy Reynerie było coraz bardziej zachmurzone. Podmuchy wiatru unosiły pierwsze liście w parku Churchilla i marszczyły smutną, czarną taflę stawu.

W melinie śmierdziało shitem. Chérif wysłał lokatorów na spacer, by spokojnie porozmawiać z „braćmi”, z dala od uszu matki i ewentualnych podsłuchów zamontowanych przez psy. Omiótł wzrokiem zacięte twarze młodych mężczyzn przesłonięte smugami niebieskawego dymu.

– Nie pozwolimy, żeby mordercy mojego brata pozostali bezkarni – powiedział. – Jebane psy nic nie robią, ukręcają sprawie łeb. Musimy działać.

Spoczywające na nim spojrzenia lśniły jak rozgrzane do białości kawałki metalu.

– Taaa. Trzeba coś z tym zrobić. Dać skurwysynom popalić. Co proponujesz?

Lemarchand wyjrzał przez okno. Wóz wciąż stał przy krawężniku, zaparkowany między dwoma innymi samochodami. Wiedział, że auto należy do floty policji kryminalnej. W środku ktoś siedział.

Z rosnącą irytacją zauważył, że kobieta za kierownicą nawet nie próbuje się ukryć. Przez przednią szybę nie widział jej oczu, ale domyślił się, że szmata obserwuje właśnie jego. Zaciągnął roletę, dopił kawę, przepłukał filiżankę i wstawił ją do zlewu.

Rzęch stał tam już dobrą godzinę. Lemarchand nie zwrócił na to uwagi, ale możliwe, że auto jechało za nim od samego komisariatu. Dobrze wiedział, do czego zmierzają. Chcą go zdenerwować, żeby w końcu popełnił jakiś błąd. Ale ta wiedza nic mu nie dawała, bo strategia była skuteczna: fakt, że mieli czelność tak jawnie stać przed jego domem, miał w sobie coś cholernie obelżywego, wręcz upokarzającego. Zastanawiał się, czy nie powinien wyjść, przejść na drugą stronę ulicy i powiedzieć lasce, żeby wypierdalała. Ale to nie był dobry pomysł: dałby jej do zrozumienia, że osiągnęli cel – wkurzyli go. A wtedy utwierdziliby się w swojej strategii. Wrócił do okna i znowu podniósł roletę. Dziunia się nie ruszała. Kurwa jebana. Nagle go przypiliło i zamknął się w toalecie.

Gdy już siedział na desce klozetowej z majtkami spuszczoneymi do kostek i napinał się, by załatwić potrzebę, zobaczył, jak z jego penisa cieknie biały, lepki płyn o zapachu zdechłej ryby. Cholera! Mimo braku erekcji jego żołądź wciąż tryskała spermą. To jeden z dziwnych objawów raka, który pożerał jego mózg. Zdarzało się to, gdy zbyt ekspresyjnie się śmiał albo, jak w tej chwili, oddawał stolec. Tak bardzo się bał, że przytrafi mu się to w pracy, że pod ubrania upychał warstwy nieprzepuszczalnego materiału. Pieprzona karma. Najwyraźniej w poprzednim życiu robił złe rzeczy; miał świadomość, że w przyszłym sytuacja też się raczej nie poprawi.

Podtarł się, wciągnął spodnie i wrócił do okna. Powoli zapadał zmierzch. Jak można było się tego spodziewać, samochód wciąż tam stał. Lemarchand zrezygnowany otworzył kuchenną szufladę i wyjął jeden egzemplarz z kolekcji „telefonów-duchów”: wszystkie urządzenia były na kartę.

– Tak? – odezwał się ktoś po drugiej stronie.

Głos należał do mężczyzny w dojrzałym wieku i emanował władczością.

– Jestem pod obserwacją, przed moim domem od godziny stoi samochód. Za kierownicą siedzi kobieta z firmy. Sądzę, że chcą mnie przestraszyć.

– Jest sama?

– Tak.

Lemarchand oczami duszy zobaczył wysoką postać, wyniosłe czoło, ogoloną głowę, zapadnięte, pobrużdżone policzki, a zwłaszcza oczy – tak niebieskie, że na ich widok robiło mu się niedobrze.

– Chcę ją zobaczyć – powiedział głos po chwili zastanowienia. – Poznanie wroga to podstawa, Serge. I to właśnie zrobimy.

Wysoki mężczyzna rozłączył się i podszedł do kominka. A więc psy gończe już złapały trop. Nie spodobało im się, że dowody skradziono z samej komendy. Nie przetrwali tego upokorzenia. Spojrzał niebieskimi oczami prosto w ogień. Doskonały, najczystszy niebieski kolor, jaki można sobie wyobrazić. Walka się zaczęła. Na samą myśl o tym na jego wąskich ustach pojawił się uśmiech.

Dolina Uzbin, Afganistan, 19 sierpnia 2008, 1.40 w nocy, w górach, sześćdziesiąt kilometrów od Kabulu. W blasku reflektorów oficer o niebieskich oczach wpatruje się w leżące w szeregu zwłoki. Dziesięciu zabitych francuskich żołnierzy. Zasadzka.

Talibowie i członkowie Hezb-e-Islami uzbrojeni w AK-47, granatniki RPG-7 i karabiny precyzyjne SWD zaatakowali patrol z przewagą pięciu na jednego. Stu

pięćdziesięciu talibów na trzydziestu żołnierzy. Niebieskooki oficer, który przybył ze wsparciem zbyt późno, jest wściekły. Uprzedził dowództwo, że to niebezpieczny sektor. Włosi, którzy byli tu wcześniej, przestali opuszczać bazę, gdy tylko stracili jednego spośród swoich ludzi.

Patrzy na swojego zastępcę, stojąc na kamieniach w słabej poświacie gwiazd, pośród huku moździerzy MO-120 i warkotu caracali.

– Źle przygotowana misja. Bez zwiadu z powietrza. Zasadzka, której można było uniknąć, gdybyśmy mieli odpowiedni łańcuch dowodzenia i niezbędne środki. Dzwon do dziennikarzy. Chcę, żeby jutro pisały o tym wszystkie gazety we Francji. Niech kraj się dowie, że nasze zaangażowanie jest całkowite, a postawa bojowa żołnierzy godna podziwu, ale francuska armia wysłała ich na śmierć. Nie pozwolę, by zabijano moich ludzi tylko po to, żeby oficjele mogli sobie paradować czternastego lipca w Paryżu.

Samira słuchała właśnie albumu Pantery *Vulgar Display of Power* – krążka z 1992 roku, który część portali muzycznych uważała za jedną z najlepszych metalowych płyt wszech czasów – kiedy zobaczyła, jak Lemarchand wychodzi z domu. Dla zabicia czasu chciała sobie pomoszować, ale na jego widok się powstrzymała. Skorumpowany glina pokonał schody willi, przeciął podwórko, wyszedł za furtkę i usiadł za kierownicą swojego vana. No, no, no!

Pozwoliła mu się oddalić, a następnie uruchomiła silnik. Ruszyła i szybko zjechała w dół stromą ulicą. Mężczyzna skręcił w lewo. Zrobiła to samo i zobaczyła go trzydzieści metrów przed sobą. Dzieliły ich dwa samochody. Doskonale. Chętnie przyczepiłaby do wozu Lemarchanda lokalizator GPS, ale na to też potrzebowała zgody sędziego.

Pięć minut później zobaczyła, że na wysokości Balamy i Cité de l'espace wjechał na obwodnicę i ruszył na południe. Sięgnęła po telefon. Martin odebrał po pierwszym dzwonku.

- Coś drgnęło. Jesteśmy na obwodnicy – powiedziała.
- Myślisz, że cię zauważył?
- Jestem tego pewna. Kilka razy wyjrzał przez okno.
- Świetnie. Nie zgub go.

Wyjechali z aglomeracji tuluskiej Autostradą Dwóch Mórz. Minęli Donneville, gdzie po raz ostatni logował się telefon Moussy. Za Montesquieu-Lauragais zjechali z A61 na A66. Czyli prosto na południe. Kierunek Ariège. Jechali trasą, którą pokonali zarówno Moussa, jak i Kevin: po dziesięciu minutach minęli Mazères, miejsce ostatniego logowania telefonu Kevina.

Kurwa... Czyżby Lemarchand jechał prosto do kryjówki? Czują dreszczyk tropiciela, w jej żyłach krążyła adrenalina. Ale coś tu nie grało. Przecież wiedział, że Samira siedzi mu na ogonie. Na pewno nie zaprowadziłby jej do bazy przestępców. Wiedział też, że na pustej autostradzie nie zdoła jej zgubić. Dokąd więc jechał?

Nie chciała się za bardzo do niego zbliżyć, ale było to trudne, ponieważ jechał poniżej dozwolonej prędkości. Dlaczego taki glina prowadzi jak dziadek? Można by pomyśleć, że robi to celowo. Jakby się wybrał na niewinną wycieczkę, co tym

bardziej ją dziwiło. Niebo nad wzgórzami ciemniało i kabinę zaczął zalewać półmrok.

Minęli Foix – prefekturę departamentu Ariège i jego drugie co do wielkości miasto liczące zaledwie 9700 mieszkańców. Pagórki wokół nich stawały się coraz wyższe. Chwilę później na horyzoncie zamajaczyły groźne, wysokie, majestatyczne szczyty. Na ciemnym niebie pojawiały się gwiazdy. Okolicę spowijał już cień. Poczucie alienacji, osamotnienia, wrażenie, że znaleźli się na kompletnym bezludziu narastało. W Tarascon-sur-Ariège za rondem, kościołem i opuszczonym cmentarzem zjechali z drogi N20 na D8, która natychmiast zagłębiła się w jeszcze większą głuszę.

Po obu stronach drogi wznosiły się porośnięte lasem zbocza. Chwilami dolina nieco się rozszerzała i jechali wśród niebieskawych łąk otoczonych czarnym lasem i cienistymi pagórkami. Lemarchand nie mógł nie zauważyć reflektorów jej samochodu. Miała nieodparte wrażenie, że rzuca się w paszczę lwa. Tylko co ów lew zamierzał? Lemarchand i jego kolesie nie byli idiotami. Na pewno się domyślali, że Samira na bieżąco informuje grupę. Więc o co chodziło?

Nagle w blasku świateł pojawiła się tablica z nazwą jakiejś miejscowości. Samira uświadomiła sobie, że poprzednio, gdy z Servazem i Espérandieu jechali na miejsce zbrodni, nie mijali jej. Droga, na której zginął Moussa Sarr, znajdowała się bardziej na północ.

Na skraju miasteczka, nad niewidoczną w ciemności rzeką, na której brzegach rosły strzeliste topole odcinające się na tle nieba jak pełniąca straż gwardia duchów, zauważyła budynek restauracji. Lemarchand zatrzymał się na niewielkim parkingu. Samira minęła go, zawróciła na pobliskim rondzie i ruszyła z powrotem. Znalazłszy się znowu przed restauracją, zauważyła wykonaną z surowych desek, ale podświetloną neonem tablicę w stylu Dzikiego Zachodu z napisem Myśliwskie Klimaty. Zobaczyła, jak Lemarchand wchodzi do budynku. Sięgnęła po telefon, zadzwoniła do Martina i streściła mu sytuację.

– Co mam robić?

– Wejdź do środka i obserwuj go.

– Rozpozna mnie.

– I o to chodzi. Gdyby zależało nam na dyskrecji, wybralibyśmy kogo innego.

– Wal się, Martin.

– Ja też cię kocham.

Skręciła na parking. Pięć samochodów, w tym van Lemarchanda. Samira zaparkowała na samym końcu. Zerknęła na zegar na desce rozdzielczej. 19.30. Ze względu na godzinę policyjna restauracja powinna zostać zamknięta za

półtorej godziny. Teren oświetlały umieszczone co kilka metrów lampki. Samira odczekała pięć minut i wysiadła, po czym weszła do lokalu i poprosiła o stół.

Młoda kobieta siedząca przy wejściu poprawiła maseczkę i wyszła z za lady, by zaprowadzić ją do sali. Wnętrze okazało się typową wiejską gospodą z ciemnymi belkami stropowymi, ogniem w kominku, obrusami w kratkę i obrazami przedstawiającymi sceny myśliwskie. Gdy weszła do sali, Lemarchand podniósł wzrok. Wpatrywał się w nią, nie kryjąc gniewu i wrogości.

Samira wytrzymała jego spojrzenie, po czym zaczęła przeglądać menu. Usiadła przy wskazanym stoliku plecami do ściany i szybko zlustrowała pomieszczenie. Dwa małżeństwa – emeryci i para około pięćdziesiątki oraz rodzina złożona z rodziców w wieku trzydziestu lat i trójki hałaśliwych małych dzieci, a w kącie wysoki, mniej więcej sześćdziesięcioletni szczupły jegomość o wychudzonej, ogorzałej twarzy, wpatrujący się w swój talerz. No i Lemarchand, który siedział przy stoliku sam. Wróciła do niego myślami i zaczęła się zastanawiać, na kogo czeka. Wkrótce miała się tego dowiedzieć.

Gdy młoda kobieta podeszła, by przyjąć od niej zamówienie, Samira wybrała antrykot z szalotką. Lemarchand w milczeniu przystąpił do konsumpcji. Poczuli się nieswojo. Najwyraźniej nie czekał na nikogo. Nie zauważyła też, żeby wyjmował telefon. Nagle zaczęła się niepokoić: Dlaczego zaciągnął mnie w to miejsce?

Uważnie przyjrzała się pozostałym gościom. Mężczyzna z pary pięćdziesięciolatków zerkał na nią ukradkiem, ale ilekroć popatrzyła w jego stronę, odwracał wzrok. Policjant? Ojciec licznej rodziny kilka razy zapuszczał żurawia w kierunku jej czarnych skórzanych legginsów i swetra ze sznurowanym dekoltem, aż spiorunowała go wzrokiem. Sześćdziesięcioletek jadł samotnie w swoim kącie, skupiony na otwartej książce, która leżała obok. Nienaganny szary garnitur, biała koszula z usztywnianym kołnierzykiem.

Lemarchand ją obserwował. Jego oczy były niczym czarne dziury absorbujące całe światło. Samira zobaczyła, że na wargi policjanta powoli wypęła zły, arogancki, obsceniczny uśmiech, i jej serce mimowolnie przyspieszyło. Potem uśmiech w jednej chwili ustąpił tak jawnemu wyrazowi okrucieństwa, nienawiści i pogardy, że Samira poczuła zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

Przyszli na miejsce nocą przez avenue de la Reynerie, zajmując oba chodniki, ścieżkę rowerową i środek jezdni. W kominiarkach, cali na czarno, uzbrojeni w stalowe pręty, kije bejsbolowe, kamienie i fajerwerki, które część prasy nieco

przesadnie nazywała „moździerzami”, wykorzystując dwuznaczność tego terminu, ponieważ było to bardziej spektakularne i w zbiorowej wyobraźni wzmacniało obraz zwalczających się armii.

Było ich około pięćdziesięciu, może więcej, i dwaj policjanci, którzy palili przed komisariatem od razu zrozumieli, że będzie ciężko.

– Co to, kurwa, ma być?! – zawołał jeden z nich.

– Ruchy! Trzeba wszystko pozamykać i wezwać posiłki!

Wpadli do środka i zablokowali pancerne drzwi.

– Opuśćcie rolety! Atakują nas!

Była to noc oburzenia, wściekłości i tumultu. Dzika, mściwa noc. Za każdym wyzwiskiem, za każdym okrzykiem, za każdym rzuconym przedmiotem kryło się – wypowiedziane lub nie – słowo „sprawiedliwość”. To samo słowo rok wcześniej rozgrzewało na rondach demonstrantów w żółtych kamizelkach – stowarzyszenia ofiar domagających się większej surowości wobec sprawców, kobiety i mężczyzn, których dzieciństwo zostało zniszczone przez dorosłych, młodzież z przedmieść, która chciała mieć takie same szanse jak jej rówieśnicy, a tej nocy nawet dilerów i dzieci ulicy. Sprawiedliwość. Której ten kraj nie jest gotów zapewnić swoim obywatelom, którą zastąpił jej pozór, parodia, udawanie. Sprawiedliwość: to słowo opanowało wszystkie umysły w tym upokorzonym, wyszydzanym narodzie.

I pośród tej nocy buntu, pośród tych okrzyków, walki i ognia jest ono również w głowach wszystkich mieszkańców Mirail: zarówno w głowach policjantów, jak tych, którzy na nich napadli.

Samira czym prędzej zapłaciła i wstała. Wyszła z sali, minęła recepcję, w której siedział właściciel z oczami utkwionymi w wiszący w kącie telewizor.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – powiedział ze zrozpaczoną miną. – Znowu nas zamykają. To niemożliwe. Już po nas. Nie podniesiemy się po coś takim. Dzieło całego życia poszło się gonić.

Współczująco skinęła głową i wyszła w rozgwieżdżoną noc. Było cicho jak makiem zasiał, jeśli nie liczyć szemrania pobliskiej rzeki i szumu wiatru w koronach topoli. Stała w miejscu. Gdzie on się podział? Widziała, że uregulował rachunek, wstał i wyszedł. Ale jego van wciąż stał przed restauracją. Rozejrzała się. Była na parkingu sama. A może nie? Było już po pełni i księżyc nie oświetlał każdego kąta. Facet z łatwością mógł się gdzieś ukryć. Zadrzała. Ruszyła w stronę samochodu.

Nagle ogarnęła ją panika. Była pewna, że ktoś ją śledzi. Czuła to. I nienawidziła tego. Chwilę później gniew wziął górę nad paniką. Gnoju, jeśli myślisz, że zdołasz mnie przestraszyć... Wiedziała, do czego zmierza Lemarchand. Chciał jej odpłacić pięknym za nadobne. Chciał, żeby zaczęła się zachowywać nerwowo. Nie ma mowy, nie da mu tej satysfakcji. Zamiast w pośpiechu wsiąść do wozu, oparła się o maskę i spokojnie sięgnęła po fajki.

Zapalając papierosa, zauważyła, że ręka jej drży. Miała nadzieję, że jeśli mężczyzna ją obserwuje, nie dostrzeże tego ze swojej kryjówki. Zmusiła się, by wypalić do samego końca, po czym poszła zgasić niedopałek w umieszczonej przy wejściu do restauracji donicy wypełnionej piaskiem, która służyła jako popielniczka. Następnie usiadła za kółkiem i wyjechała z parkingu, kierując się w lewo, w stronę Tuluzy. Jechała D8 – tą samą trasą, którą przyjechała, tą samą dziką, lesistą doliną. Na horyzoncie nie było żadnych ludzkich siedzib poza dwoma przysiółkami, które szybko minęła. O tej porze kilka domów, które reflektory jej samochodu nagle wydobyły z ciemności, miało zamknięte okiennice. Dalej droga wiodła pośród zamglonych łąk i mrocznych lasów. Miejscami mgła wypełzała na szosę i ilekroć Samira wjechała w środek oparów, strumień światła się od nich odbijał. Bacznie obserwowała wsteczne lusterko. Czasem rzeczywistość naśladuje fikcję: daleko z tyłu pojawiła się para reflektorów. Nocą taki widok zawsze ma w sobie coś niepokojącego. Choćby przelotnie, tak naprawdę w to nie wierząc, człowiek myśli o porwaniach samochodów, o piratach drogowych, o podchmielonych gościach, którzy chcą się popisać albo zabawić. To ludzkie.

O tym wszystkim myślała też Samira, kiedy we wstecznym lusterku obserwowała lśniące światła, które nagle zaczęły się bardzo szybko przybliżać. I wtedy już wiedziała. Lemarchand.

Kiedy przełączył na długie, gwałtownie przyśpieszył i ruszył prosto na nią, stanowczo zbyt szybko połykając ostatnie kilkadziesiąt metrów, Samira mimowolnie wytrzeszczyła oczy. Facet chce w nią wjechać! Wczepiła się dłońmi w kierownicę i usztywniła w oczekiwaniu na uderzenie, ale on w ostatniej chwili przyhamował. Van zatrzymał się kilka centymetrów od zderzaka, a kabinę jej samochodu zalało białe światło jego reflektorów.

Kurwa! Gość chce, żeby straciła panowanie nad kierownicą! Dodała gazu, ale Lemarchand natychmiast zrobił to samo. Cholera! Czekał, aż popełni błąd i sama spowoduje wypadek. Albo czyhał na odpowiednie miejsce, na zakręt, by lekko w nią stuknąć, a wtedy ona wypadnie z drogi.

Była cała mokra. Pot spływał jak woda po jej karku i między łopatkami. Serce waliło w piersi jak bokser okładający ciosami gruszkę bokserską. Facet jest szalony, pomyślała. Zaraz dojdzie do wypadku!

Siedział jej na zderzaku, jadąc z prędkością ponad sto kilometrów na godzinę przy ograniczeniu do osiemdziesięciu. Białe światło oślepiło Samirę, ograniczając jej widoczność. Nie miała odwagi zwolnić. Był zbyt blisko. Gdy znalazła się na prostym odcinku drogi, zadzwoniła do Servaza. Odebrał natychmiast.

– Martin! Lemarchand siedzi mi na zderzaku! Zaraz we mnie wjedzie! – zawołała.

– Co?!

Powtórzyła i najkrócej jak się dało streściła mu sytuację.

– Skup się na prowadzeniu – rozkazał. – Żadnych głupich ruchów: on tylko na to czeka!

Wśród notatek i karteczek samoprzylepnych walających się na biurku, odszukał numer Lemarchanda. Zadzwonił. Parszywy glina odebrał po trzecim dzwonku.

– Nie nauczyli cię zachowywać bezpiecznej odległości? – zapytał spokojnie Servaz.

Lemarchand wybuchnął śmiechem:

– No masz, Servaz! Ruszasz na odsiecz koleżance?

– Złożę na ciebie donos do Inspekcji.
– Pierdu, pierdu. Chyba nie chcesz, żeby ci odebrali śledztwo? Znam chłopaków tak samo jak ty, Servaz. Chcesz tego śledztwa.
– Dlaczego to robisz?
– Żebyście zobaczyli, jak to jest, kiedy ktoś wam siedzi na ogonie.
– Chcesz spowodować wypadek? Jak się wytłumaczysz? Zwolnij. Przysięgam, jeśli cokolwiek jej się stanie, osobiście zaciągnę cię do IGPN. Za jaja.

Nagle głos Lemarchanda się zmienił. Policjant kompletnie stracił panowanie nad sobą.

– Zamknij się! Przestań mi grozić, cioto! – zawołał histerycznie. – Mnie się nie grozi, rozumiesz? Posłuchaj mnie! Macie przestać! Nie mam nic wspólnego z zaginięciem tego dzieciaka, dlaczego zawracacie mi dupę?

Wrzeszczał. Servaz bał się, że w afekcie zepchnie Samirę z drogi.

– Zwolnij, a odwołam obserwację – zaproponował.

– Walcie się! – odpowiedział sierżant i rozłączył się.

Zdjął jednak nogę z gazu i odległość między samochodami zaczęła szybko rosnąć. Nawet nie mignął Samirze światłami na pożegnanie.

Samira potwierdziła, że Lemarchand się od niej odczepił. Servaz odłożył telefon. Wpatrywał się w ścianę przed sobą. Czyżby glina tracił zimną krew? Nagle usłyszał krzyki dochodzące z korytarza. Spojrzał w stronę drzwi, zastanawiając się, co się dzieje. Na zewnątrz wrzało. A to oznaczało, że gdzieś jest rozróżba. Wyszedł, żeby zasięgnąć informacji.

Na place du Capitole, podobnie jak w całej aglomeracji tuluskiej, czas zatrzymał się o 21.00. Godzina policyjna zobowiązuje. Operacja wymarłe miasto. Puste ulice. Metalowe rolety opuszczone. Jak o czwartej nad ranem.

W ratuszu jednak sytuacja wyglądała zgoła odwrotnie. Na korytarzach i w biurach panował niespotykany ruch. Członkowie władz miasta, którzy spędzili dzień na organizowaniu nowego lockdownu i próbach przewidzenia wszystkich jego konsekwencji – podczas gdy przed budynkiem protestowała grupa dwustu osób – zgromadzili się teraz w przeładowanym złoceniami gabinecie mera z zupełnie innego powodu.

Włodarz miasta miał nietęgą minę. Trwała telekonferencja z dyrektorem Departamentalnego Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego. Oprócz mera w gabinecie siedzieli też dyrektor jego biura, dyrektor do spraw komunikacji,

zastępca zajmujący się polityką bezpieczeństwa i przeciwdziałania przestępczości, a także merowie sektorów Toulouse-Nord i Mirail/Reynerie/Bellefontaine.

– Mamy początek rozruchów w Reynerie, Bellefontaine, Izards i Bagatelle – mówił właśnie szef Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego do trójkątnego mikrofonu konferencyjnego.

Na obliczach zebranych malował się niepokój.

– Nie chcę powtórki z dwa tysiące osiemnastego – ostrzegł go mer. – Nie róbcie absolutnie niczego, co mogłoby zaognić sytuację.

W 2018 trzydniowe zamieszki objęły kilka dzielnic. Spłonęło sześćdziesiąt samochodów, zdewastowano wiaty przystankowe i infrastrukturę miejską, a policjanci wpadli w zasadzkę: demonstranci wzniecali pożary, a gdy wraz ze strażakami przyjeżdżała policja, obrzucali ją kamieniami.

– Po śmierci tego chłopaka było to do przewidzenia – mówił dalej mer. – Dlaczego niczego nie zauważyliście?

Milczenie po drugiej stronie.

– Mieliśmy sygnały z systemu Pharos, że na Facebooku i Snapchacie na coś się umawiają, ale trudno było przewidzieć, gdzie i kiedy wybuchnie rozróżba.

Pharos jest systemem ułatwiającym zgłaszanie treści pedofilskich i przypadków demoralizacji młodzieży, ale także podżegania do nienawiści rasowej i przemocy za pośrednictwem portali społecznościowych. Nazwę musiał wymyślić jakiś biurokrata z zamiłowaniem do pretensjonalnych akronimów¹.

– Zmobilizowaliśmy dwadzieścioro policjantów, oddziały prewencji² i funkcjonariuszy Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego – kontynuował dyrektor. – Okolicę obserwuje też śmigłowiec żandarmerii. Ale chodzi nie tylko o Reynerie i Bellefontaine: docierają do nas też informacje o spalonych samochodach w Izards, Colomiers i Blagnac. I o początkach zamieszek w Seysses.

Areszt w Seysses słynie z dramatycznego przepełnienia: na niektórych piętrach na stu dziesięciu zatrzymanych przypada jeden strażnik.

– Jezus Maria! – krzyknął mer.

– Przeprowadziliśmy już dwadzieścia osiem interwencji – uspokajał go dyrektor. – I pracujemy dalej.

Nie sprecyzował, że dwadzieścia pięć spośród owych dwudziestu ośmiu interwencji dotyczyło nieletnich, którzy po zwyczajnym upomnieniu wrócili do domu.

Mer, mężczyzna o wybitnie krzaczastych brwiach, podziękował, poprosił, by informowano go na bieżąco, i rozłączył się. Popatrzył po swoich współpracownikach z miną, jakby właśnie zobaczył krążącego po korytarzach ratusza ducha Josepha de Rigaud – pierwszego mera Tuluzy, którego zgilotynowano 20 kwietnia 1794 roku.

– Jakby jedna zła wiadomość dziennie nie wystarczyła. Najpierw lockdown, a teraz zamieszki.

Mieszkańcy słyszeli terkot śmigłowca nad dachami domów. Mury drżały od niego jak w południowym Los Angeles czy Watts w 1992. Słyszeli również ryk syren, widzieli dym i ogień pożarów, jeśli sami nie byli akurat w ogniu walk. Dla tych, którzy tam nie mieszkali i siedzieli przed telewizorami, były to może interesujące obrazki, ale miejscowi przeżywali koszmar, zmuszeni kryć się w swoich mieszkaniach jak cywile w strefie działań wojennych. O godzinie policyjnej można było zapomnieć: dzielnice wrzały. Z każdą minutą przybywało dziennikarzy. Ale zarówno oni, jak i policjanci trzymali się na dystans. Rozkazy były jasne: nie wystawiać się na konfrontację, ale przeszkodzić protestującym w rozszerzeniu zamieszek na inne dzielnice.

W okolicach komisariatu w Mirail było już spokojniej, ale budynek nosił stygmaty wybuchu agresji: czarne ślady na murach, powgniatane metalowe rolety, popękane szyby pancerne. W Bellefontaine manifestujący przemierzali się bardzo szybko, niszcząc po drodze miejską infrastrukturę i bawiąc się w chowanego z policją.

Do najbardziej dramatycznego zdarzenia doszło jednak przed wysokimi blokami na impasse Théodore-Richard w Reynerie. W uliczce nieopodal głównego placu podpalono dwa samochody. Kiedy na miejsce przybyli strażacy w asyście zespołu z BAC, z balkonów posypał się na nich grad zaimprovizowanych pocisków. Zrozumieli, że wpadli w kolejną zasadzkę. Zespół składał się z policjantki i policjanta. Nie byli żółtodziobami, ale też nie starymi wyjadaczami. Gdy tylko spadły pierwsze pociski, usiłowali wycofać samochód, ale wtedy z tyłu, zza rogu avenue de la Reynerie wyskoczyła grupa napastników. Kostką brukową wybili tylną szybę samochodu, po czym wrzucili do środka koktajl Mołotowa.

Kabina szybko zajęła się ogniem. Wnętrze wypełnił gryzący, toksyczny dym, płomienie pożerały tkaniny i plastikowe elementy wyposażenia. Policjant siedzący za kierownicą natychmiast odpiął pas i wyskoczył na zewnątrz, ale jego koleżanka nie zdołała otworzyć drzwi. Podobnie jak większość policyjnej floty,

na której odbijały się konsekwencje dawnych cięć budżetowych, samochód był niebezpiecznie wyeksploatowany – miał na liczniku ponad 260 tysięcy kilometrów. Uwięziona policjantka zaczęła krzyczeć i gestykulować, walcząc z zablokowanymi drzwiami. Płomienie już ją otaczały. Mimo wciąż spadających pocisków i wrzasków dochodzących z góry, strażakom udało się sforsować drzwi i wydobyć policjantkę, która zdążyła się już zmienić w ludzką pochodnię.

Wezwano posiłki. W przypiływie paniki policjant – syn imigrantów z Senegalu, który dorastał w latach dziewięćdziesiątych w Seine-Saint-Denis – sięgnął po broń i oddał dwa strzały w powietrze, z czego musiał się później tłumaczyć przed IGPN. Po sześciu długich minutach przyjechała karetka oraz trzy dodatkowe radiowozy i policjantkę z poparzeniami drugiego i trzeciego stopnia zabrano z miejsca zdarzenia.

To była powtórka z Viry-Châtillon ³.

1. *Plate-forme d'harmonisation, d'analyse, de recouplement et d'orientation des signalements* – Platforma Harmonizacji, Analizy, Zestawiania i Ukierunkowywania Zgłoszeń (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. CRS – Compagnies Républicaines de Sécurité (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. W październiku 2016 roku w Viry-Châtillon, w dzielnicy Grande-Borne dwa radiowozy policyjne zostały zaatakowane na skrzyżowaniu przez osobników uzbrojonych w kamienie i stalowe pręty. Jedna policjantka doznała ciężkich poparzeń rąk i nóg po wybuchu koktajlu Mołotowa, a życie innego funkcjonariusza było zagrożone. W roku 2020 doszło do kolejnych zasadzek: 17 marca w Aulnay-sous-Bois atak na wóz strażacki i policyjny, 24 marca w Beauvais zagrożone życie policjantki, 28 marca w Saint-Denis patrol policyjny ostrzelany z moździerzy. 2 kwietnia w Pantin, 5 kwietnia w Bordeaux, 19 kwietnia w Tuluzie, 20 kwietnia w Villeneuve-la-Garenne, Gennevilliers, Clamart, Champigny-sur-Marne, Villepinte, Nanterre, Suresnes, Rueil-Malmaison, 6 maja w Massy i Vénissieux, 18 lipca w Lyonie, 7 października w Herblay... [\[wróć\]](#)

PIĄTEK

W piątek 30 października Servaz zwołał zebranie swojej grupy z wyłączeniem Roussiera i Gadebois.

– Żeby było jasne – zaczął. – Tak czy owak mamy przesrane. Jeśli sprawcą jest oficer policji, większość kolegów obróci się przeciwko nam. A jeżeli nie jest, zostaniemy oskarżeni o ukrywanie prawdziwego sprawcy i zlinchowani na portalach społecznościowych. W tej sprawie żaden winowajca nie jest dobry, ale i tak naszym jedynym zmartwieniem jest go znaleźć.

– Ich – poprawiła go Samira.

Servaz przytaknął, rozmyślając jednocześnie o tym, co się dzieje na zewnątrz. Po zamieszkach z poprzedniej nocy różowe miasto lizało rany. Zniszczenia oszacowane na kwotę kilkuset tysięcy euro, osiemdziesiąt spalonych samochodów (czyli o dwadzieścia więcej niż w 2018), dwunastu rannych policjantów i wszędzie, zarówno w centrum, jak i na przedmieściach, wymalowane hasła: „Psy to mordercy” albo: „Policja to rasiści”. Poparzoną w Reynerie sierżantkę wprowadzono w stan śpiączki farmakologicznej, a jej kolega, który był w szoku, poszedł na zwolnienie lekarskie i został zobowiązany do odbycia psychoterapii.

Martin puścił w obieg zdjęcie Lemarchanda i opowiedział o tym, co poprzedniego wieczoru spotkało Samirę.

– Serge Lemarchand utrzymuje, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Moussy, że to fałszywy trop. Wszystko wskazuje na to, że jest inaczej. Myślę, że na coś trafiliśmy. To jakiś początek, jakiś kierunek. Prędzej czy później trzeba będzie poprosić sędziego o pozwolenie na przesłuchanie go. Ale ponieważ to glina, zawsze istnieje ryzyko, że Nogaret odbierze nam sprawę i przekaże Inspekcji.

– To co robimy? – zapytała Samira.

– Czekamy, żeby zobaczyć, czy nie da się do nich dostać jakoś inaczej. Sędziego zawiadomimy tylko w ostateczności. Obiecałem Lemarchandowi, że cofnę rozkaz obserwowania go, ale obietnice obowiązują tylko tych, którzy w nie wierzą. Zintensyfikujemy obserwację. Drań już jest zdenerwowany, doprowadzimy go do ostateczności.

– Kradzież próbki krwi z laboratorium wskazuje na to, że zamieszani są jeszcze inni ludzie z firmy – zauważył Vincent, gasząc jego entuzjazm.

Servaz popatrzył na zastępcę i ponuro skinął głową.

– To kolejny powód, żeby się nie śpieszyć z informowaniem sędziego. Jeśli się o tym dowie, na pewno odbierze nam sprawę. Od teraz musimy naprawdę uważać. Nie ufajcie nikomu, z nikim nie rozmawiajcie o tym, o czym tutaj mówimy, bo mogłoby to dotrzeć do głównych zainteresowanych.

Raphaël Katz gwizdnął.

– Nie uważacie, że to trochę zakrawa na paranoję?

Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Servaz wpatrywał się w niego dłuższą chwilę.

– Nie. A swoją drogą mam pewien pomysł w związku z tobą. Jesteś dobrym aktorem?

Raphaël zmarszczył brwi i spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem. Nagle telefon Servaza zawibrował. Martin zerknął na wyświetlacz. Chabrillac.

– Tak?

– Komendancie, zapraszam do mojego biura. Natychmiast.

– Kto panu pozwolił obserwować dom funkcjonariusza policji?! – ryknął nadkomisarz, nie fatygując się, by założyć maseczkę. – Oszalał pan, czy co? Widział pan, co się dzieje na zewnątrz? Wyobraża pan sobie, co będzie, jeżeli prasa się dowie, że policjanci podejrzewają swoich?

Servaz ze spokojem wytrzymał spojrzenie szefa.

– Mamy powody, żeby sądzić, że Lemarchand jest zamieszany w zaginięcie Kevina Debrandta.

Chabrillac zbladł.

– Zdaje pan sobie sprawę z ciężaru tego oskarżenia? – krzyknął po chwili milczenia, która miała uświadomić rozmówcy, jak bardzo nienawidzi takich wiadomości. – Mam nadzieję, że ma pan poważne dowody, skoro stawia pan taką hipotezę.

Servaz opowiedział mu o vanie Lemarchanda widocznym w nagraniach bankowego monitoringu i o tym, że Kevin zniknął tego samego dnia mniej niż dwa kilometry stamtąd.

– To nie oznacza, że między tymi faktami istnieje jakiś związek – zauważył tamten ponuro. – To może być zbieg okoliczności. Czy Lemarchand powiedział panu, co tam robił?

Servaz przytoczył słowa policjanta. Nadkomisarz westchnął.

– A pan oczywiście mu nie wierzy. Komendancie, musi pan być bardzo ostrożny. Jeżeli to się wyda, odpowie osobiście odpowie pan za wyciek.

Martin powiedział mu o śladach farby i plamie krwi pod wiaduktem.

– Przebadaliście próbkę krwi?

– Ktoś ją ukraść z laboratorium.

– Co?

– Wczoraj ktoś wszedł do laboratorium i ukraść próbkę.

Servaz streścił zdarzenia z poprzedniego ranka. Dowódca patrzył na niego jak pitbull na włamywacza.

– Jest pan tego pewien? – zapytał.

– Wiadomość przekazała mi osobiście Catherine Larchet.

Tym razem Chabrillac wstał. Pochylony do przodu, oparty na wyprostowanych rękach wyglądał, jakby miał przeskoczyć przez biurko. Miał surową minę.

– Dlaczego nie byłem o tym informowany?

– Właśnie pana informuję. Reasumując, próbka krwi, którą zdjeliśmy pod wiaduktem i która obok nagrań z monitoringu banku pozwoliłaby nam zyskać niemal pewność, że Kevin Debrandt został porwany z tamtego miejsca tego samego dnia, gdy sierżant Lemarchand był w okolicy swoim vanem, otóż ta właśnie próbka została skradziona z pomieszczenia mieszczącego się budynku *pańskiej* komendy najprawdopodobniej przez jakiegoś policjanta lub kogoś, kto dobrze zna to miejsce.

Wyraz twarzy Chabrillaca w jednej chwili się zmienił. W jego głowie wybuchła burza, a w oczach pojawiły się błyskawice jak u samego Zeusa. Mężczyzna wydał z siebie groźny pomruk.

– Wejść na moją komendę i ukraść dowód! – grzmiał. – Pod moim nosem dopuścić się najhaniebniejszego czynu, jakiego może się dopuścić policjant. Mnie prowokować, mnie! Ośmielić się podeptać mój autorytet! Zaatakować *moją* firmę! – Jego głos był nabrzmiały złością, a stawy palców opartych o biurko zbieleły. – Servaz, macie się temu dupkowi wczepić w tyłek i znaleźć jego współników! Macie mu uprzykrzać życie tak długo, aż popełni jakiś błąd. Chcę skóry tego drania, chcę, żebyście ich wszystkich zaciągnęli za jaja przed sąd.

– A co z billingami Lemarchanda?

– Zadzwońcie do sędziego.

– Sędzia może przekazać sprawę do IGPN – skrzywił się Martin.

Chabrillac zastanowił się chwilę, spojrział na niego z zamyśloną miną, a potem, ku zaskoczeniu Servaza, uśmiechnął się.

– Nie przekazuje, jeśli mu powiemy, że zamieszany może być funkcjonariusz z Inspekcji.

Teraz Martin się uśmiechnął, pełen podziwu dla sprytu szefa.

– Ale tak nie jest – zaproponował pro forma.

– Wystarczy powiedzieć, że to był fałszywy trop, który szybko porzuciliśmy.

– Chabrillac po raz pierwszy mrugnął do niego porozumiewawczo.

Servaz prawie go polubił.

Jego dobry nastrój nie trwał jednak długo.

– Komendancie, niech pan nie próbuje się ze mną kontaktować w sobotę i niedzielę – uprzedził Nogaret, gdy Servaz zadzwonił do niego pięć minut później. – Nie odbiorę. W weekendy gram w golfa.

Ileż to już razy słyszał to zdanie z ust sędziów: „Proszę poczekać do poniedziałku, w weekendy nie pracuję” albo: „W sprawie przedłużenia zatrzymania kontaktujcie się z sędzią dyżurnym, ja już skończyłem pracę”. Jakby przestępcy robili sobie przerwy. Westchnął z rezygnacją.

– Żartowałem – sprostował natychmiast jego rozmówca. – Może pan do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Nie trzeba wierzyć we wszystko, co ludzie mówią: istnieją odpowiedzialni sędziowie, którzy nie liczą przepracowanych godzin i włożonego wysiłku. Tak jak pan. Proszę mnie informować na bieżąco.

Esther Kopelman siedziała wygodnie w wyściełanym fotelu na trzecim piętrze ratusza, czekając, aż podadzą jej kawę. Wiedziała, że na pewno nie będzie to ohydna lura, jaką oferowano na komisariatach, w szpitalach czy urzędach: zakładała, że dostanie raczej nespesso ristretto w maleńkiej porcelanowej filiżance niż nescafé w plastikowym kubku. Żałowała tylko, że do kawy nie będzie mogła zapalić, podobnie jak tęskniła za czasami, gdy w pracy można było pić alkohol, nazywać rzeczy po imieniu, nosić minispódniczkę na ulicy bez ryzyka, że nazwą ją szmatą, czy wreszcie wyrażać swoją opinię, nie troszcząc się o to, że zaraz przywoła ją do porządku armia cenzorów, którzy tylko czyhają na najmniejsze odstępstwo od obowiązujących aktualnie norm. Norm, które jej i innym dziennikarzom próbowały narzucić pewne grupy nacisku, strasząc ich i zamieszczając gniewne wpisy na Twitterze. I to działało. Coraz więcej jej kolegów po fachu stosowało autocenzurę. Z powodu nacisków zaczęli głosić poglądy niemal sprzeczne z tym, co naprawdę myśleli.

Esther skończyła dwadzieścia lat w 1987 roku. W kinach grali wtedy *RoboCopa*, *Wall Street*, *Fatalne zauroczenie*, *Czarownice z Eastwick*. Bez trudu była sobie w stanie wyobrazić, z jakim przyjęciem te filmy spotkałyby się dzisiaj. Nie zamierzała wtórować tym, którzy mówią, że kiedyś było lepiej, ale czasem miała wrażenie, że część trzydziestoletnich dziennikarzy „La Garonne” to tak naprawdę starcy w młodych ciałach, tak samo pruderyjni i skłonni do moralizowania jak jej rodzice.

Jej rozmyślaniami położył kres zastępca mera odpowiedzialny za przeciwdziałanie przestępczości, który był też mediatorem między ratuszem a społecznościami dzielnic. Jeszcze jeden trzydziestolatek tryskający wymuszoną energią rodem z reklam samochodów, zegarków czy smartfonów.

– Esther – zaczął, jakby byli starymi kumplami i jakby ucieszył się na jej widok; jak gdyby sam fakt, że zwrócił się do niej po imieniu, miał ją zmiękczyć.

– Laurent – odpowiedziała figlarnym tonem.

– W czym mogę pani pomóc?

– Chciałabym panu zadać kilka pytań na temat tego, co się zdarzyło dziś w nocy.

Wicemer miał aparycję idealnego zięcia i nowy, trochę zbyt lśniący garnitur. Opadł na fotel.

– Czy tym razem mogę mieć nadzieję na dokładny i wyważony opis wydarzeń? – zapytał. – Bo czasem mam wrażenie, że się pani na nas uwzięła. Jak się pani domyśla, Esther, w związku z lockdownem, najwyższym stopniem alertu antyterrorystycznego w ramach planu Vigipirate oraz zdarzeniami ostatniej nocy w Mirail i Izards jesteśmy dość zajęci. Mimo to znalazłem czas, żeby się z panią spotkać.

– Doceniam to. Ale jeśli bezstronność i pisanie o władzach miasta bez lukru i wazeliny oznaczają, że się uwzięłam, to przyznaję się do winy – odparowała.

Mężczyzna zarechotał.

– Dowcipna jak zawsze! Okej, podsumowując: wczoraj mniej więcej stu pięćdziesięciu młodych ludzi dewastowało infrastrukturę miejską w kilku dzielnicach, zaatakowało siły porządkowe i posterunek w dzielnicy Mirail. Spłonęło osiemdziesiąt samochodów, a dwadzieścioro policjantów zostało rannych.

– A co z tą ciężko poparzoną sierżantką?

Wicemer skrzywił się jednym kącikiem ust.

– Została wprowadzona w stan śpiączki farmakologicznej, to wszystko, co mogę pani powiedzieć. Trzeba by zapytać w szpitalu uniwersyteckim. – Zaplótł pod brodą palce obu dłoni. – Swoją drogą większość uczestników zamieszek stanowili nieletni. Staną więc przed sądem dla nieletnich. Wszystkiemu winne jest podżeganie na portalach społecznościowych i plotki, jakoby mordercami tego młodego człowieka, Moussy Sarra, byli policjanci. Na razie nie ma żadnych podstaw, by twierdzić, że tak było. Policja prowadzi śledztwo, a my będziemy czuwać nad tym, by wszystkie związane z nim informacje były w sposób przejrzysty przekazywane prasie.

– Słyszałam, że siły bezpieczeństwa otrzymały zalecenie, by nie wchodzić w konfrontację z tą młodzieżą. Kto je wydał: prefektura, ratusz czy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych?

Mężczyzna odrobinę się zachnął.

– Esther, wie pani więcej niż ja. Jeśli takie instrukcje zostały wydane, ja nic o nich nie wiem.

Sprytny sposób, by dać do zrozumienia, że być może wspomniane zalecenia rzeczywiście istniały, ale jednocześnie tego nie potwierdzić.

– Mirail i Izards od wielu lat mają nawracający problem z handlem narkotykami i są pod coraz większym wpływem ekstremistów – mówiła dalej. –

Czy ratusz i władze departamentu zamierzają na poważnie zmierzyć się z tym problemem, czy mamy się spodziewać, że sytuacja jeszcze się pogorszy?

– Ależ już to robimy – zaprotestował. – Podejmujemy wiele działań w porozumieniu z policją, ale także z organizacjami i partnerami społecznymi, ponieważ nie chodzi tylko o represje. Przede wszystkim chodzi o to, by uspokoić nastroje, zawiązać nić porozumienia. W całym kraju, nie tylko w Tuluzie, emocje są obecnie bardzo rozgrzane. Musimy być czujni i stanowczy, nie zapominając o słuchaniu. W dzielnicach panuje kompletny chaos, ich mieszkańcy także są ofiarami manipulacji.

Ciągle ta sama śpiewka, pomyślała Esther.

– Jeśli chodzi o organizacje, to wie pan równie dobrze jak ja, że jedne dzięki pełnym poświęcenia wolontariuszom wykonują dla tej młodzieży wspaniałą robotę, a inne są jedynie przykrywką dla ekstremistów: przyciągają młodych, separują ich od reszty społeczeństwa, omotują ich i robią im pranie mózgu. Czy zamierzacie ukarać lub rozwiązać te ostatnie?

– To prawda, te dzielnice są infiltrowane przez ekstremistów – przyznał. – Sprawa nie leży tylko w naszej gestii. Ale prowadzimy na ten temat rozmowy z ministerstwem. Wnioskujemy o zwiększenie obecności policji i dodatkowe środki prawne.

– W ostatnim czasie nastąpiła eksplozja przemocy związanej z porachunkami wśród handlarzy narkotyków. Trzydzieści dwa zdarzenia w ciągu dwóch lat. Zamierzacie podjąć jakieś kroki w tej sprawie?

– Policja już zintensyfikowała walkę z handlem narkotykami. Utrudnia się działalność dilerom i to jest jeden z powodów wrzenia w tych dzielnicach. Musimy jednak unikać uogólnień, nie wrzucać wszystkich do jednego worka.

– Oczywiście. A czy nie sądzi pan, że gdyby przez dziesięciolecia nie zaniedbywano tych dzielnic, gdyby pochodząca z nich młodzież otrzymała takie same szanse rozwoju i integracji ze społeczeństwem jak inni, gdyby nie zrobiono z nich gett i nie utopiono milionów w nieskutecznych strategiach miasta, byłibyśmy teraz w innym miejscu?

Wicemer rzucił jej ostrożne spojrzenie. Teren był grząski. W dobie wyroków wydawanych na portalach społecznościowych, oficjele obawiali się medialnej wpadki jak ognia.

– Sądzę, że ma pani już wystarczająco dużo materiału, żeby napisać artykuł.

Wyszedłszy z ratusza, Esther wpadła na kolejną manifestację. Transparenty, hasła, megafon. Jakaś setka osób. „Sprawiedliwość dla Moussy! Sprawiedliwość

dla Moussy!” – skandowali protestujący. Mimo maseczki rozpoznała posłankę, która wypowiadała się przed kamerą regionalnej telewizji. Gdy Esther ją mijiała, młoda kobieta mówiła do mikrofonu:

– Policjanci w tym kraju to barbarzyńcy! Nie zajmują się zaprowadzaniem porządku, a tym bardziej sprawiedliwości! Zajmują się chronieniem ledwie dyszącej władzy, władzy, która jest odklejona od rzeczywistości, władzy skompromitowanej, która usiłuje odwrócić uwagę od katastrofalnego zarządzania kryzysem sanitarnym, wykorzystując go do mnożenia coraz bardziej antywolnościowych przepisów i wciągania nas w pułapkę totalitaryzmu! A jeśli chodzi o rządzących tym miastem, to wygrali oni ostatnie wybory, posługując się wzbudzaniem strachu.

Esther знаła tę posłankę, ponieważ przeprowadziła z nią kilka wywiadów. Mimo młodego wieku kobieta nabrała już złych nawyków starych politycznych wyjadaczy: rozdmuchiwała najdrobniejszą iskierkę, bez skrpułów grała na emocjach, komentowała każde zdarzenie, a w razie potrzeby tworzyła własne. Na swoim kanale YouTube i platformach telewizyjnych mnożyła kontrowersyjne tematy i fake newsy, doskonale wiedząc, że w dzielnicach, w których do urn chodzi tylko połowa wyborców, o wyniku decyduje niewielka część populacji: najbardziej zradykalizowana.

Dziennikarkę dręczyło jednak co innego: jeśli nagonkę na chłopaka urządzili rzeczywiście policjanci, to miasto, a nawet cały kraj stoi u progu wewnętrznej wojny.

Wczesnym popołudniem do biura Martina wpadła Samira.

– Przejrzałam historię logowań telefonów Moussy Sarra i Ariane Hambrelot. Coś tu nie gra – powiedziała.

Servaz oderwał oczy od monitora, na którym czytał raport z wypadku sporządzony przez żandarmerię. Czekał na dalszy ciąg.

– Cofnęłam się o kilka miesięcy...

– I?

– Dziewczyna spotkała się z Moussą po tym, jak został zwolniony z więzienia.

– Jak to?

– Ich telefony logowały się w tym samym miejscu i o tej samej porze: kilka dni po tym, jak wyszedł na wolność, dwa kilometry od domu Hambrelotów.

– A nam powiedziała, że ostatni raz widzieli się w sądzie – zauważył Martin.

– Otóż to.

– Dlaczego skłamała? – Wstał. – Zadzwoń do Hambrelota. Powiedz, że chcemy zadać jego córce jeszcze kilka pytań, ale nie będziemy ich długo niepokoić.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał Clovis Hambrelot.

– W przeciwnym razie nie byłoby nas tutaj – odparła Samira.

Założyciel i dyrektor C2H Aviation skinął głową ze zrozumieniem, choć nie był zadowolony.

– Jest na górze. Pytałem ją, czy czuje się na siłach, żeby z wami rozmawiać. Powiedziała, że tak. Tylko proszę, delikatnie. Jest jeszcze w kiepskiej formie.

To samo zdanie co poprzednio.

– Zrobimy, co w naszej mocy, panie Hambrelot – powiedziała.

Ruszyli krętymi schodami z marmuru. Ich kroki wygłuszał gruby dywan, który utrzymywały w miejscu trójkątne miedziane nakładki.

– Tutaj jestem – rozległ się cienki głos, gdy dotarli na piętro.

Uchylone drzwi. Weszli do środka. Buduar obity fiołkową tkaniną. Ariane Hambrelot siedziała przy oknie ubrana w różowy szlafrok. Szczupłą dłonią

o smukłych, nerwowych palcach uniosła ciężką zasłonę z szarego aksamitu i kontemplowała jesienny park i staw na dole. Odwróciła twarz w ich stronę.

Ta sama przezroczytoblada skóra, włosy upięte w ten sam luźny węzeł i te same szkliste oczy co ostatnim razem.

– Dzień dobry, Ariane – zagaiła łagodnie Samira. – Mamy do ciebie jeszcze kilka pytań. Mogę usiąść?

Ariane przytaknęła. Samira przysunęła drugi fotel i usiadła przed dziewczyną. Odczekała chwilę, nie przestając się w nią wpatrywać.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Jesteś gotowa z nami porozmawiać? Czujesz się na siłach?

– Tak.

– Okej. – Samira skinęła głową i jeszcze przez chwilę milczała. – Ariane, okłamałaś nas: wiemy, że spotkałaś się z Moussą drugiego lipca po południu dwa kilometry stąd. To nic. Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, o czym rozmawialiście.

Servaz tym razem również stał w pewnej odległości. Powieki dziewczyny drgnęły. Spojrzała najpierw na jedno, potem na drugie z nich.

– Kto wam powiedział?

– Nikt – odparła Samira. – Po prostu o tym wiemy. Mamy dowód, że ty i Moussa spotkaliście się tamtego dnia. Mylimy się?

– Nie...

– Więc dlaczego nas okłamałaś?

Chwila ciszy.

– Moussa mnie nie zgwałcił – powiedziała nagle Ariane Hambrelot zdecydowanym głosem.

– Co?

Samira o mało się nie odwróciła, by spojrzeć na Martina. Domyśliła się, że on także wstrzymał oddech.

– To nie Moussa mnie zgwałcił.

Servaz odczekał kilka sekund.

– A kto?

– Chłopaki z jego dzielnicy. Nie znam ich.

– Dlaczego w takim razie go oskarżyłaś?

Z pięknych oczu Ariane popłynęły łzy, które potoczyły się po porcelanowych policzkach.

– To... skomplikowane. Powiedział, że odchodzi, że spotkał kogoś innego. Znienawidziłam go za to. Byłam w jego dzielnicy, miałam wracać do domu, ale tamci goście mnie otoczyli. Zaczęli się ze mnie nabijać, pytali, co tam robię. A potem... zmusili mnie, żebym weszła do tamtego samochodu, i wywieźli mnie w inne miejsce, gdzie dołączyła do nich reszta... – Wzięła wdech i otarła łzy mankietem. – Zrobili to na tylnej kanapie samochodu. Było ich kilku. Ale Moussy tam nie było. – Pociągnęła nosem. – Kiedy policja mnie przesłuchiwała, ciągle miałam do niego żal. Nienawidziłam go. Uważałam, że to wszystko jego wina. Więc oskarżyłam go, że mnie zgwałcił razem z tamtymi.

O ja pierdołę, pomyślał Servaz. Poczł gorycz podchodzącą do gardła jak refluks. Dlatego Moussa nic nie powiedział. Dlatego nikogo nie wsypał. Po prostu nie było go tam, gdy to się stało.

Zebrał myśli. Ci ludzie ścigali chłopaka po lesie za przestępstwo, którego nie popełnił. Przez pomyłkę porwali niewinnego człowieka i urządzili na niego polowanie, wierząc, że oto wymierzają mu sprawiedliwość – swoją sprawiedliwość.

– A teraz Moussa nie żyje – podsumował.

Dziewczyna wybuchnęła płaczem. Konwulsyjnym szlochem, który był dla niej jak wyzwolenie. Pozwolili jej poczuć ulgę. Za oknem słycać było pomruki burzy.

– Co sobie powiedzieliście tamtego popołudnia? – powtórzyła Samira, kiedy dziewczyna się uspokoiła.

– Przeprosiłam go za krzywdę, którą mu wyrządziłam. Odpowiedział, że to on powinien mnie prosić o wybaczenie, bo gdyby tamtego dnia nie zostawił mnie samej, nic by się nie wydarzyło, że nigdy sobie tego nie wybaczy. – Pokręciła głową. – Niepokoił się. Mówił mi o tamtym mężczyźnie, który u niego był.

Servaz i Samira się wyprostowali. Oczy policjantki załśniły między powiekami ozdobionymi gotyckim makijażem.

– O kim?

– O mężczyźnie z niebieskimi oczami. Tym, który do niego dzwonił. Kilka dni wcześniej przyszedł pod jego blok. Żeby mu powiedzieć, że niedługo go zabije. Moussa go wyśmiał. Powiedział, że zorganizuje kumpli i spuszczą mu łomot. Ale facet jakoś się nie przestraszył, tylko na niego patrzył. Moussa powiedział, że nigdy nie widział takich niebieskich oczu. Wyzywał go, groził mu, ale przyznał mi się, że się bał. Że ten gość to diabeł... Tak go nazwał. –

Zerknęła przez okno, jakby się obawiała, że człowiek, o którym mówiła, ukrył się gdzieś w parku i ich obserwuje. Potem znowu przeniosła uwagę na nich. –

Nikommu o tym nie mówił, rozumiecie? Nie chciał, żeby ludzie go wyśmiali. Bać się jakiegoś staruszka...

– Tak ci powiedział? Że to był starszy człowiek?

– Tak.

– I co jeszcze mówił?

Pokręciła głową.

– To wszystko. A, nie. Mówił, że postanowił na zawsze zerwać z dilerką i przyłożyć się do nauki, że chce wyjść z tej sytuacji, czynić dobro, pomagać ludziom, że jego brat Chérif poznał go z osobami, które mogą go sprowadzić na właściwą drogę i że może to była... kara boska.

Servaz pomyślał o Koranie znalezionym w pokoju Moussy. Przypomniał sobie słowa nauczycielki, Mony Diallo: „Ton jego wypowiedzi był coraz bardziej mizoginistyczny i szowinistyczny”.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że złożyłaś fałszywe zeznania? To poważna sprawa, mogłabyś zostać za to skazana – szepnęła Samira.

– Wiem.

– Na razie damy ci spokój.

Dziewczyna westchnęła.

– Dziękuję. Rozmowa z wami dobrze mi zrobiła. I to, że powiedziałam prawdę. Moussa był niewinny: zróbcie tak, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

– Mężczyzna o niebieskich oczach – powtórzyła Samira, kiedy znaleźli się na ganku.

Schodząc po stopniach, Servaz patrzył na złocący się jesienny park, na liście topoli lśniące w ostatnich promieniach słońca. Patrzył tak jak Ariane: jakby mężczyzna tam był, jakby ich obserwował. Postać bez formy, jak pisał T.S. Eliot w jednym z wierszy. Tak o nim myślał. Niepokój palił go w żołądku jak wrzód.

– To on za tym wszystkim stoi – powiedział, a jego twarz oświetliła czerwona łuna zachodu. – To jego szukamy.

Samira i Martin prowadzili obserwację z jednego samochodu, Katz i Espérandieu z drugiego. Zaparkowali w odległości mniej niż dziesięciu metrów od bramy Lemarchanda, który wrócił z komisariatu północnego pół godziny wcześniej. Zasłony w kuchni poruszyły się już dwukrotnie. Zauważyli to.

Pozostawało im tylko czekać. To była gra na cierpliwość. Kto pęknie pierwszy? Servaz się domyślał: grali we czworo na jednego. Histeryczne zachowanie policjanta na drodze napawało go nadzieją. Facet był porywczym, znerwicowanym cholerykiem – tacy jak on prędzej czy później zaczynają popełniać błędy.

Lemarchand zaklął. Zerknął na zegarek. Dwudziesta druga. Jeszcze raz wyjrzał przez okno. Stali przed jego domem już od pięciu godzin. Jeśli bawi ich nocowanie w niewygodnych służbowych autach, to szczęście im Boże. On się wyśpi we własnym łóżku, a oni nazajutrz będą połamani. Bez dwóch zdań: są w gorszej sytuacji.

Czemu więc nie mógł przestać się wkurzać? Czemu ilekroć wyjrzał na zewnątrz, na nowo rozpalał się w nim gniew? Dlatego, że to było upokarzające. Bo mogli ich zobaczyć wszyscy sąsiedzi. Bo prowadząc obserwację tuż pod jego oknami, jakby był jakimś pieprzonym dilerem, znieważali go. Okej, od czasu do czasu zdarzało mu się łamać regulamin, ale żeby traktować go na równi z tymi gnidami...

Pierdolony Servaz. I ta jego moralność, te zasady z dupy wzięte, ten indywidualizm, ten brak zespołowego ducha. Servaz był wolnym elektronem, niemożliwym do kontrolowania elementem, fanatykiem prawości – wszyscy o tym wiedzieli. Kilka razy o mało nie wylali go z policji, ale zawsze ktoś ratował mu tyłek. Prawdziwi policjanci powinni nauczyć tego dupka, że nie wszystko mu wolno, ktoś wreszcie powinien mu dać porządną nauczkę. Lemarchand wyjął z biurka jeden z kilku telefonów na kartę. Wybrał numer.

– Co jest? – zapytał mężczyzna po drugiej stronie tonem wyraźnie wskazującym, że policjant dzwoni nie w porę.

– Stoją pod moimi oknami. Nie dają mi spokoju! To nie do zniesienia... Trzeba coś zrobić. Nie chcę, żeby sąsiedzi widzieli tu te samochody przez całą noc.

Cisza.

– Przede wszystkim się uspokój. Nie rób nic, co mogłoby ich utwierdzić w przekonaniu, że ta strategia im się opłaci. W końcu się zmęczą. Olej sąsiadów. Musisz się nauczyć panować nad emocjami, Serge.

Głos był spokojny, ale nieznoszący sprzeciwu. I choć mężczyzna był jedną z niewielu osób, które budziły w nim absolutny respekt, Lemarchand miał ochotę posłać go na drzewo.

– Dziś w nocy przechodzimy do działania – mówił dalej. – To, co się stało tamtej policjantce, nie może sprawcom ujść na sucho. Czas potulnych owieczek minął, nastał czas wojny. Politycy abdykowali, więc musimy wziąć sprawy w swoje ręce.

Lemarchand zastanawiał się co, mężczyzna miał na myśli, mówiąc, że dziś w nocy przechodzą do działania.

– Ty na razie udawaj trupa. Chodź do roboty jakby nigdy nic. Do następnego rozkazu nie powinniśmy się kontaktować. Oni nie mogą do nas dotrzeć, rozumiesz? Dziewczyną i Servazem się zajmujemy.

– Co zamierzacie?

– Myślimy nad tym. Tymczasem wyjdź i przewietrz się. Zabaw się z nimi trochę. Próbuje cię wyprowadzić z równowagi. Pokaż im, że tracą czas. Odpłac im pięknym za nadobne. W tej grupie jest słabe ogniwo, na nim trzeba się skupić.

Fakt, pomyślał, potrzebuję powietrza. No to się zabawimy.

– Zrobisz tak... – zaczął mężczyzna po drugiej stronie słuchawki.

– Wychodzi – powiedziała Samira.

Servaz otworzył oczy, otrząsnął się. Lemarchand zszedł po stopniach. Wyszedł przez furtkę i wsiadł do swojego vana, nawet nie patrząc w ich stronę, jakby ich nie widział.

– Martin do wszystkich. Lemarchand gdzie się wypuszcza. Jedziemy za nim.

– Przyjąłem – powiedział Vincent.

Ruszyli gęsiego. Nie zamierzali się ukrywać, przeciwnie, chcieli, żeby Lemarchand ani na chwilę o nich nie zapomniał. Dojechali za nim do obwodnicy, na którą zjechał na wysokości Balmy. Samira myślała przez chwilę, że policjant znowu obierze kierunek Ariège, ale kiedy minęli wjazd na A61,

a potem na A64 i z obwodnicy wschodniej wjechali na południową, a następnie na zachodnią, zaczęli się domyślać, co jest grane.

– Zabrał nas na wycieczkę – powiedziała Samira.

– Mhm.

Gdy po niespełna godzinie mieli już za sobą pełne okrążenie tuluskiej aglomeracji i zaczęli kolejne, zadzwonił Vincent.

– Robi sobie z nas jaja – powiedział. – Co teraz?

– Jedziemy za nim. Zmęczy się szybciej niż my.

Ściemniło się jeszcze bardziej. Z powodu lockdownu o tej porze na obwodnicy prawie nie było ruchu. Odsłaniał się najbardziej niehumaniczny, najbardziej sprzeczny z naturą aspekt miasta: beton, asfalt, samotność, światła, zagubienie.

Nagle Lemarchand przyśpieszył. Wcisnął gaz do dechy. Oni również przyśpieszyli. Licznik prędkości oszalał. Sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt, sto siedemdziesiąt...

– Kurwa, co on odwala?! – zawołała Samira.

Sto osiemdziesiąt.

– Odjebało mu.

Van na pełnym gazie zmieniał pasy – lewy, środkowy, prawy, znowu lewy. Ślizgał się jak krążek hokejowy, wyprzedzając nieliczne samochody to z jednej, to z drugiej strony, przemykając w ciemności jak meteor.

– Ja pierdołę, w co on pogrywa?

Wreszcie Lemarchand zwolnił. Na wysokości Ponts-Jumeaux zjechał z obwodnicy, przejechał przez port de l'Embouchure, a następnie boulevard de la Marquette wzdłuż canal du Midi, wciąż przekraczając dozwoloną prędkość. Przez tylną szybę jego samochodu zobaczyli, jak włącza stroboskop i noc wypełniła się kolorowym blaskiem, który smagał rosnące nad kanałem platany.

– Gra nam na nerwach – skomentował Servaz.

– I jak tam? – zapytała Samira.

– Daję radę. A ty?

– Chętnie zgniotłabym mu jaja drzwiami jego bryczki. Ale poza tym w porządku.

– Okej. Nie dajemy się sprowokować – powiedział spokojnie Martin.

Na następnym skrzyżowaniu nagle skręcił w lewo, mostem na wysokości rue de Béarnais przejechał na drugą stronę kanału i na drugim brzegu zjechał w prawo w boulevard de l'Embouchure, znowu jadąc wzdłuż nabrzeża do centrum. Czyżby zmierzał w stronę głównej komendy policji, której

zabudowania znajdowały się kilkaset metrów dalej? W bocznych alejach Servaz zauważył prostytutki, mimo zimna poubierane w minispódniczki.

Wtem, gdy już prawie dojechali do komendy, Lemarchand skręcił w prawo, włączył światła awaryjne i wysiadł.

– Co on, kurwa, wyprawia?

– Zatrzymaj się!

Wykonała polecenie, Vincent za nią zrobił to samo. Zobaczyli, jak zdemoralizowany glina przechodzi przez krzaki rosnące między platanami, przecina alejkę dla biegaczy, staje na brzegu kanału, rozpina rozporek i sika wprost do czarnej wody.

– Może zrobimy zawody? – zażartował Espérandieu przez radio.

Ale Martinowi nie było do śmiechu. Czuł narastające napięcie. Szóstym zmysłem wyczuwał kłopoty. Wszystkie lampki alarmowe w jego głowie zaświeciły się jednocześnie. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w stojącą plecami do nich ciemną postać nad brzegiem kanału. Lemarchand już się nie ruszał, jakby na coś czekał.

Wreszcie się odwrócił i zapiął rozporek. Uśmiechał się. Servaz miał wrażenie, że widzi w jego oczach błysk szaleństwa. Poczł rosnący niepokój. Lemarchand przeszedł przez niewysoki żywopłot i spokojnie ruszył w stronę samochodów, ale zamiast skierować się do swojego vana, podszedł prosto do auta Vincenta i Raphaëla. Zastukał w szybę od strony pasażera. Katz ją opuścił.

– A więc to znowu ty? – zagadnął Lemarchand.

Był uśmiechnięty, ale jego uśmiech wyglądał groźnie, przypominał mroczne nacięcie w twarzy, na której uwagę zwracały przede wszystkim czarne jak tusz, dziwnie lśniące oczy.

Raphaël bez słowa odwzajemnił jego spojrzenie.

– Wiesz, że twój kolega jest ciotą? – mówił dalej, opierając się o drzwi. – Ma najpiękniejszą żonę na świecie, ale woli się bzykać z facetami ¹. Taaa... Teraz do policji przyjmują każdego.

– Nie podoba ci się to, Lemarchand, co? – wtrącił się Espérandieu sarkastycznym tonem. – Musi cię to cholernie wkurzać. Pewnie nie śpisz przez to po nocach. To dlatego żona cię zostawiła? Bo jesteś takim frustratem?

– Nie z tobą gadam, dupku – odgryzł się Lemarchand. – Rozmawiam z blondynkiem. – Wyprostował się, spojrzł na ulicę ponad dachem samochodu, a potem znowu popatrzył na Katza. – Ale ty, blondas, nie jesteś taki, prawda? Ty jesteś dobrym żołnierzykiem. Wykapany synek tatusia. Ależ z twojego ojca był kawał gliny. Tak, kurwa, ten to miał wyniki. Wielki policjant.

Ostatnie słowa zmroziły Espérandieu. Zrozumiał, do czego drań zmierza.

– Nie reaguj – szepnął do kolegi.

– Szkoda, że się zabił – ciągnął Lemarchand, nawiązując do historii znanej wszystkim na komendzie. – Ile miałeś lat, kiedy tatuś wpakował sobie lufę do buzi? Piętnaście? Szesnaście?

Choć w kabinie panował półmrok, Vincent widział, że Katz zbladł.

– Zamknij się, Lemarchand – warknął, przechylając się w prawo. – Przysięgam ci, że to zgłoszę.

Tamten, ciągle oparty o drzwi, nawet na niego nie spojrział. Wpatrywał się w Raphaëla.

– Jak się czułeś, kiedy się dowiedziałeś, że tatuś połknął jedną ze swoich pigułek? Że rozwalił sobie mózg... Popłakałeś się? Wyłeś? Miałeś ochotę kogoś zabić? Wstąpiłeś do policji po to, żeby go pomścić?

Katz patrzył prosto przed siebie przez przednią szybę. Oczy poczerniały mu ze złości. Był blady jak trup.

– Postanowiłeś pokazać tatusiowi, który jest w niebie, że jesteś synem godnym swojego ojca, tak?

– Ty skurwysynu – syknął Espérandieu.

– Spotkałem twojego ojca nieraz – mówił dalej Lemarchand, pochylając się jeszcze niżej. – To był zwykły dupek, który się popisывał. Tylko tchórze popełniają samobójstwo: słabeusze, przegrywy.

Nagle Katz otworzył drzwi. Lemarchand się cofnął.

– Raphaël! – zawołał Vincent.

Za późno. Młody policjant już był na zewnątrz.

– Blondynek się zdenerwował? – rzucił uśmiechnięty Lemarchand. – To, co powiedziałem o twoim ojcu, to nieprawda?

Samira i Servaz jednocześnie wyskoczyli z drugiego samochodu.

– Raphaël! – wrzasnęła Samira.

Ale Katz już się rzucił na Lemarchanda, który wcale nie zamierzał się bronić. Padł pierwszy cios. Krew z dolnej wargi trysnęła na podbródek policjanta. Drugi cios trafił w policzek, tuż pod okiem.

– Szlag! – ryknął Lemarchand, zginając się wpół. – No już, wal, maleńki!

Katz uderzył po raz trzeci. Sierpowy w samą wątrobę. Miał dobrą technikę. Lemarchand obrócił się wokół własnej osi jak bąk i z jękiem upadł na niski żywopłot.

– Kurwa, co ty odpierdalasz? – krzyknął Servaz. Stał za młodym porucznikiem i chwycił go od tyłu za rękę.

Katz nie protestował. Z jednej strony czuł ulgę, a z drugiej był wściekły, że nie zachował zimnej krwi. Lemarchand, który leżał na żywopłocie, zakasłał, splunął i wybuchnął prowokującym śmiechem.

– Lemarchand, teraz ci już nie odpuścimy. Nie damy ci spokoju, wierz mi – powiedział Servaz.

– Jezu, to boli, kurwa! – zawołał tamten. – Nie kumasz, Servaz, ty kompletnie nic nie kumasz: to ja zgłoszę tego gnojka. On tego nie robi. Napaść przy świadkach na kolegę, spowodowanie niezdolności do pracy. Słaby początek kariery, chłopcze!

– Widzieliście coś? – zapytała Samira. – Bo ja nic. Założę się, że nikt niczego nie widział. Zresztą nawet nas tutaj nie było.

– Ty się, kurwo, zamknij – powiedział Lemarchand, wstając. Charknął na ziemię mieszanką śliny i krwi, podniósł się i wskazał palcem na kamerę znajdującą się pięć metrów dalej. – Będziecie się tłumaczyć, jak panowie z IGPN przejrzą nagranie. Ćwoki, myślicie, że wybrałem to miejsce przez przypadek?

1. Zob. *Bielszy odcień śmierci*, op. cit. [\[wróć\]](#)

Była dwudziesta trzecia osiemnaście, kiedy Raphaël otworzył drzwi swojego dwupokojowego lokum na poddaszu przy boulevard de Strasbourg przypominającego trochę mieszkanie Esther Kopelman. Wyjmując klucz, cały się trząsł: wciąż był wściekły. Palce jego prawej dłoni aż pulsowały. Nie pofatygował się, by za sobą zamknąć.

Stał, wpatrując się w miniaturowy salon. Kiedy wysiadł z samochodu, miał ochotę zabić. I nie była to jakaś wirtualna, metaforyczna chęć, jaką czuje mieszczuch, który nie skrzywdziłby muchy, nie: to była prawdziwa żądza mordy, rzezi.

Stracił zimną krew. Sprzeniewierzył się – po pierwsze złożonej przysiędze, a po drugie własnym zasadom. Wszystkiemu, co od najmłodszych lat wpajał mu ojciec. Wiedział, że ciosy, które wymierzył tamtemu, nie były pokazem siły, lecz słabości. Przez chwilę się cieszył, że jego ojca nie ma już na tym świecie. Jak by zareagował? Pomyślał też o tym, co powiedział Servaz, gdy po całym zdarzeniu wziął go na stronę: że da mu szansę na zrehabilitowanie się, pokazanie swojej wartości – od niego zależy, czy z niej skorzysta.

Przez ścianę docierały dźwięki basów z sąsiedniej kawalerki. Student, który mieszkał obok, w związku z kolejnym lockdownem najwyraźniej pracował zdalnie. Prawie wszystkie mieszkania pod dachem zajmowali studenci. Czyny były umiarkowane, warunki gówniane, a ściany cienkie jak z tektury. Raphaël wielokrotnie spotykał sąsiada. Za pierwszym razem chłopak się do niego uśmiechnął i sprawiał wrażenie, jakby chciał się zakolegować. Do momentu, gdy Raphaël powiedział mu, gdzie pracuje. Od tamtego czasu chłopak go unikał. Kiedy wpadali na siebie na schodach (winda nie docierała tak wysoko) lub na piętrze, młody człowiek witał go nieznacznym skinieniem głowy, z zakłopotaną miną, jakby sam ten gest oznaczał w jego oczach paktowanie z wrogiem. Pewnie myślał sobie, że ma szczęście, że studiuje nauki polityczne, socjologię czy przedmioty techniczne, że należy do wykształconej elity, że jest, jak sądził, solą ziemi – nawet jeśli z pewnością dręczył go strach przed jutrem i katastroficzne perspektywy rysujące się przed jego pokoleniem – a nie jest jak ten biedny

ziomek, który mieszka obok i który w wieku, gdy inni jeszcze studiują, już jest policjantem.

Raphaël wyjął z lodówki torebkę foliową. W środku znajdowały się pudełka z lekami. Otworzył puszkę red bulla, zażył tabletkę: Prozac. Sącząc zimny napój, podszedł do kredensu stojącego za sofą. Na blacie stała fotografia w ramce. Policjant w postawie na baczność, w galowym mundurze z lśniącymi orderami na klatce piersiowej. Jego ojciec – nadkomisarz Michel Katz.

Popełnił samobójstwo dziesięć dni od zrobienia tego zdjęcia, po powrocie do domu w pewien grudniowy wieczór 2011 roku. Tego dnia w sądzie zażądano dla niego czterech lat więzienia za korupcję oraz definitywnego wydalenia ze służby. Jego ojciec nie czekał do końca procesu. Zgodnie ze swoim zwyczajem załatwił sprawę we własnym zakresie.

Gdyby był Japończykiem, popełniłby seppuku. Swoją drogą jako człowiek starannie wykształcony, wyrobiony czytelnik i pasjonat japońskiej cywilizacji jego ojciec podziwiał Mishimę, autora *Złotej pagody*, *Pragnienia miłości* i *Wprowadzenia do Hagakure*. Pełna sprzeczności osobowość wielkiego japońskiego pisarza na pewno była mu bliska, pomyślał Raphaël.

Katz zabrał zdjęcie i przeszedł do niewielkiego pokoju, w którym mieściły się tylko łóżko, szafka nocna i komoda z Ikei. Postawił ramkę na komodzie i powoli się rozebrał. Gdy był już nagi, młody policjant o ciele Świętego Sebastiana – który był ulubionym świętym Mishimy – otworzył górną szufladę i wyjął z niej baterię, od której odchodziły przewody z klipsami powleczonymi silikonem; zacisnął je wokół sutków.

– Wiem, tato, zawiodłem cię. Po raz kolejny – szepnął, wpatrując się w fotografię. Włączył urządzenie. Wyładowania elektryczne zaczęły delikatnie stymulować jego sutki, klatkę piersiową, nerwy. Zadrżał i zeszywniał. – Wiem, co sobie myślisz: że jestem nic niewart. Zawsze mi to powtarzałeś. – Przekręcił potencjometr. Siła wyładowań wzrosła. Maksymalna intensywność. Impulsy, drżenie, ból, kara, przyjemność... – Ale teraz, skurwysynu, kiedy jesteś martwy, nie możesz już nic powiedzieć!

Splunął na zdjęcie. Poczuł narastającą erekcję i zamknął oczy.

Posterunkowy upił łyk parującej kawy, patrząc w ślad za ładną pielęgniarką, która wychodziła z sali. O jej urodzie wnioskował na podstawie pięknych fiołkowych oczu, delikatnie podkreślonych brązowym cieniem do powiek i czarną konturówką. Reszta twarzy znajdowała się pod maseczką. Już wcześniej zauważył, jak bardzo zasłona noszona na twarzy podkreśla oczy.

Pozdrowił ją, ale ledwie zwróciła na niego uwagę. Już była na korytarzu. Poruszała się tak, jakby cały szpital należał do niej. Ruszył za nią, upewniwszy się wcześniej, że nikt go nie widzi. Ale dochodziła północ i ta część szpitala była cicha i opustoszała.

Chwilę wcześniej podsłuchał, jak rozmawiała z inną pielęgniarką. Mówiły o tsunami covidowych pacjentów, które w każdej chwili może się zwalić na szpital uniwersytecki, narzekały na brak zapobiegliwości władz, na fałszywych proroków, którzy przez całe lato trąbili, że epidemia się skończyła i nie będzie drugiej fali, oraz na tych, którzy ich posłuchali i zrezygnowali z dystansu społecznego, skarżąc się na odbieranie im wolności.

– Niech trafią tutaj, zobaczą, jak to jest być naprawdę pozbawionym wolności – powiedziała jej koleżanka. – Wolność wstawania z łóżka, wolność samodzielnego oddychania, wolność chodzenia, wolność życia...

– Powinni odbywać półroczny staż na OIOM-ie – dodała ze złością pierwsza pielęgniarka i odeszła.

Uznał, że z tą złością jej do twarzy.

Jedno spojrzenie na zamknięte drzwi przywróciło go do tu i teraz. To nie COVID-19 sprowadził tu młodą kobietę, która leżała za nimi pod respiratorem. To oparzenia drugiego i trzeciego stopnia. Teraz on poczuł, jak zalewa go gniew. Nie wiedział, jak by zareagował, gdyby bez świadków spotkał tego drania, który rzucił w radiowóz koktajlem Mołotowa.

Słyszał płacz rodziców, kiedy przyszli odwiedzić córkę, i słowa lekarza:

– Na razie nie ma mowy o wybudzaniu jej ze śpiączki.

Był sam. Sięgnął po telefon i odszukał numer, pod który miał zadzwonić, gdyby chciał przekazać coś ważnego.

– Tak? – zapytał głośno.

– Przez cały czas jest w śpiączce – powiedział. – Lekarz poinformował rodziców, że na razie na pewno nie będzie wybudzana.

– Dziękuję.

Wysoki mężczyzna siedzący przy dużym stole odłożył telefon. Wytarł usta i podniósł lodowato niebieskie oczy na osobnika o postawie żołnierza – choć ubranego w zwykły zielony sweter i brązowe sztruksy – który cierpliwie czekał metr dalej.

– Może pan posprzątać, Kievert. Proszę powiedzieć Marie, że było przepyszne. I niech pan zdejmie tę idiotyczną maskę.

– To dla pańskiego dobra, generale – bronił się Kievert.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Okej. Niech panu będzie. Jak pan skończy, proszę się położyć. Dobranoc, Kievert.

– Dobranoc, generale. Przekażę Marie, że panu smakowało.

Marie była żoną Kieverta, a Kievert adiutantem, zarządcą, kierowcą i w ogóle człowiekiem do wszystkiego. Zabrał fajansowy talerz, kieliszek i sztucce.

Mężczyzna został sam w dużej jadalni. W ciszy pogрузzył się we własnych myślach. Sześćdziesięcioletni Thibault Donnadiou de Ribes, emerytowany generał, który przez z górą czterdzieści lat bronił honoru i interesów Francji na trzech kontynentach, wiedział, że to jego ostatnia bitwa. Potomek starego rodu zamieszkującego między Rouergue a Gévaudan, najstarszy z ośmiorga rodzeństwa, po ukończeniu liceum Prytanée national militaire i uczelni wojskowej Saint-Cyr początkowo zaciągnął się do piechoty, a po dwóch latach dołączył do 2 Cudzoziemskiego Pułku Powietrznodesantowego z Calvi – tego samego, który zaatakował Kolwezi – w którym służył jako dowódca plutonu i jeździł czołgiem AMX. Przez następne dwadzieścia lat brał udział w wielu działaniach wojennych, między innymi w 1982 w Libanie, w 1983 w Republice Środkowej Afryki i w 1984 w Czadzie, w ramach operacji Manta.

Od roku 1989 do 1991 był członkiem 2 Korpusu Francuskich Sił Zbrojnych w Niemczech, w Baden-Baden, a następnie w 1994 oddelegowano go do byłej Jugosławii.

Odznaczono go Legią Honorową, Narodowym Orderem Zasługi, Krzyżem Waleczności Wojskowej, brązowym Medalem Obrony Narodowej, Medalem Wdzięczności Narodu, Krzyżem Kombatanta, był też Wielkim Oficerem Orderu

Nilu, komandorem Narodowego Orderu Wybrzeża Kości Słoniowej, kawalerem Wielkiego Krzyża Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie, kawalerem senegalskiego Narodowego Orderu Lwa, komandorem hiszpańskiego Orderu Leopolda, komandorem hiszpańskiego Orderu Izabeli Katolickiej, komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego i innych wisiorów, które kurzyły się w sejfie.

Nie był jedynym wysokiej rangi francuskim oficerem wyróżnianym w ten sposób przez inne narody. Przodowały w tym zwłaszcza kraje afrykańskie: Francja, uważając je za własne terytorium, przez dziesięciolecia budowała i łamała ich reżimy, nie zważając na to, co o jej poczynaniach sądzą lokalne społeczności. Ani na to, czy jej „przyjaciele” u władzy troszczą się o dostęp do pracy, edukacji, opieki zdrowotnej i żywności, czy może oddają się małwersacjom i łupieniu własnych narodów, jak wielu rządzących, z którymi miał do czynienia. W efekcie rzesze młodych Afrykańczyków wolą ryzykować życie, by dostać się do Europy, niż wegetować na kontynencie, na którym bardzo często nie ma dla nich nadziei ani przyszłości.

Nie był naiwny, ale i tak służył swojemu krajowi wszędzie, gdzie go o to poproszono. Mimo wszystko bowiem – niezależnie od ludzi, polityków i łajdactwa – wierzył w jego wielkość. Dziś z tej wielkości nic już nie zostało. Narodowy sztandar leżał w strzępach na ziemi. Generał Donnadiou de Ribes był przekonany, że to, co nazywał „francuskim narodem”, było skazane na zagładę. Podobnie jak cała Europa. Jak cały Zachód. A z drugiej strony byli oni – gotowi ponieść ofiarę. Walczyć do ostatniego człowieka. Trzymali nóż w zębach i nie zamierzali się zatrzymać, dopóki nie wygrają wojny. Bo to była wojna. W jego oczach pacyfizm był po prostu inną nazwą tchórzostwa.

Według generała wszystkie wielkie cywilizacje umarły w ten sam sposób. Faraonowie panowali w Egipcie tysiąc trzysta lat, a ich armię pokonali obdarcy, niewykształceni i pozbawieni kultury Hyksosi, którzy jednak byli doskonałymi jeźdźcami i wojownikami. Babilończycy zbudowali jedną z najznakomitszych cywilizacji w historii; stworzyli pierwsze teksty prawnicze i spisywali wszystkie transakcje handlowe, podczas gdy resztę świata zamieszkiwali jeszcze analfabeci lub półanalfabeci. W dodatku mieli doskonałą armię. Spodziewali się zagrożenia ze strony Medów i Asyryjczyków – dwóch rywalizujących ze sobą potęg – ale ku ich zdziwieniu oba imperia zostały rozbite przez Persów, barbarzyńskie plemię przybyłe z gór Zagros. Persowie byli analfabetami, ale uwielbiali przemoc. I, o ironio, kiedy już z bosych zabijaków Persowie zmienili się w bogatych, wykształconych, wyniosłych obywateli kochających wygodę

i luksusowe artykuły, żyjących w przesadnie zbiurokratyzowanym państwie, zostali podbici przez skromniejszych niż oni Greków.

Podobnie Chińczycy, którzy przez tysiące lat potrafili stworzyć niezrównane, stabilne i długowieczne cesarstwo – a trwało ono do czasu, gdy pogardzani przez nich Hunowie, którzy jak wygłodniałe hieny czaili się na rubieżach, weszli do stolicy i uwięzili cesarza. Trzeba wspomnieć, że zbyt pewni siebie Chińczycy popełnili błąd, nadmiernie redukując budżet wojskowy. I że w przeciwieństwie do nich Hunowie przepadali za zabijaniem.

Generał lubił historię. Można z niej wyciągnąć najbardziej użyteczne lekcje. Uważał, że historia, którą dziś serwuje się młodym pokoleniom, jest najbardziej absurdalną mieszanką ślepej ideologii i ignorancji, jaką tylko można sobie wyobrazić. Nic dziwnego, że owocem takiego nauczania są łatwo dające sobą manipulować jednostki. Tym bardziej, że profesorowie już na wstępie w imię pozbawionej sensu przenajświętszej wolności wpajają im nienawiść wobec idei narodu i wszelkich ograniczeń.

Wstał i podszedł do kominka, który zmieściłby stojącego mężczyznę. Wysoki, szczupły ekszołnierz nie palił, każdego dnia poświęcał pół godziny na ćwiczenia i dwie na spacer po wzgórzach Ariège w okolicach zamku. Codziennie też jeździł konno. Nie żeby miał ambicję dożyć setki. Jego epoka już minęła. Nie odnajdywał się w obecnych czasach. Ale miał jeszcze misję do spełnienia.

Generał rozmyślał też o honorze. Kiedy w 1945 roku Amerykanie napadli na Okinawę, kilkadziesiąt tysięcy Japończyków popełniło samobójstwo (jakoś nie pamiętał, że spora część tych zbiorowych samobójstw była efektem przymusu japońskiej armii). Gdyby to on miał odebrać sobie życie, pociągnąłby za sobą trochę swoich wrogów.

Przypomniał sobie poparzoną policjantkę. Nie pozostawią tej tchórzliwej napaści bez kary. Skończyło się. Jutro sprawcy dowiedzą się, że od teraz mają do czynienia z nowym wrogiem – niewidzialnym, ale groźnym. Sięgnął po telefon i obdzwonił kilka osób.

Kwiecień 2014 roku. Budzi się niedługo przed świtem. Śnił jej się koszmar, w którym zmarł jej drugi syn. Ma trzech. Średniego dwa lata wcześniej zabrała malaria, najstarszy śpi w tylnej części namiotu, podobnie jak najmłodszy, delikatne dziecko, które właśnie zmaga się z napadem tej choroby.

We śnie, tak jak teraz, obudziła się, w ciemności podeszła do chłopca, by go dotknąć, i stwierdziła, że temperatura spadła i synek nie ma gorączki. Już miała

się z tego ucieszyć, gdy nagle zrozumiała, że dziecko nie żyje, tak jak jego brat, że ten chłód to po prostu chłód martwego ciała.

Nagle ogarnia ją strach. Obóz i jego błotniste uliczki toną w deszczu, który bębni o napięte płótna namiotów. Gęsty, ciepły deszcz. Kobieta czuje wilgoć bijącą od podłoża. Ze ściśniętym sercem biegnie na tyły namiotu, ku matom, na których śpią jej synowie. Spragniona odpoczynku ledwie zdążyła zasnąć. Jest wyczerpana.

Jej najmłodszy syn, podobnie jak wcześniej jego brat, walczy ze śmiercią. Kobieta bierze spocone dziecko na ręce. Przytula je do piersi. Zadaje sobie pytanie, dlaczego los tak się wziął – na nią, na jej dzieci, na jej naród, na Afrykę. Dlaczego nie urodziła się gdzie indziej, gdzieś, gdzie dzieci się leczy, gdzie są prawdziwe szkoły i prawdziwe szpitale.

Kiedy przed trzynastoma laty w Nowym Jorku runęły bliźniacze wieże, wszyscy byli poruszeni. Ale kogo obchodzi los ludzi, którzy niczego nie mają? Czy żeby móc liczyć na współczucie, trzeba być bogatym, białym i zdrowym? Jako nauczycielka wie, że francuskie słowo compassion, współczucie, pochodzi od łacińskiego com-passio. Czyli współ-cierpienie. A kto współcierpi z nimi? Czy są życia bardziej i mniej wartościowe? – zastanawia się. Czy życie mieszkańców Nowego Jorku, Madrytu, Rzymu albo Paryża jest więcej warte niż życie mieszkańców Bangi, Timbuktu czy Trypolisu?

W Afryce każdego dnia tysiące kobiet grzebią swoje dzieci zmarłe na choroby, które gdzie indziej się leczy. Setki kobiet umierają przy porodzie. W tym kraju pustoszoną wojną domową walki religijne między muzułmańskimi rebeliantami z Séléki a członkami chrześcijańskich milicji Antybalaka, w którym mężczyźni twierdzą, że walczą w imię Boga lub Allaha gwałcą tysiące nastolatek i dzieci, ona sama nie zna ani jednej trzynastolatki, której intymność nie zostałaby zbezczeszczona przez któregoś z tych bojowników lub członka własnej społeczności. A co w tym czasie robią francuscy żołnierze? Również gwałcą. Oczywiście nie tak masowo jak selekowcy i antybalakowcy, ale przynajmniej jeden z nich skrzywdził... jej starszego syna.

– On umrze? – przez bębnienie deszczu o brezent przebija się głos z głębi namiotu.

Jej starszy syn się obudził.

– Mamo, czy mój młodszy braciszek też umrze?

Nagle słyszy kroki na obozowym błocie i zanim zdąży zrozumieć, co się dzieje, widzi, jak do namiotu wchodzi francuscy żołnierze. Jest ich trzech. Stają w wejściu. Jej wzrok przyciąga mężczyzna o niebieskich oczach.

Jest przerażona. Nigdy nie widziała oczu w takim kolorze. Żołnierz zwraca się do jej syna:

– To ty jesteś Sublime?

Kobieta ma ochotę odpowiedzieć za niego, że nie, że to nie jest Sublime, to nie jej syn. Tak bardzo się boi. Ale chłopak już odpowiedział:

– Tak, to ja.

Wie, dlaczego tu przyszli. Ukarzą jej syna za to, co powiedział ludziom z francuskiej organizacji pozarządowej.

– To, co powiedziałaś pracownikom Première Urgence Internationale, to prawda?

– Tak, to prawda.

Sublime, czyli szlachetny. Nie przez przypadek nosi to imię. Trzynastolatek patrzy na francuskich żołnierzy prowokująco. I odpowiada im zdecydowanie, zuchwale. Mimo tego, co jeden z nich mu zrobił.

– Masz dowody? – pyta mężczyzna. – Mógłbyś go opisać? Powiedzieć coś, co pomogłoby mi go zidentyfikować?

Sublime słabo czyta. Nie był w stanie odcyfrować napisów na mundurze napastnika. Myśli o pieniądzach, które tamten zaoferował mu za milczenie. Czuje do niego najgłębszą pogardę. Ale niebieskooki żołnierz jest inny.

– Miał piercing – odpowiada.

– Gdzie?

Chłopak wskazuje na lewy sutek.

– To wszystko?

Sublime jest inteligentny, słyszy zawód w głosie niebieskookiego. To niczego nie dowodzi, mógł widzieć mężczyznę z nagim torsem.

– Ma tatuaż. Tutaj – mówi, wskazując na swój wzgórek łonowy. – Węza. W majtkach. I jeszcze bliznę, o tu – dodaje i pokazuje miejsce poniżej biodra.

Mężczyzna mruży niebieskie oczy i patrzy na niego z taką surowością, że Sublime przez chwilę czuje lęk.

– Świetnie, dziękuję – mówi żołnierz.

Chwilę później już ich nie ma.

Wychodząc z windy, Servaz usłyszał skrzypce. Nie znał tej melodii, ale i tak była dla niego jak rozejm w środku walki. Dopóki Radomil grał, można było mieć pewność, że ziemia wciąż kręci się wokół własnej osi.

Bolała go głowa. Był zmęczony. Jazda po obwodnicy z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, sprzeczka Lemarchanda z Raphaëlem, lockdown i plan Vigipirate, który sięgał teraz najwyższego stopnia – wszystko to wykańczało nerwowo zarówno jego, jak i jego kolegów.

Jedyną rzeczą, której pragnął, był spokój – obawiał się jednak, że jeśli Léa podjęła decyzję, czeka go jeszcze jedna konfrontacja. W ciągu dnia nie miał czasu o tym myśleć, ale teraz znowu poczuł lęk. Czy znowu zostanie z Gustavem sam, tak jak było wcześniej?

– Jadłeś kolację? – zapytała, kiedy odwiesiwszy płaszcz, wszedł do salonu.

Siedziała na sofie, wpatrzona w ekran tabletu. Servaz wstrzymał oddech. Gdy się nachylił, żeby ją pocałować, miał wrażenie, że na żołądku leży mu granitowa płyta.

– Nie miałem czasu – powiedział.

– W lodówce jest ramen.

Przeszedł do kuchni, wyjął danie i włożył je do mikrofalówki.

– Musimy porozmawiać – rzuciła po chwili.

Czyli jednak, to już, pomyślał. Nagle odechciało mu się jeść. Odstawił gorący talerz na kuchenny blat i wrócił do salonu.

– Podjęłaś decyzję?

– Tak.

– I...?

Wiedział, co powie, zanim jeszcze otworzyła usta.

– Zamierzam się zgodzić.

Psiakrew, Léa. Mimo woli poczuł, że jest wściekły. Że ma jej za złe. W jego oczach jej altruizm tak naprawdę był egoizmem. Wiedział, że osądza ją niesprawiedliwie, ale i tak czuł się zdradzony.

– To nie będzie od razu – dodała. – Dopóki krąży ten wirus, będę tutaj. Mamy w szpitalu kilkoro dzieci z COVIDEM, w tym jedno na OIOM-ie, nawet jeśli

takich przypadków jest niewiele. W każdym razie i tak nie ma warunków, żebym mogła teraz zostawić szpital. Zważywszy na sytuację, wyjadę pewnie za kilka miesięcy.

– Teraz czy później... Co za różnica?

– Chcesz rozmawiać? – zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

Servaz odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby zobaczyła, jak bardzo jest wściekły.

– Nie, jestem wykończony. Miałem ciężki dzień. Wezmę prysznic, zapalę na balkonie i idę spać.

Pożałował chłodnego tonu, ale to było silniejsze od niego. Skinęła głową w milczeniu, zaciskając wargi, z zaciętą miną. Poczuli, że właśnie powstała między nimi przepaść.

Wstał – a wszyscy mężczyźni skromnie spuścili wzrok. Był samcem alfa, przewodnikiem sfory. Żadnemu z nich nawet nie przyszłoby do głowy, by kwestionować ten fakt. Oczami, których kolor był niemal tak czysty i ostry jak błękit nieba nad chmurami widziany z okna samolotu, potoczył po niewielkim zgromadzeniu.

– Dziś w nocy przejdziemy do działania. Pokażemy tym psom, kto tutaj wymierza sprawiedliwość.

Przechadzając się wte i wewte, wyłożył im swój plan. Blask ognia płonącego w kominku padał na wysoki sufit, gobeliny i ciężkie zasłony.

– To zbyt wiele – powiedział mężczyzna o imieniu Meslif, kiedy generał skończył. – Dopóki nikt nie mógł powiązać ze sobą tych zaginięć, byłem na tak. Ale coś takiego, w samym centrum miasta, na oczach wszystkich, to jest jak wypowiedzenie wojny, nie tylko dilerom i bandytom, ale też służbom.

– Zgadza się – poparł go Stohr. – Jeśli to zrobimy, będziemy mieć na karku całą policję. Nie popuszczą nam.

Kapitan Lionel Meslif – niewysoki, krępy jegomość o wiecznie poirytowanej minie – był członkiem brygady kryminalnej w Tuluzie. Fabien Stohr, dryblas o twarzy charta afgańskiego otoczonej rzadką brodą, był oficerem w CSI-31, jednostce prewencyjno-interwencyjnej zajmującej się utrzymywaniem porządku w departamencie Haute-Garonne. Tego wieczoru w salonie znajdowało się jeszcze czterech mężczyzn: Pascal Champetrier, brzydki grubas, jako jedyny w garniturze i pod krawatem, zastępca prokuratora w tuluskiej prokuraturze, oraz trzech byłych wojskowych, którzy służyli pod rozkazami generała i którzy darzyli go niezłomną lojalnością oraz, zależnie od wieku, niemal synowską lub braterską miłością.

Ci trzej bez wahania oddaliby życie za Thibaulta Donnadiu de Ribes'a. Przechadzając się powoli po pokoju z dłońmi zaplecionymi na plecach, generał patrzył wzrokiem twardym jak krzemień na policjantów, którzy śmieli zakwestionować jego autorytet.

– Jedyne ci dwaj funkcjonariusze okazali się nie dość odważni – syknął. – Czyżbyście się obawiali o swoje mizerne osoby? Jak powiedział Ernst Jünger:

„Niech będzie przeklęta epoka, która ma w pogardzie odwagę i odważnych ludzi”.

Żołnierze i zastępca prokuratora też wpatrywali się w opornych policjantów, którzy wcisnęli głowy w ramiona.

– Więc sądzicie, że jest nas tylko garstka? Że jesteśmy do tego stopnia osamotnieni? Badam teren od lat. Kraj jest gotowy. Nasze poglądy polityczne i moralne podzielają rzesze ludzi. Nie te mniejszości, które zagarnęły media, lecz milczący naród. Nawet w naszych szeregach. Mamy dziesiątki sympatyków w wojsku, policji czy żandarmerii gotowych pójść za nami, kiedy przyjdzie pora. Czekają tylko na sygnał. Kiedy zaczniemy działać, pójdą za nami setki, tysiące... Rządy sędziów trwały już wystarczająco długo. Czas przejść do kolejnego etapu. – Zatrzymał się i odwrócił w ich stronę. – Ale wszyscy tutaj rozumiemy, że pochopne działanie byłoby błędem. Idea i możliwość zamachu stanu powoli się krystalizuje. Tymczasem żeby się pokazać, przeprowadzimy efektowną akcję. Niech opinia publiczna zobaczy, że ktoś wreszcie postanowił wziąć byka za rogi.

Przerwał. Jego oczy lśniły lodowatym blaskiem.

– Jednak będę nalegał – zaproponował lękliwy Meslif z ponurą miną. Nie lubił, gdy ktoś go strofował. – Nie wiem, czy prowokowanie policji i prefekta to dobry pomysł. Nie odczepią się od nas. Sam pan często mówił, że dyskrecja i konspiracja to najlepsza broń do czasu, aż władza upadnie jak spróchniałe drzewo.

Generał spiorunował go wzrokiem.

– Teraz potrzebna jest spektakularna akcja, żeby obudzić sumienia – powtórzył twardo. – Nadszedł czas. Działanie, które pociągnie wielu. Naród stopniowo zrozumie, że powstaje nowa siła i że ta siła jest z nim, dla niego. –

Wyprostował się i zadarł podbródek, jak wtedy, gdy w Afryce lub byłej Jugosławii wydawał rozkazy swoim podwładnym. – Pokażemy tej zbieraninie, że w tym kraju są jeszcze odważni ludzie. Jeśli ktoś z tutaj obecnych tchórzy, to to jest właściwy moment, żeby się wycofać.

Sięgnęli po maski – nawet Meslif, który po przemowie generała był blady ze wstydu i wściekłości. Generał włożył głowę koguta z czerwonym grzebieniem, symbol narodu, który już w starożytności umieszczano na galijskich monetach. Jego oczy widoczne przez otwory w masce lśniły gniewem.

Wyszli w lodowatą noc. Gepard, szympan, byk, wilk, lis i sowa ruszyli za kogutem. W blasku księżyca złowroga menażeria przemierzała park,

przechodząc pod niskimi gałęziami dębów. Wokół niej snuły się pasma mgły.

Generał otworzył drzwi do stajni, przekręcił włącznik. Rozbłysło jasne światło, a w nozdrza przybyszów buchnął kwaśny zapach gnojówki i mierzwy, tak skondensowany, że aż wydawał się krzepiący. Przeszli główną alejką, szelest słomy wywołał pewne poruszenie wśród koni, które stały w boksach odwrócone do nich silnymi, umięśnionymi zadami.

Na końcu alejki znajdowały się niskie drzwi. Dotarwszy do nich, Donnadiu de Ribes przekręcił klucz w zamku, pchnął stawiające lekki opór skrzydło i schylił się, by przejść. Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu bez okien, pełnym sprzętu jeździeckiego: siodła, wędzideł, strzemion, uzd i kantarów, uprząży zaprzęgowych, łopat i wideł. Nagle się zatrzymali: po prawej stronie zobaczyli postać w pozycji embrionalnej leżącą w czymś, co przypominało duży narożny żłób. W bladym świetle żarówki widać było, że chłopak jest nagi, jednak temperatura w stajniach była dość wysoka. Nadgarstki i kostki miał spięte za pomocą opasek zaciskowych, w ustach knebel. Szeroko otworzył przerażone oczy. Kevin Debrandt z trwogą wpatrywał się w pochylone nad nim głowy zwierząt.

Kwiecień 2014 roku. Afryka Środkowa. Nad obozem zapadł zmrok. Pod jednym z namiotów francuski żołnierz z dwoma towarzyszami broni rozgrywa partię kart. Ciepły, rześisty deszcz nie przestaje bębnić o plandeki kamuflujące i stopy piasku na zewnątrz. Nie mają moskitier ani śpiworów. Śpią na kartonach po puszkach. Brakuje im amunicji, wody pitnej, wszystkiego.

Tak właśnie wygląda francuskie wojsko w Afryce Środkowej. Biedne, niedoposażone, radzące sobie z tym, co ma pod ręką. W tym samym czasie minister obrony opowiada, że operacja Sangaris jest sukcesem.

– Dassonville, wyłaź – odzywa się znajomy głos na zewnątrz.

Wzdycha. Odkłada karty na pudełko, które służy im za stolik do gry, wstaje i wychodzi. Na widok trzech mężczyzn o pomalowanych twarzach, w kamizelkach antyodłamkowych i mundurach kamuflujących, którzy czekają na niego w deszczu, wzdryga się.

– Pułkowniku? – mówi zaskoczony, zwracając się do żołnierza o niebieskich oczach.

– Idziesz z nami.

Zanurzają się w las w pobliżu obozu. Przez chwilę idą w wilgotnym półmroku, torując sobie drogę wśród drzew i gęstych zarośli. Prowadzą go do niewielkiego błotnistego strumyka, który płynie między drzewami. Deszcz potroił jego

rozmiary, ale nadal jest to wielki ściek wypełniony brudną wodą. Nagle go chwytają, unoszą i przyciskają do potężnego drzewa po drugiej stronie strumienia. Jego ramiona obejmują pień. Czuje, że je związują.

– Co wy robicie? – pyta, nie stawiając oporu: w końcu to jego towarzysze broni i dowódca.

Kiedy jednak rozpinają mu pas, zsuwają spodnie i slipy do kolan i rozpinają guziki koszuli, zaczyna panikować. Ich oczom ukazuje się tatuaż w kształcie węża i blizna na biodrze.

– Hej! Co wy wyprawiacie?

Jego głos jest teraz trochę zbyt piskliwy, słysząc w nim strach.

– Pamiętasz tego chłopca, którego zgwałciłeś? – pyta niebieskooki pułkownik. Żołnierzowi trudno wytrzymać jego płonące spojrzenie.

– Nie zgwałciłem go... Był głodny. Dałem mu jeść.

Trzęsie się. Rzęsisty deszcz spływa mu po udach i kapie z czubka penisa.

– W tym rejonie w każdym miesiącu popełnia się tysiące gwałtów i morderstw – mówi powoli dowódca. – Ale wiesz, co oni będą pamiętać za dziesięć, dwadzieścia lat? Zapomną o świństwach popełnianych przez swoich. Będą pamiętać ciebie i twoich kumpli. – Pułkownik z odrazą spluwa w błoto. – Ty zasrały dupku, dopuszczając się tego czynu, spieprzyłeś całą robotę moich ludzi, którzy ryzykują tu własne życie. Nie mówiąc już o tym biednym dzieciaku i jego matce. Wiesz, że jeden z jego braci zmarł na malarię, a drugi właśnie ją złapał?

– Przepraszam... przepraszam... – łka wytatuowany żołnierz.

– Zamknij się. Pokaż, że jesteś facetem, do cholery. Przestań beczeć jak dziecko – ucina tamten. – Boris!

Stojący w pobliżu żołnierz wkłada rękę w rękawicy do jutowego worka, który od jakiegoś czasu konwulsyjnie się porusza. Związany żołnierz dostrzega węża i jego oczy robią się wielkie ze strachu.

– Kurwa, nie! Tylko nie to!

Wąż ma najwyżej czterdzieści centymetrów długości. Jest jasnozielony, pokryty drobną łuską, na brzuchu jaśniejszy, prawie żółty, po bokach ma czarne plamy, które układają się w dwie poprzeczne pręgi. Ma trójkątną głowę i małe, żywe oczy o pionowych źrenicach. Boris trzyma gada tuż za głową, tak że jego pysk otwiera się szeroko, odsłaniając jeden jedyny ząb jadowy.

– Jest jeszcze młody, ale jego ukąszenie jest potencjalnie śmiertelne. Najbardziej spektakularne efekty dotyczą krzepliwości krwi, zatrucie jadem powoduje martwicę i gangreny, które mogą się skończyć tragicznie. Prawdę

mówiąc, nie wiem, jakie skutki ma ukąszenie w penis, ale niedługo się o tym przekonamy, prawda?

– Nie! Błagam, nie! – wrzeszczy żołnierz. – Nie róbcie tego! Przysięgam, to się nie powtórzy! Kurwa, pułkowniku, pan nie może mi tego zrobić!

Patrzy na węża oczami wychodzącymi z orbit.

– Nie martw się. Od razu zawieziemy cię do szpitala. Na pewno będziesz potrzebował jakichś stu mililitrów immunoglobuliny i ogromnych dawek środków przeciwbólowych, bo przez pierwsze czterdzieści osiem godzin będziesz cholernie cierpieł. A w następnej kolejności trzeba będzie wykonać zabieg i wyleczyć ranę na penisie.

– Będziesz miał masakrycznie spuchniętego wacka, nigdy nie miałeś takiego wielkiego! – żartuje żołnierz o imieniu Boris.

Wąż ma szeroko otwartą paszczę, jakby tylko czekał, kiedy będzie mógł kąsać. Wytatuowany mężczyzna płacze, błaga.

– Gdybyś kiedyś wpadł na pomysł, żeby opowiedzieć komuś o tym, co się tutaj stało, albo wytoczyć nam proces, my złożymy donos na ciebie w związku z tym gwałtem i postaramy się, żeby twoi rodzice, siostra, przyjaciele i cała rodzina dowiedzieli się, co zrobiłeś temu chłopcu. Do dzieła, Boris.

Boris jednym krokiem przechodzi na drugą stronę strumyka. Powoli przybliży głowę węża do celu. Rozlega się nieludzki ryk, od którego wszystkie ptaki w lesie podrywają się do lotu.

SOBOTA

Do świtu było niedaleko, ale jego nadejście zwiastowała tylko szara poświata na wschodzie, a miejskie latarnie jeszcze nie zgasły. Ulice były wyludnione z powodu lockdownu, choć o tej porze w okolicach place Esquirol i tak rzadko bywa tłoczno.

Na Pont-Neuf dwa z trzech pasów były zamknięte z powodu robót, ale śmieciarka wyjeżdżająca z rue de Metz tylko nieznacznie zwolniła przy pomarańczowych barierkach. Kiedy z dużą prędkością przejeżdżała przez most, blask jej koguta odbijał się w ciemnych wodach Garonny. Z tyłu jechali uczepleni pracownicy zakładu oczyszczania miasta, przyzwyczajeni do brawurowej jazdy kierowcy. Nagle, gdy mknęli jedynym dostępnym pasem, szofer gwałtownie zahamował i mężczyźni prawie rozpląszczyli nosy o ciężarówkę.

– Kurwa! – zaklął João, zeskakując na chodnik. – Co ci odwaliło? Ocipiałeś?

Podniósł wzrok na kolegę i nie rozpoznał wyrazu jego twarzy: nigdy nie widział takiej miny. Kierowca wpatrywał się wytrzeszczonymi oczami w coś przez przednią szybę.

– Hej! Głuchy jesteś czy co?

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Był blady jak ściana. Wskazywał palcem na coś przed ciężarówką, nie będąc w stanie wydusić słowa. João nie widział, co tamten pokazuje, ale jego kolega naprawdę wyglądał na wstrząśniętego.

João przeszedł więc jeszcze kilka kroków i spojrzał na jezdnię przed samochodem. Poczul, jak uchodzi z niego całe powietrze, i usłyszał własny głos:

– Święta Maryjo, Matko Boża...

Pląsające światła kogutów i ostry blask potężnych reflektorów, które zapalano na moście, ostatecznie rozproszyły pozostałości nocy.

Na wysokości quais de Tounis i de la Daurade na wschodnim brzegu i na wysokości place Laganne na zachodnim pośpiesznie rozciągnięto policyjne taśmy, by odciąć ruch pieszy i samochodowy, a przede wszystkim utrzymać dziennikarzy i zwykłych gapiów uzbrojonych w telefony w odpowiedniej odległości, tak by nie mogli sfotografować tego, co się znajdowało na środku mostu.

Policjanci, zmęczeni miesiącami manifestacji, kryzysem sanitarnym i planem Vigipirate, rozeszli się po całym terenie, rozkładali namioty i plandeki, które miały osłonić miejsce zbrodni przed oczami ciekawskich, rozwijali dziesiątki metrów okablowania, pilnowali wstępu.

Guillaume Drecourt, nowy prokurator, sądził pewnie, że jak na pierwszy rok w Tuluzie jest wyjątkowo rozpieszczany. Możliwe, że już tęsknił za Besançon. Właśnie rozmawiał z Chabrillakiem, kiedy od strony rue de Metz podjechali Servaz i jego grupa: resztę drogi pokonali pieszo, przeciskając się przez tłum, który rósł z minuty na minutę.

Funkcjonariusz, który przed podniesieniem taśmy rzucił okiem na ich legitymacje, był bez czapki. Samira wiedziała, że większość umundurowanych policjantów sprzeciwia się noszeniu stworzonego przez wybitnego projektanta nakrycia głowy, które nazywają czapką klauna i w którym wyglądają śmiesznie, a przede wszystkim niegroźnie. Ale o to właśnie chodziło: w przeciwieństwie do sił porządkowych na całym świecie francuscy policjanci mają nie wzbudzać lęku. Podobnie było w przypadku kamizelek kuloodpornych, które mieli nosić pod odzieżą, żeby nie budzić wojennych skojarzeń. Chciano, żeby wyglądali jak baranki, nie jak wilki. Samira zastanawiała się, czy w kraju, w którym co pół godziny ktoś łamie prawo, co roku odnotowuje się kilkadziesiąt napaści na policjantów, którzy są podpalani albo wleczeni za samochodami, a z drugiej strony okaleczani są demonstranci, to rzeczywiście jest dobry pomysł.

To będzie jasny i świetlisty poranek, pomyślała, żeby skupić myśli na czymś innym. Jasny jesienny poranek na południu kraju, gdzie nawet zimą jest

niedaleko do wiosny. I rzeczywiście to mógłby być piękny dzień w pięknym mieście, gdyby nie ten kawałek mroku leżący na środku mostu.

Spojrzała na Martina. Zamknął się w sobie na cztery spusty, jak zawsze po przybyciu na miejsce zbrodni. Z nieobecną miną przywitał się z Chabrillakiem i prokuratorem, po czym podszedł bliżej, skrupulatnie trzymając się ścieżki, którą wyznaczyli technicy. Samira, Vincent i Katz ruszyli za nim.

Natychmiast zauważyli napis na klatce piersiowej denata. SPRAWIEDLIWOŚĆ. Nie było wątpliwości: sprawa z pewnością trafi do ogólnokrajowych serwisów informacyjnych, nie obędzie się bez wizyty ministra i medialnej wrzawy. Skupiła uwagę na miejscu zbrodni. Podobnie jak Moussa chłopak był nagi. Od razu rozpoznali kredową cerę, rude włosy, wąską, lisią twarz. Kevin Debrandt.

– Szlag – powiedziała po prostu.

Chłopak leżał z groteskowo wygiętą nogą – udo i łydka tworzyły absurdalny kąt – a bok miał otarty od zderzenia z asfaltem. Wszystko wskazywało na to, że został wyrzucony z samochodu jak tobołek, z całą pewnością w pośpiechu. Servaz pomyślał o vanie Lemarchanda, ale nawet on nie był aż takim idiotą, by użyć swojego auta po tym, co kilka godzin wcześniej zaszło nad kanałem.

Fatiha Djellali przystępowała właśnie do podniesienia zwłok i jej czarne włosy lśniły w białym świetle reflektora jak u aktorki na deskach teatru. Teatry były w tym czasie zamknięte, a aktorzy pozostawali na bezrobociu i prawo do przebywania na scenie miały tylko takie osoby jak ona. I on.

Servaz omiół wzrokiem okolicę. Fotograf uwieczniał każdy szczegół; technicy pobierali próbki, ustawiali plastikowe tabliczki przy śladach i dowodach; jeden z nich robił notatki; inny przemierzał most z drogomierzem – urządzeniem przeznaczonym do pomiaru większych odległości. Promienie wschodzącego słońca przydawały całej scenie nierzeczywistego blasku, fantastycznej intensywności filmowej sekwencji.

Martin stał w odległości dobrego metra od zwłok.

– Dzień dobry, Martin – przywitała go patolożka.

– Dzień dobry, Fatiha. Wiem, kto to jest. Szukaliśmy tego chłopaka. Nazywa się Kevin Debrandt.

– I ma napis na piersi, taki sam jak tamten – powiedziała, wskazując na słowo SPRAWIEDLIWOŚĆ. Wstała. – Znalazłam też sporo słomy na podeszwach jego stóp. Na podstawie zapachu powiedziałabym, że może pochodzić z obory albo

stajni, w każdym razie z miejsca, w którym trzyma się bydło lub konie. Oczywiście to sprawdzimy.

– Świetnie. Ile obór i stajni jest w tym regionie?

Rzuciła mu znad maseczki nieokreślone spojrzenie – z taką miną, jakby chciała powiedzieć, że to nie jej wina, że trup nie ma wytatuowanego na czole adresu mordercy.

Servaz jeszcze raz przyjrzał się napisowi wypalonemu na piersi chłopaka.

Sprawiedliwość. Jaka sprawiedliwość? I kto ją wymierza? To słowo samo w sobie było wskazówką.

Wrócili do wjazdu na most, gdzie zbierało się coraz więcej ludzi – wielu miało na ramionach opaski z napisem POLICE i siedmiocyfrowym numerem identyfikacyjnym RIO. RIO, skrót od francuskiej nazwy „rejestr tożsamości i organizacji”¹, która zdaniem Martina stanowiła kolejny przykład niestrawnego administracyjnego żargonu. Servaz nie zauważył wysokiego rudobrodego mężczyzny o pociągłej twarzy – policjanta w cywilu, kręcącego się w zasięgu ich głosu.

– O jednego śmiecia mniej – stwierdził Raphaël stanowczo zbyt donośnie.

Servaz zobaczył, że Chabrillac się wzdrygnął i odwrócił w ich stronę, marszcząc brwi. Samira spiorunowała Katza wzrokiem.

– No co? – zapytał. – Może to nieprawda? Chyba nie będziemy po nim płakać?

– Mów ciszej – warknęła Samira ze złością.

– Nie zamierzam się skarżyć z tego powodu, że ktoś zdecydował się zrobić porządek za sędziów – odparował młody policjant, nie ścisząc głosu.

Servaz podszedł do dowódcy. Chabrillac obserwował tłumek.

– Niech pan powie swojemu młodemu porucznikowi, żeby zachowywał się dyskretniej. I przypilnuje, żeby żaden dziennikarz nie miał do niego dostępu. Zdjęcia gotowe?

Martin rzucił okiem w kierunku mostu.

– Fotograf pewnie skończył, bo już go nie widzę.

– W takim razie przykryjcie ten napis, żeby nikt więcej go nie zobaczył. I niech się pan upewni, że żadne ze zdjęć nie wycieknie.

– Po południu trzeba będzie zwołać konferencję prasową – wtrącił ponuro prokurator, który stał obok.

Nagle po drugiej stronie taśmy wybuchło jakieś zamieszanie. Przez tłum przedzierała się wysoka blondynka około pięćdziesiątki w eskorcie dwóch funkcjonariuszy policji. Schyliła się, by przejść pod taśmą, którą usłuźnie

podniósł jeden z mundurowych. Następnie wyprostowała się na całą wysokość stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów plus osiem centymetrów obcasów, które zadudniły na moście.

Niezaprzeczalnie miała styl i wyglądała atrakcyjnie, ubrana w urzędowy uniform prefekta, który podkreślał jej ładnie wyrzeźbione ramiona, szerokie biodra, klatkę piersiową sunącą naprzód jak dziób statku – statku admiralicji departamentu i regionu. Było też faktem – a ona nie miała nic przeciwko temu – że gdy przechodziła, niejeden policjant się odwrócił, żeby to stwierdzić.

W życiu prywatnym Michèle Saint-Hamon lubiła mocne wina i inne alkohole, długie papierosy, samochody sportowe i ognistych młodych kochanków tolerowanych przez jej męża, którego trzydzieści dwa lata wcześniej zmusiła do rozwodu i ślubu, gdy ona miała lat dwadzieścia, a on czterdzieści, i który miał czwórkę dzieci z poprzedniego małżeństwa i pobierał honoraria z tytułu zasiadania w kilku radach nadzorczych – jak do tej pory nikt nie zadał sobie trudu, by zwrócić uwagę na ten konflikt interesów.

Podeszła do nich, jakby była na podbitej ziemi, przyjmując powitania jak hołd składany zarówno jej władzy, jak i prezencji. Odwróciła wzrok, o sekundę za długo zatrzymując go na Servazie.

Dowódca pośpieszył z prezentacją:

– Pani prefekt, przedstawiam pani komendanta Martina Servaza z policji kryminalnej. To on kieruje śledztwem.

Zamrugała umalowanymi powiekami i zrobiła wdech, od którego uniosły się jej opięte mundurem piersi: wszyscy zrozumieli, że komendant jest teraz w centrum jej uwagi.

– Proszę mi nakreślić sprawę, komendancie. Niech pan to zrobi zwięźle, wyczerpująco i trzymając się faktów.

Miała niski głos, w którym pobrzmiwały głębokie, harmoniczne tony. Servaz wyczytał gdzieś, że to znak czasów, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci kobiece głosy stają się coraz niższe. „Niski głos to władza”, skomentował foniatra.

Wykonał jej polecenie. W miarę jak mówił, twarz kobiety coraz bardziej pochmurniała. Kilka razy skinęła głową z ponurą miną, spijając słowa z jego ust, jednak najwyraźniej napój okazał się gorzki.

– Panowie, przed południem robimy zebranie w prefekturze. O jedenastej. Doskonale – powiedziała, zwracając się do Martina. – Komendancie, chcę, żeby pan też był obecny. To, co się tutaj dzieje, to bardzo poważna sprawa.

Nie zamierzał zaprzeczać.

1. Référentiel des identités et de l'organisation (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Redakcja „La Garonne” przypominała tego ranka wulkan Kilauea na Hawajach w 2018 roku: przy wszystkich biurkach panowało wrzenie. Trzeba przyznać, że informacje tego dnia zaspokoilyby każdy gust: lockdown, manifestacje w centrum miasta z poprzedniego dnia, zamach w Nicei, malezyjski eksminister zachęcający muzułmanów z całego świata do eksterminacji milionów Francuzów, bunt merów, którzy chcieli otwarcia małych sklepów, a teraz jeszcze ten trup na Pont-Neuf.

Esther Kopelman to uwielbiała. Uwielbiała, gdy redakcja działała pełną parą, kiedy nawet najwięksi lenie i dyletanci brali się do roboty, kiedy wszyscy się bili o najlepsze strony w jutrzejszym wydaniu dziennika. Miała wtedy wrażenie, jakby należała do zespołu „Spotlight” w „Boston Globe” w czasach, gdy gazeta ujawniła skandal z udziałem księży pedofilów, za co dostała Nagrodę Pulitzera.

Krótko mówiąc, był to jeden z tych dni, dla których warto wstać rano i pojechać do pracy.

– Kopelman, Chaumette chce cię widzieć – powiedział gość w średnim wieku, w muszce w groszki i maseczce również w groszki, który jako jedyny był znużony.

Zajmował się rubryką kulturalną. A przecież teatry, kina i księgarnie były zamknięte. Nie mówiąc już o tym, że przy takim nasyceniu aktualnościami nie pozostawało wiele miejsca na introspekcję autora, który ze szczegółami opowiadał o swojej depresji, cudzołóstwie i skrupułach. Przechodząc przez salę przypominającą rojny ul, nagle zadała sobie pytanie, gdzie się podział słynny dystans społeczny.

Chaumette siedział w fotelu ze stopami na biurku, w birkenstockach i skarpetach – zestawie, który nosił latem i zimą – i właśnie wgryzał się w kanapkę. Zważywszy na porę – była prawie jedenasta – zastanawiała się, czy to śniadanie, czy obiad.

– Domyślam się, że wiesz o trupie znalezionym na Pont-Neuf? – rzucił, przeżuując.

– Widzę, że nie odebrało ci to apetytu.

– Spędziłem noc w redakcji.

– Serio?

Rzeczywiście wyglądał na jeszcze bardziej wymiętego, rozczochranego i spoconego niż zazwyczaj. A pod oczami miał wory wielkie jak walizy.

– Czyżbyś nie zauważyła, co się dzieje w ostatnich dniach? – zapytał, unosząc brew ze zdziwienia. – Ten kraj właśnie traci rozum. Cały świat staje się obłąkany. Sklepy, rzemieślnicy, drobni przedsiębiorcy są na skraju bankructwa. Część szpitali pęka w szwach, a personel medyczny nie daje już rady. Wyczerpani policjanci od kilku miesięcy walczą na wszystkich frontach, a z drugiej strony są osoby, które marzą tylko o sianiu niezgody i chaosu. Ludziom odcina się głowy i podrzyna gardła, w szkołach zabija się dzieci, morduje się nauczycieli, a pan Trudeau z Kanady tłumaczy nam, że innych trzeba szanować i w żadnym wypadku nie wolno ich obrażać. Dałbym mu medal za tchórzostwo. – Wyprostował się i postawił stopy na podłodze. – Do twojej wiadomości: chłopak nie tylko był nagi, ale miał na piersi napis **SPRAWIEDLIWOŚĆ**. Jak Moussa Sarr.

Esther zrobiła wielkie oczy.

– Skąd wiesz?

– A co ty sobie myślisz? Ja też mam informatorów.

– Fakt, rano na miejscu zbrodni było dużo ludzi.

– Dalej badasz sprawę tych zaginionych mężczyzn? – zapytał.

Przytaknęła. Przeciągnął dłonią po kręconych włosach i zerknął na drzwi.

– Zostaw wszystko inne i skup się tylko na tym.

Powiedział to konspiracyjnym tonem. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Sądziłam, że nie dostanę miejsca i że stresujących wiadomości mamy aż nadto?

Skrzywił się.

– Nie wkurwiał mnie, Kopelman. To fakt, jeszcze nie masz miejsca, ale przyznaję, że masz nosa i poszłaś dobrym tropem: jeśli te zniknięcia są powiązane ze sobą i z tymi dwoma zabójstwami, to być może mamy prawdziwą bombę.

– Miło mi to słyszeć.

– Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, dzwoń. A teraz do roboty!

Skinęła głową i ruszyła do drzwi.

– Do usług, szefie.

Była 10.55. To samo słońce, obojętne na ludzkie sprawy, świeciło na place Saint-Étienne, na bruk przed katedrą i na fasadę pałacu arcybiskupiego. W dawnej siedzibie arcybiskupstwa znajdowały się pomieszczenia prefektury i to właśnie tutaj, w tych dostojnych wnętrzach, rozległ się głos Michèle Saint-Hamon:

– Ponieważ do moich obowiązków jako przedstawicielki władz państwowych na poziomie departamentu i regionu należy koordynacja i zarządzanie całym systemem bezpieczeństwa wewnętrznego, chcę, żeby od teraz wszystkie, powtarzam, wszystkie informacje dotyczące tej sprawy były mi przekazywane.

Prefektka Haute-Garonne i regionu Occitanie potoczyła wzrokiem wokół stołu. Na miejscu byli wszyscy święci z instytucji czuwających nad bezpieczeństwem w departamencie: szef gabinetu mera, szefowie odpowiednich służb w żandarmerii i Departamentalnym Wydziale Bezpieczeństwa Publicznego, Chabrilac, a także dyrektor gabinetu prefektki, absolwent École nationale d'administration, dawny pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który był jej człowiekiem od bezpieczeństwa.

– Musimy jak najszybciej znaleźć winnego albo winnych, inaczej to miasto może eksplodować. Minister z uwagą przygląda się sytuacji. Codziennie chcę dostawać informacje o postępach w śledztwie.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę Chabrilaca i szefa grupy śledczej.

– Może komendant Servaz nam powie, czy ma jakiś trop? – dodała.

– *Suo tempore* – odpowiedział Martin.

Policjant mówiący po łacinie. Uczestnicy zebrania zmarszczyli brwi. Prefektka prawie się uśmiechnęła. Lubiła, gdy stawiano jej (umiarkowany) opór, choć za nic w świecie nie przyznałaby się do tego w tych murach.

Chabrilac odchrząknął.

– Komendant Servaz chciał powiedzieć, że jest jeszcze zbyt wcześnie, by o tym mówić – wyjaśnił. – Oczywiście badamy wszystkie tropy i mamy już jeden szczególnie obiecujący.

Servaz wyczuł, że wszyscy zgromadzeni wokół stołu płoną z ciekawości, by się dowiedzieć więcej. Miał nadzieję, że Chabrilac na tym poprzestanie, i tak już

powiedział za dużo.

– A komendant oniemiał czy wypowiada się tylko po łacinie? – zapytała prefektka.

Kilka osób się zaśmiało. Martin zwrócił się w jej stronę, a ona spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby był jedyną osobą w sali, która naprawdę ją interesuje.

– Pracujemy bez przerwy – powiedział. – Moja grupa jest świadoma powagi sytuacji i nic nie jest dla nas ważniejsze niż znalezienie winnych i postawienie ich w stan oskarżenia. Pani prefekt, myślę, że woli pani, żebyśmy poświęcili czas raczej na dochodzenie do prawdy niż na pisanie szczegółowych sprawozdań. Czy się mylę?

Siedzący obok Chabrillac zbladł. Przez trzy sekundy, które ciągnęły się w nieskończoność, wszyscy milczeli. Wiedzieli, że prefektka jest wybuchowa jak wulkan. I choć niejeden o niej fantazjował, każdy z tutaj obecnych co najmniej raz doświadczył jej spektakularnego napadu złości. Dlatego usłyszawszy w jej głosie rozbawienie, odczuli ulgę.

– Przekonał mnie pan, komendancie. Umówmy się tak: złożę mi pan raport ze śledztwa za czterdzieści osiem godzin, a później, jeśli śledztwo się przedłuży, dwa razy w tygodniu po pracy będzie się pan stawiał osobiście w moim gabinecie – wypowiadając te słowa, ani na chwilę nie odrywała od niego wzroku.

Servaz skłonił głowę.

– Ma pani moje słowo.

– Może pan być pewien, że osobiście zadbam o to, żeby nic nie zakłócało waszego śledztwa – dodała. – Przyznaję, że przez wiele lat mieliśmy od rządu instrukcje, żeby wchodzić do tych dzielnic jak najrzadziej, dopóki nie ma zagrożenia. Wszystko, byle nie zobaczyć, że zdarzył się tam jakiś wypadek. Albo zamieszki, jak w dwa tysiące piątym. To był błąd. Ze mną tak nie będzie. Prawo musi być górą. Wszędzie. Zawsze. We wszystkich okolicznościach i niezależnie od konsekwencji.

Ładnie, pomyślał Servaz. Zobaczymy, jakie będą efekty. Ileż to razy słyszał podobne deklaracje.

– Trzeba sprawdzić nagrania ze wszystkich kamer, jakie znajdziecie: place du Pont-Neuf, rue de Metz, place Esquirol, quai de la Daurade, rue Peyrolières, boulevard Lazare-Carnot, allées Forain-François-Verdier, rue du Languedoc, Grand-Rond i tak dalej. Wszystkie trasy, którymi wóz wiozący Debrandta mógł

dojechać do Pont-Neuf między drugą w nocy a wpół do siódmej. O drugiej zero trzy przez most przejeżdżał patrol i nic się tam nie działo. Jeśli to będzie konieczne, rozszerzcie obszar poszukiwań. – Podniósł wzrok znad notatek. – Szukamy w pierwszej kolejności furgonetki, vana albo dostawczaka czy dużego auta z przynajmniej dwiema osobami w kabinie: żeby przenieść zwłoki i je wyrzucić, trzeba było minimum dwóch ludzi. Wiem, to oznacza przejrzenie mnóstwa godzin nagrań, ale po to wezwaliśmy posiłki.

Ktoś podniósł rękę.

– Jest duże prawdopodobieństwo, że jechali na fałszywych tablicach, że numer nie będzie widoczny albo samochód został skradziony.

– Wiemy o tym – odparł Servaz. – Ale musimy sprawdzić wszystko. Ci goście mogli popełnić błąd, zdjęć kominiarki albo maseczki, zadzwonić do kogoś... Zestawimy te informacje z numerami telefonów, które logowały się w tym sektorze ostatniej nocy. Być może pozwoli nam to odtworzyć ich trasę.

Nie wierzył w to, co mówi. Jeszcze raz podniósł wzrok znad papierów. Grupa śledcza mocno się rozrosła. Miał przed sobą policjantów z sześciu różnych jednostek. Dostali instrukcje z góry. Muszą pokazać, że dają z siebie wszystko. Nie zamierzał dzielić się z nimi wszystkimi informacjami. Zbyt duże ryzyko wycieku. Nie tylko do prasy...

– Czy odciski palców pracowników zakładu oczyszczania miasta i wszystkich osób, które były obecne na moście, zostały zdjęte? – zapytał.

– Odciski prefektki też panu potrzebne? – zażartował ktoś.

Kilka osób przy stole zarechotało. Samira westchnęła.

Nagle do pomieszczenia wpadł jak burza jakiś sierżant.

– Strażacy z Colomiers właśnie dali znać, że dziś rano spłonął renault trafic! – zerknął na kartkę. – Chemin de Selery. To dość odludne miejsce. Zawiadomił ich ktoś z mieszkańców.

Znowu zacierają ślady. Colomiers to gmina na zachód od Tuluzy. Druga co do wielkości w departamencie. W połowie miejska, w połowie wiejska. Niczego tam nie znajdziemy. Ci goście to zawodowcy, pomyślał.

– Czy w Colomiers są jakieś kamery? – zapytał mimo to.

– Już to sprawdziłem. Na stronie komisariatu policji jest informacja, że przy drodze publicznej jest trzydzieści kamer monitoringu.

– Świetnie. Vincent, zadzwoń do nich. Jedź na miejsce i przejrzyj nagrania. Spróbuj namierzyć ten wóz.

– Jeśli samochód jest nasz, to jechał z Tuluzy, czyli ze wschodu – zauważył Espérandieu. – Czyli A sześćset dwadzieścia cztery albo N sto dwadzieścia

cztery.

Servaz skinął głową.

– Zobacz, czy są po drodze jakieś kamery. Jeśli będziesz potrzebował, weź kogoś do pomocy. – Zerknął na plan metropolii, który wisiał na ścianie za jego plecami. – Musimy też sprawdzić wszystkie kamery, które mogły się znaleźć na trasie ich ucieczki, to znaczy Étienne-Billières, avenue de Grande-Bretagne i allées Maurice-Sarraut. Zadzwońcie do Campus Trafic – zakończył.

Campus Trafic, mieszczący się w anonimowym budynku przy avenue d'Atlanta, jest centrum kontroli ruchu drogowego dla całej aglomeracji Tuluzy; obejmuje zarówno służby związku gmin, zarząd transportu miejskiego, jak i dyrekcję dróg południowego wschodu i drogówkę – wszystkie te służby za pomocą setek kamer monitorują obwodnicę, drogi dojazdowe, aleje, place i główne ulice.

– I ostatnia rzecz: zawiadomcie rodzinę, w najbliższych skrótach informacji zamieścimy wezwanie świadków i zdjęcie Kevina Debrandta.

– Dziękuję, komendancie – włączył się Chabrillac, wstając z krzesła. Klasnął w dłonie. – Okej, rozdzielimy zadania na dziś. Liczę na was.

Rozległ się szmer zwiastujący zakończenie zebrania.

– Fakt, że obie ofiary to przestępcy, nie oznacza, że możemy się nie przykładać. Wiem, co sobie myślicie... Ale to śledztwo będzie obserwowane na najwyższych szczeblach władzy.

– Ale nie będziemy też płakać nad ich losem – powiedział Raphaël głośno i aż nadto wyraźnie.

Szmer się wzmógł.

– Nic nie słyszałem – skomentował szorstko dowódca.

– Ja tylko mówię głośno to, co wszyscy myślą – kontynuował Katz. – Ci dwaj goście to...

Samira z zaskoczeniem spojrzała na młodego porucznika. Co go ugryzło? Chabrillac stracił nerwy.

– Poruczniku, chcę, żeby to było jasne – rzucił z wściekłością w głosie, wskazując groźnie palcem w stronę jasnowłosego policjanta. – Nie będę tolerował takich komentarzy! Jeszcze słowo, a odsunę pana od tego śledztwa. Zrozumiał pan, czy coś jeszcze trzeba panu wytłumaczyć?

Samira zobaczyła, że upokorzony młody oficer zbladł, zacisnął zęby i z poczerniałymi ze złości oczami skinął głową.

Czterdzieści pięć kilometrów na południe od Tuluzy. Wzniesiona na skale średniowieczna forteca górowała nad miasteczkiem. Groźna, niedostępna, złowieszcza. Otoczona blankowanym murem, z trzema wieżami strażniczymi tonącymi we mgle i deszczu.

Choć znajdowała się w odległości zaledwie kilkuset metrów od posterunku w Foix, nie było jej stamtąd widać, ponieważ budynek stał do niej odwrócony tyłem. Jakby ktoś chciał, żeby jej widok nie rozpraszał policjantów podczas pracy. Przy panującej tu zwykle pogodzie nie było jednak takiego niebezpieczeństwa – bo z powodu cholernych Pirenejów rzadko było tu tak spokojnie jak sto kilometrów na północ.

Aspirant Lucas Galvan nie znosił Pirenejów. Nie znosił tego miasta. Nie znosił tego pieprzonego regionu, w którym gdy nie padało, niebo było bure, a kiedy wreszcie świeciło słońce, nie było morza, żagli ani opalonych dziewczyn. Galvan urodził się w Béziers. Dzieciństwo i okres dojrzewania spędził w mieście Jeana Moulina, między allées Paul-Riquet i katedrą Saint-Nazaire. A potem wstąpił do policji i dostał przydział do regionu paryskiego.

Jako młody policjant z BAC w kontakcie z problemowymi osiedlami szybko się zahartował, po czym przeniesiono go do Montpellier. Gdzie byłby do tej pory, gdyby nie pękł. Podczas jednej z kontroli uderzył faceta, który go wyzywał, prowokował i obraził jego żonę. Ktoś sfilmował tę scenę telefonem. Efekt: komisja dyscyplinarna, i ponieważ nie pracował na okresie próbnym – karne przeniesienie. Do Foix. Do Ariège. Niektórym się tu podobało: dzika przyroda, góry, zielone doliny, potoki. Ale nie jemu.

Telefon na jego biurku zadzwonił. Galban marzył właśnie o ostatniej randce z Tindera. Mężatka mieszkająca nieopodal, która się nudziła. Tak jak on. Jego zdaniem Tinder był specyficznym rodzajem polowania. Polowania, podczas którego każdy był jednocześnie myśliwym i ofiarą.

– Galvan – przedstawił się.

– Eee... To ja. Pamięta mnie pan?

Głos należał do mężczyzny w średnim wieku, niezbyt pewnego siebie lub przestraszonego. Rozpoznał go, ale nie był w stanie sobie przypomnieć, gdzie

ani kiedy go słyszał.

– Roland Neveu, przedstawiciel handlowy, pamięta pan? Tamtej nocy... zgłosiłem panu, że zauważyłem, że coś się dzieje w zamku. Nawet was tam zaprowadziłem.

Cholera. Gość, który przez okno widział generała i jego ludzi z tymi idiotycznymi głowami. Galvan sądził jednak, że jasno się wyrazili, wspominając facetowi o jego żonie i córce.

– Co się dzieje, Neveu?

– Wiem, powiedziano mi, że to nie moja sprawa. Że mam o tym zapomnieć, że się tym zajmujecie, ale... – Mężczyzna coraz bardziej się jąkał.

Dokąd ten debil zmierza? Co z nim nie tak? Dlaczego po prostu nie zajął się czymś innym? Plusem był fakt, że dzwonił właśnie do niego. Że nie uznał za stosowne zwrócić się do kogo innego.

– No już, Neveu, niech pan to z siebie wydusi.

– Widział pan poranne wiadomości w telewizji? O tym chłopaku znalezionym na moście w Tuluzie? Pokazali jego zdjęcie i wzywają świadków.

– Tak, oczywiście. Wszyscy jesteśmy w pogotowiu.

– Jestem prawie pewien, że to jego wtedy widziałem.

Jasny szlag! Galvan natychmiast zapomniał o randce z Tindera, zapomniał o deszczu, o mgle, o swoim podłym nastroju i z telefonem przyklejonym do ucha pochylił się do przodu.

– Uważa pan, że powinienem zadzwonić na policję w Tuluzie? – zapytał handlowiec. – Podali numer. Jest pan na bieżąco, więc pomyślałem, że może mi pan doradzi.

Jakie to cholerne szczęście, że Neveu jest idiotą! Nie zmienia to faktu, że Galvana oblał zimny pot. Ludzie nigdy się nie uczą. Z uporem maniaka popełniają wciąż te same błędy.

– Niech pan nic nie robi. Na pewno mają teraz setki telefonów z fałszywymi informacjami, zanim rozpatrzą pański, minie wiele dni – powiedział. Musi znaleźć jakieś wyjście. I to szybko. – Poza tym – dodał w przypływie nagłego olśnienia – sądzimy, że mamy do czynienia z wpływowymi ludźmi, którzy mają powiązania z policją. Gdyby pana telefon odebrała niewłaściwa osoba, pańskie życie mogłoby być zagrożone. – Odczekał chwilę, by jego słowa uutorowały sobie drogę w głowie handlowca. – Nie wiem nawet, czy mówienie o tym tutaj jest bezpieczne. Ci ludzie naprawdę mają wszędzie kontakty, nie wiadomo już, komu ufać. Wiem, to przerażające. Zróbmy tak, Neveu: za godzinę spotkamy się

w miejscu, które panu wskażę, i uzgodnimy jakąś strategię. Ma pan rację: trzeba działać. I przede wszystkim niech pan o tym nikomu nie mówi.

Zastanawiał się, czy tym razem Roland Neveu połknie haczyk. Nie był pewien. Naiwność ma swoje granice, nawet u ludzi gotowych uwierzyć w każdą bzdurę.

– Czy ta konspiracja naprawdę jest konieczna? – Neveu się wahał.

– Niech pan pomyśli o córce i żonie. Nie chciałby pan, żeby coś im się stało.

Chwila milczenia.

– Okej.

Galvan nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Na znajdującym się na polanie parkingu, w pobliżu potoku, łukowatej drewnianej kładki dla pieszych i strefy piknikowej stało czarne hybrydowe bmw X1 drive. Słońce trochę się przebijało, ale i tak jadąc tu drogą, która kończyła się zatoczką na wysokości parkingu, Roland Neveu uznał krajobraz za dość ponury. Zobaczył, że żandarm już jest: palił papierosa przy jednym z pustych o tej porze roku stołów piknikowych po drugiej stronie strumienia.

Serce biło mu ciężko, powoli. Jakby próbowało go zatrzymać. Jakby coś go blokowało. Zaparkował w przeznaczonym do tego miejscu obok samochodu żandarma i wysiadł. Polanka znajdowała się w głębi doliny, która podobnie jak droga wydawała się ślepa.

Przechodząc przez kładkę, o mało się nie przewrócił. Poślizgnął się na nasiąkniętych wodą starych liściach pokrywających mokre drewno i stracił równowagę jak niedoświadczony skateboardzista, któremu deska wyskoczyła spod stóp. W rękę trzymał skórzany neseser. Zastanawiał się, dlaczego żandarm kazał mu zabrać laptop. Czyżby sądził, że ktoś mógł się włamać do maca Neveu, żeby go szpiegować? Na tę myśl mężczyzna aż się wzdrygnął. Tamten mnożył środki ostrożności – przykładem było choćby wyznaczenie na miejsce spotkania tego pustego parkingu. Wyczuwając niepokój żandarma, on sam bał się jeszcze bardziej.

Deszcz przygiął do ziemi wysoką trawę, tak że wyglądała jak długie włosy maskujące łysinę. Nierówny teren poprzecinany był ledwie widocznymi ścieżkami, które ginęły wśród drzew. W dole szemrał strumień. Neveu podszedł na niewielkie wzniesienie, na którym stał stół piknikowy. Galvan patrzył na niego spod zmrużonych powiek. Wskazał mu mokrą ławkę z surowego drewna po drugiej stronie stołu.

– Niech pan siada, Neveu.

Handlowiec wykonał polecenie i poczuł przez spodnie wilgotny chłód ławki. Zauważył, że przy świetle dziennym i bez maseczki żandarm ma całkiem ładną twarz – gdyby nie oczy i zniszczona cera, jak u osób nadużywających tytoniu i alkoholu. Jedynie w jego spojrzeniu było coś odstręczającego. Jakby wrogi błysk: tak, o to chodzi, pomyślał Neveu.

– Ma pan laptop? – zapytał Galvan. Rozgniół niedopałek na grubo ciosanym stole, pozostawiając na nim czarny ślad.

Neveu skinął głową, wyjął komputer i położył na stole między nimi.

– Niech pan go włączy... Jest hasło? Proszę je wpisać.

Mężczyzna zrobił, co mu kazano.

– Wystarczy baterii? Świetnie.

Żandarm przyciągnął urządzenie do siebie, odwrócił monitorem w swoją stronę i wetknął do gniazda USB pendrive, który wyjął z kieszeni. Zaczął manipulować touchpadem.

– Co pan robi? – zapytał Neveu, nie widząc ekranu. – Sprawdza pan, czy ktoś się nie włamał, tak? Ale tam i tak nie ma nic ciekawego.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko nie raczył odpowiedzi. Stukał w klawisze, nie zwracając uwagi na handlowca.

– Niech pan mi poda torbę – powiedział po kilku minutach.

Roland Neveu podał mu neseser nad stołem. Galvan położył go obok siebie na ławce, otworzył i włożył do środka plik papierów.

– Co pan robi? – powtórzył Neveu.

– Niech się pan zamknie.

Handlowiec zadrzał. Ton był ostry i stanowczy. Jakby tamten coś do niego miał.

Neveu przez chwilę wpatrywał się w strumień płynący w dole. Czekał, aż tamten skończy. Panująca wokół cisza, którą zakłócał jedynie plusk wody, wydała mu się nagle nieznośnie przytłaczająca. Wreszcie żandarm podniósł na niego wzrok. To, co Neveu zobaczył w jego oczach, zmroziło go od stóp do głów.

– Neveu, czy pan jest pedofilem? – zapytał głosem lodowatym jak woda w potoku.

Handlowiec zamarł.

– Co?

Galvan odwrócił laptop. Mężczyzna szeroko otworzył oczy z przerażenia. Na ekranie otwarta była cała galeria zdjęć przedstawiających nagie dzieci – dziewczęta i chłopców – w towarzystwie nagich dorosłych. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Pozy modeli były jednoznaczne. Nie było żadnych wątpliwości co do charakteru tych zdjęć. Twarze dorosłych były niewidoczne – rozmazane lub poza kadrem. Neveu poczuł, że kręci mu się w głowie. Na jego czole perlił się pot. Zdusił odruch wymiotny. Fotografie budziły prawdziwą

grozę. Na widok zawartości własnego komputera handlowcowi zrobiło się niedobrze. Jeszcze nigdy nie miał przed oczami takiego obrzydlistwa.

– Czy jest pan pieprzonym pedofilem? Pytam pana! – powtórzył ostro Galvan.

– Co? Nie! Oczywiście, że nie! Nie wiem nawet, skąd te zdjęcia się wzięły! To... To ohydne! Nie chcę na to patrzeć! – powiedział, odwracając wzrok.

Galvan sięgnął po jego torbę i odwrócił ją, rozsypując na stole czarno-białe zdjęcia w formacie A4. Wszystkie równie skandaliczne i odstręczające jak te na ekranie.

– I jeszcze to, tłusta gnido – rzucił.

Neveu się zakrztusił.

– To pan! Przecież to pan włożył mi te zdjęcia do torby! – zawołał spanikowany. – Co to ma znaczyć?

Żandarm spojrzał na niego przekrwionymi oczami.

– To znaczy, że poślę cię do pudła. Masz pełno dziecięcej pornografii w torbie i w komputerze! Zaraz się porzygam!

Neveu z przerażeniem uświadomił sobie, że został schwytany w pułapkę. Nerwowo przesuwając dłońmi po drewnianym blacie. Nagle krzyknął z bólu: w palec wskazujący wbiła mu się drzazga. Spojrzał na opuszkę, w której pośrodku kropli krwi tkwił mikroskopijny kolec.

– Wiesz, co robią w więzieniu z pedofilami takimi jak ty, Neveu?

Sprzedawca środków ochrony roślin był bliski jednocześnie płaczu i omdlenia.

– To pan! Zastawił pan na mnie pułapkę!

– Wiesz, co z nimi robią?

Koszmar. To był koszmar.

– Nie jestem pedofilem, do cholery! I nie chcę iść do więzienia! Błagam pana! Nic z tego nie rozumiem. Czego pan ode mnie oczekuje?

Twarz Galvana zdradzała absolutny brak empatii.

– Że zapomnisz to, co widziałeś w zamku.

Serce Neveu waliło jak szalone.

– Tamten chłopak był zwykłym łajdakiem, który w dodatku szukał sobie ofiar wśród najsłabszych. Okrutnym draniem, nienawidzącym takich uczciwych ludzi jak ty. Nie zawahałby się wejść do twojego domu, ukraść ci pieniądze, pobić cię i zgwałcić twoją córkę. Taka to była kanalia. Chyba nie chciałbyś trafić do więzienia za ten syf, co? A gość i tak już nie żyje, więc co by to zmieniło?

Pomyśl o swojej córce, o kolegach, którzy jej mówią, że jej tata jest pedofilem, i pytają, czy z nią też to robił. Chcesz tego?

– Nie, oczywiście, że nie! – wrzasnął Neveu.

– W takim razie zapomnisz o tym, co tam widziałeś. Wrócisz do swojego spokojnego życia. Zapomnisz też o mnie: nigdy więcej nie chcę o tobie słyszeć, rozumiesz? A w zamian za to ja zapomnę o tym, co widziałem tutaj. – Galvan zamknął maca. – Na wszelki wypadek go zatrzymam.

Żandarm wstał powoli z komputerem pod pachą. Neveu patrzył, jak schodzi w stronę kładki i parkingu, a potem wsiada do samochodu. W dole szemrał strumień, poza tym panowała cisza. Czoło handlowca było mokre od potu. Jakby rozmawiał z samym diabłem.

Nagle zaniósł się płaczem.

Espérandieu miał przed oczami wyciągi z operacji telefonicznych. W sali spotkań na komendzie byli tylko Martin, Samira, Katz i on. Wszystkich pozostałych Servaz wysłał do innych zadań. Poprosili sędziego nie tylko o dostęp do billingów z telefonu Lemarchanda, ale też do wyciągu z logowań do nadajników w jego dzielnicy.

– Wczoraj, kiedy staliśmy przed domem Lemarchanda, do nadajnika znajdującego się najbliżej jego domu logował się telefon na kartę, który połączył się z innym telefonem na kartę – powiedział Vincent.

– Okej, czyli Lemarchand zadzwonił do kogoś, żeby go zawiadomić, że tam jesteśmy – zawyrokowała Samira.

Espérandieu potwierdził skinieniem głowy.

– A przedwczoraj, kiedy pojechałaś do tamtej restauracji, zanim Lemarchand wyszedł z domu, do tego nadajnika logował się inny telefon na kartę i połączył się z tym samym numerem.

– To znaczy, że Lemarchand ma całą kolekcję telefonów na kartę.

– Istotne jest to, że za każdym razem dzwoni na ten sam numer – stwierdził Servaz.

Czuł, że to musi być ktoś ważny. Nie zwykły wykonawca rozkazów. Może się mylił, ale jego zdaniem skorumpowany policjant dzwonił na ten numer zawsze wtedy, gdy chciał się dowiedzieć, jak ma się zachować. Zastanawiał się, w jaki sposób dotrzeć do tego mężczyzny – albo tej kobiety – po drugiej stronie słuchawki. Zżerała go niecierpliwość.

– Lemarchand nie przyprowadził cię do tej restauracji tylko po to, żeby cię później nastraszyć – zwrócił się nagle do Samiry. – Był tam ktoś, kto chciał zobaczyć, jak wyglądasz. I dałbym sobie rękę uciąć, że jest to ta sama osoba, do której dzwonił Lemarchand.

Chwila ciszy.

– Zapamiętałaś klientów obecnych na sali?

Zamyśliła się.

– Tak. Poza Lemarchandem była tam para około pięćdziesiątki, małżeństwo emerytów, młode małżeństwo z dzieckiem i starszy pan, który siedział w rogu.

Starszy pan... Moussa Sarr mówił Ariane Humbrelot o „staruszkę”...

– Czy ten twój starszy pan miał niebieskie oczy?

Samira zrozumiała, o co mu chodzi.

– Nie mam pojęcia. Patrzył w książkę albo w talerz – powiedziała. – Ale tak, to możliwe. Nie jestem pewna.

– Musimy zapytać właściciela restauracji. Możliwe, że część z nich to stali bywalcy. Albo mieszkają w okolicy. Lemarchand nie wybrał tej knajpy przez przypadek: po raz kolejny pojechał do Ariège.

– Idę sprawdzić, czy numer restauracji odpowiada – powiedział Vincent. – Bo jest zamknięta z powodu lockdownu.

Lockdown wpływał nawet na prowadzenie śledztw. I na handel narkotykami. Z powodu ograniczeń w ruchu samochodowym we Francji i Hiszpanii dostęp do źródeł zaopatrzenia w Maroku był trudniejszy, konsumenci mniej się przemieszczali, ilość gotówki malała, a frustracja handlarzy rosła. Efekt: rywalizacja się nasilała, przemoc kwitła, coraz bardziej nerwowe gangi napadały na siły porządkowe oraz na inne gangi – w 2020 roku liczba porachunków gangsterskich poszybowała w górę.

– Znajdź właściciela knajpy i powiedz mu, że do niego wpadniemy – polecił Servaz Vincentowi. – Samira, zadzwoń do sędziego dyżurnego i załatw wykaz połączeń z nadajnikiem znajdującym się najbliżej lokalu.

– Właściciel jest w domu, mieszka nad restauracją – powiedział Vincent pięć minut później. – Korzystając z lockdownu, postanowił trochę odmalować. Choć nie jest pewien, czy w ogóle otworzy interes: robił wrażenie raczej przybitego.

Servaz sięgnął po płaszcz.

– Co ty powiesz. W drogę. Chcę zobaczyć to miejsce i dowiedzieć się, co jegomość ma nam do powiedzenia.

Esther była wściekła. Koniec ze stolikiem u Samiego, koniec z otwartymi restauracjami, koniec z lokalami, do których można wpaść na jednego, koniec z happy hours, koniec ze „strzemiennymi”, koniec z koleżeńskimi popijawami, koniec z macankami przy barze i sownicie podlanymi shotami i piwem rozmowami o naprawianiu świata, koniec z wyskakiwaniem na zewnątrz na fajkę. Koniec z gwarem, koniec z tłumami, krótko mówiąc – koniec z ludzkim ciepłem. Nic. Nędza.

Z tego wszystkiego musiała odgrzać w mikrofalówce gotowe danie. Pożerając przed telewizorem kurczaka tikka masala, wysłała wiadomość do swojego

nowego informatora: *Dziś o 20.30 w ustalonym miejscu*. I tak miała szczęście, że dzięki legitymacji prasowej mogła się przemieszczać bez kłopotu.

Myśliwskie Klimaty, przeczytał. Znowu polowanie. Nie uciekniemy od tego... Samira wjechała na parking. Nad rzeką szumiały wysokie topole, ich drobne listki migotały jak cekiny na sukni balowej. Widoczne dookoła niewysokie góry wyglądały na tak opustoszałe, jakby znaleźli się w samym sercu Teksasu. Od strony tylnej kanapy, na której siedział Katz, rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa.

Kiedy tylko zaparkowali, pojawił się właściciel. Miał orzechowe oczy i brodę drwala, która porastała jego policzki i szyję i wylewała się spod maseczki. Być może w normalnych okolicznościach był dobrodusznym człowiekiem, ale lockdown dał mu w kość, bo gość miał ponurą minę.

Zmierzył ich wzrokiem. Najwyraźniej w tej chwili nie był fanem policji ani niczego, co ma jakikolwiek związek z władzą. Kto zresztą nim jest w tych czasach? Martin wyjął legitymację i się przedstawił. Właściciel ruszył przed nimi do środka, przechodząc przez przeszklone drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE. Niewielka lada recepcyjna z jasnego drewna, ściany wyłożone boazerią niczym w górskim schronisku i girlanda, jakby było Boże Narodzenie.

Przyjrzał się Samirze.

– Poznaję panią – powiedział. – Była tu pani tamtego wieczoru.

– Owszem. Pamięta pan innych gości?

Posepnie skinął głową.

– Bardzo dobrze. To był mój ostatni dyżur.

Wszedł za ladę, wyjął spod niej duży, czarny segregator z paragonami i potwierdzeniami z kart płatniczych.

– Czy byli tu wtedy jacyś stali klienci? – zapytał Servaz.

Mężczyzna chwilę się zastanawiał.

– Tak... Starsze małżeństwo. I pułkownik.

Servaz drgnął.

– Tak go nazywamy. Dałbym głowę, że to były wojskowy. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Znam się na takich, spędziłem w wojsku osiem lat. W Pierwszym Pułku Strzelców Spadochronowych w Pamiers i w Siedemnastym Pułku Inżynierów Spadochronowych w Montauban. Moim skromnym zdaniem musiał być wysoki rangą, widać to w jego zachowaniu, w sposobie wyrażania

się, w postawie. Pułkownik to gość, który nie żartuje. Dlatego tak go nazywam. Przychodzi mniej więcej raz w miesiącu.

– A jakie ma oczy? Pamięta pan? – zapytał Servaz.

Brodacz spojrział na niego zaskoczony.

– Niebieskie. A nawet cholernie niebieskie. Dlaczego pan pyta?

Martin poczuł, że jego puls przyspiesza.

– Wie pan, jak się nazywa?

– Zawsze przychodzi bez zapowiedzi, nie rezerwuje stolika. I nigdy się nie przedstawił. Nie jest rozmowny.

– Mieszka w okolicy?

– Zdziwiłbym się. Wiedziałbym, gdyby był stąd.

– W jaki sposób płaci?

– Zawsze gotówką.

– Jaki ma samochód?

– Range rover. Zielony. Właściwie to khaki. Znowu wojskowe barwy, widzi pan.

– Nie zapisał pan przypadkiem jego numerów?

– A dlaczego miałbym to robić?

Servaz zaczynał się niecierpliwić.

– Ale pamiętam, że na końcu jest XS – dodał mężczyzna.

– Jest pan tego pewien?

– Tak.

– Ma pan tu gdzieś kamery?

– Nie, nie potrzebuję. Mieszkamy z żoną na górze. Ale zainstalowałem alarm.

– Czy widział pan kiedyś, żeby ten klient rozmawiał przez telefon?

– Nie przypominam sobie.

Servaz westchnął.

– A ten: wie pan, kto to jest? – zapytała Samira, podtykając mężczyźnie pod nos zdjęcie Lemarchanda.

Właściciel skinął głową. Intensywnie wpatrywał się w policjantkę.

– Był tutaj tego samego wieczoru co pani. – A ponieważ Samira czekała na dalszy ciąg, dodał: – Tak w ogóle to był tu jakieś sześć razy. Teraz, kiedy pani zapytała, coś mi się przypomniało. Tamtego wieczoru zdarzyła się dziwna rzecz...

Wszystkie spojrzenia skupiły się na nim.

– To znaczy?

– No więc zazwyczaj kiedy ten gość przyjeżdża tu na kolację, siada przy stole razem z pułkownikiem. Pierwszy raz widziałem, że jedli osobno.

– Jest pan pewien, że nie myli go pan z kimś innym? – zapytał Servaz.

Mężczyzna spojrzał na niego rozdrażniony.

– Oczywiście, że jestem pewien. Myśli pan, że zramolałem do reszty? Chciałem posadzić faceta – tu wskazał na zdjęcie Lemarchanda – obok pułkownika, ale powstrzymał mnie i powiedział: „Usiądę tam”. Nawet się nie przywitali. Pomyślałem, że są pokłóceni.

Martin i Samira wymienili spojrzenia. Servaz wiedział, że myślą o tym samym: zastawili na nią pułapkę. Tajemniczy pułkownik, „mężczyzna o niebieskich oczach”, chciał ją zobaczyć. Dowiedzieć się, jak wygląda wróg. To on jest szefem. Prawdziwym przywódcą. Osobnikiem, który niczego nie powierza innym i ufa wyłącznie własnemu instynktowi. A teraz ten duch, który do tej pory trzymał się w cieniu, skąd pociągał za sznurki, zaczął się interesować tymi, którzy go szukają. Prawdziwa walka dopiero się zacznie. Oni polowali na niego, a teraz on poluje na nich.

Siedzieli w samochodzie na parkingu restauracji. Słońce zachodziło, pagórki zasnuwał cień. Atmosfera była ponura, choć niektórym ten spokój i ta przyroda przywodzą na myśl raj.

– W jakim wieku według ciebie był ten gość? – zapytał Servaz.

– Po sześćdziesiątce – orzekła Samira.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent.

– Okej. Skontaktuj się z bazą ewidencji pojazdów.

Sięgnęła po telefon NEO, który umożliwia oficerom policji kryminalnej oraz szefom grup śledczych dostęp do około dziesięciu aplikacji branżowych, i korzystając z szyfrowanego połączenia, dodzwoniła się do bazy.

– Wyciągnij informacje o wszystkich range roverach zarejestrowanych w departamencie Ariège, których numery kończą się na XS – polecił.

– Okej.

Upłynęło kilka minut.

– No i?

– Gotowe.

– Ile ich jest?

– Dziewięć.

Pochylił się.

– Sprawdź daty urodzenia właścicieli, ale tylko tych urodzonych przed sześćdziesiątym piątym.

– Jest tylko dwóch – odparła po chwili milczenia.

Servaz wyjął notes.

– Podaj mi nazwiska i adresy.

– Pierwszy nazywa się Bastien Dewolf. Mieszka przy avenue Rhin-et-Danube w Saint-Girons.

Zapisał.

– Okej. Następny.

– Thibault Donnadiou de Ribes. Mieszka...

– Chwileczkę – odezwał się z Vincent, który siedział z tyłu pochylony nad telefonem.

Przerwali i odwrócili się do niego.

– Co robisz? – zapytała Samira.

– A od czego mamy wujka Google? – odparł.

Zaczekali kilkanaście sekund.

– Bingo. – Ucieszył się na widok tego, co miał przed oczami. Odwrócił wyświetlacz w ich stronę. – Thibault Donnadiu de Ribes, emerytowany generał. Jest nawet hasło w Wikipedii. Nieźle wyniki! Gość ma więcej medali niż zasłużony członek Politbiura. I był na kilku wojnach.

Psiakrew, pomyślał Servaz. Mamy go. Mężczyzna o niebieskich oczach. Thibault Donnadiu de Ribes. Zastanawiał się, skąd zna to nazwisko, bo na pewno gdzieś je słyszał. I nagle sobie przypomniał: sprawa francuskich wojskowych oskarżonych przez innych żołnierzy o tortury – mieszkali w tym samym obozie i zgłosili nadużycia Francuzów do ich dowództwa.

– To on – powiedział.

Cisza, która zapadła, była tak gęsta, że można by ją kroić. Czuli, że czai się w niej niewidzialne, ale namacalne zagrożenie.

– Wiemy, gdzie mieszka?

Samira podała mu adres.

Jasna fasada odcinała się na tle zachodzącego słońca. Samira wjechała tyłem w wiodącą parowem ścieżkę, która odchodziła od głównej drogi i zanurzała się w gęstwinie drzew i krzewów. Zgasła światła, wyłączyła silnik. Przyjrzeni się zamkowi przez bramę.

– Niezła chata – stwierdził Vincent.

– Wchodzimy? – zapytał Katz, który siedział obok niego.

– Jak będziemy mieć nakaz.

Servaz otworzył drzwi.

– Zostańcie tu.

Wysiadł. Zapowiadała się bardzo zimna noc. Temperatura spadła, ale po wyjściu z samochodu był jeszcze rozgrzany, więc kiedy ruszył pogrążoną w półmroku ścieżką, tylko na twarzy czuł wilgotny chłód. Postawił kołnierz płaszcza i wyszedł na skraj drogi. Uznał, że powinien iść trawiastym poboczem po drugiej stronie szosy, która wiodła wzdłuż kamiennego ogrodzenia. Mur miejscami był zawalony i Servaz pomyślał, że utrzymanie takiej posiadłości musi kosztować krocie. Szedł na zachód do momentu, w którym droga – wciąż

prowadząc wzdłuż muru – skręciła. Pokonał jeszcze jakieś trzydzieści metrów do miejsca, w którym mur zastąpiła siatka. Zatrzymał się. Po drugiej stronie płotu między pniami dębów zobaczył zabudowania wyglądające na stajnie. Kilka budynków czerwieniejących w promieniach zachodzącego słońca, a wokół nich łąki ogrodzone białymi barierkami. Na ziemi kładły się długie, melancholijne cienie. Jego puls przyspieszył. Przypomniwał sobie o słomie na podeszwach stóp Kevina Debrandta, o której mówiła Fatiha.

Wrócił i znowu usiadł na miejscu pasażera.

– Znalazłeś coś? – zapytała zniecierpliwiona Samira.

– Stajnie.

Na chwilę wszyscy zamilkli, rozmyślając nad jego odpowiedzią.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – ostudził ich, odgadując, o czym myślą. – W tej okolicy jest sporo stadnin.

Ale w głębi serca wiedział: to tutaj. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Pozostawało przekonać sędziego.

Kievert obserwował ich przez lornetkę noktowizyjną. Doliczył się w samochodzie czterech osób. Zapamiętał numery rejestracyjne. Ale już wiedział, kim są.

Mógłby wystrzelać całą czwórkę, zanimby zrozumieli, co się dzieje. W poprzednim życiu był snajperem. Pod rozkazami generała. Kiedy zaczął służbę u niego, miał niespełna dwadzieścia lat. W tamtym czasie generał był jeszcze komendantem. I stał się dla niego jakby drugim ojcem. Wzorem, przewodnikiem, kompasem prowadzącym przez dorosłe życie.

Przez cały okres kariery wojskowej Kievert był lojalny nie tyle wobec armii, ile wobec Thibaulta Donnadiou de Ribes'a. Znał wielu żołnierzy, którzy podobnie jak on byli posłuszni przede wszystkim szefowi, człowiekowi, a dopiero później instytucji.

Odsunął lornetkę od oczu. Zawrócił. Przemknął między krzewami, przeciął drogę poza zasięgiem wzroku policjantów i tajnymi drzwiami wrócił na teren posiadłości.

Ruszyli z powrotem do Tuluzy. Zapadł już zmierzch, światła przy drodze były coraz rzadsze. Zostawili za sobą puste pola i góry, które – dokładnie tak samo jak tysiące lat wcześniej – pogrążyły się w ciemnościach.

Servaz wyglądał przez szybę, ale widział w niej wyłącznie własne odbicie. Nie czuł już najmniejszego zmęczenia. Rozmyślał o niebieskookim lokatorze

zamku. W Wikipedii nie zamieszczono jego zdjęcia. Zamiast tego widniała tam wzmianka: „Każda ilustracja w ramach wolnego dostępu będzie mile widziana”. Znał go jednak z opisu Samiry: wychudła twarz, szczupła i bez wątpienia wysoka sylwetka – widziała go tylko siedzącego. A właściciel restauracji wspomniał o jego oczach, podobnie jak Moussa mówił o nich wcześniej Ariane. W umyśle Martina powstał więc mentalny portret mężczyzny.

Tak wyglądał wróg. Bo człowiek, którego miał przed sobą, był kimś więcej niż podejrzanym: był przeciwnikiem. Straszliwym. Wojownikiem. Żołnierzem pochodzącym ze starej katolickiej rodziny, wychowanym we Francji, która już nie istniała, przedkładającym honor i ojczyznę ponad wszystko. Servaz pamiętał jednak, że ten człowiek napadł na Moussę Sarra i Kevina Debrandta, że na pierwszego z nich polował jak na zwierzynę, a zwłoki drugiego porzucił na moście. A czyniąc to, sprzeniewierzył się zdaniem Martina wszystkim wartościom, które przyświecały mu w życiu. Możliwe, że nie po raz pierwszy.

Kto z nim współpracuje oprócz Lemarchanda? Ilu takich ludzi jest w policji, żandarmerii, w wojsku? Ilu czynnych i biernych współników? Servaz wiedział już, że na pewno jest wśród nich ktoś z komendy policji.

Ludzie tacy jak on wykorzystują coraz większe pęknięcia, które przechodzą przez kraj. Coraz więcej jest takich, którzy pragną chaosu, załamania, by potem – taką mają nadzieję – siłą przejąć władzę, której co wybory odmawiali im obywatele przy urnach. Społeczeństwo jest na granicy rozpadu. Spoiwo, które zapewniało mu jedność, rozpływa się w okamgnieniu, a przyczajone grupy tylko czekają na okazję, by zburzyć ostatnie mury. Grupom tym przyświecają różne cele, ale jeden jest wspólny: obalić panującą władzę, gwałcąc zasady demokracji.

Sprawa oczywiście dotyczyła wszystkich, ale problem Servaza w tej chwili polegał na tym, że mężczyzna o niebieskich oczach i jego banda spowodowali śmierć Moussy Sarra i zamordowali Kevina Debrandta. Romain Heyman, Lahcene Kheniche i Nelson da Rocha też prawdopodobnie padli ich ofiarą. Do niego należało złapanie morderców. Cała reszta nie leżała w jego kompetencjach.

Niebo zasnuły chmury. Samira prowadziła. Espérandieu i Katz na tylnej kanapie milczeli. Servaz pomyślał, że rozwiązanie jest coraz bliżej. Rozpoznawał to po galopie krwi w swoich żyłach, po rozszerzającym się czasie i po tym, że każdy z obecnych w samochodzie stopniowo pogrązał się we własnych myślach.

Była sobota, 31 października, 20.00.

Wszedł do mieszkania i zdjął płaszcz. Wsłuchał się w szum miasta, który dochodził aż do przedpokoju: najwyraźniej Léa otworzyła balkon, żeby przewietrzyć. Kiedy wszedł do salonu, zobaczył, że drzwi balkonowe rzeczywiście są otwarte, ale odgłosy z zewnątrz były zupełnie inne niż zazwyczaj: nieliczne i odległe jak o czwartej nad ranem, kiedy Tuluza wreszcie się uspokaja. Gdzie się podziały te setki tysięcy studentów, którzy zazwyczaj o tej porze wylegali na nabrzeża i ulice? Pewnie siedzą znudzeni w swoich klitkach i próbują nie zwariować, obijając się o ściany, w większości z dala od swoich najbliższych, splukani i przybici. A może mają ferie?

– Jesteś głodny? – zapytała Léa z kuchni.

Podszedł bliżej. Poczul zapach warzyw, które mieszała w woku, i pociekła mu ślinka.

– Na stole jest jakaś przesyłka dla ciebie – powiedziała, odwróciwszy głowę. Sięgnął po kopertę. Zaklejona. Nie było na niej nazwiska ani adresu.

– Była w skrzynce na listy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To dość dziwne. Ktoś czekał na dole w samochodzie. Kiedy go mijalam, wysiadł i poprosił, żebym ci ją przekazała.

Servaz zamarł. Nie podobało mu się to. Ktoś czekał na Léę pod bramą... Rozerwał kopertę i rozłożył kartkę, która była w środku. Pusta.

– Co to jest? – zapytała.

Bez słowa wyjaśnienia sięgnął po telefon i zadzwonił do dowódcy. Czekaając na połączenie, czuł intensywne pulsowanie krwi.

– Servaz? – zdziwił się Chabrilac. – Co się dzieje?

– Poproszę o ochronę, natychmiast. Dwóch ludzi pod moją kamienicę.

– Co? Ale o co chodzi?

Servaz powiedział mu o kopercie i człowieku, który zaczepił Léę. Nastąpiła chwila ciszy.

– Okej, zajmę się tym – odparł Chabrilac. – Wygląda na to, że włożyliście kij w mrowisko. Opowie mi pan o najnowszych postępach śledztwa?

– Niech nam pan da jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

– Nie ma mowy. Widzimy się jutro w południe w moim biurze.

20.43. Esther Kopelman siedziała na ławce na niewielkim skwerze przy pomniku Heraklesa Łucznika autorstwa Antoine’a Bourdelle’a i paliła papierosa. Odlany z brązu posąg mężczyzny, który napina łuk, opierając kolano o ziemię, z drugą nogą wysuniętą do przodu i stopą wspartą na skale stał przy niewielkiej świątyni, a ciemność spowijała go niczym całun. Esther przypomniała sobie, że w szkole używała zeszytów marki Herakles.

Facet się spóźnia. Może się przestraszył, pomyślała. Tymczasem ona czekała i rozmyślała o swoim życiu. A raczej robiła jego bilans – począwszy od czasów, kiedy była uczennicą w szarym fartuszkach i grubych okularach, która siedziała w ławce wyposażonej w kałamarz i pisała w zeszycie w kratkę.

Kilka lat później, jako młoda dziewczyna, z nieśmiałej gąsienicy przeobraziła się w pięknego motyla. Zmieniała mężczyzn jak rękawiczki, dbając tylko o własną przyjemność, i nigdy nie pozwoliła się usidlić, za dużo piła, odpalała jednego papierosa od drugiego (zaczęła jako piętnastolatka i obliczyła, że jeśli pomnożyć dwie paczki dziennie przez trzydzieści osiem lat, da to ponad pół miliona spalonych fajek), nie gardząc innymi substancjami aż do czasu, gdy kochankowie stopniowo przestali do niej dzwonić, a popełnione grzechy zaczęły być widoczne na jej ciele.

Obecnie – a w każdym razie przed lockdownami i godziną policyjną – większość czasu spędzała samotnie albo w barach z kumplami od kieliszka, którzy czasem zmieniali się w kochanków na jedną noc. Nie chciała żadnego zwierzęcia do towarzystwa: po pierwsze dlatego, że brzydziła się psami i kotami, a po drugie zrobiłoby to z niej starą pannę. Nie miała dzieci, które by do niej telefonowały czy wpadały w odwiedziny, jedynie bratanek, a ten dzwonił raz na pół roku. Jej rodzice już od dawna nie żyli.

Mimo woli poczuła uścisk w gardle. A więc to by było na tyle: tak wygląda jej życie. Na szczęście jest robota. Kiedyś kochała ten zawód. Tylko co z niego zostało w czasach, gdy każdy mieni się dziennikarzem, a coraz więcej ludzi, nie potrafiąc zweryfikować napływających informacji, karmi się fake newsami, plotkami i kłamliwymi stwierdzeniami?

Spojrzała na zegarek. Zaczynała się niecierpliwić. Gdzie on się, u licha, podział?

Kontynuując ten seans podsumowań, zaczęła się zastanawiać, czy czegoś żałuje, czy gdyby dysponowała wehikułem czasu, skorzystałaby z niego, by pewne rzeczy zrobić inaczej. Odpowiedź była twierdząca. Bez dwóch zdań. Bez

cienia wątpliwości. O tak, oczywiście, że tak. Ludzie, którzy mówią, że niczego nie żałują, to w większości kłamcy. Bo ilu z nich ma teraz takie życie, o jakim marzyli w młodości?

Wzdrygnęła się. Wyczuła jakiś ruch z tyłu, za ławką. Była tego prawie pewna. Siedziała plecami do platanów i czarnych wód canal de Brienne. Stojąca obok latarnia, która normalnie świeciłaby żółtawym blaskiem, akurat była uszkodzona. Zresztą właśnie z tego powodu usiadła właśnie tutaj: chciała pozostać niezauważona.

Za ławką znowu coś się poruszyło, usłyszała odgłos pośpiesznych kroków na żwirku. Odwróciła się i po lewej stronie, na granicy pola widzenia, zdążyła jeszcze zauważyć jakiś znikający cień. Z walącym sercem odwróciła się w drugą stronę. Tuż obok swojej twarzy zobaczyła jego twarz i jej serce wykonało potrójnego lutz.

– Jezus, nie! – zawołała. – Nigdy więcej tak nie rób! Napędziłeś mi cholernego stracha!

– Dziś się mówi pierdolonego – zauważył.

– Jasne, gdyby ludzie używali ładniejszych słów, być może nie byłiby aż takimi dupkami – odparowała.

– Jakbym słyszał swoją matkę.

– Znaczy, że to inteligentna kobieta.

– Lubisz mieć ostatnie słowo, co, Kopelman?

– Mam wrażenie, że nie jestem jedyna.

– Okej, zawrzyjmy rozejm – powiedział Raphaël Katz, przysiadając się do dziennikarki. – Kopsniesz szluga?

Młody porucznik zdjął maseczkę. Ona już wcześniej zsunęła swoją, przez co wyglądała, jakby miała drugi podbródek. Gdy wyjęła paczkę papierosów, sięgnął po jednego.

– Masz coś dla mnie? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie...

– Bądź tak dobry i nie wyciągaj mnie na zgadywanki. Jest późno i mam tylko jedno pragnienie: usiąść spokojnie na sofie i obejrzeć serial.

– Ariane Hambrelot – powiedział.

– Dziewczyna zgwałcona przez Mousse Sarra?

– Tak. Sęk w tym, że Sarr jej nie zgwałcił.

Esther Kopelman zmarszczyła brwi.

– Skąd wiesz?

– Przyznała się moim kolegom... Moussy tam wcale nie było.

Esther się zamyśliła.

– O cholera, to znaczy, że chłopak zamordowany przez ludzi, którzy polowali na niego jak na zwierzynę, nie był winien tego, o co go oskarżali? Ja pierdołę.

Zaciągnął się papierosem, którego końcówka żarzyła się w ciemności. Usłyszeli, że ktoś przechodzi nad kanałem za ich plecami i na chwilę umilkli.

– A ty coś dla mnie masz? – zapytał.

Cisza.

– Możliwe – powiedziała wreszcie.

Odwrócił się do niej i zlustrował jej profil.

– No już, dawaj. Handel wymienny działa w obie strony.

– Wiesz, że nie jesteś moim jedynym kontaktem w policji. Inni też od czasu do czasu coś mi podrzucają. Podobno w naszym regionie istnieje, hmm, trybunał cieni, tajna grupa policjantów, prawników i wojskowych, którzy przyznali sobie prawo do tego, żeby w odpowiedzi na nieudolność właściwych organów wymierzać sprawiedliwość na własną rękę.

Katz zmrugał oczy i patrząc na Heraklesa Łuczniaka, wykonał taki gest, jakby celował z niewidzialnego łuku.

– Skąd wiesz?

– Krąży taka plotka. I ta plotka dotarła również do moich uszu.

– Kto ci powiedział?

– Przykro mi, kurczaczku, chronię swoich informatorów. Zakładam, że to rozumiesz, skoro sam jesteś jednym z nich. Jak mógłbyś mi zaufać, gdybym ci powiedziała?

– Trafiony, zatopiony – przyznał.

– Słyszałeś o tej plotce?

– Bez komentarza.

– To znaczy tak?

– To znaczy bez komentarza.

– Istnienie takiej grupy wyjaśniałoby nie tylko śmierć Moussy Sarra i Kevina Debrandta, ale też zaginięcie Kheniche'a, Heymana i da Rochy – zasugerowała.

– A może i innych...

Spojrzał na nią zamyślony mętym wzrokiem i wstał.

– Czas na mnie – powiedział.

Skinęła głową i patrzyła, jak młody wilk pośpiesznie oddala się w stronę boulevard Lascrosses. Na wpół Rastignac, na wpół Rubempré. Zastanawiała się, co z niego wyrośnie: prawy, uczciwy policjant pokroju Servaza czy też jeden

z tych skorumpowanych, okrutnych, wściekłych gliniarzy, którzy przekraczają cienką czerwoną linię. Pomyślała, że Raphaël Katz na pewno sam tego jeszcze nie wie, choć niebezpiecznie z ową linią flirtuje. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z nim, zaledwie przed trzema dniami. Oczywiście w barze. Krótco przed wcześniejszym zamknięciem lokalu z powodu godziny policyjnej Raphaël zaczepił ją i postawił kolejkę. Z początku sądziła, że facet tak jak inni próbuje utopić swoją samotność w hałaśliwym towarzystwie pijaków i opuszczonych dusz. Ale bardzo szybko wyjaśnił jej, że przeczytał jej ostatni artykuł o Moussie, który ukazał się rano. I że tekst mu się podobał. Potem powiedział, że jest dla niego oczywiste, że dziennikarka ma informatorów zarówno na komendzie, jak i w prokuraturze, ale wygląda na to, że żaden z nich nie jest bezpośrednio zaangażowany w śledztwo. Wyznał, że z pensją porucznika trudno mu związać koniec z końcem, że niebawem awansuje, ale tymczasem potrzebuje pieniędzy. Zaśmiała mu się w twarz i powtórzyła to, co zwykł mawiać Chaumette, że „La Garonne” to nie „Washington Post”. Odparował, że Głębokie Gardło z pewnością był droższy, a on prosi tylko o kilkaset euro. W zamian za to będzie dostarczał informacje, które być może kiedyś pomogą jej w karierze. Oboje na tym skorzystają. Spodobał jej się tupet policjanta i opowiedziała o nim naczelnemu (nie podając nazwiska). I tak zaczęli pracę w duecie.

Ona również wstała. Przeciągnęła się i ruszyła przed siebie. Nie zauważyła postaci, która śledziła ją w ciemności.

– Martin, czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Patrzyła na niego z poważną miną. Jej zielone oczy lśniły irytacją. Miała mu za złe, że nie uprzedził jej wcześniej, że naraził ją i Gustava na niebezpieczeństwo, uznając, że jego praca jest ważniejsza niż oni. Rozumiał ją.

– Jesteśmy o krok od zdemaskowania policjantów, którzy przeszli na ciemną stronę mocy – wyjaśnił. – Zachowują się jak osaczone drapieżniki, próbują kąsać, dopaść mnie... uderzając w was.

– To ma związek z tym chłopakiem znalezionym na moście, o którym mówią w wiadomościach? – zapytała.

Skinął głową. Był poruszony. Kiedy to jemu grożono, potrafił sobie z tym poradzić, w przeszłości otrzymywał już pogróżki i konfrontował się z ekstremalnie niebezpiecznymi jednostkami, ale nie był pewien, czy podoła, gdy zagrożone są osoby, które kocha – to, co ma najdroższego.

– Na ciemną stronę mocy? Co to znaczy?

– Że nie są już policjantami, ale mścicielami, mordercami. Że nie różnią się już od tych, których ścigamy.

– Czyli ta historia z gościem na dole i kopertą, to takie ostrzeżenie, tak? Jakby chcieli ci powiedzieć: wiemy, gdzie mieszkasz, wiemy, kto jest twoją partnerką. Jak mafia.

Czuł, że czas nagli, że jeśli nie chce narażać swoich najbliższych, muszą działać szybko. Uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Niedługo ich unieszkodlimy, Léa. A do tego czasu ty i Gustav dostaniecie ochronę.

Poruszyła nozdrzami jak narowisty koń. Ze złości aż poczerwieniała na twarzy.

– Chcesz, żebym jeździła do pracy w eskorcie policji, tak?

Spojrzał na nią z podziwem. Nie było w tej kobiecie nic, czego by nie kochał. Na myśl o tym, że może ją stracić, znowu poczuł ukąszenie niepokoju.

– Tylko przez kilka dni.

– Nie ma mowy!

– Léa...

– Dopóki ta sprawa nie zostanie zakończona, niech nas eskortują przy odwożeniu Gustava do świetlicy, a potem do szkoły, będę się czuła spokojniejsza. Ale nie ma mowy, żeby twoja praca mieszała się z moją. Niech za mną jeżdżą, jeśli chcą, ale niech nie wchodzą do szpitala.

– Przecież wiesz, że w normalnych okolicznościach do tego pieprzonego szpitala może wejść każdy!

– Mam to gdzieś! Ich noga tam nie postanie! – krzyknęła.

Nie była w nastroju do ustępstw. Patrząc, jak Léa idzie do sypialni, pomyślał, że na razie lepiej dać spokój i wrócić do tego później.

Appetite for destruction, śpiewali Guns'n'Roses. Wzburzenie. Krzyki. Podpalenia. Przedmioty miotane jak pociski. Noc skrzyła się, ryczała jak Wezuwiusz plujący ogniem nad Pompejami. Funkcjonariusze z oddziałów prewencji i BAC trzymali się na dystans. Czekali na rozkazy. Dopóki rozżarzona lawa nie przeleje się przez krawędź krateru, nie ruszą się z miejsca. Tym gorzej dla mieszkańców dzielnicy. W każdej wojnie giną cywile. A dla obecnych na miejscu policjantów to była wojna.

Sobota wieczór, prefektura. Michèle Saint-Hamon stanowczo wolałaby być teraz na jednym z tych przyjęć, na które zapraszała całą śmietankę i wszystkie grube ryby z departamentu. Być może krążąc z tacą w ręku, wyhaczyłaby jakiegoś młodego mężczyznę, którego poprosiłaby, żeby został u niej po wyjściu gości – byle tylko był przystojny i nie zważał zbyt na różnicę wieku. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Kryzys sanitarny pozbawił ją jednak tej rozrywki i tego wieczoru zmieniła służbowy uniform na kostium uwydatniający jej obfite biodra i jędrne uda, które codziennie trenowała na orbitreku, bynajmniej nie z powodu jakiegoś towarzyskiego wydarzenia. Stała pochylona nad mapą aglomeracji tuluskiej, a przedstawiciele żandarmerii i policji referowali jej sytuację. Przez Mirail, Izards, Bagatelle przetaczała się kolejna fala przemocy. Obawiała się, że gniew rozleje się na inne dzielnice. Wiedziała, że od czasu zdarzenia na moście ludzie z najwyższego szczebla uważnie się jej przyglądają.

Pomyślała o Servazie. Wyglądał na niezłomnego, ale wyczuła, że to tylko fasada. Zasięgnęła informacji na jego temat. Uczciwy glina, ale jednocześnie człowiek niespokojny, dręczony przez różne demony, zawsze na ostrzu brzytwy. Miał na koncie kilka zatargów z kierownictwem. Antybohater – ale mimo wszystko bohater. Mieszanka siły i kruchości. Ciekawy koktajl, chętnie zajrzałaby pod tę zbroję w warunkach większej intymności. Kto wie? Może niebawem nadarzy się okazja.

Skupiła się na słowach dyrektora swojego gabinetu. Gość jak zwykle widział wszystko w ciemnych barwach.

– To miasto jest u progu wojny domowej – powiedział.

Kobieta zdusiła westchnienie.

– Psiakrew, niech pan przestanie dramatyzować. To męczące.

Policjant siedzący w nieoznakowanym samochodzie zaparkowanym przy boulevard de Strasbourg patrzył na nadchodzącego młodego porucznika.

– Zaczekaj tu – powiedział do kierowcy.

Wysiadł i ruszył w kierunku jasnowłosego funkcjonariusza, który właśnie wstukiwał kod wejściowy przy bramie swojej kamienicy.

– Poruczniku...

Katz się odwrócił, spojrzał na gościa w czarnej bluzie z kapturem i skórzanej kurtce. Zmęczona twarz, wory pod oczami, choć na oko zaledwie o parę lat starszy niż on. Kontrolowana twardość. Krótko mówiąc, słowo „głina” wytatuowane na czole.

– Zależało mi, żeby się z tobą spotkać. Słyszeliśmy o twojej reakcji na Pont-Neuf i w trakcie zebrania na komendzie.

Katz milczał. Czekał, aż tamten przejdzie do rzeczy.

– Polecono mi, żebym ci powiedział, że wielu z nas to docenia. Potrzebujemy w policji ludzi takich jak ty – dodał, uśmiechając się pod maseczką.

– A „my” to kto?

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

– Wszystko w swoim czasie. Chcemy tylko, żebyś wiedział, że wielu z nas nadaje na tych samych falach. Nie jesteś sam.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparował Katz.

Policjant przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, rozejrzał się dookoła i znowu skupił uwagę na Raphaëlu.

– Myślę, że wiesz. W policji i sądzie jest sporo osób, które uważają, że ten kraj toczy się po równi pochyłej, że wszystko się sypie, więc czas działać. A co ty o tym sądzisz?

Raphaël spojrzał badawczo na rozmówcę.

– Nie zaprzeczę – przyznał ostrożnie. – Ale co możemy na to poradzić?

– Wygląda na to, że niektórzy już zaczęli coś robić, nie uważasz?

– Znasz ich?

Mężczyzna puścił do niego oko.

– Może tak, może nie... Wrócimy do tego. A tymczasem miłego wieczoru. I jeszcze raz dzięki za twoje słowa.

Raphaël przez chwilę patrzył za policjantem, który zanurzał się w tuluską noc, a potem sięgnął po telefon.

Zza ściany, z sąsiedniej klitki, słycać było muzykę. Raphaël rozpoznał zespół: Coldplay. Muza dla panienek, pomyślał. Sam wolał nowy album Strokesów *Abnormal*, a jeszcze bardziej zupełnie wyjątkową rzadkość – *Saturnalia* Gutter Twins.

Myślał o policjancie, którego spotkał na dole. Jak wielu funkcjonariuszy jego rozmówca uważał, że między sędziami i glinami powstała niemożliwa do pokonania przepaść, że sędziowie porzucili policjantów na pastwę losu na wojnie, którą obie instytucje powinny prowadzić wspólnie.

Rozebrał się. Wszedł pod gorący prysznic. Nagle zamarł, włosy stały mu dęba, zaczęło mu brakować tchu, a serce waliło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Oczami duszy ujrzał siedzącego przy biurku mężczyznę z dziurą w głowie, a na ścianie za jego plecami powiększającą się plamę krwi. Zdusił odruch wymiotny, oparł obie dłonie na mokrych kafelkach. Drżał. Pod naporem wspomnień zamknął oczy. Kiedy w pokoju ojca rozległ się huk wystrzału, Raphaël akurat odrabiał lekcje. W księżycowej poświacie wpadającej przez okno unosił się jeszcze dym. Wszystkie światła były pogaszone, ale noc była wystarczająco jasna, żeby dało się zobaczyć bladą twarz, która wyglądała jakby falowała w powietrzu, oddzielona od reszty ciała. Ojciec nawet po śmierci patrzył na niego, mierzył go wzrokiem, osądzał. Tak przynajmniej pomyślał wtedy, stojąc nieruchomo w progu gabinetu. Matka za jego plecami zawyła jak w agonii. Zauważył mundur i książkę, którą ojciec położył przed sobą: Seneka, *O krótkości życia*. Ty stary draniu, zawsze musisz odgrywać ten swój spektakl, nawet w chwili śmierci.

Pozwolił, by ostatnie krople gorącej wody spłynęły mu po blond czuprynie i policzkach. Zrobił wdech i wydech. Usiłował sobie wyobrazić coś pozytywnego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Czekał, aż atak paniki powoli ustąpi, jak czarna chmura, z której miał lunąć deszcz, ale która ostatecznie odpływa.

Požoga się rozszerzała: Strasburg, Rennes, Rouen, Nantes, Bordeaux, Lille, Soissons, Besançon, kilka dzielnic Seine-Saint-Denis, Essonne, Lyonu. Jakby powtórka z 2005. Wszędzie płonęły samochody. W Bobigny demonstranci zdewastowali dworzec kolejowy. W Bordeaux walczył o życie agent ochrony. U stóp bezdusznych bloków, ohydnych betonowych uli, potworków architektury

„z natury przypominającej obóz koncentracyjny, a w skutkach kryminogennej” – jak ją określił trzydzieści lat wcześniej pewien premier (przy czym od tamtego czasu nic lub prawie nic się nie zmieniło) – młodzież, która nie miała nic do stracenia, wdawała się w bójki z policją, a pozostali mieszkańcy barykadowali się w swoich mieszkaniach, straciwszy wszelką wiarę w społeczeństwo, które już dawno temu ich opuściło.

Odbywano zebrania. Mnóstwo zebrań. W siedzibie Generalnej Dyrekcji Policji Narodowej w Beauvau, w Dyrekcji Obrony Cywilnej i Zarządzania Kryzysowego w Asnières, w departamentalnych dyrekcjach bezpieczeństwa publicznego i regionalnych oddziałach policji kryminalnej, a nawet w Pałacu Elizejskim światła nie gasły do późnej nocy. Zaaferowani funkcjonariusze krzatali się, biegali, przekazywali sobie informacje, ale wszystkie ich decyzje, wszystkie działania były spowolnione, obciążone balastem czynności wymuszonych przez słabo przygotowaną na czas kryzysu maszynę administracyjną. Rząd już od jakiegoś czasu się chwia, zdradza oznaki słabości. Obawiano się sprzężenia kryzysu sanitarnego z kryzysem bezpieczeństwa – gdyby do niego doszło, sytuacja, i tak już niestabilna, groziłaby eksplozją. Obawiano się, by zarzewia pożaru nie przeniosły się na inne grupy społeczne, wyczerpane odbieraniem im wolności i strachem o jutro. Obawiano się, że będzie jeszcze gorzej. Obawiano się, że kraj z dnia na dzień wymknie się spod kontroli.

Nie włączając światła, Samira odsunęła zasłonę. Gość na dole nawet się nie ukrywał. Tak samo jak ona nie ukrywała się przed domem Lemarchanda. Wóz stał na skraju łąki. Pojawił się przed dwiema godzinami w miejsce innego auta. Nie dało się go nie zauważyć. W dodatku droga, którą przyjechał, dochodziła wyłącznie do jej domu.

Spojrzała na radiobudzik na szafce nocnej. Czerwone kreski układały się w cyfry 01:23. Położyła się na kołdrze na dużym łóżku, wpatrując się w sufit: noc była jasna, więc był dobrze widoczny. Z belki stropowej zwisał barokowy żyrandol. Jak większość wyposażenia Samira kupiła go u jakiegoś handlarza starzyzną.

Wciąż była ubrana. Profesorek wyszedł pół godziny wcześniej: chciał ją związać i bawić się jej stopami, ale nie była w nastroju. Zastanawiała się, czy góra kiedykolwiek zrozumie, co się dzieje na zewnątrz, w prawdziwym życiu. Że policjanci w tym kraju są zdani na samych siebie. Że są u kresu sił. Że są ostatnią barykadą, która w każdej chwili może zostać przerwana. A jeśli runie,

cała przestępczość zorganizowana, wszystkie bojówki, bandy, rabusie, wszyscy krzewiciele chaosu i ciemności przejmą władzę – jak w Rio de Janeiro, Tijuanie czy Kapsztadzie. A wtedy pokój nie będzie już możliwy. Ani sprawiedliwość. Dla nikogo. Nigdzie.

W ciemności unosił się melancholijny głos Rosie Thomas śpiewającej *The One I Love*. To dziwne, że lubiła piosenkę, która tak słabo pasowała do jej rzeczywistości. *The One I Love...* Zastanawiała się, czy sama kiedykolwiek kochała kogoś w ten sposób. I czy ją ktoś kochał z wzajemnością.

Znała odpowiedź.

NIEDZIELA

Zaparkował jakieś sto metrów od budynków i resztę drogi przemierzył pieszo. W jasnym świetle poranka osiedle było spokojne, nosiło jednak stygmaty minionej nocy: zniszczone wiaty przystankowe i elementy miejskiej infrastruktury, spalone kosze na śmieci i dwa zwęglone wraki samochodów.

Zbliżając się do bloków, Servaz pomyślał o Émile’u Aillaudzie, projektancie osiedla Grande Borne w Grigny i wieżowców Nuages w Nanterre. W wywiadzie przeprowadzonym w latach osiemdziesiątych wyjaśniał, że osiedle, które zamierza zbudować w Chanteloup-les-Vignes, będzie miało jeszcze większe zagęszczenie ludności, z siedemdziesięcioma mieszkaniami na hektar. I był z tego zadowolony. „Jestem zwolennikiem dużej koncentracji ludności w miastach”, mówił.

Martin z przerażeniem uświadomił sobie, że za bolączki, które dzisiaj trapią miasta, odpowiada całe pokolenie architektów. Pomyślał, że w czasach katedr budowniczości również chcieli, by każda kolejna budowla była wyższa od poprzedniej: Chartres, Reims, Amiens, Metz, Beauvais. Katedra w Beauvais miała być wyższa od tej w Amiens, ale jej sklepienie dwukrotnie się zawaliło i pozostała nieukończona. Ta porażka stała się po części wyznacznikiem końca gotyku. Zawsze tak jest. Przez ideologię, zaślepienie czy pychę cywilizacja, z początku rozsądna, dochodzi do granic absurdu.

Przeszklone drzwi klatki schodowej tak jak poprzednio były zablokowane w pozycji otwartej. Tym razem nie czekał na windę. Wciskając guzik dzwonka, zerknął na zegarek. 9.10. Niedzielny ranek. Miał nadzieję, że kobieta już nie śpi. Kiedy wysyłał Katza, by ten zapieczętował pokój u pani Sarr, zabronił mu przychodzić tu w pojedynkę, jednak po rozruchach minionej nocy pojawienie się policjantów w dzielnicy wywołałoby kolejną eksplozję przemocy, dlatego wołał zachować dyskrecję.

– Co jest? – odezwała się kobieta zza drzwi.

– Pani Sarr, to ja, komendant Servaz – powiedział głośno, ale nie za głośno, ponieważ nie chciał, by nakryli go tu sąsiedzi. – Mam nowe informacje na temat śledztwa w sprawie śmierci Moussy.

Usłyszał odgłos odpinanego łańcucha, a następnie klucza przekręcanego w zamku. Drzwi się uchyliły i kobieta spojrzała na niego nieufnie. Musiała sobie jednak przypomnieć, że jej pomógł, ponieważ po chwili otworzyła na oścież i zaprowadziła go do salonu.

– Napije się pan czegoś?

– Chętnie, kawy.

Zniknęła w kuchni. W mieszkaniu i w całym bloku panowała cisza. Postawiła przed nim filizankę na spodeczku i słoik z cukrem. Usiadła po drugiej stronie ławy.

– Pani Sarr – zaczął bez wstępów – mamy dowód na to, że pani syn był niewinny, że nie zgwałcił tamtej dziewczyny.

– Oczywiście, że jej nie zgwałcił. Moussa nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Skinął głową.

– Zależało mi, żeby pani o tym powiedzieć – podkreślił łagodnie.

– Dziękuję, że pan przyjechał, komendancie. – Spojrzała na niego. – Generalnie nie ufam policji. Ale mam wrażenie, że pan jest osobą, na której można polegać. Dlatego chciałabym zapytać... – Przyglądała mu się badawczo lśnącymi, czarnymi oczami. Wiedział, o co go zapyta. – Czy pan wie, kto zabił mojego syna?

Zawahał się.

– To, co pani powiem, jest ściśle poufne – powiedział. – Czy może mi pani obiecać, że to nie wyjdzie poza te ściany?

– Niech pan mówi, komendancie.

– Wiemy, kto to zrobił. W każdym razie znaleźliśmy jednego z mężczyzn, którzy na niego polowali. A wkrótce będziemy mieć innych. Jesteśmy blisko. Proszę nam dać jeszcze trochę czasu.

Skinęła głową, spuściła wzrok, by po chwili znów na niego spojrzeć.

– Czy to są policjanci?

Przełknął ślinę.

– Pani Sarr, ma pani moje słowo, we właściwym czasie wszystko pani powiem. Niczego nie pominę. Ale śledztwo nie jest jeszcze zakończone.

– I powie pan głośno, jaka jest prawda? – zapytała błagalnym głosem.

Już miał odpowiedzieć, gdy nagle za jego plecami rozległ się głos:

– Co on tutaj robi?

Pytanie zabrzmiało wojowniczo. Servaz się odwrócił. Do salonu wszedł Chérif Sarr. Był w kalesonach. Martin zauważył, że mężczyzna musi wytrwale

ćwiczyć, ponieważ był bardzo muskularny. Miał pięknie wyrzeźbione mięśnie brzucha i napakowane mięśnie klatki piersiowej.

– Spokojnie, Chérif, komendant przyszedł nam powiedzieć, że niedługo zatrzyma sprawców i że wie, że Moussa był niewinny – wyjaśniła jego matka.

– Powiedz mu, żeby spadał. – Mężczyzna nie zrezygnował z agresywnego tonu. – Jebane psy, wszyscy jesteście tacy sami! Rasiści, mordercy, naziol. Niech pan spierdala. Nie ma pan nic do szukania w moim mieszkaniu. Kurewsko pan ryzykował, przychodząc tutaj. Nie wie pan, że jest gorąco?

– Chérif! To jest również moje mieszkanie! To ja go wpuściłam. I nie życzę sobie tutaj takiego języka! – zbeształa go matka.

– Pójdę już, pani Sarr. Dziękuję za kawę – powiedział Servaz.

Wracał do samochodu nieco lżejszym krokiem. Tej nocy matka Moussy będzie spać spokojniej. Być może... Ale to jej nie zwróci syna. Siadając za kierownicą, poczuł w żyłach wyrzut adrenaliny.

Przyszedł czas, by stanąć twarzą w twarz z wrogiem.

Esther Kopelman obudziła się w swoim fotelu o 9.30. Skrzywiła się. Zakłęła pod nosem. Czknęła. Miała paskudną migrenę, jakby imadło ścisnęło jej skronie, a w ustach posmak zepsutego mięsa. Kiedy się poruszyła, poczuła się tak, jakby szalony akupunkturzysta wbijał jej w kończyny, pośladki i plecy tysiące igieł. Poprzedniego wieczoru usnęła przed telewizorem, który wyłączył się automatycznie dokładnie w chwili, gdy Donald Trump oświadczał z ekranu, że jego przegrana w wyborach będzie oznaczała, że obóz przeciwny je sfałszował.

Wcześniej zdążyła obalić pół butelki whisky Jack Daniel's Old No.7 i wypalić całą paczkę papierosów: popielniczkę stojącą na ławie po brzegi wypełniały niedopałki, a salon był przesiąknięty zapachem dymu.

Dziennikarka wstała, podeszła do mansardowego okna i otworzyła je na oścież, by przewietrzyć pokój. Z głębi podwórza doszły ją fałszywe dźwięki piosenki, którą ktoś śpiewał, tłukąc garami. Mrużąc oczy w porannym świetle, przypomniała sobie chwile przed zaśnięciem, kiedy to ze znajomym poczuciem zbliżania się do czegoś ważnego medytowała nad słowem „sprawiedliwość”. Nagle w głowie zamajaczyło jej wspomnienie dawno napisanego artykułu. Niestety pamięć miała słabą i nie mogła sobie przypomnieć, o który artykuł chodziło. Tak rozmyślając, ukołysana alkoholem usnęła i obudziła się dopiero rano.

Włączyła ekspres do kawy, położyła na tacy gramofonu płytę Ronattes, wzięła prysznic i robiąc makijaż, wypaliła pierwszego papierosa. Spryskała się mgiełką La Petite Robe Noire od Guerlain i wyszła z łazienki.

Kiedy znalazła się na ulicy, poczuła ożywczy powiew porannego powietrza. W mieście panował zadziwiający spokój: tak wyglądała Tuluza w niedzielę w okresie lockdownu. W redakcji „La Garonne” były tylko trzy osoby. Przywitała się z nimi i przeszła przez salę. Suszyło ją i miała wrażenie, że ma za ciasną, zbyt napiętą skórę na twarzy oraz podrażnione, opuchnięte gardło. Wypiła kubek wody z dystrybutora, a następnie zrobiła sobie drugie espresso z podwójnym cukrem i usiadła za biurkiem.

Włączywszy komputer, weszła do bazy danych dziennika i wystukała słowo „sprawiedliwość”. Otrzymała kilkaset wyników. Westchnęła. Musi znaleźć inne

słowo związane z tamtym artykułem – inaczej czeka ją szukanie maleńkiej igły w gigantycznym stogu siana.

Nagle doznała olśnienia. Tak! Pochyliła się nad klawiaturą, wpisała nazwisko. Odczekała chwilę. Zero wyników. Niemożliwe. Doskonale pamiętała dzień, w którym robiła ten wywiad, pamiętała, że jej rozmówca kilkakrotnie wypowiedział słowo „sprawiedliwość”, co ją wtedy uderzyło. Poczowała, że ogarnia ją paranoja: ktoś usunął jej artykuł z bazy danych.

Podniosła oczy i ponad ściankami działowymi omiotła wzrokiem cały open space. Jeden z dziennikarzy na nią patrzył. Kochana, daj spokój, nie bądź śmieszna, pomyślała. A potem zrozumiała. Wywiad, o który jej chodziło, musiał być starszy, niż myślała. Gazeta zaczęła wychodzić w wersji cyfrowej dopiero w 2013. Jej artykuł najwyraźniej był wcześniejszy. Pochodził z epoki królowania papieru, kiedy setki tysięcy czytelników kupowały w kioskach dzienniki i czasopisma, kiedy ludzie byli jeszcze spragnieni pogłębionych tekstów, sprawdzonych nazwisk, merytorycznych analiz, zweryfikowanych i potwierdzonych informacji. Z epoki, w której nie traktowano jeszcze dziennikarzy z taką podejrzliwością, z jaką robi się to dzisiaj. Przypomniało jej się coś, co przeczytała w jakiejś książce: podczas gdy jedni dziennikarze dokopują się do prawdy, inni sypią na nią ziemię, żeby ją z powrotem pogrzebać. I pewnie właśnie dlatego dziennikarstwo upada. A może chodzi o tak zwany efekt potwierdzenia: coraz więcej osób z niechęcią traktuje informacje, które nie pasują do ich wizji świata, choćby były prawdziwe.

Esther żałowała, że nie zapisała plików Worda z najstarszymi artykułami. Zamyśliła się. Archiwa dziennika znajdowały się na parterze. Była niedziela, ale wiedziała, gdzie znaleźć klucz: w gabinecie Chaumette’a – oby tylko naczelny go nie zamknął.

Odprowadzana podejrzliwym wzrokiem przez trójkę kolegów, którzy również pracowali, ruszyła do pomieszczenia, i przeszukawszy szuflady, wyszła z pękiem kluczy w dłoni.

– Co robisz? – zapytał dziennikarz około dwudziestki, okularnik o wyglądzie kuny.

– O to samo pytasz dziesięć razy dziennie swoją dziewczynę, która się puszcza, kiedy jesteś w redakcji? – odparowała.

Zamknęła za sobą drzwi archiwum. Pomieszczenie oświetlały cztery wysoko umieszczone okna wychodzące na rue des Lois. W powietrzu unosiły się kurz i zapach zadrukowanego papieru, wykładzina na podłodze była tak zużyta, że aż

lśniła. Prawie całą powierzchnię zajmowały metalowe regały, na których rzędami ustawiono pliki starych gazet, tylko w jednym kącie stał drewniany stół z dwoma przedpotopowymi czytnikami mikrofisz.

Ponieważ zmatowiałe szyby słabo przepuszczały światło, Esther włączyła jarzeniówki. Podeszła do jednego z czytników. Wcisnęła guzik on/off, ale nic się nie wydarzyło. Zajrzała pod stół i stwierdziła, że urządzenia nie są nawet podłączone do prądu. Musiała kucnąć, by wetknąć wtyczkę do gniazdka. Wstając, uderzyła się w głowę i zakląła. Podeszła do pudełek z mikrofiszami ustawionych rocznikami na jednej z półek.

Celowała w lata 2011 i 2012. Ostatnie dwa roczniki przed cyfryzacją. Od czegoś trzeba zacząć. Jeśli to nic nie da, będzie musiała cofnąć się w czasie jeszcze dalej.

Po godzinie przystąpiła do przeglądania wydań z roku 2010. Wsunęła pierwszą mikrofiszę z pudełka pod szklaną płytkę i przewijała obraz to w przód, to w tył, szybko przeglądając artykuły, które przesuwają się na ekranie. Była spocona. Wszystkie obrazy były do siebie bardzo podobne, tak że koncentrowała się z coraz większym trudem.

Nagle zatrzymała przewijanie i cofnęła obraz. Zastygła ze wzrokiem utkwionym w ekran, na który spoglądała znad okularów. Jest! *Bezużyteczne ustawy odbierają moc niezbędnym regulacjom – twierdzi generał Thibault Donnadieu de Ribes*. Oto i on. Wywiad z człowiekiem, z którego ust nie schodziło słowo „sprawiedliwość”. Tym człowiekiem był generał Thibault Donnadieu de Ribes.

Znając datę, w jednym z plików ustawionych na regałach znalazła gazetę. Rozpostarła suchy, pożółkły papier, który szeleścił na drewnianym blacie. Teraz wszystko sobie przypominała, w najdrobniejszych szczegółach. Oczami duszy widziała wysokiego żołnierza o niebieskich oczach, którymi jakby przewiercał ją na wylot, emanującego charyzmą i onieśmielającą pewnością siebie. Przeprowadziła z nim wywiad w ramach galerii portretów, nad którą sprawowała pieczę: postaci ważnych dla życia Tuluzy i całego regionu – artystów, polityków, naukowców i innych osobistości.

– *Powiedział pan, że przyszedł czas, by wezwać wojsko do położenia kresu rządowi bandytów na osiedlach. Czy nie wykracza pan poza swoją rolę?*

– *Powiedzmy sobie jasno. Przemoc można zatrzymać tylko siłą. Mamy do czynienia z wojną. To wojna przeciw naszemu narodowi, przeciw naszej*

cywilizacji. Między tymi watażkami a islamistami istnieje milczące porozumienie. Wszyscy o tym wiedzą. Musimy przestać się okłamywać. Problemów nie rozwiąże się ideologią, lecz pragmatyzmem. Stanowczością. Przyszedł czas, by działać. To kwestia przetrwania. A także kwestia sprawiedliwości.

[...]

– Ale czy pan nie jest zobowiązany do zachowania rezerwy?

– Nadeszła taka chwila, że milcząc, nie służy się krajowi, ale się go zdradza. W obliczu opieszałego wymiaru sprawiedliwości, abdykujących władz, posłów z terenu, których część układa się z wrogami demokracji, żeby wygrać wybory, potrzeba ludzi odważnych i zdeterminowanych. W przeciwnym razie przegramy. Musimy działać zdecydowanie, opracować jasną strategię i przywrócić sprawiedliwość.

[...]

– Generale, dużo pan mówi o sprawiedliwości.

– Ponieważ od niej wszystko się zaczyna. Jeśli sprawiedliwość nie zostanie naprawdę przywrócona, jeżeli kryminaliści będą chodzić wolno po ulicach, a ludzie, którzy nawołują do nienawiści i przemocy, będą mogli spać spokojnie, jeśli bandyci nie będą...

I tak dalej w podobnym stylu. Policzyła. Trzydzieści razy. Słowo „sprawiedliwość” powracało w wywiadzie aż trzydzieści razy.

Przekręciła się na krześle. Co jej powiedział tamten informator? Krąży plotka, że istnieje jakaś tajna grupa, która ma ambicje zaradzić nieudolności sądów i wymierzać sprawiedliwość na własną rękę. Grupa złożona z policjantów, sędziów i wojskowych... Tak powiedział.

Czy to właściwy trop? W głębi duszy poczuła, że jest na dobrej drodze. Nie wiedziała, dokąd dojdzie, ale przynajmniej znała kierunek. Dziesięć minut później zgasła światło i wróciła na piętro. Serce waliło jej jak szalone, jak zawsze, gdy na coś trafiła. Po powrocie do redakcji zdjęła buty i otworzyła Google'a. Stanowczo zbyt mocno stukając w klawisze, wpisała w pasek wyszukiwarki hasło „Thibault Donnadiou de Ribes”.

Pominała wynik z Wikipedii i przystąpiła do przeglądania kolejnych. Przebiegła wzrokiem trzy wywiady, których generał udzielił w ciągu ostatnich dziesięciu lat przed przejściem na emeryturę. Słowo „sprawiedliwość” powracało w każdym z nich. Była coraz bardziej skonfundowana. Co ma z tym

zrobić? Nie chodziło już tylko o napisanie dobrego artykułu – sprawa była znacznie poważniejsza.

Podjęła decyzję: poinformuje policję. Nie za darmo, ale niezależnie od wszystkiego powinni się tym zająć. Zanim dojdzie do kolejnych zabójstw. Sięgnęła po telefon, ale się zawahała. Jeżeli Raphaël poinformuje o jej odkryciu Servaza, zdemaskuje się jako informator i będzie to koniec jego kariery. Ale gdyby udał, że dotarł do tych informacji sam...

Wysłała mu wiadomość z prośbą o pilny kontakt. Oddzwonił po długich pięciu minutach.

– Co tam? Nie mam nic nowego.

– A ja mam.

– Coś ciekawego?

– To nie na telefon.

Westchnął.

– Kopelman, jestem zajęty. Możesz mi powiedzieć coś więcej?

– Myślę, że wiem, kto za tym wszystkim stoi.

Po drugiej stronie na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Serio? I to tego nie chcesz mi powiedzieć przez telefon, tak?

– Tak jest.

– Policjant?

– Policjant nie stoi na czele. Raczej wojskowy – dodała.

Znowu milczenie.

– Wysoki rangą?

– Przestań mnie wypytywać. Wieczorem powiem ci więcej. Muszę jeszcze trochę poszperać. Byłoby dobrze, gdybyś w jakiś sposób naprowadził grupę na tę osobę. Chcę wam pomóc: to, co się dzieje, jest bardzo niebezpieczne. W razie czego zawsze mogę z tym pójść bezpośrednio do Servaza.

– Nie, nie, okej, ja się tym zajmę. Gdzie i kiedy?

– Przed Sami Kebabem o dwudziestej.

– Nie lubię kebabów, są za tłuste – powiedział. – Ale przyjdę.

10.45. Piętnaście stopni w samochodzie, na zewnątrz o dziesięć mniej. Zaparkował między drzewami na wąskiej drodze dochodzącej do jezdni. Przez niezaparkowaną przednią szybę, za przerdzewiałą bramą, doskonale widział fasadę zamku. Poczuł narastające napięcie. Tym lepiej. Odpowiedni poziom stresu ma efekt stymulujący i zwiększa zdolność do koncentracji, podczas gdy zbyt mały powoduje inercję i apatię, a zbyt duży – wyczerpanie i dezorganizację.

Uchylił szybę i właśnie zapalił trzeciego papierosa, gdy nagle usłyszał na drodze dźwięk silnika. Brama się otworzyła i zobaczył, jak do zamkowego parku wjeżdża powoli bmw w kolorze szary metalik. Uniósł smartfon i w dużym zbliżeniu sfotografował rejestrację. Następnie sięgnął po telefon NEO i połączył się z bazą ewidencji pojazdów. A potem zadzwonił do Vincenta: o tej porze jego zastępca powinien brać udział w sekcji zwłok Kevina Debrandta.

– Coś nowego?

– Dopiero zaczynamy. Na razie nic.

– Świetnie. Jak skończysz, proszę cię, żebyś sprawdził jedno nazwisko. Lionel Meslif. Zobacz, czy to ktoś od nas. Czy wolisz, żebym zadzwonił do Samiry?

– Nie, okej. Daj jej odsapnąć. Gdzie jesteś?

– Przed zamkiem.

Chwila milczenia.

– Martin, do cholery, co ty tam robisz bez asysty?

– Spokojnie. Tylko obserwuję.

– Taaa... A tak przy okazji, miłej niedzieli.

Pięć minut po bmw pojawiła się niebieska toyota prius. Potem jeden SUV, a chwilę później jeszcze dwie terenówki. Spotkanie na szczycie, pomyślał. Wczorajsze zachowanie członków grupy wskazywało na to, że są wkurzeni: zadzwoniła do niego Samira i mówiła, że przez całą noc stali pod jej domem. Muszą się czuć osaczeni.

– Tak, Lionel Meslif to nasz człowiek – powiedział Espérandieu. – Kapitan z brygady kryminalnej w Tuluzie. Fabien Stohr również, to aspirant w CSI-3. Pascal Champetier jest zastępcą prokuratora w tuluskiej prokuraturze. Dwaj pozostali to wojskowi: oficer w Ósmym Pułku Powietrznodesantowym Piechoty Morskiej w Castres i podoficer Trzynastej Brygady Legii Cudzoziemskiej w La Cavalerie.

Czyli mamy już przynajmniej część grupy, pomyślał. Potwierdzały się jego najgorsze obawy. Policjanci, prawnicy, wojskowi. Potrzebują solidnych dowodów dla oskarżenia, bo sprawa odbije się szerokim echem na najwyższych szczeblach władzy. Doskonale wiedział, że w tej chwili tak nie jest, nie mają żadnych konkretów, tylko poszlaki: połączenia telefoniczne, knajpa, van Lemarchanda na nagraniach bankowego monitoringu, słoma na podeszwach stóp Kevina Debrandta i „mężczyzna o niebieskich oczach” z zeznań strauumatyzowanej dziewczyny, która osobiście go nie widziała, ale słyszała o nim od jednej z ofiar. Za mało, to nie wystarczy.

Pojawiły się dwa kolejne samochody. Sfotografował je. Koledzy z wydziału identyfikacji pojazdów mówili, że w noc śmierci Moussy na polance były dwa sedany i jeden van, ale nie byli w stanie określić ich marek. Czyli znowu brak bezpośrednich dowodów.

A przecież są blisko – choć wciąż za daleko. Tamci o tym wiedzą. Dlatego się stawiają, próbując ich wystraszyć. Rozejrzał się po okolicy. Stał w miejscu, w którym łatwo było go zauważyć, mimo że cofnął się między gałęzie drzew, które muskały boki samochodu. Ale wystarczyłoby odbicie światła od przedniej szyby czy maski. Słońce świeciło zbyt mocno – wolałby deszcz.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu NEO. Katz.

– Skontaktowali się ze mną – powiedział.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem.

– Kto?

– Jeden z nich. Nie wiem, jak się nazywa, nie przedstawił się. W każdym razie to ktoś z firmy.

Raphaël powtórzył mu słowa policjanta w skórzanej kurtce. Połączenie było słabe i słyszał urywane zdania.

– Niech do ciebie wrócą – powiedział Servaz. – To nie powinno długo potrwać. Żeby się dowiedzieć, co mamy, poruszają niebo i ziemię.

– Gdzie jesteś? U siebie? Słyszę ptaki.

– Nie. Przed zamkiem.

– I?

– Ruszyło się. Myślę, że zidentyfikowałem część grupy.

Milczenie.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Cholera! – warknął nagle Servaz.

– Co tam?! Co się dzieje?

– Nic, popiół spadł mi na spodnie. Masz coś do pisania? Jedź na komendę i zobacz, co się da znaleźć na Lionela Meslifa, em, e, es, el, i, ef – przeliterował – funkcjonariusza z BAC w Tuluzie, na Fabiena Stohra, pisze się es, te, o, ha, er z CSI-31 i na Pascala Champetiera, zastępcę prokuratora.

– Okej. Jesteś pewien, że cię nie zauważyli? Nie sądzisz, że stanie tam bez wsparcia jest trochę ryzykowne?

Ale Servaz już się rozłączył.

Przez chwilę się zastanawiał. Z oddali dochodził pomruk burzy, ale wokół niego panowała cisza. Z zamku nie dochodziły żadne oznaki życia, choć samochody wciąż stały w parku. Zadzwoił do dowódcy.

– Muszę się z panem spotkać.

– Byliśmy umówieni o dwunastą w moim biurze – odparował Chabrillac. – Servaz, do cholery, gdzie pan jest?

– W Ariège.

– Hę? Co pan tam robi? Mówiłem, że chcę wiedzieć, co się dzieje! Za kogo pan się uważa? I za kogo pan mnie ma?

Martin odczekał, aż szef sobie ulży.

– Wiem, kim oni są – oświadczył, patrząc przez zasłonę z liści na fasadę zamku.

– Co?!

Wyczuł zaskoczenie komisarza. Przez chwilę trzymał go w napięciu.

– Ale to jest pole minowe – dodał. – Musimy porozmawiać.

– Co za pole minowe?

– Nie przez telefon.

Wyraźnie usłyszał, jak Chabrillac wzdycha.

– Świetnie. Za ile może pan tu być?

– Za godzinę z kawalkiem.

– Okej. Czekam na pana.

Servaz się rozłączył. Była niedziela, 1 listopada, 12.15. Nie odrywając wzroku od zamku, uruchomił silnik. Wiedział, że w środku szykuje się jakaś

akcja. I że ta akcja z pewnością ma związek z nim i jego grupą.

Włączył na cały regulator album *West Ryder Pauper Lunatic Asylum* grupy Kasabian. Mocne, co? – rzucił w myślach do studenta za ścianą. Jak zawsze, gdy był zestresowany, wyjął z komody elektryczne klamerki. Rozebrał się. Już od pierwszych impulsów zalało go ciepło, jakby ktoś wstrzykiwał mu w ciało jod. Poczł skurcz mięśni, zalał się potem, jego członek nagle zesztyniał. Pogładził napiętą, drżącą od przepływającego prądu skórę i jęknął przeciągle.

Spuścił się w ręcznik kąpielowy, wziął szybki prysznic, sięgnął po telefon na kartę ukryty pod pościelą i wybrał numer, pod który wolno mu było zadzwonić tylko w razie pilnej potrzeby.

– Raphaël? Co tam? – zdziwił się rozmówca.

Zawahał się.

– Generale – zaczął, siadając nago na skraju łóżka – myślę, że powinien pan wiedzieć, co się dzieje.

Powtórzył mu słowa dziennikarki. Generał wysłuchał go w milczeniu.

– Co zrobicie? – zapytał młody policjant.

– To nie twój problem. Im mniej wiesz, tym lepiej. Jesteś pewien, że twój komendant niczego nie podejrzewa?

– Absolutnie! Odkąd jeden z waszych ludzi się ze mną skontaktował, myśli, że teraz przeniknę do grupy – odparł Katz.

Miał wrażenie, że generał się uśmiecha.

– Jest sprytny – powiedział tamten. – Prośba, żebyś publicznie powiedział coś, co wskazuje na to, że popierasz nasze działania, była dość przebiegła. Tak, wysłałem do ciebie człowieka, który nie wie, że już jesteś z nami. – Przerwał na chwilę. – Ale ty, Raphaëlu, jesteś w naszej grze czarnym koniem, mam nadzieję, że jesteś tego świadom. Przekazujesz prasie wybrane przez nas informacje, ale jesteś też jak laufer, który porusza się po skosie, żeby zaszachować króla, zanim ja dam mu mata. Dobra robota. Ojciec byłby z ciebie dumny.

Generał zakończył rozmowę. Katz odłożył telefon i wytarł się do końca – tyłek, pachy, ramiona, tors. Nagle przez jego głowę przemknęło wspomnienie. Jego ojciec i wysoki rangą niebieskooki oficer gawędzą w parku przylegającym do ich domu na przypominających Toskanię wzgórzach Tarn. Tata mierzwi mu

włosy i zwraca się do jego ojca chrzestnego, wówczas jeszcze pułkownika Donnadiou de Ribes'a: „Raphaël chce wstąpić do policji”. Inne wspomnienie: jest z generałem w zamku, świętują zakończenie jego nauki w szkole policyjnej; generał świdruje go spojrzeniem swoich niebieskich oczu i mówi: „Twój ojciec był wybitnym gliną, ale podcięli mu skrzydła. Takich policjantów jak on jest coraz mniej. Dziś nastały rządy małych, słabych ludzi o głowach napakowanych głupstwami i pustymi marzeniami. Cała ich piękna gadka pełna dobrych intencji ma tylko maskować ich słabość i niezdolność do działania. Ale ty, Raphaëlu, jesteś ulepiony z tej samej gliny co twój ojciec. Muszę ci o czymś powiedzieć. Ale najpierw daj mi słowo honoru, że to zostanie między nami”. To również on zachęcił Katza do ubiegania się o przydział do policji kryminalnej w Tuluzie, a przed czterema dniami zlecił mu pilne zadanie skontaktowania się z dziennikarką, która napisała artykuł o Moussie. Jako dobry szachista generał jak zawsze był o jeden ruch do przodu.

– Jezus Maria! – zawołał Chabrillic. – Masakra! Jeśli to jest prawda, będziemy tu mieć prawdziwy kataklizm.

Chodził wte i wewte po swoim biurze, patrząc na Servaza. Mimo lockdownu całą drogę do Ariège i z powrotem Martin pokonał bez żadnej kontroli; podobnie było w tamtą stronę – nikt go nie kontrolował, nikt nie testował, nikt nie sprawdzał jego papierów ani legitymacji policyjnej.

– Nie możemy tego dalej ciągnąć – zawyrokował dowódca. – W sprawę zamieszanych jest zbyt wielu policjantów. Musimy przekazać śledztwo IGPN i poinformować górę.

Servaz się wyprostował.

– Szefie, niech nam pan da jeszcze kilka dni. Na razie mamy tylko poszlaki. Nie dowody. Ale jesteśmy naprawdę bardzo blisko. Mamy ich nazwiska, wiemy, kim są, wiemy, kto nimi dowodzi. To tylko kwestia czasu. Mamy ich w garści.

Chabrillic westchnął niezadowolony.

– Ale ma pan świadomość, że poruszamy się po grząskim gruncie? Potrzebuję konkretów, komendancie. Szybko. W przeciwnym razie będzie po nas. –

Wycelował w niego tłusty paluch. – Okej, niech będzie. Ale bez numerów. Ma się pan ściśle trzymać procedur. Macie działać poprawnie, jasno i zgodnie z prawem: żadnych świństw, żadnych nielegalnych przesłuchań, żadnych przekrętów. Zrozumiano?

Servaz z ulgą skinął głową. Chabrillic usiadł z powrotem w swoim fotelu.

– Sam poinformuję sędziego, potraktuje sprawę poważniej – powiedział, podnosząc słuchawkę. – Dobra robota. Może pan do mnie dzwonić o każdej porze. Chcę być na bieżąco.

Czy ja śnię, czy facet właśnie mnie skomplementował? – pomyślał Servaz zaskoczony.

– Znalazłeś coś na temat Meslifa, Stohra i Champetiera? – zapytał Katza, kiedy się spotkali.

Espérandieu wrócił z wydziału medycyny sądowej, Samira miała jeszcze na sobie strój do biegania, a Katz wyglądał jak z krzyża zdjęty. Wszyscy mieli podkrążone oczy.

– Nic szczególnego – odparł młody porucznik. – Poza jedną rzeczą. Trochę ponad rok temu Fabien Stohr miał problemy ze studentką, która pomagała jego dzieciom w matematyce. Oskarżyła go o napaść seksualną.

– I?

– Z dnia na dzień wycofała skargę, powiedziała, że wszystko wymyśliła, ponieważ Stohr nie chciał jej dać podwyżki.

– Myślisz, że wywierano na nią presję, że czuła się zagrożona?

– Możliwe.

– Nic więcej? Poza tymi tajnymi spotkaniami nic ich nie łączy? Może jakieś wspólne rozrywki weekendowe? Albo przydział do tej samej jednostki w którymś momencie kariery?

– Nic a nic. Gdyby nie to, że widzieliśmy ich razem, powiedziałbym, że nawet się nie znają.

– Są ostrożni – stwierdziła Samira.

Servaz pokręcił głową.

– Nie aż tak bardzo. Pomysł ściągnięcia cię do tamtej restauracji był błędem. Wracajcie do siebie. Odpocznijcie trochę. I zapomnijcie o tym wszystkim. Spotkamy się jutro rano i opracujemy nową strategię. Jesteśmy naprawdę bardzo blisko – podsumował. A ponieważ milczeli, dodał: – Musimy zwiększyć naszą przewagę, dopóki oni nie są górą.

Zobaczył, że Léa się maluje. Przypomniawszy sobie, że ma wieczorny dyżur, Gustav siedział w salonie na podłodze przy stoliku, ubrany w piżamę, boso, z długopisem w buzi. Na dole Servaz przywitał się z dwoma policjantami czuwającymi w samochodzie ostentacyjnie zaparkowanym przed bramą kamienicy, zastanawiając się, czy ich obecność rzeczywiście odstrasza wroga.

– Późno wracasz – stwierdziła.

– Przepraszam.

– Muszę lecieć, jestem już spóźniona. Gustav skończył ćwiczenia zadane na ferie, ale jeśli chcesz, możesz na nie rzucić okiem. Z przyjemnością ci pokaże, jak się stara.

Zrozumiał aluzję i się zaczerwienił: w ciągu tygodnia prawie nie widywał się z synem.

– Tak zrobię – obiecał.

Zbyt pośpiesznie pocałowała go na pożegnanie. Nie potrafił odczytać jej spojrzenia: czy było sceptyczne, czy wspierające?

Niedziela, 1 listopada, 19.00. Esther Kopelman w dalszym ciągu wyłuskiwała z archiwów cyfrowych swojej gazety i z Internetu wszystkie wzmianki na temat generała Thibaulta Donnadiou de Ribes'a. Siedziała w opustoszałej redakcji i robiła notatki. Po staremu, w bloku rozłożonym na blacie zagraconego biureczka.

Jej uwagę przykuło zwłaszcza jedno zdarzenie. Kilka artykułów, a także materiał filmowy szwedzkiej telewizji publicznej SVT robiło aluzję do „incydentu”, do którego doszło w Demokratycznej Republice Konga 12 lipca 2003 roku we francusko-szwedzkiej bazie Chem-Chem. W tamtym czasie ONZ i Eufor prowadziły operację Artemis-Mamba, która miała na celu powstrzymanie masakr etnicznych dokonywanych przez uzbrojone milicje w prowincji Ituri oraz zapewnienie ochrony miastu Bunia, o które toczyły się zjadłe i krwawe walki między członkami plemienia Hema, czyli Unią Kongijskich Patriotów, a Frontem Nacjonalistów i Integracjonistów reprezentującym plemię Lendu.

Według zeznań obecnych na miejscu Szwedów francuscy żołnierze schwytali i torturowali w bazie dwudziestoletniego Kongijczyka, którego następnie wypuścili. Na oczach wszystkich adiutant francuskiego dowódcy przeprowadził młodego jeńca przez obóz, po czym Kongijczyk został przesłuchany. Według licznych świadków jego krzyki niosły się po całej bazie. Wieczorem odprowadzono go pod namiot sztabu głównego, w którym zebrali się szwedzcy oficerowie, a dowódca całej operacji, Francuz, przystawił mu pistolet do skroni. Wreszcie, około północy, mężczyzna został wywieziony z obozu w kapturze na głowie.

Zbulwersowani szwedzcy żołnierze natychmiast poskarżyli się przełożonym, którzy przekazali skargę wyżej. O sprawie został poinformowany dowódca szwedzkich sił zbrojnych Håkan Syrén, a rzecznik szwedzkiego Ministerstwa Obrony Roger Magneraad publicznie oskarżył Francję o „stosowanie metod przypominających tortury”. Francuzi odpowiedzieli, że wstępne śledztwo nie potwierdza tych zarzutów. Szwedzi przeprowadzili własne dochodzenie i zaproponowali, że na prośbę Francji podzielą się swoimi ustaleniami, jednak Francja ociągała się z przedstawieniem wniosku. Oficer, który dowodził

szwedzkimi siłami specjalnymi w Ituri stwierdził na koniec: „Afryki nauczyliśmy się od Francuzów”.

Francuski dowódca, który przystawił broń do głowy jeńca, nazywał się Thibault Donnadiou de Ribes. Esther przypomniała sobie, że kiedy rozmawiała z nim w 2010, czytała już o historii z obozu Chem-Chem. Zapytała go o to, co tam się wtedy stało. Z zagadkowym uśmiechem odpowiedział jej, że Szwedzi grubo przesadzili, ale stwierdził też, że „oczekiwać od szwedzkiej demokracji, że wyszkoli prawdziwych żołnierzy, to tak jakby oczekiwać od antylop, że zmieniają się w lwy”.

„Jeune Afrique” z kolei w jednym ze swoich artykułów piętnowała nadużycia popełniane w tym samym rejonie przez młodych francuskich żołnierzy podczas operacji o nazwie Sangaris. „To był koszmar, nie wiedzieliśmy już, co jest dobre, a co złe”, mówił jeden z nich, który trafił do Republiki Środkowej Afryki w 2013. Dla nowych przybyszy wrzuconych w piekło międzyplemiennej nienawiści, masakr, grabieży, gwałtów i morderstw na cywilach dokonywanych przez lokalne bandy była to afrykańska wersja *Łowcy jeleni* albo *Czasu apokalipsy*. Nic dziwnego, że niektórzy stracili tam duszę. Piekło ma swoich katów, ma też ofiary. A czasem jedni są jednocześnie drugimi.

W 2015 o gwałtach dokonywanych przez francuskich żołnierzy na dzieciach pisał również „The Guardian”. Na trzy śledztwa prowadzone na miejscu jedno w ogóle nie zakończyło się postawieniem zarzutów, a inne zostało umorzone: francuski sąd uznał sprawę za niebyłą, za to wysoki urzędnik ONZ, Szwed, który jako pierwszy zaalarmował władze, na znak protestu przeciwko bezkarności gwałtocieli podał się do dymisji.

Esther miała w pamięci nadużycia popełniane podczas operacji Sangaris. We francuskiej prasie pojawiło się na ten temat kilka artykułów, które szybko zostały zastąpione przez inne. Ale do tej pory była to dla niej tylko odległa, abstrakcyjna informacja.

Sangaris... Thibault Donnadiou de Ribes jako pułkownik służył w Republice Środkowej Afryki. Krótco później awansował na generała. Czytając kolejne teksty, dowiedziała się, że już znacznie wcześniej, gdy był zaledwie kapitanem, jego ludzie nazywali go „Lwem”. W pogrążonym w ciszy pomieszczeniu zastanawiała się, czy Donnadiou de Ribes jest drapieżcą i psychopatą, któremu długa kariera dostarczyła wielu okazji do zaspokojenia żądzy mordy, czy raczej wybitnym oficerem, który dzielnie służył swojemu krajowi, ale od czasu do czasu zbyt szybko ferował wyroki.

Sama była córką oficera, a w jej rodzinie było wielu wojskowych. Jej ojciec i wujowie zawsze byli dla niej wzorami prawości i dyscypliny. Uderzało ją, jak głęboko mieli zakorzenione w duszy poczucie honoru i obowiązku. Zresztą właśnie przeciwko tej zbyt sztywnej rodzinnej dyscyplinie zbuntowała się w okresie dojrzewania. Okazali się jednak bardziej tolerancyjni, niż się wydawało, i przyjęli jej bunt z pewną dozą pobłażania. Bez wahania zwróciłyby się do nich ze swoimi problemami. Była przekonana, że wojskowi w jej rodzinie nie mieli nic wspólnego z tymi krwiożerczymi bestiami czy pozbawionymi hamulców rasistami, o których czytała teraz. Obserwując czasem, jak dyskutują na temat swoich misji, rozumiała, że są odpowiedzialnymi, poważnymi, kierującymi się etyką żołnierzami, gotowymi, gdyby otrzymali taki rozkaz, zaryzykować życie dla czegoś większego niż oni sami, także dla odległych ludów. Jak wtedy, gdy gdzieś w Afganistanie ratowali tonących z wezbranej rzeki – znała tę historię z opowieści i wierzyła im, ponieważ doskonale ich znała. Wierzyła im o wiele bardziej niż wszystkim tym wielkim guru, którzy nigdy nie żyli według własnych nauk.

Przeciągnęła się, krzyżując ręce. Kim jesteś, generale? Pomyślała o Marlonie Brando w roli pułkownika Kurtza, który trzykrotnie powtarza to samo słowo: „Groza... groza... groza...”. Wyglądało na to, że generał, tak jak Kurtz, ma dwoistą naturę. Rozdarty między honorem a okrucieństwem, między geniuszem a obłądem. Podobnie jak Kurtz uosabia dwuznaczność moralną każdej wojny.

Przypomniał jej się film *Hrabia Zarow* z lat trzydziestych XX wieku. Czyżby w Afryce „Lew” bawił się w hrabiego Zarowa? Z dała od Francji, od ludzkich spojrzeń, korzystając z bezkarności? Czyżby wymierzał tam sprawiedliwość na własną rękę?

Nagle usłyszała dźwięk zamykanych drzwi i się wzdrygnęła. Przebiegł ją długi dreszcz. Wiedziała, że to skutek jej osobistych lęków, zatruwających ją mrocznych myśli: nigdy jeszcze nie pracowała nad tak makabryczną, tak przerażającą sprawą. Ludzie, z którymi miała do czynienia, byli bezlitośni. Zastanawiała się, co się stanie, jeśli za bardzo się do nich zbliży.

Pogrążona we własnych myślach nie zauważyła, że redakcja opustoszała. W sali oświetlonej rzędami jarzeniówek nie było już nikogo. Tylko cisza. Spuszczając wzrok na monitor, uświadomiła sobie, że do spotkania została jej tylko godzina. Po raz ostatni rozejrzała się dookoła, zgasła lampkę i wstała.

– Trzeba będzie rozwiązać problem z tym komendantem.

– Zajmujemy się nim.

– A co z dziennikarką?

– Nad nią też pracujemy.

– Są coraz bliżej, generale. Może powinniśmy przestać się spotykać. Przynajmniej na jakiś czas.

– Niech się pan nie martwi, Meslif. Wszystko jest pod kontrolą.

– Nie wydaje mi się.

Wśród zgromadzonych przemknął szmer zaskoczenia. Jak Meslif śmiał? Wszyscy w napięciu czekali na reakcję przywódcy. Nastąpiła chwila ciszy. Ku ich wielkiemu zdziwieniu generał się uśmiechnął i powoli wstał.

– Kto tu rządzi? – zapytał z uśmiechem i spokojem, które nie wróżyły niczego dobrego. – Ty czy ja, Meslif?

Generał podszedł do Meslifa. Jego wychudłą, pobrużdżoną twarz rozjaśniał blask ognia. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Czy słyszał pan o krokodylu nilowym? – zapytał łagodnie, ale wszyscy na sali rozumieli, że za tą łagodnością kryje się groźba.

– Słucham?

– O krokodylu nilowym. To jeden z największych współczesnych gadów. Może osiągać długość około czterech metrów, waży od dwustu do pięciuset kilogramów. Spotyka się go na prawie całym kontynencie afrykańskim na południe od Sahary.

Meslif zamrugał. Generał patrzył na niego z wysokości swoich prawie dwóch metrów, jakby chciał go zahipnotyzować.

– Kiedy krokodyl nilowy przystępuje do polowania, najpierw czatuje. Czeką na właściwy moment, żeby się rzucić na ofiarę. Zanurzony w rzece czy jeziorze przy brzegu jest niewidoczny. Nad wodę wystają tylko jego nozdrza i oczy. Jego ataki są tak nagłe, tak ostre, że nie zostawia ofierze praktycznie żadnej szansy. –

W blasku ognia widać było, że oczy generała poczerniały. Meslif mimowolnie się wzdrygnął. – Największy znany osobnik nazywał się Gustaw. Był to gigantyczny krokodyl żerujący przy brzegach jeziora Tanganika między rokiem

tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym a dwutysięcznym. Przypisuje mu się, co z pewnością jest przesadą, ponad trzysta ofiar. Za sprawą swojej sławy ludojada stał się w Burundi prawdziwą legendą. Początkowo sądzono, że osoby, które pożarł, poniosły śmierć w wyniku konfliktu między Tutsi i Hutu. Gustaw poruszał się po terenie całej prowincji Rumonge i dziesiątkami pożerał rybaków i kąpiących się, których dopadł na brzegu. W dwa tysiące czwartym pewien francuski przyrodnik i południowoafrykańska biologka zbudowali dziesięciometrową pułapkę, żeby go schwytać. Ich próbę sfilmował nawet kanał National Geographic. Nie powiodła się. Gustaw zasłynął również tym, że pożarł bawołu. Słuch o nim zaginał w dwa tysiące czternastym. Możliwe, że nie żyje, bo skoro był tak wielki, musiał już być bardzo stary. Krokodyl nilowy żyje do stu lat. – Generał wciąż szeroko się uśmiechał, ale jego uśmiech był lodowaty. – A więc, Meslif, niech pan sobie wyobrazi taką bestię, jeśli pan może. Niech pan sobie wyobrazi, że staje pan z nią oko w oko. W Czadzie jest kilka miejsc, w których występują one szczególnie licznie.

Lionel Meslif był złany potem. Nie wiedział, do czego generał zmierza.

– W osiemdziesiątym trzecim w Czadzie szefem koalicji sił zbrojnych znanej jako GUNT¹ był jeden z głównych zastępców Goukouniego Oueddeiego. Wszyscy chwalili jego waleczność. Facet stał się legendą. Otwarcie się nam przeciwstawiał. Ale pewnego dnia dzięki zdrajcy w jego szeregach udało nam się go złapać. – Generał podszedł bliżej, tak że twarze obu mężczyzn niemal się stykały. Meslif czuł jego oddech. Przełknął ślinę. – Gość patrzył na mnie prowokująco, ilekroć się do niego zwracałem. Był dumny. Poznałem po oczach, że naprawdę jest odważny. Nie bał się nas. Sprowadziłem więc dużą stalową klatkę dla zwierząt i zamknęliśmy go w niej. Załadowaliśmy ją na pakę pick-upa i pojechaliśmy nad małe jezioro, w którym żyły krokodyle. Kazałem zanurzyć klatkę, tak że woda sięgała mu do podbródka. Kiedy się ściemniło, krokodyle podpłynęły i zaczęły się kręcić wokół klatki. Kilkadziesiąt osobników. Cała powierzchnia jeziora była skotłowana, jakby się w nim gotowało. Wspaniałe, przerażające widowisko. Wytłumaczyłem mu, że wkrótce otworzę klatkę, chyba że zgodzi się wydać oświadczenie, w którym uzna nasze zwycięstwo. – Spojrzał policjantowi głęboko w oczy, jakby chciał zajrzeć do jego duszy, i Meslif doznał makabrycznego poczucia, że mu się udało. – Czy widział pan już wpatrzone w siebie nieruchome, żółte oko krokodyla nilowego? Niech mi pan wierzy, niewiele rzeczy na świecie potrafi przstraszyć tak jak ten widok. Więc niech pan sobie wyobrazi kilkadziesiąt takich stworzeń. Widziałem, że facet się boi. Był przerażony. Ale był też naprawdę waleczny. Nie chciał się poddać.

Sprowadziłem więc na brzeg jeziora jego najmłodszego syna – jego głos był teraz o kilka stopni zimniejszy. – Niech pan więcej nie próbuje podważać mojej władzy. Jest pan tutaj, ponieważ ja tego chciałem. Wiem, że uważa się pan za twardziela. Ale niech mi pan wierzy, nie ma pan zielonego pojęcia o odwadze. I niech pan nie zapomni, że znam przebieg pana służby. Jest pan łajdakiem, ale użytecznym łajdakiem. I nikim więcej, Meslif. Nikim więcej.

Policjant milczał. Trudno mu było wytrzymać niebieskie spojrzenie. Pocił się. Generał odwrócił się teraz do Stohra, który zachowywał się tak, jakby chciał zniknąć.

– Stohr, do pana też to mówię. Niech pan sobie nie myśli, że darzę pana jakimkolwiek szacunkiem czy uczuciem.

Kinszasa, Zair, czerwiec 1997. Jadą przez dżunglę. Jest środek upalnej nocy. Nie wiedzą jeszcze, że każdy z nich wkrótce zobaczy jedną z licznych twarzy piekła.

Minęła północ. Droga jest pusta. Ruchu nie było nawet na ulicach i alejach Kinszasy, którą właśnie opuścili. Żadnego trąbienia klaksonów, żadnych dymiących jednośladów, ryczących ciężarówek, przeładowanych furgonetek Volkswagena. Zamiast tego głuchy huk moździerzy, odległe staccato serii z broni automatycznej i karabinów maszynowych od strony Brazzaville.

Ale tutaj, na laterytowej drodze, na której koleiny mają głębokość kraterów, pofałdowanej za sprawą naprzemiennych deszczy i susz oraz kursujących w tę i z powrotem ciężarówek – tak że ma się wrażenie, jakby się jechało po blasze falistej – jest tylko noc i odgłosy lasu. Złani potem trzymają przed sobą karabiny Famas z bagnetami na lufie do walki wręcz i magazynkami w gotowości. To rozedrgana, niespokojna noc. Groźna. Śmiertelna. W wytrzeszczonych oczach swoich ludzi, którzy kołyszają się, gdy wóz podskakuje na wybojach, dostrzega nerwowe ogniki. Jego oczy muszą lśnić podobnie. Farbą kamuflującą wymalowali na twarzach pasy. Skóra pod spodem błyszczą, źrenice mają wielkie, rozszerzone: to wynik ekscytacji polowaniem, ale również amfetaminy.

Gęste ciemności wokół nich wypełniają dźwięki lasu. Mężczyźni są czujni. W tym rejonie, nękanym przez pełne morderczej wściekłości bojówki nazywane „Ninjami”, „Kobrami” i „Zulusami” oraz nieletnich żołnierzy, atak może nastąpić wszędzie, w każdej chwili. Tam, w Brazzaville, bojownicy i najemnicy plądrują domy. Znęcają się, gwałcą, kradną, a bywa, że i zabijają.

W ciągu jednego tygodnia oddziały takie jak jego zdołały ewakuować z Brazzaville około 5600 cudzoziemców, w tym 1500 Francuzów zagrożonych agresją ze strony dzieciaków, które często były pijane i naćpane – przede

wszystkim jednak były karmione i opłacane, a w tym kraju jedynie dzieci zagranicznych współpracowników oraz kasty rządzącej jedzą do syta. Inne, niedożywione, pozbawione lub prawie pozbawione dostępu do edukacji, często chorują na malarię, ostre zakażenia oddechowe i biegunki, gorączkę różnego pochodzenia i wiele chorób, które gdzie indziej się leczy.

Może i jest żołnierzem, ale przede wszystkim czytał Fanona i Césaire'a: „I sądzicie, że to wszystko jest bezkarne?”. Tak, pomyślał niebieskooki oficer. Któregoś dnia przyjdzie nam za to zapłacić. Jest żołnierzem. Wie, że wszystkie cywilizacje są zbudowane na przemocy i grabieży. I że pewnego dnia wszystkie upadną. Ale on jest żołnierzem, więc będzie walczył tak długo, jak będzie trzeba. Za to te dzieciaki... Pewnie myślą: „Dlaczego nie zabijać, żeby żyć?”. Nie, wcale nie myślą. Dla nich to oczywiste – zabijasz albo umierasz. Moralność jest dla ludzi o pełnym żołądku.

Oddalili się od strefy walk, ponieważ jego oddział otrzymał rozkaz sprowadzenia dwóch współpracowników z plantacji kauczuku położonej trzydzieści kilometrów od stolicy. W środku lasu. Ponieważ nie było wolnego śmigłowca, muszą jechać drogą. Wszyscy myślą o tym samym. Godzina w tę, godzina z powrotem przez gęstwinę tropikalnego lasu. Podwyższone ryzyko zasadzki. A ich jest mniej niż czterdziestu, w czterech samochodach.

Nagle w blasku reflektorów z ciemności wyłania się plantacja. Białe barierki, za nimi uprawy, wokół las, budynki z cegły pokryte falistą blachą i jeden dom w stylu kolonialnym oświetlony latarniami. Wyskakują na ziemię, biegną w jego stronę: drzwi domu się otwierają, wysuwa się z nich lufa.

– Wojsko francuskie! Przyjechaliśmy po was! – woła.

W progu staje grubas w przyciasnym T-shircie.

– Nie śpieszyliście się – mówi.

W domu śmierdzi potem, piwem, papierosami, jedzeniem, shitem – i czymś jeszcze, czego nie potrafi zidentyfikować. Jak w nieopróżnianym od dawna zlewie pełnym brudnych naczyń. Dwaj plantatorzy wyglądają prawie jak bliźniacy: kredowa cera, zadarte nosy, wyblakłe, osadzone zbyt blisko siebie oczka, wydatne brzuszyska, łyse czaszki. Możliwe jednak, że to ojciec i syn, bo jeden wygląda na pięćdziesięcio-, a drugi na trzydziestolatka.

– Jesteście gotowi? Macie wszystko, co chcecie zabrać?

– A jak pan myśli? Kurwa, czekaliśmy na was wieki. Coście tam wyprawiali?

– odpowiada starszy mężczyzna, który im otworzył. Pewnie coś brał, bo ma rozszerzone źrenice. W jego oczach widać też błysk wrogości, gniewu. – Szlag

mnie trafia, że muszę zostawić plantację tym dzikusom. Trzeba było ją spalić – wyrzuca z siebie. – Te naćpane dupki jedzą ludzkie mięso, wyobraża pan sobie? Co za popierdolony kraj!

W walkie-talkie rozlegają się głosy jego ludzi, którzy patrolują teren: „Nic do zgłoszenia. Czysto”.

Już ma wydać rozkaz do odjazdu, kiedy z sąsiedniego pokoju wyłania się jakaś postać. Chudy, wynędzniały chłopiec. W samych majtkach. Może mieć dziesięć, dwanaście lat, choć wygląda na osiem. Patrzy na nich dużymi, niespokojnymi oczami. Kapitan Donnadiou de Ribes zwraca się do farmerów:

– A to kto?

Starszy mężczyzna pociąga nosem, wzrusza ramionami.

– A, to nic takiego. Wróci do lasu, do swoich. Nim niech się pan nie przejmuje.

Ale oficer wpatruje się w niego niebieskimi oczami.

– Co on tutaj robi?

– Nic, przecież mówię. Nie pański interes. Niech się pan skupi na swojej robocie. A pana robota polega na tym, żeby nas stąd zabrać. Koniec, kropka.

– Kurwa, kapitanie, źle to wygląda – stwierdza sierżant za jego plecami.

Thibault Donnadiou de Ribes zwraca się do chłopca po angielsku:

– Jak się nazywasz?

Ale chłopak nie odpowiada. Może po prostu nie rozumie.

– Hej! – denerwuje się gospodarz. – Co pan robi? Niech się pan nie wtrąca! Mówiłem, że to nie pana sprawa. To tylko tutejszy gnojek. Nikogo nie obchodzi.

– Niech się pan zamknie! – rzuca niebieskooki kapitan.

Grubas nie odpuszcza. Jest coraz bardziej wściekły:

– Nie podoba mi się pański ton.

– Sierżancie, odbierzcie mu broń. A wy, kapralu, sprawdźcie, czy w domu nie ma kogoś jeszcze.

– I to ma być francuskie wojsko? – drwi plantator. – Kurwa! Banda pajaców. Wie pan, co robimy z tymi dziećmiakami, kolego?

– Nie, słucham pana. – Głos niebieskookiego oficera jest coraz chłodniejszy.

– Polujemy na nie.

Chwila ciszy.

– Co?!

– Wypuszczamy je do lasu i strzelamy jak do zajęcy. Robimy to od czasu, kiedy ich rodzice zmasakrowali naszych w dziewięćdziesiątym pierwszym podczas zamieszek w Kinszasie.

– Naprawdę?

Mężczyzna wybucha śmiechem – aroganckim, zarozumiałym, pogardliwym.

– Oczywiście, że nie! Myśli pan, że gdyby to była prawda, tobym panu powiedział? Dość tego, jedźmy już. Chyba że chce pan zaczekać, aż zjawi się tu trzystu uzbrojonych po zęby ćpunów? Szybko by się z wami rozprawili.

Kapitan jednak postanawia, że nie pozwoli im się tak łatwo wywinąć. Wie, że wszystkie bojówki tego rejonu posługują się gwałtem jako wojennym orężem: buntownicy Hutu, rwandyjscy powstańcy, zbrojne grupy Mai-Mai, siły kongijskie... Wie, że kiedy do kobiecych narządów rodnych wprowadzają bagnety lub inne ostre narzędzia albo wlewają benzynę, którą następnie podpalają, kiedy gwałcą niemowlęta i kobiety w podeszłym wieku, kiedy przeprowadzają zbiorowe gwałty na całych wioskach – nie chodzi o przyjemność, ale o sianie zniszczenia, o zastraszanie całych społeczności.

Ogarnia go podejrzliwość, a jednocześnie niepohamowany gniew.

– Co robi tutaj ten chłopiec? – pyta.

Grubas wpatruje się w niego prowokująco.

– A jak pan myśli?

Teraz facet się nie zgrywa. Kapitan Donnadiou de Ribes czuje, jak robi mu się niedobrze, a w jego żyły wsącza się lodowaty płyn. Patrzy to na jednego, to na drugiego z plantatorów. To jest piekielna noc, nabrzmiała grzechem i smutkiem.

– Sierzancie, lubicie polować? – pyta nagle.

Grubas niepewnie marszczy brwi.

– Uwielbiam – odpowiada żołnierz za plecami kapitana.

– Jaką zwierzynę preferujecie? – pyta kapitan, nie odwracając się, wciąż wpatrzony w dwóch mężczyzn, którzy nie śmią powiedzieć słowa.

– Każdą.

– Myślicie, że zdążymy urządzić polowanie? – mówi oficer lekkim tonem, choć serce ciąży mu jak kamień.

Plantatorzy są wyraźnie zaniepokojeni.

– Da się zrobić, kapitanie – odpowiada sierżant. – Ale nie możemy się za bardzo guzdrać.

– To na co byście teraz zapolowali, sierzancie?

Chwila milczenia.

– Dwa tłuste wieprze byłyby okej... Moglibyśmy je wypuścić do lasu. Co pan na to, kapitanie?

1. Gouvernement d'union nationale de transition – dosł. Przejściowy Rząd Jedności Narodowej (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Była prawie 20.00, a Raphaël jeszcze nie przyszedł. Esther podeszła do okienka.

– Kopelman! *Salam alejkum* – powitał ją Sami. – Dürüm z ras el hanout i bez kwaśnego sosu?

– Jak się masz w lockdownie, Sami?

Mężczyzna za ladą się skrzywił.

– A jak sądzisz, Kopelman? Myślisz, że mi wesoło? Zamawiasz to dürüm czy nie?

– Tak, poproszę.

– Już się robi.

Spojrzała na rue du Taur. Katza ani śladu. Ulica była pusta – do baru zbliżał się tylko jeden zamaskowany gość.

– Esther Kopelman to pani? – zapytał, gdy znalazł się niecałe dwa metry od niej.

– A kto pyta?

Mężczyzna schylił się i zajrzał przez okienko do sprzedaży na wynos. Sami zdążył już zniknąć w kuchni.

– Jestem od Raphaëla. Coś mu wypadło. Powiedział, że ma pani dla niego jakieś nazwisko i informacje. Wysłał mnie, żebym mu je przekazał.

Dziennikarka drgnęła. Nie spodobało jej się to. Ale facet znał miejsce i godzinę spotkania. Przy tym nie omieszkała przelotnie zauważyć, że osobnik jest w jej typie: około pięćdziesiątki, nie, nie ciacho, ale miał w sobie to coś, co sprawiało, że był atrakcyjny. Wytarta motocyklowa skóra, szerokie ramiona, skronie przyprószone siwizną. Serdeczne oczy, którymi patrzył na nią bez mrugnięcia.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że sprawdzę?

Mężczyzna skinął głową.

– Nie, oczywiście.

Katz odebrał po drugim dzwonku.

– Mówi Esther. Jest tu jakiś gość, który twierdzi, że jest od ciebie.

– Tak, to prawda. Jestem teraz zajęty, oddzwonię później – porucznik sprawiał wrażenie, jakby zwracał się do kogoś innego.

Zrozumiała. Raphaël nie był sam. Rozłączyła się.

– Okej. Ale nie tutaj – powiedziała do nieznajomego.

Nagle, kiedy pochyliła się do okienka, by popędzić Samiego, mężczyzna za jej plecami zaklął, a potem wyszeptał na tyle głośno, żeby mogła usłyszeć:

– Niech się pani nie odwraca ani na mnie nie patrzy. Widzę jednego gościa... Znam go, to pies. Niech pani mówi w stronę lady i udaje, że zamawia kebab.

– Co robimy? – zapytała, jakby zwracała się do Samiego.

– Zna pani jakieś miejsce, gdzie możemy pójść?

Zobaczyła w szybie jego odbicie: facet udawał, że rozmawia przez telefon.

– Z dała od niepowołanych uszu – dodał.

Zawahała się.

– U mnie. Mieszkam tutaj, na górze.

– Niech pani idzie. Już. Proszę zostawić otwarte drzwi na dole. Zrobię rundkę wokół budynków i przyjdę do pani.

Nazywał się Henri Loeven. Był aspirantem w Wydziale Bezpieczeństwa Publicznego. Im było później, tym bardziej jej się podobał. I – co dawno jej się nie zdarzyło – miała wrażenie, że ona też jest w jego typie.

Piła trzecią szklankę burbona. Najpierw mówił, że jest na służbie, ale w końcu dał się przekonać i uznał, że właśnie skończył pracę. Śmiali się, pili, flirtowali. Gdy podzieliła się z nim swoimi podejrzeniami, spowaźniał.

– Generał Thibault Donnadiou de Ribes? Nie znam. Na jakiej podstawie sądzi pani, że może stać za tymi morderstwami?

– Ja nie sądzę. Jestem tego pewna – odparła.

Wyłożyła mu swoje argumenty.

– Czyli uważa pani tak tylko dlatego, że w swoich wywiadach wiele razy powtórzył słowo „sprawiedliwość” – podsumował z powątpiewaniem.

– Tak, wiem, że jeśli patrzeć w ten sposób, nie wygląda to zbyt poważnie, ale instynkt rzadko mnie zawodzi, a od jednego z informatorów wiem, że w sprawę zamieszani są jacyś wojskowi. – Sprawdzę to i może mi pan wierzyć, niebawem będę mieć kolejne dowody, ale wy ze swojej strony musicie niezwłocznie wziąć go pod lupę.

Potem gość zmienił temat i po drugiej szklance oświadczył:

– Raphaël nie mówił, że jest pani również... sympatyczna.

Zaśmiała się.

– Ludzie, którzy mnie znają, zazwyczaj w ten sposób o mnie nie myślą.

– A jak myślą: tajemnicza?

- Porywcza.
- Pikantna?
- Wybuchowa.
- Podniecająca?
- Ordynarna, uparta... Czy pan mnie podrywa, panie władzo?
- A tak to wygląda? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

Poczuła, jak miękną jej nogi. Kiedy ostatni raz ktoś ją podrywał? Trudno jej było pojąć, co facet w niej widzi. Jeśli w jakiejś dziedzinie Esther Kopelman brakowało pewności siebie, to właśnie w sprawach damsko-męskich. Po mniej więcej trzech latach abstynencji – poza kilkoma chwilami zapomnienia w towarzystwie ciem barowych, z którymi nigdy nie umówiłaby się na trzeźwo – wcale nie była pewna, czy nie wypadła z obiegu.

- Muszę wziąć prysznic – powiedziała nagle. – Nie ucieknie pan?
- Nie, dopóki nie skończymy butelki – zapewnił ją, wskazując na burbona.

O 20.20, kiedy podczas ostrego dyżuru pediatrycznego Léa badała ośmioletniego chłopca cierpiącego na zatrucie pokarmowe z pogorszeniem stanu ogólnego, podszedł do niej szpitalny ochroniarz.

– Na zewnątrz jest jakiś policjant, chce z panią rozmawiać. Twierdzi, że to pilne.

Spojrzała na niego z niepokojem.

– Nazywa się Vincent Espérandieu – dodał. – Czeka na panią przed wejściem na SOR dla dorosłych.

Zmroziło ją. Vincent... Martinowi coś się stało. Paradoksalnie do twarzy napłynęła jej fala ciepła.

– Okej, już idę – odpowiedziała najspokojniej jak potrafiła.

Sami patrzył poirytowany na zegar ścienny. Widział, że Kopelman rozmawiała przy okienku z jakimś gościem. A potem zniknęła, zapominając o kebabie. Schował jej danie, żeby nie wystygło, ale po nie nie wróciła. Złościło go, że będzie musiał je wyrzucić. Nie miał tłumu klientów. Mimo dziesięciu tysięcy euro obiecanych przez państwo, mimo dodatkowej pomocy ryczałtowej w wysokości tysiąca pięciuset euro, które miał dostać na przełomie listopada i grudnia, mimo odroczenia spłaty kredytu stał nad przepaścią. Zainwestował w restaurację wszystkie oszczędności, zapożyczył się. Pracował bez wytchnienia, ale musiał stawić czoło dwóm „czarnym łabędziom”, nieprzewidzianym zdarzeniom, które nastąpiły jedno po drugim – najpierw przez

rok we wszystkie soboty w centrum miasta odbywały się demonstracje, a teraz to. W dodatku właściciel nie zgadzał się na obniżkę czynszu, a składka ubezpieczeniowa miała wzrosnąć. Wspaniale. Najbardziej się obawiał, że będzie musiał poinformować rodzinę, że zamyka interes. I że będą zmuszeni wyjechać. Nie spał po nocach, szukając rozwiązań.

Jeszcze raz spojrzął na zegar. Kopelman wciąż się nie zjawiała. Częściowo słyszał, o czym mówił tamten człowiek. Nie wszystko zrozumiał, ale wydało mu się to dość podejrzane. Facet mu się nie spodobał. A on znał się na takich szemranych typach. Poza tym odejście z obcym gościem nie było w stylu Esther. Nigdy też nie wystawiła Samiego do wiatru z zamówieniem. Przypomniawszy sobie, że kiedyś dała mu swój numer. Zaczął przeszukiwać telefon. Gdzie on go zapisał?

Léa wyszła przed drzwi prowadzące na oddział ratunkowy dla dorosłych. Sprzed szpitala powoli odjeżdżał jeden z ostatnich wieczornych tramwajów. Na przystanku dwie osoby w milczeniu paliły papierosy.

Przypomniała sobie, że samochód jej „ochroniarzy”, którzy eskortowali ją w drodze do pracy, stoi kilkadziesiąt metrów dalej, na parkingu zarezerwowanym dla lekarzy przyjmujących na SOR-ze, a co za tym idzie, funkcjonariusze jej nie widzą.

– Doktor Léa Delambre? – rozległ się jakiś głos z prawej strony.

Odwróciła się i zobaczyła wysokiego mężczyznę w skórzanej kurtce.

– Co się dzieje? Gdzie Vincent? – zapytała.

Facet wskazał na niewielki parking.

– Czeka na panią w samochodzie.

Zmarszczyła brwi. Coś było nie tak. Dlaczego to nie Vincent do niej wyszedł? Poczwała narastające napięcie.

– Kim pan jest? I gdzie jest Vincent?

– Już mówiłem, czeka...

– Nie idę dalej – oświadczyła zdecydowanym głosem. – Wezwę ochronę.

– Nie robi pani tego, jeśli zależy pani na Gustavie – odezwał się inny głos za jej plecami.

Kiedy się odwróciła, poczuła dotyk twardego przedmiotu na wysokości lędźwi. Naoglądała się wystarczająco dużo seriali, żeby wiedzieć, że to lufa pistoletu.

– Mamy Gustava – powiedział ten sam mężczyzna. – A to, co pani czuje, to sploty.

Papierosowy dym unosił się jak mgła w całym mieszkaniu. Płynął z oświetlonego przytłumionym blaskiem lampy salonu w stronę przedpokoju i zamkniętych na zasuwę drzwi; mieszał się z pachnącą mydłem parą wypełniającą maleńką łazienkę, w której Esther Kopelman przed chwilą wzięła prysznic.

Dziennikarka odstawiała szklanekę z burbonem na umywalkę i się wysikała. Potem poszła się ubrać i weszła do salonu. Jej gość właśnie oglądał biblioteczkę. Półka z książkami Francka Thillieza: *Le Syndrome*; *E./Gataca*; *Pandemia*; *Manuscrit inachevé*; *Il était deux fois*.

– Widzę, że czytamy te same książki – powiedział bezbarwnym tonem. – Uwielbiam tego autora.

Uśmiechnęła się i sięgnęła do popielniczki po swojego papierosa. Ale kiedy odwróciła się w stronę mężczyzny, uderzyła ją nagła zmiana jego wyrazu twarzy.

Zamarła. Poczwała w klatce piersiowej rodzący się niepokój. Przyszła jej do głowy dziwna myśl, że nowe spojrzenie jej gościa – puste, a zarazem mrożące krew w żyłach – bardziej pasuje do lektur, o których przed chwilą wspomniał, niż do randki. Nagle poczuła się śmieszna: myślała, że ją podrywa... Ależ ze mnie idiotka. Do oczu nabiegły jej łzy, ale nie wypłynęły. Już wiedziała, skąd ta straszliwa zmiana. Zrozumiała, po co przyszedł.

Sami rozłączył się zaniepokojony. Telefon Esther milczał. Dlaczego nie odbiera? Co oni odwalają? Słyszał, jak facet mówił, żeby zostawiła otwarte drzwi na dole. Uznał, że to podejrzane.

Psiakrew, co ona wyprawia? Zaczął mieć wątpliwości. Czyżby właśnie pieprzyła się z tym typem? Sami musiał przyznać, że Esther nie jest z tych, co tracą czas. Zawsze się śpieszy. Zawsze go popędza, jakby miała misję ratowania świata i nie mogła na chwilę odpuścić nawet po to, żeby zjeść. Ale to, co się działo teraz, było dziwne. A nawet bardzo dziwne. Przede wszystkim dlatego, że rozmowa, którą usłyszał, bynajmniej nie przypominała zalotnego ćwierkania. A teraz Esther nie odbiera... Stary, to wygląda groźnie, jeśli chcesz znać moje zdanie, pomyślał.

Popatrzył na pustą salę, na równie pustą rue du Taur za szybą, po czym zdjął fartuch i odwiesił go na haczyk. Co mu szkodzi zastukać do jej drzwi i sprawdzić, czy tamten gość akurat nie plądruje jej mieszkania. Albo nie robi czegoś gorszego. W tym mieście można dostać kosę za jeden telefon czy krzywe spojrzenie, a żyją tu też zwyrodnialcy, którzy gwałcą staruszki. Sami pokręcił głową. Nigdy nie zrozumie, że człowiek może być do czegoś takiego zdolny. Podobnie jak nie mógł pojąć, że przed Wielkim Wybuchem nie było niczego, a potem nagle było wszystko – powiedział mu o tym jego syn Çetin, student fizyki na Uniwersytecie Paula Sabatiera. „Jak można stworzyć coś z niczego? – oburzył się. – Gadasz głupoty! Nawet çörek nie powstanie bez mąki i cukru, a co dopiero cały świat. Czego oni was uczą na tym uniwersytecie?” Syn uśmiechnął się do niego z wyższością, która wyprowadziła go z równowagi. Istniały rzeczy, których po prostu nie był w stanie ogarnąć intelektem. Jedną z nich był fakt, że niektórzy ludzie są kompletnie wyzuci z moralności i zachowują się jak dzikie bestie.

Wyszedł ze swojej knajpki i wystukał kod wejściowy przy sąsiedniej bramie. Mieszkał w tej samej kamienicy, tuż nad sklepem. Kopelman gnieździła się na samej górze, w klitce na poddaszu dwa razy mniejszej niż jego mieszkanie, które i tak nie było duże. Szedł po krętych schodach, które skrzypiały pod jego ciężarem. Mosiężna poręcz drżała przy każdym jego kroku. Gdy znalazł się na

górze, wyrównał oddech i nadstawił uszu. Nic nie słyszał. Może poszła gdzie indziej? Na przykład do tego gościa. Nie. Słyszał, że nieznajomy kazał jej nie zamykać drzwi na dole.

Zastukał. Żadnej odpowiedzi.

– Kopelman, jesteś tam? – zawołał. – Kopelman, to ja, Sami!

Zastukał jeszcze raz, nie bacząc na to, że zaalarmuje sąsiadów. Piętro niżej mieszkało starsze małżeństwo, które patrzyło krzywo na niego i jego rodzinę od pierwszego dnia, gdy wynajęli lokal i wprowadzili się do kamienicy. Stara raszpla czepiała się go przy każdej okazji: a to o za głośno grający telewizor, a to o zbyt późne wynoszenie śmieci, a to o niewychowane dzieci. Co było nieprawdą: były wychowane nie gorzej niż inne dzieci w kamienicy.

– Kopelman, to ja, Sami! – powtórzył, naciskając klamkę, ale drzwi były zamknięte.

Wyjął smartfon. Gdy po drugiej stronie usłyszał dzwonek telefonu dziennikarki, zrozumiał, że coś musiało się stać. Mógł wyważyć drzwi – były cienkie – ale nie chciał mieć kłopotów. Zadzwoił pod numer alarmowy.

Miała wrażenie, że się dusi. Że jej serce zaraz eksploduje. Leżała na sofie przygnieciona ciałem mężczyzny, który zatykał jej usta wielką dłonią. Zgiętymi palcami prawie dotykał jej nozdrzy, tak że czuła zapach mydła i papierosów: w innych okolicznościach mogłaby go uznać za przyjemny, ale teraz ją przerażał, podobnie jak przerażała ją straszna czerń, która zalewała jego oczy. Sygnet, który miał na palcu, wbijał jej się w podbródek. Była pewna, że krwawi.

– Cicho – szepnął jej do ucha jednostajnym, uspokajającym głosem. – Wygląda na to, że twój wybawiciel się zmył.

Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, zamknęła tylko oczy, żeby nie musieć patrzeć na jego mroczne źrenice, ale on wciąż szeptał, czym przyprawiał ją o dreszcz najgłębszej trwogi.

– Zrobisz grzecznie to, co ci powiem, dziennikarko. Przede wszystkim nie zgrywaj bohaterki: to działa tylko w filmach. Swoją drogą, nie sądzisz, że to ciekawe, że strachliwe owieczki, które stanowią zdecydowaną większość populacji tego kraju, uwielbiają filmy o superbohaterach?

Nagle przesunął wilgotnym językiem po spoconym czole Esther, a następnie zaczął lizać kącik jej oka. Krzywiąc się, z całej siły zacisnęła powieki. Przez chwilę myślała, że się posika; całe szczęście, że kilka minut wcześniej była w toalecie.

– Pewnie ilekroć znajdą się w kiepskim położeniu, marzą o tym, żeby jakiś superbohater w kostiumie przyszedł im z pomocą. Jak myślisz? Problem polega na tym, że superbohaterowie nie istnieją. Nigdy nie rozumiałem, jak można lubić tak debilne filmy.

Usłyszała, jak Sami schodzi po stopniach. I że coś mówi – pewnie dzwonił na policję. Ile czasu minie, zanim przyjadą? I co teraz zrobi: będzie czekał przy bramie czy zamierza z powrotem wejść na górę?

– Jest tu jakieś inne wyjście? – szepnął mężczyzna do jej ucha.

Gdyby udało jej się przekonać go do wyjścia głównymi drzwiami, Sami może by go zobaczył.

– Mmm – odpowiedziała, kręcąc głową.

– Otwórz oczy.

Wykonała polecenie. Zadrzała, gdy wbił w jej oczy czarne spojrzenie, chcąc sprawdzić, czy Esther mówi prawdę, czy kłamie.

– Kłamiesz – skrzywił się.

Miała wrażenie, że jej serce zamarło. Gość znał się na ludzkiej duszy lepiej niż niejeden uczeń Freuda czy Lacana. Poczwała, że mężczyzna szuka czegoś w kieszeniach, i zanim zdążyła zrozumieć, o co chodzi, miała przed oczami płomień zapalniczki – tak blisko, że czuła, jak ją parzy.

– Jest inne wyjście?

Skinęła głową, łzawiąc.

– Świetnie. Odsunę teraz rękę, zejdziemy po cichu i wyjdziemy tylnymi drzwiami. Jeśli będziesz się stawiać, podpale cię. Nie myśl sobie, że się zawaham. Skumałaś?

Cofnął dłoń. Od razu odzyskała trochę rezonu.

– Pierdol się – odpowiedziała Esther Kopelman, gdy odzyskała oddech, a na jej twarzy zaczęły wracać kolory. – Pójdę za panem. Nie zamierzam nikogo narażać.

Uśmiechnął się do niej.

– O kurczę! Prawdziwa bohaterka. Czyli jednak bohaterki jeszcze istnieją.

Ciemno. Ile to już czasu? Godzina? Dwie? Ze strachu czuła się pobudzona. Zdjęła jej z głowy płócienny kaptur. Nagle oślepiło ją jaskrawe światło latarki z naprzeciwka. Zamrugła. Przesłoniła oczy dłonią. W ciemnościach panujących dookoła poczuła kwaśną, sfermentowaną woń końskich odchodów.

- Nie ma sensu krzyczeć, nikt cię nie usłyszy – odezwał się głos zza latarki.
- Muszę iść do toalety.
- Przyniesiemy ci wiadro i butelkę wody.

Latarka się przesunęła. Musieli wcisnąć włącznik, ponieważ nagle w ciemnym pomieszczeniu pojawiła się jasna studnia światła bijącego od anemicznej żarówki. A potem ktoś zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Léa przyjrzała się pozbawionym okien ścianom, klepisku pokrytemu słomą, niskiemu sufitowi. Znowu poczuła azotową woń: w pobliżu musiała być stajnia. Od przebywania przez nieokreślony czas na wibrującej podłodze furgonetki i wdychania oparów ropy i oleju przez płócienny kaptur kręciło jej się w głowie i czuła nudności.

Starła się oddychać spokojnie. Pięć wdechów, wstrzymanie oddechu, wydech... Momentami przez grube ściany słyszała szum wody w rurach kanalizacyjnych. Był to jednak jedyny odgłos i poza strachem, który ścisnął ją jak imadło, doświadczała dotkliwego poczucia samotności i opuszczenia.

Generał sięgnął po telefon. Przypomniawszy sobie słowa Dostojewskiego: „Mówi się czasem o *zwierzęcym* okrucieństwie ludzi, ale uważam, że wyrażając się w ten sposób, krzywdzi się niesprawiedliwie zwierzęta”¹. Zastanawiał się, czy dlatego, że dużo obcował ze zwierzętami, sam stał się jednym z nich, czy zachował w sobie wystarczająco dużo człowieczeństwa.

A potem przyszło mu na myśl inne zdanie rosyjskiego geniusza: „Wyobraź sobie, że sam budujesz gmach przeznaczenia ludzkiego, aby w rezultacie uszczęśliwić ludzi, dać im wreszcie pokój i ład, ale że w tym celu należy koniecznie zdręczyć jedną małą istotkę”².

Wybrał numer.

- Tak? – odezwał się zaniepokojony głos.

– Komendancie – zaczął Thibault Donnadiou de Ribes.

Chwila milczenia.

– Generale...

Żołnierz się uśmiechnął. Inteligentny człowiek. Wystarczyło jedno słowo, by zgadł.

– Gdzie jest Léa? – zapytał Servaz.

Martin nie mógł tego widzieć, ale niebieskooki generał pokiwał głową, uznając, że najwyraźniej komendant otrzymał wiadomość ze szpitala. Léa Delambre wyszła z dyżuru dobre dwie godziny temu.

– W bezpiecznym miejscu – odparł. – Niech się pan nie martwi, wszystko z nią w porządku. Nic jej nie zrobiliśmy.

Generał spodziewał się gróźb, wyzwisk, ale policjant był zbyt sprytny, by tracić czas na taką dziecinadę.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał.

– Cieszę się, że jest pan rozsądnym człowiekiem. Zapewniam pana, że pańska partnerka jest tutaj, ze mną, i nic jej się nie stanie, dopóki będzie pan współpracował. Ale żeby było jasne: jestem jak lew albo krokodyl, nie znam litości. I mam przerażającą umiejętność odgadywania słabości moich przeciwników. Znam pańskie, może pan być tego pewien.

Cisza.

– Niech pan zrozumie, komendancie, osobiście nic do pana nie mam. Ale nasza sprawa jest słuszna: walczymy o sprawiedliwość, o honor tego kraju i o ratunek dla naszej cywilizacji. Nie pozwolimy, by ktokolwiek stanął nam na drodze.

Martin pozwolił mu dokończyć tyradę, po czym go ponaglił:

– Niech pan mówi, generale. Nie chcę tracić czasu.

– Ja również. Oto, co pan zrobi...

Servaz się rozłączył. Ostatnie słowa generała go zmroziły. Właśnie pojął ogrom szaleństwa tego człowieka. Szaleństwa, które czyniło go groźnym. W dodatku Donnadiou de Ribes przetrzymywał Léę. Wnętrznosci Martina trawił strach, który był jak żywe, ruchliwe stworzenie.

„Niech pan nie próbuje nikogo zawiadamiać, ma pan przyjechać sam...” Popatrzył na Gustava, który bawił się na sofie, nieświadom tego, co się dzieje, ani przez co właśnie przechodzi jego „mama”. Wstał. Poszedł do Radomila. Dźwięk skrzypiec umilkł. Mimo zamętu, jaki panował w jego myślach,

rozpoznał utwór: Schubert, *Śmierć i dziewczyna*, pierwsza część. Takty, które współbrzmiały z jego stanem ducha.

– Martin? Co się dzieje? – powitał go długowłosego brodacza. – Masz straszną minę.

– Jest Anastasia? Czy mógłbyś przechować Gustava? Teraz?

Bułgar o aparycji cygańskiego Chrystusa patrzył na niego przenikliwie.

– Tak, tak... Oczywiście, jeśli to pilne. Ale wyglądasz na wstrząśniętego. Może chciałbyś mi powiedzieć, co się dzieje?

– Później, Radomil – powiedział, wciskając guzik windy. – Gustav bawi się w salonie. Nie zostawiaj Anastasii z nim samej. Weź go ze sobą! Wszystko ci wyjaśnię. Dziękuję.

– Nie martw się, przypilnujemy go – rzucił muzyk, gdy kabina ze zgrzytem ruszyła w kierunku wyższych pięter. – „Kto pyta, czy naprawdę czegoś potrzebujesz, nie daje ze szczerego serca”, jak głosi bułgarskie przysłowie!

– To tutaj – powiedział Sami.

Dwaj posterunkowi w mundurach spojrzeli na zamknięte drzwi mieszkania na poddaszu. Jeden z nich zastukał. Raz, drugi.

– Nikogo nie ma.

Sami się skrzywił.

– Ona tam jest, na pewno. I jest w niebezpieczeństwie. Czekala przed moją restauracją, a potem zniknęła. Zostawiła swoje dürüm. I był z nią jakiś mężczyzna.

– Swoje dürüm?

– Tak. Nigdy by tego nie zrobiła.

Funkcjonariusze wymienili spojrzenia.

– Może zmieniła zdanie i poszła gdzie indziej? – zasugerował jeden z nich.

Sami nacisnął kławkę. Ku jego wielkiemu zdziwieniu drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Widzicie! – powiedział. – Przed chwilą było zamknięte.

Wszedł do mieszkania.

– Hej, co pan robi? Nie ma pan prawa tam wchodzić! – zawołał drugi policjant.

Ale Sami już był w środku. Dym szczypał go w oczy. Zakasłał. Popatrzył na butelkę burbona, pełną popielniczkę i dwie szklanki na stoliku: na jednej z nich były ślady szminki.

- Sam pan widzi, nie ma jej – powiedział funkcjonariusz za jego plecami. – A teraz musi pan wyjść. Nie ma pan prawa tutaj przebywać.
- Mówię wam, ona jest w niebezpieczeństwie.
- Proszę pana, proszę wyjść. Natychmiast.
- Nie, dopóki się nie dowiem, co jej się stało.
- Proszę pana, mówię po raz ostatni: musi pan stąd wyjść.
- Nie ruszę się stąd, dopóki... Hej! Proszę mnie nie dotykać! Zabraniam wam! To jest Francja, państwo praw człowieka, nie wolno wam... Aj, to boli! Cholera, wykręca mi pan rękę! Puśćcie mnie!
- Proszę pana!

1. Fiodor Dostojewski, *Bracia Karamazow*, przeł. Aleksander Wat, Ossolineum, Wrocław 2013. [\[wróć\]](#)
2. Ibidem. [\[wróć\]](#)

Deszcz. Ściana wody na autostradzie. Płynna kurtyna, która rozstępowała się z niechęcią, rozbryzgując się na pęki iskierek lśniących w świetle reflektorów. Noc wypełniały blaski, rozbłyśki, pasy na drodze, ciemności. Jechał pośród ulewy, zewsząd otoczony wodą, i czuł się jak na pokładzie okrętu podwodnego. Nie włączył radia: słyszał tylko bębnienie deszczu o dach, szuranie wycieraczek i chlupot fontann brudnej wody pryskającej spod kół, ilekroć wjechał w jakąś dziurę.

Jechał z maksymalną prędkością, na jaką pozwalała mu pogoda, ryzykując utratę przyczepności. Nie stracił jednak zdrowego rozsądku. Byłoby głupio, gdybyś miał teraz wypadek, pomyślał i zdjął nogę z gazu.

W jego umyśle krystalizował się zarys postaci. Mężczyzna o niebieskich oczach. Przeciwnik. Czarny król, który miał teraz nad nim przewagę, ponieważ zgarnął jego białą królową. Uderzyły go słowa wypowiedane przez generała: „sprawiedliwość”, „honor”, „cywilizacja”. Ten człowiek uważał, że ma misję. Swoją krwawą pochodnię traktował jak wojnę. Servaz wiedział z doświadczenia, że zło jest najgroźniejsze wtedy, kiedy występuje w przebraniu dobra, kiedy samo uważa się za dobro. Najokrutniejsi są ci złoczyńcy, którzy z góry rozgrzeszają się ze swoich zbrodni ze względu na cel, który uważają za słuszny. Najmroczniejszych przykładów takich działań dostarczył XX wiek: ci sami ludzie, którzy słusznie piętnowali przestępstwa popełniane w imię wolnej wymiany handlowej, faszyzm i ubóstwo klasy robotniczej, sami radośnie zasłaniając się szlachetnymi celami, przymykali oczy na masakry, tortury, obozy, czystki, głód, masowe deportacje, miliony ofiar chińskiej rewolucji kulturalnej, miliony zeków zamarzniętych w sowieckim piekle Kołymy. Chodzi o słuszną sprawę, mówili. Ilu okazało skruchę? Ilu poprosiło ofiary, by im wybaczyły ich niewybaczalne zaślepienie?

Przetarł twarz dłonią. Był wykończony. A od wpatrywania się w ciemnościach w ulewę i rozbłyśki światła miał zmęczone oczy. Co chwilę pocierał powieki. Zjechał z N20 na wysokości Foix, przeciął średniowieczną osadę ze wschodu na zachód i skręcił w drogę, która szybko zaczęła piąć się w górę. Po chwili wokół nie było już żadnych domów, tylko ciemny las i zakręty.

Deszcz przestał padać i nad drzewami, w prześwitach między chmurami, co jakiś czas pojawiał się księżyc. Przypomniawszy sobie tamtą noc, kiedy razem z kolegami z grupy jechali zobaczyć zwłoki Moussy Sarra i głowę jelenia w przezroczyściej torbie. Czy teraz to na niego polują? Nie, wobec niego mieli inne plany, był tego pewien.

Pięć minut później przejechał główną ulicą miasteczka. Minął posterunek policji i kościół i wyjechał prostą platanową aleją. Był tuż-tuż, GPS wskazywał, że do celu zostały trzy kilometry. Zgodnie z instrukcjami generała miał wyłączony telefon, żeby nie można go było namierzyć. Jadąc pod górę, pokonał ostatnie zakręty, wyjechał na równinę porośniętą wrzosami i zobaczył oświetlony blaskiem księżyca zamek. Rozpoznał kamienne ogrodzenie. Brama była otwarta. Kiedy zwolnił, by skrócić do parku, jego serce zaczęło bić szybciej. Jechał po żwirku i kałużach, wpatrując się przez przednią szybę w fasadę, która przybliżała się stopniowo, jak podczas powolnego najazdu kamerą. Czuł się dziwnie w scenie, która właśnie się rozgrywała. Jakby jakaś jego część oderwała się, by obserwować wszystko z dystansu.

Zahamował gwałtownie przed gankiem. Wysiadł. Zatrasnął drzwi, obserwując fasadę, która wznosiła się w ciemności jak góra, ale nikogo nie zobaczył. Światła we wszystkich oknach były pogaszone, jednak na żwirku parkowało kilka samochodów. Ciszę zakłócało jedynie bębnienie kropel wody spadających z gałęzi, które pod wpływem wiatru wydawały z siebie szeleszczące jęki, jakby drzewa w parku dzieliły jego niepokój.

Servaz wszedł po schodach na ganek w blasku księżyca, który wyglądał teraz jak wielka hostia. Tak jak się tego spodziewał, główne drzwi nie były zamknięte na klucz. Pchnął ciężkie skrzydła i znalazł się w wysokim i długim ciemnym korytarzu, na którego końcu zza uchylonych drzwi sączył się żółty blask kładący się na podłodze wąską, jasną ścieżką.

Odgłos jego kroków na posadzce miał w sobie coś teatralnego, a nawet – i to trochę za bardzo – filmowego: jego umysł znowu obserwował całą scenę z pewnej odległości, tak jak podobno dzieje się w chwili śmierci.

Przyciągnął drzwi do siebie. Miał przed sobą duży, słabo oświetlony salon. Ogień w kominku. Na ścianach trofea myśliwskie i gobeliny, pogrążone w półmroku płótna mistrzów. Nagle zeszywniał: zobaczył stojących w półokręgu mężczyzn z głowami zwierząt. Szympan, lis, wilk, niedźwiedź gepard, byk.

– Witamy, komendancie – powiedział siedzący w środku wielki kogut o czerwonym grzebieniu i bystrych niebieskich oczach.

Choć wie, że to tylko inscenizacja, czuje, jak cierpnie mu skóra. Wielkie maski zwierząt zwracają się w jego stronę, a przez otwory obserwują go lśniące oczy. Panuje stresujące, ciężkie milczenie, którego nikt nie próbuje przerwać.

Ponieważ mężczyźni nic nie mówią, Servaz rozgląda się po sali pełnej fantastycznych cieni, a następnie powraca wzrokiem do zwierzęcych pysków, których widok znowu przyprawia go o dreszcz.

Nadstawia uszu. Próbuje usłyszeć inne dźwięki, odkryć czyjąś obecność, jakiś znak świadczący o tym, że Léa jest gdzieś w pobliżu, ale słyszy tylko trzaskanie ognia w kominku i szum własnej krwi pulsującej w skroniach. A nie. Słyszy coś jeszcze. Muzykę. Odległą, przytłumioną. Musi dochodzić zza drzwi, które zauważa teraz po lewej. Beethoven, *VII Symfonia. Allegretto*, które zawsze wydawało mu się jakieś mroczne, żałobne. Wzdryga się. Czyżby to była zapowiedź tego, co go czeka? I Léę?

– Niech pan ją uwolni, już – zwraca się do wielkiego koguta.

– Jak skończymy. Ma pan moje słowo, komendancie.

Wysoki mężczyzna zdejmuje maskę i nagle dzieje się tak, jakby w pomieszczeniu był tylko on. Uwagę Servaza natychmiast przykuwa przenikliwy, lodowaty błękit jego oczu. Generał Thibault Donnadiou de Ribes podchodzi do niego oświetlony blaskiem bijącym z kominka.

– Przede wszystkim, komendancie, niech pan nas dobrze zrozumie: to, co robimy, jest w najwyższym stopniu polityczne. Arystoteles mawiał, że polityka jest nauką naczelną. I miał rację. Robimy to dla pana, dla pańskich dzieci, dla obywateli tego kraju. Dla nich walczymy. Przeciwko niewidzialnym dyktaturom, które z każdym dniem coraz bardziej rozszerzają swoje wpływy na ten kraj. Wpływy przestępczości zorganizowanej, która chce zrobić zeń państwo narkotykowe na wzór Meksyku czy Kolumbii, wpływy sędziów, którzy stają ponad Republiką i stosują prawo wedle własnego widzimisie, wpływy mniejszości, które przez zastraszanie, presję i chaos zamierzają narzucić swoją wolę większej części społeczeństwa, wpływy gigantów internetowych, którzy chcą kształtować nasze życie po swojemu. Walczymy o honor, ojczyznę, sprawiedliwość i wolność, komendancie, pańską i przyszłych pokoleń, ludzi,

którzy nie mają sił albo środków, żeby się bronić. Nie walczymy dla siebie – mówi poważnym głosem, przekonującym i budzącym nadzieję, głosem, który potrafi przekonać niezdecydowanych. – Komendancie, pan i ja jesteśmy poważnymi ludźmi. Nie świętymi ani bohaterami. Ale poważnymi, szanowanymi ludźmi.

– Nie mamy ze sobą nic wspólnego – ripostuje Servaz.

Generał przez chwilę mruży niebieskie oczy. Ale tylko przez chwilę.

– A tymczasem chce się nas obarczyć winą – mówi dalej, nie zważając na wtręt Martina. – Jesteśmy winni, bo bronimy naszego kraju, jesteśmy winni, bo stosujemy legalną i uzasadnioną przemoc, by chronić uczciwych obywateli, jesteśmy winni, bo urodziliśmy się na tym kontynencie, jesteśmy winni, bo chcemy obronić naszą cywilizację, jesteśmy winni, bo lubimy nasz sposób życia, jesteśmy winni, bo jemy mięso, bo palimy, bo pijemy alkohol. Jak u Kafki: mamy pokutować za grzechy, o których nawet nie wiemy, że je popełniliśmy. Jak u Nietzschego, wszystkie wartości stoją na głowie: ofiara staje się sprawcą, a sprawca ofiarą.

– Polowanie na ludzi nazywa pan legalną i uzasadnioną przemocą?

Generał zbywa jego pytanie machnięciem ręki.

– Ci, na których polowaliśmy, to byli kryminaliści, którzy wymigali się od kary, a powinna ona być adekwatna do cierpienia ich ofiar – odpowiada tym razem mężczyzna o wielkiej, czarnej i lśniącej głowie byka. – Sędziowie w tym kraju nie stosują się do kodeksu postępowania karnego: nigdy nie widziałem, by ktokolwiek otrzymał karę przewidzianą prawem, wyroki nigdy nie są na miarę krzywdy poniesionej przez ofiary. Nigdy. Nasze sądy wymierzają udawaną sprawiedliwość, komendancie, i pan o tym dobrze wie. Fałszywą sprawiedliwość, która owocuje bezmiarem niesprawiedliwości.

Prawnik, pomyślał od razu Servaz. Za tą maską kryje się prawnik. Champetier, zastępca prokuratora. Ogromna bycza morda ma w sobie coś naprawdę onieśmielającego.

– Z tym że, abstrahując od faktu, że bynajmniej nie uważam kary śmierci za właściwą, Moussa Sarr był niewinny.

– Jakkolwiek by było, na każdej wojnie są straty uboczne – ripostuje niebieskooki generał.

– A to jest wojna?

– Oczywiście. To wojna cywilizacji, wojna o utrzymanie naszego sposobu życia, o uratowanie tego kraju przed grożącym mu chaosem i barbarzyństwem. Póki nie jest za późno.

O 22.52 zadzwonili do dużej, czarnej bramy najeżonej kolcami w jednej z najbardziej luksusowych dzielnic Tuluzy. Po obu stronach bramy znajdowały się dwa białe filary – na jednym z nich zamontowano kamerę i domofon.

– Kto tam? – odezwał się wysoki głos starszego mężczyzny.

– Przepraszam, że przeszkadzamy. Wiem, że jest niedziela i jest późno, ale musimy bardzo pilnie porozmawiać z panią prefekt. Proszę jej powiedzieć, że przysłała Samira Cheung z policji kryminalnej w Tuluzie.

– Kto taki?

– Porucznik Cheung! Policja kryminalna w Tuluzie! To ważne i pilne!

– Niech się pani stamtąd nie rusza.

Jakby zamierzali dać nogę... Samira, Vincent i towarzyszący im porucznik z IGPN czekali dobre trzy minuty. Potem elektryczny zamek zabrzączał, kliknął i metalowa brama bardzo delikatnie się uchyliła. Samira ją pchnęła. A to dopiero! Wysoki biały mur skrywał ponadczasowy obraz – pogrążony w ciszy niewielki ogród japoński. Ruszyli krętym chodnikiem między lampami umieszczonymi przy samej ziemi, krzewami przyciętymi na kształt kuli, świerkami, w których gałęziach szumiał deszcz i wysokimi na metr okazami bonsai. Gdzieś w ciemności słyhać było plusk wody w sadzawce. Na końcu alejki powitał ich oświetlony halogenową lampką uśmiechnięty budda.

Ale gospodyni tego miejsca, która czekała na nich na ganku, nie była ani trochę zen i się nie uśmiechała.

– Mam nadzieję, że to ważne – rzuciła prosto z mostu tonem, który oznaczał, że jeśli tak nie jest, lepiej dla nich, żeby spadali.

Była ubrana w golf, który opinał jej klatkę piersiową i nieforemne, ale z pewnością wygodne spodnie od dresu, a na stopach miała wsuwane zamszowe kapcie. Samira pomyślała, że nawet w takim stroju prefektka roztacza wokół siebie aurę niezaprzecznego autorytetu i pewności siebie.

– Porucznik Samira Cheung z grupy śledczej komendanta Servaza. A to jest kapitan Espérandieu i porucznik Frément z IGPN. Przykro nam, że zakłócamy pani niedzielny wieczór, ale chodzi o niezwykle pilną sprawę, a nie zdołaliśmy się dodzwonić do nadkomisarza Chabrillaca.

Michèle Saint-Hamon spiorunowała ją wzrokiem.

– Pani porucznik, skoro to takie pilne, radzę, by wyrażała się pani odpowiednio zwięźle i jasno, jeśli to jest w zasięgu pani możliwości.

– Ten kraj już od jakiegoś czasu stoi nad otchłanią, a władza, porządek i prawa są w nim deptane – mówi generał. – Uniwersalizm i humanizm, które były spoiwem naszego społeczeństwa, są zwalczane przez ludzi chcących siłą, wbrew woli większości, narzucić swoje mordercze ideologie, wykorzystując słabość naszych rządów, podczas gdy za kulisami oligarchie, których chciwość nie zna granic, zgarniają coraz więcej przywilejów i bogactwa. – Spojrzał Servazowi prosto w oczy. – Efekt: zagrożenie ma dziś różne oblicza; ma twarz zarówno terrorystów, jak i handlarzy narkotyków, bandytów i wszystkich tych, którzy depczą symbole państwowe. Efekt: prawo w dzielnicach ustanawiają dilerzy, broń jest tam w wolnym obrocie, bandyckie interesy toczą ten kraj jak gangrena, watażkowie trzymają łapę na handlu narkotykami, bronią i ludźmi oraz finansują integryzm, który z dnia na dzień rozszerza swoje wpływy. Efekt: kryminaliści i wszelkiej maści kanale nie boją się już policji, nawet centra miast zmieniają się w pole bitwy, zabija się dzieci i nauczycieli w drodze ze szkoły, księży w kościołach, policjantów i żandarmów. Ilu trzeba ofiar, żebyście zareagowali? Żebyście wyjęli głowę z piasku? Efekt: ten kraj jest na krawędzi wojny domowej, a politycy nie robią nic. – Mówił zimnym głosem pozbawionym emocji, a błękit jego oczu był teraz wyjątkowo intensywny. Servaz czuł drżenie w splocie słonecznym. – Życie to walka, komendancie. Zapomnieliśmy o tym. Zaślepieni przez nasze ideologie, szalone koncepcje nauk humanistycznych i zachodni światopogląd ociekający dobrymi chęciami zapomnieliśmy, że świat jest okrutny, zapomnieliśmy, czym jest obrona własna, słuszna kara, zadośćuczynienie za winy, a tym samym pozwoliliśmy tym potworom, by rosły i mnożyły się na naszej ziemi. Musimy skończyć z tym tchórzostwem, przestać zamykać na to oczy. Musimy widzieć rzeczywistość taką, jaka ona jest, a nie taką, jaka chcielibyśmy, żeby była. Jesteśmy na wojnie.

W jego oczach odbijały się roztańczone płomienie. Generał górował nad całym pomieszczeniem jak posąg Komandora.

– I jedynym pańskim sposobem na zwycięstwo jest polowanie na drobnych, nic nieznaczących przestępców jak na zwierzynę? – rzucił Servaz prowokującym tonem.

– Nie zrozumiał pan, komendancie. To dopiero początek. Rozgrzewka. W ten sposób wysyłamy sygnał. Pokazujemy, że jesteśmy, że przejmujemy kontrolę, że przyjdziemy po nich, gdy uznamy za stosowne. Kiedy dzielnice zapłoną, kiedy zapanuje anarchia, przejdziemy do drugiego etapu. W wojsku i policji są ludzie gotowi wygnać rządzących z ich pałaców. Nie jesteśmy sami. Przyjdą inni.

Wszędzie trwa rekrutacja. Poza tym potrzebowaliśmy środków na finansowanie naszej organizacji.

Generał zamilkł. Servaz nagle zrozumiał, o co chodzi.

– Ktoś dał wam pieniądze za możliwość polowania na tę... zwierzynę. Oczywiście. Czemu innemu miałoby ono służyć... Ile? Domyślam się, że kazaliście słono płacić za ten przywilej.

– Wystarczająco dużo.

Hambrelot, Lantenais, inni pewnie też: zamożni rodzice ofiar... Bogacze spragnieni zemsty, rozczarowani działaniem sądów, gotowi wiele zapłacić, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Oko za oko... Jak w Starym Testamencie. Nie ma mowy o nadstawianiu drugiego policzka.

Jakie kwoty uiścili za możliwość udziału w polowaniu? Ile wpłacili inni? Ilu w sumie przestępców zniknęło bez śladu i kto się, kurwa, tym przejmuje oprócz ich rodzin? Od jak dawna to trwa? I za każdym razem kasa organizacji się napełnia. Gdyby nie ten głupi wypadek, nie wiadomo, kiedy by się to skończyło. Teraz wszystko było jasne.

Ktoś przekręcił klucz w zamku. Drzwi skrzypnęły i Lée znowu oślepił blask latarki, ale teraz przynajmniej zdążyła zobaczyć, że do pomieszczenia kogoś wepchnięto. Kobietę. Po chwili drzwi się zamknęły, kobieta wstała i spojrzała na nią twardo.

– Co to za miejsce? – zapytała ochryplym głosem. – I kim pani jest?

Pięćdziesiątka, kopci jak lokomotywa – taka była pierwsza myśl Léi. Druga: niehigieniczny tryb życia, kandydatka do chorób sercowo-naczyniowych, neurologicznych, raka, wypadania włosów, utraty pamięci, nadciśnienia tętniczego. Trzecia: paskudny charakter. Ale i tak wołała to niż samotną niewolę.

– Nazywam się Léa Delambre – powiedziała cicho, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał pod drzwiami. – Jestem lekarką. Nie wiem, gdzie jesteśmy. Włożyli mi kaptur na głowę i przywieźli tutaj.

– A więc jedziemy na tym samym wózku. Ja nazywam się Esther Kopelman – przedstawiła się przybyszka stanowczo zbyt głośno, jakby miała gdzieś, czy ktoś ją usłyszy. – Jestem dziennikarką. Dlaczego pani tu trafiła?

– Pani pierwsza. – Léa nagle zrobiła się nieufna.

Esther się zawahała.

– Prowadzę śledztwo w sprawie serii przestępstw, tych, którzy je popełnili oraz ich motywacji, i wygląda na to, że trochę za bardzo zbliżyłam się do prawdy. I że ci ludzie nie chcą, żeby ona wyszła na jaw.

– Co to za przestępstwa?

Dziennikarce nie umknęło nagłe zainteresowanie Léi.

– Między innymi sprawa tego chłopaka znalezionego na moście. Tego, który miał na piersi napis SPRAWIEDLIWOŚĆ. Dlaczego pani pyta? Ma pani z tym coś wspólnego?

– Mój partner prowadzi śledztwo w tej sprawie.

Esther się wyprostowała.

– Jak się nazywa?

– Servaz. Komendant Servaz.

23.20. Dwa śmigłowce EC-145 Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego transportujące ludzi z elitarnej jednostki RAID, która ma swoją komórkę w Tuluzie, leciały nad samymi wzgórzami, zdaniem Samiry i Vincenta, którzy również byli na pokładzie, stanowczo zbyt nisko. Maszyny należały do najcichszych w swojej kategorii, ale i tak uważali, że należałoby zachować większą odległość. Dyżurni członkowie jednostki zostali wydzwonieni i zmobilizowani w niespełna dwadzieścia minut. Samirze nie umknął fakt, że nie było wśród nich ani jednej kobiety.

W dole po lewej na autostradzie ciemne niebo rozjaśniały niebieskie rozbłyski stroboskopów: oklejone furgonetki ze sprzętem, posiłki z brygady śledczo-interwencyjnej i główny komisarz departamentalnego wydziału bezpieczeństwa – wszyscy jechali z prędkością znacznie większą od dozwolonej.

Samira zauważyła, że zrobiło się jeszcze ciemniej. Pewnie dlatego, że księżyc znowu schował się za chmurami. Ale przynajmniej nie padało. Spojrzała na siedzących obok uzbrojonych po zęby mężczyzn w kaskach. Odprawa przed akcją została ograniczona do minimum. Czas naglił, tylko krótkie rozkazy. To byli zaprawieni w boju, doskonale wytrenowani zawodowcy.

Ale mieli się zmierzyć z policjantami i żołnierzami doświadczonymi prawie tak samo jak oni. Widziała ich zacięte twarze, gdy przekazano im tę wiadomość. Nie znali rozkładu pomieszczeń ani dokładnej liczebności sił przeciwnika. Zapowiadała się trudna operacja. W dodatku ludzie generała mieli Martina. Na tę myśl poczuła mrowienie w karku i suchość w ustach. Kaszana, pomyślała, czując pod pośladkami wibracje maszyny i sięgając po kubek termiczny z kawą, który jej podano.

– Chodźmy – powiedział generał.

Skierował się ku drzwiom po lewej. Obiema rękami pchnął drewniane skrzydła i skinął na komendanta, by podszedł. Muzyka umilkła. Servaz zobaczył samotne krzesło pośrodku dużego, wysoko sklepionego pomieszczenia o ścianach ozdobionych gobelinami – jak tamto, z którego przyszli. Krzesło oświetlał silny reflektor. Naprzeciw krzesła znajdował się statyw z kamerą. Z tyłu rozciągnięto białe prześcieradło, tak by w polu widzenia kamery było tylko krzesło.

– Niech pan siada, komendancie.

Wykonał polecenie. Przed nim półkolem stanęli mężczyźni z głowami zwierząt. Ich dziwaczne sylwetki odcinały się niczym chińskie cienie w oślepiającym blasku lampy, którą mieli za plecami.

– Proszę patrzeć do kamery – powiedział generał, a jego niebieskie oczy były teraz wąskie jak dwie szparki. – Tutaj jest prompter, odczyta pan wyświetlany tekst. Niech pan się zachowuje naturalnie, czyta powoli. Zrobimy tyle powtórzeń, ile będzie trzeba.

Spojrzał na pierwsze linijki tekstu. Wzdrygnął się. Poczuł, jak krew w jego żyłach staje się lodowata.

„W tym nagraniu / chcę ujawnić prawdę / To ja jestem...”

Przełknął ślinę. Jego czoło lśniło od potu.

– To jest groteskowe, nikt w to nie uwierzy – zaproponował.

Generał pokręcił głową, udając niezadowolenie.

– Komendancie, niech pan pomyśli o Léi. I o Gustavie. Robi pan to dla nich. Chce pan, żeby żyli, prawda? Ludzie w to uwierzą, ponieważ zostawiliśmy w pańskim biurze przedmioty, które poświadczą, że jest pan wykończony, choruje na depresję i ma myśli samobójcze.

Servaz zmarszczył brwi.

– Jak to? Jakie przedmioty?

– Dwa puste pudełka po antydepresantach, przedarte zdjęcie twojej ukochanej, twój notes z nabazgranym kilkadziesiąt razy słowem „sprawiedliwość”: kilka godzin temu osobiście włożyłem je do twojej szuflady zamykanej na klucz – powiedział Raphaël Katz, zdejmując głowę niedźwiedzia.

– Powinieneś zrobić to, co ci każemy, Martin. Dla dobra i bezpieczeństwa Gustava i Léi.

Popatrzył na jasnowłosego porucznika i poczuł, jak narasta w nim gniew.

– Ty chuju! – rzucił w jego stronę.

– Wielka szkoda, komendancie – powiedział generał. – Potrzebowałbym więcej ludzi takich jak pan.

– Chcę zobaczyć Léę – oświadczył.

– Najpierw nagranie. Ma pan moje słowo honoru, że ją pan zobaczy i że ją uwolnimy. Słowo oficera.

Lemarchand westchnął. Podniósł głowę. Popatrzył na trzech policjantów. Po raz kolejny przeżywał upokorzenie. Zdradę. Gorzki napój, który musiał przełykać przez całą młodość. W wieku, kiedy takie rzeczy zostawiają w człowieku piętno do końca życia, niczym hańbiąca lilia ancien régime’u: od dawna nie czuł już na języku tego słodko-gorzkiego smaku.

Ale tego wieczoru, w obliczu tej trójki, na powrót stał się zakompleksionym nastolatkiem, którego, jak sądził, zostawił daleko za sobą, na zawsze pogrzebał

w przeszłości. Myślał, że ten nastolatek już nie istnieje. Ale cóż, dzieciństwo to choroba, którą rzadko udaje się wyleczyć i która tylko czeka na chwilę słabości, by się znowu objawić. Rozumiał to teraz, gdy siedział na krześle, przystawiając sobie do skroni lufę pistoletu Smith & Wesson 357 Magnum i wyobrażając sobie, jakie straty wyrządzi wkrótce w jego czaszce nabój takiego kalibru.

Miał okazję być na miejscu zbrodni w sytuacji, gdy jeden z jego kolegów zabił się z podobnej broni. Z jednej strony czaszki, na wysokości skroni, znajdował się wyraźny i zgrabny okrągły otwór. Po drugiej stronie nie zostało nic: część głowy eksplodowała, czaszka została zupełnie pozbawiona swojej zawartości, mózg dosłownie wyparował, tak że od środka można było zobaczyć miejsce, przez które wleciała kula.

A myślał, że już dawno unicestwił tego nastolatka, którego najbardziej godną pozałowania cechą charakteru była delikatność. Został twardym, okrutnym, skorumpowanym policjantem. Draniem. Kanalią. Prawdziwym samcem. Przed którym ludzie mieli się na baczności. Którego się bali. Tak, kurwa. Przestał być tym żalonym przegrywem, który w wieku piętnastu lat kochał się w Marie-Élisabeth Di Antonio. Najładniejszej i najsympatyczniejszej dziewczynie w szkole. Był w niej zakochany na zabój, ale wiedział, że ze swoim wyglądem nie ma u niej żadnych szans. W przeciwieństwie do Luca, tego nadętego, szpanującego kutasa, który właśnie przyszedł do ich liceum i który zawsze dostawał to, czego chciał. Miał wypisane na tej swojej twarzy aniołka, że jest dupkiem i że potrafi kochać tylko samego siebie. Młody Serge Lemarchand wściekał się więc, że taka mądra i słodka Marie-Élisabeth tym razem dała się tak zaślepić.

Kiedy zatem otarł łzy po tym, jak ten drań się z nią przespał i natychmiast porzucił, oświadczając, że dziewice go nudzą – pocieszał ją, jak mógł, nie tak, jak by chciał, ale jak dobry kolega, jak najlepszy przyjaciel, na którego zawsze można liczyć i który zawsze będzie blisko.

I naprawdę spędził z nią piękne chwile, tuląc ją w ramionach, wdychając jabłkowy zapach jej szamponu i malinową woń jej oddechu, trzymając jej delikatną dłoń, zabierając ją do kina na filmy, które wtedy grali: *Excalibur*, *Poszukiwacze zaginionej Arki*, *Mad Max 2*. Albo na długie przejażdżki rowerowe za miasto, w czasie których razem naprawiali świat i w czasie których kazała mu przysięgać, że będą przyjaciółmi na całe życie. Mój Boże, jak on w to wtedy wierzył, jakim był idiotą... Na szczęście to właśnie Marie-Élisabeth otworzyła mu oczy.

– Dlaczego ja? – zapytał trzech zdrajców, których miał przed sobą.

– Bo masz raka, Lemarchand... Bo i tak niedługo zdechniesz. I dlatego, że wszyscy wiedzą, że masz depresję... Generał potrzebuje, żebyś to zrobił: żebyś się poświęcił dla sprawy.

– Dlaczego sam mi tego nie powie?

Cholera, skąd oni wiedzą o raczysku? Nikomu o nim nie mówił. A wracając do Marie-Élisabeth, dziwił się, że do tego stopnia zajmuje jego myśli w tych ostatnich chwilach, ale cóż, niezaprzeczalnie była to wielka miłość jego życia. Miłość... Tyle że to słowo przyprawiało go o mdłości. Pewnego dnia, gdy nie mógł już wytrzymać, przekonany na podstawie różnych drobnych znaków – które interpretował w sposób, jak później zrozumiał, dramatycznie błędny – że to uczucie jest wzajemne, zebrał się na odwagę i wszystko jej wyznał. A rzeczona Marie-Élisabeth od razu skrzywiła się z niesmakiem na tę czystą miłość, którą jej ofiarował, i nagle spojrzała na niego tak, jakby był kimś absolutnie odrażającym: oślizgłym, nagim ślimakiem, robalem. I oto dziewczyna, która kazała mu przysięgać wieczną przyjaźń, pognęła w podskokach, by podzielić się swoją odrazą z najlepszymi przyjaciółkami. Zdrada. Doskonale rozumiał to słowo.

– Chuje – powiedział, nie odsuwając jednak pistoletu od swojej skroni.

Wrażliwy, grzeczny Lemarchand, piętnastolatek, który wywołał niesmak na twarzy cudownej Marie-Élisabeth Di Antonio, tamtego dnia umarł. Ustąpił miejsca Lemarchandowi rozrabiace, twardzielowi, draniowi, którego nie lubiano, ale przynajmniej szanowano. Później wstąpił do policji, by dać ujście tej skłonności do przemocy, uczynić z niej przemoc państwową, legalne draństwo.

– Pomyśl, zostało ci najwyżej pół roku życia. Jeśli nie zrobisz tego sam, my to zrobimy.

Popatrzył na nich. Wszyscy trzymali pistolety w dłoniach opuszczonych wzdłuż ciała, celując w podłogę – i oczywiście tylko jego broń była nabita. Poza tym mieli rację: psychiatra zdiagnozował u niego depresję z towarzyszeniem myśli samobójczych. I tak, nieszczerze zależało mu na życiu. Nigdy tak naprawdę nie był na fali, nie miał szans na wartościowe życie. W loterii szczęścia trafiały mu się tylko nagrody pocieszenia.

Zresztą on, twardy glina i drań, dał się nabrać po raz drugi, kiedy spotkał swoją byłą żonę. Miała trzydzieści lat, on czterdzieści trzy. Była ładną, dobrze zbudowaną, inteligentną, zabawną brunetką. Była również mężatką, ale zauroczenie było natychmiastowe i tym razem wzajemne. Kiedy byli razem, zapominała o wszystkich ludziach wokół, zwracała uwagę tylko na niego, sprawiała, że czuł się ważny. Uwielbiał to uczucie. Choć taki był z niego łajdak,

stracił dla niej czujność. Przekonał ją do rozwodu. Początki były idylliczne. A potem powoli zrozumiał, że to, co robi z nim, może też robić z innymi. Także w jego obecności. Kiedy w pomieszczeniu był mężczyzna, który jej się podobał, diametralnie się zmieniała, a gdy zaczynała z nim rozmawiać, Lemarchand stawał się niewidzialny, przestawał istnieć. Znowu był upokorzonym nastolatkiem. Kompletnie o nim zapominała, by skupić całą uwagę i wzrok na nowo przybyłym, nawet jeśli nie był sam – to jej nie powstrzymywało. Jakby była to dla niej kwestia życia lub śmierci. Ileż razy przez to przechodził? Ilu mężczyzn użyła, by go w ten sposób upokorzyć? Zdrada. Upokorzenie... To był zły urok, który powracał raz za razem.

I oczywiście odkrył, że go zdradza. Nie raz, ale kiedy tylko nadarzyła się okazja. Robił jej o to karczemne awantury. Wyrzucał jej niewierność, a ona nie tolerowała jego zazdrości. Wykorzystywał swoją pracę, by rozładować gniew. A potem go rzuciła. A on z biegiem lat był coraz bardziej wściekły.

Dryfował – tak to się nazywa. Już od dziesięciu lat. Cierpiał też z powodu alkoholizmu, nerwicy, depresji. A na koniec pojawił się rak, by wynagrodzić mu wszystkie wysiłki staczania się coraz niżej. Jak logiczne zakończenie. Zdrada. Upokorzenie. I oto został upokorzony i zdradzony przez swoich. Choć oni oczywiście przedstawiali to inaczej. Choć rozkaz wyszedł od samego generała – zawsze to jego poświęcano. Było mu to pisane od dzieciństwa.

– Zrób to dla generała, dla siebie, dla sprawy – powiedział jeden z mężczyzn.

Poczuł, jak po twarzy toczą mu się ciepłe, słone łzy. Łzy, które były świadectwem, że życie po raz ostatni go wyruchało. Z mokrymi policzkami uśmiechnął się szeroko, uśmiechnął się do tego zasranego życia. Do tych dupków. Do śmierci. Uśmiechnął się z błogością jak ten żałosny kretyn, którym nigdy nie przestał być.

– Lemarchand, nie chciałbyś przecież, żeby ci dranie wygrali wojnę, prawda?

Nie, co to, to nie. Jego grdyka ostatni raz uniosła się i opadła. Pociągnął za spust. Wielka jasność w głowie. Pierwsze światło od tak dawna...

– No już, komendancie, niech pan czyta.

[W tym nagraniu]

[Chcę ujawnić prawdę]

[To ja jestem zabójcą Kevina Debrandta]

[Oraz człowiekiem, który polował]

[W lesie na Mousse Sarra]

[Mój wspólnik nazywa się]
[Serge Lemarchand]
[Mogę już odejść w pokoju]
[Tym, których kocham]
[Chcę powiedzieć, że...]

– Nikt tego nie łyknie.

– Dlaczego? Uważasz, że jeśli będą mieć dwóch sprawców, wideo z twoim wyznaniem i dowiedzą się, że Léa chciała cię zostawić, żeby wyjechać do Afryki, będą szukać dalej? Ty akurat powinieneś wiedzieć, jak to działa – powiedział Katz.

Cholera, założyli podsłuchy w mieszkaniu.

– Dwóch?

– Serge Lemarchand właśnie odebrał sobie życie.

O szlag... Szli przez park. Na głowę spadła mu kropla deszczu. A potem druga – wielka i zimna. Znowu zaczynało padać. Gałęzie kołysały się na wietrze, nad koronami drzew płynęły jaśniejsze od nocnego nieba chmury, jak statki widma na atramentowym morzu.

– Moja grupa nie kupi tej wersji. W polowaniu brały udział jeszcze inne osoby.

– Które nigdy nie zostaną odnalezione, skoro te, które jako jedyne mogły coś powiedzieć, będą martwe. Odbiorą śledztwo twojej grupie. Przypominam ci, że jesteś winny.

Spojrzał na Katza.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego to robisz?

– Bo tak trzeba.

A więc tak ma się to skończyć. Samobójstwem. Jego koledzy i przyjaciele pomyślą, że się załamał. Że napięcie było zbyt wielkie. Wszyscy wiedzieli, że kondycja psychiczna policjantów jest fatalna. Że nie ma tygodnia, żeby jakiś glina się nie zabił. Więc czemu nie on?

Nagle generał, który szedł na czele, stanął. Wystawił nos jak pies gończy, którzy wyczuł zwierzynę przy czołowym wietrze. Odwrócił się.

– Idźcie dalej, zapomniałem o czymś – powiedział. – Dołączę do was.

– Cholera! – szepnęła Samira, piorunując wzrokiem członka brygady śledczo-interwencyjnej, który położył się obok niej. – Nie mógłby pan używać bardziej dyskretnej wody toaletowej?

Spojrzała przez żywopłot. Zobaczyła Martina w środku orszaku idącego w stronę zabudowań gospodarczych ustawionych w kształcie litery U. Wysoka postać w masce koguta albo kurczaka oddzieliła się od grupy i zawróciła w kierunku dworu. Cały ten obraz – te groteskowe, ogromne głowy zwierząt, ten pochód gęsiego, jak w słynnej scenie z *Siódmej pieczęci*, miał w sobie coś surrealistycznego, co sprawiło, że zadrżała. Ale kaszana, powtórzyła w duchu. Żywopłotem, za którym się ukryli, poruszył nagły podmuch wiatru, tak że spadł na nich lodowaty prysznic.

Wytała oczy, sięgnęła po lornetkę i wycelowała ją w zamek: pierwsza grupa mężczyzn z jednostki RAID posuwała się powoli wzdłuż lewego skrzydła. Następnie Samira popatrzyła na zabudowania gospodarcze po drugiej stronie, sto pięćdziesiąt metrów dalej, gdzie w podobny sposób przemieszczała się druga grupa – wzdłuż budynku znajdującego się najbliżej murowanego ogrodu. Poczła jeszcze większą suchość w gardle: gdyby doszło do strzelaniny, Martin byłby pierwszym kandydatem do oberwania zbłąkaną kulą. Popatrzyła na wielkiego koguta, który już dotarł do zamku. A ten dokąd idzie?

Wstała i pochyłona, chowając się za żywopłotem i innymi krzewami, po dużym łuku ruszyła ku zabudowaniom gospodarczym: antyterrorysty z jednostki specjalnej właśnie weszli do jednego z nich, po tym jak podnośnikiem hydraulicznym sforsowali boczne drzwi. Grupa zniknęła w środku, zostawiając na straży jednego ze swoich ludzi uzbrojonego po zęby. Samira z pochyłoną głową ruszyła biegiem w jego stronę.

23.50. Mężczyzna z głową lisa przekręcił włącznik i duży hangar rozjaśnił blask mrugających jarzeniówek zamocowanych do belek metalowego stropu, wydobywając z ciemności puste boksy. Ta część stajni nie była zamieszkana od czasu, gdy generał sprzedał połowę swoich koni, by podołać bieżącym wydatkom na utrzymanie posiadłości i obsługę projektu.

Z tych samych powodów sprzedał też rezydencję wakacyjną w Bretanii – piękny dom z XIX wieku położony wśród sosen na pointe de la Malouine w Dinard – a także kolekcję starych samochodów. Ale teraz zewsząd zaczynały napływać datki. Nie byli już zdani na siebie.

– Przyprowadź ją – zwrócił się lis do Katza, wręczając mu klucz i czarny kaptur. – Upewnij się, że absolutnie nic nie widzi.

Usłyszawszy te słowa, Martin poczuł, że z piersi spada mu ogromny ciężar: to znaczyło, że generał naprawdę zamierza dotrzymać obietnicy i uwolnić Lée.

Katz włożył maskę, wziął czarny, płócienny kaptur i ruszył ku drzwiom w głębi, depcząc słomę, która wciąż leżała na cementowej posadzce. Otworzył niskie drzwi, pchnął je i zajrzał do środka. Odwrócił się na pięcie. Zdejmując maskę, kompletnie zbity z tropu spojrzał na resztę grupy.

– Nikogo tam nie ma.

– Co?

Cisza. A potem nagle z jednego z boksów wyleciał jakiś przedmiot, który z metalowym brzękiem odbił się od cementowej podłogi. Świat eksplodował. Ścianami wstrząsnęła potężna detonacja, której towarzyszyła chmura gryzącego dymu. Servaz miał wrażenie, że wybuchła mu głowa. Piszcząco mu w uszach. Ktoś wykrzykiwał rozkazy – mocne, gardłowe głosy – i z boksów wypadło kilka postaci z wycelowaną w nich bronią, które ich otoczyły. Krzyki przybrały na sile.

– Policja! Policja!

– Pokaż ręce! Pokaż ręce!

– Ręce do góry! Okej! Czysto!

– Tutaj też okej!

– Czysto!

– Ręce do góry! Ręce do góry! Okej! Czysto!

Krzyki nagle umilkły. Martin podniósł ręce razem z innymi. Kaszłał od dymu, który drapał go w gardle, kręciło mu się w głowie. Pozwolił się zakuć w kajdanki.

– Tego nie – powiedział ktoś za jego plecami, a na posadzce zastukały czyjeś kroki.

Znajomy głos... Odwrócił się i w blasku jarzeniówek zobaczył Vincenta i Samirę nadchodzących główną alejką.

– Léa jest bezpieczna – powiedziała od razu Samira.

Odetchnął. Boże, Léa żyje, jest wolna... W uszach dudniło mu tak, jakby w każdej małżowinie miał rój pszczół. Bolała go głowa. Spojrzał na Raphaëla i w jednej chwili znowu poczuł gniew. Niekontrolowaną wściekłość. Zrobił krok w kierunku młodego porucznika, ale Samira chwyciła go za rękę.

– To dzięki niemu tutaj jesteśmy – powiedziała. – Katz nas zawiadomił.

– Wygląda na to, że w ostatniej chwili dopadły go wyrzuty sumienia. Albo nagle przestraszył się konsekwencji – dodał Vincent.

Samira zmierzyła Katza oskarżycielskim wzrokiem.

– On nie zinfiltrował tej grupy. On do niej należał. To nas zinfiltrował – powiedziała.

Servaz spojrział surowo w oczy jasnowłosego policjanta. Raphaël Katz odpowiedział mu wzrokiem, który wyrażał smutek, ale też wyzwanie.

– Nie, to było zrządzenie losu. Generał jest moim chrzestnym. To on chciał, żebym się zaciągnął do tuluskiej policji, tak jak mój ojciec. I jak mówiłem, komendancie, słyszałem o panu w szkole. Potem, przypadkiem albo szczęśliwym trafem powierzono nam to śledztwo, a kiedy generał się ze mną skontaktował, dowiedziałem się, kto stał za tamtym wypadkiem. Robiłem to dla niego. Bo dziś trzeba nam ludzi takich jak on. Bo wymiar sprawiedliwości już nie działa i ktoś musi wykonywać jego robotę. Bo nie możemy pozwolić, żeby bandyci wciąż byli górą, żeby zapanowały chaos i niegodziwość. Ale nie, na ten pomysł z szantażem i samobójstwem się nie godziłem.

Młody porucznik umilkł. Servaz przyjrzał mu się uważnie, nie do końca pewien, co właściwie o nim myśli.

– Sędzia na pewno weźmie pod uwagę fakt, że w ostatniej chwili zmienił zdanie, ale to i tak nie zmaże tego, co było przedtem – skomentował Vincent, wzruszając ramionami.

– Okej, zdejmijcie z nich te idiotyczne maski! Oskubcie ten kurnik! – poleciła Samira.

Jedna po drugiej ukazały się spłoszone, żałosne, blade, zmęczone twarze. Twarze przegranych ludzi. Servaz przypomniał sobie tyradę, którą Katz wygłosił na temat homarów, gdy po raz pierwszy wszedł do jego biura: „Wie pan, że mózg homara, który przegrał walkę, zauważalnie różni się od mózgu homara zwycięzcy? U ludzi jest tak samo”. Wyglądało na to, że w tej sprawie Raphaël Katz miał rację.

Jeden z członków RAID zdjął ostatnią maskę. Samira, Espérandieu i Servaz zamarli.

Generał przystanął. Od strony zabudowań gospodarczych dobiegł potężny huk, od którego zadrżało nocne powietrze. Jak podczas wystrzałów z okazji 14 lipca. Wiedział, co to było: granat obezwładniający. Oni wkroczyli do akcji. Nie zostało mu wiele czasu; za kilkanaście sekund wejdą do zamku.

Ale co innego otoczyć willę jakiegoś szaleńca na przedmieściach, a co innego połapać się w zakamarkach takiej budowli. Nie pomylił się, kiedy wyczuł niesiony wiatrem zapach męskiej wody toaletowej, jakiej nie używał żaden z jego ludzi. Z natury będąc drapieżnikiem, przez lata kariery na różnych arenach działań wojennych – w kongijskim lesie tropikalnym, w górach Afganistanu, na ulicach Bejrutu czy na Wybrzeżu Kości Słoniowej – rozwinął wszystkie pięć zmysłów do perfekcji.

– Musimy się stąd wynosić, Kievert.

Jego wierny Kievert... Po raz ostatni spojrzął na pokój. Kolekcja globusów, stare książki, których grzbiety lśniły tajemniczo w blasku lamp. Plutarch sąsiadował z Homerem, Chateaubriand z Montherlantem, Kessel z Malapartem, Gramsci z Weberem. Skierował wzrok na dolne rzędy biblioteczki. Delikatnie musnął drewno i nacisnął na półkę pod starym wydaniem *Techniki zamachu stanu*. Na chwilę zapaliła się zielona dioda, nie większa niż główka szpilki, i rozległo się kliknięcie. Thibault Donnadiou de Ribes obrócił ruchomy segment regału. Pojawiły się słabo oświetlone stopnie prowadzące do podziemia. Generał zaczął nimi schodzić, a Kievert zamknął i zablokował sekretne przejście i ruszył za nim.

– Zajmie im sporo czasu, zanim je znajdą – powiedział adiutant.

Generał zmrużył oczy, lustrując dolną część schodów i tunel prowadzący pod parkiem.

– Na pewno zablokowali wszystkie drogi. Można się stąd wydostać jedynie przez góry. Konno.

Przesunął dłoń na biodro, muskając ostrze noża Legii Cudzoziemskiej – w rzeczywistości był to przerobiony na nóż bagnet karabinu US-17 – który służył mu od lat osiemdziesiątych. Mężczyzna miał na sobie kamuflujący mundur bojowy i buty taktyczne, a przy pasie starego dobrego glocka 17.

Zerknął na zegarek. 0.17. Odgłos jego kroków niósł się echem w długim, wilgotnym tunelu. Kievert musiał prawie truchtać, by za nim nadążyć. Wpatrując się w wysoką postać przed sobą, stwierdził, że generał należy do innej epoki, do innego gatunku. Jakże go podziwiał! Miejscami korytarz oświetlały rozmytym blaskiem lampy w kratowanych osłonach. Z sufitu kapąła woda.

Dotarli do drugich schodów, które prowadziły na powierzchnię. Generał wcisnął włącznik. Spod drzwi na górze trysnęła pozioma wiązka światła. Wszedł po stopniach. Gestem kazał Kievertowi zaczekać. Nadstawił uszu. Nic. Przyciągnął drzwi do siebie. Przejście prowadziło do stajni. W nozdrza uderzyła ich woń koni, łajna i detergentu. Kievert był spocony, piekły go oczy. W środku było gorąco. Był niemal pewien, że na czole generała nie ma ani kropelki potu. W boksach po obu stronach alejki potężne końskie zady z delikatnie poruszającymi się jedwabistymi ogonami tworzyły jakby szpaler honorowy. Ich uszu dobiegł terkot śmigłowca. I zbliżające się wycie syren.

Generał szedł alejką i kolejno otwierał wszystkie boksy. Bramki odskakiwały ze stukotem, konie zaczynały się wiercić. Ich pan pogwizdywał i kłaskał językiem. Zwierzęta odpowiadały mu rzeniem. Kopyta dudniły o posadzkę. Dotarli do wyjścia; generał pchnął podwójne drzwi, które otworzyły się szeroko na deszczową noc. Kievert zamarł. Usłyszał krzyki, ale z oddali – najwyraźniej tamci myśleli, że Donnadiu de Ribes jest w zamku. Generał zawrócił w kierunku boksów i jedno po drugim wypędzał z nich zwierzęta, cmokając przy tym jak pasterz. Zdenerwowane konie zaczęły rzeć. Oszalałe z podniecenia i strachu wybiegły ze swoich przegród. Serce Kiewerta waliło unisono z sercami zwierząt. Ich strach mu się udzielał, wnikał w niego. Jeden z wielkich szlachetnych wierzchowców otarł się o niego i mężczyzna o mało się nie przewrócił. Zdusił w sobie przekleństwo i szybko się odsunął. Kręciło mu się w głowie. Rozszalałe kłębowisko zwierząt cisnących się do wyjścia i popychających się nawzajem, stukot kopyt, nerwowe rzenie, a pośrodku on. By uniknąć przewrócenia i stratowania, przywarł do jednej ze ścian. Generał szedł za swoim stadem. Jego oczy lśniły. Wyglądał jak w transie, niesiony jakąś obłąkańczą furją. Kievert po raz pierwszy widział go w takim stanie.

– Spotkanie z policją – powiedział generał władcym głosem, mijając go. – Nie brał pan udziału w zebraniach, nigdy nie uczestniczył pan w polowaniu, nie był pan na bieżąco. Inni to potwierdzą, a ci żałośni sędziowie zwrócą panu wolność. Dziękuję, Kievert. Niech pan idzie do żony, na pewno umiera ze strachu. Był pan najwierniejszym z moich żołnierzy, nigdy o tym nie zapomnę. Jest pan człowiekiem honoru.

Kievert poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. A więc to koniec? Tyle lat. Tyle wspólnych bitew. Braterstwo, jeden duch, wspólne wartości. I to wszystko po to? Gdzie się podziały wartości? Co to za świat? Generał był jedynym człowiekiem, dzięki któremu te czasy były dla niego znośne. A teraz Kievert został sam. Tak bardzo sam. Co z nim będzie? Nie potrafił tego ogarnąć umysłem. Próbował myśleć, ale w głowie miał pustkę. Ze łzami w oczach zobaczył, jak generał chwyta za grzywę ostatniego konia i dosiada go jednym susem, z zadziwiającą jak na jego wiek zwinnością.

Samira, Vincent i Martin wpatrywali się w mężczyznę, który stał przed nimi. Banda generała z pewnością przeniknęła na najwyższe szczeble hierarchii policyjnej. Ilu jeszcze policjantów, oficerów, posterunkowych, żandarmów i żołnierzy bierze w tym udział? – zastanawiał się Servaz.

Choleryczny nadkomisarz Chabrillac stracił swój blask. W świetle jarzeniówek wyglądał na bladego i zmarnowanego.

– Szefie – zaczęła Samira z okrutnym szyderstwem w głosie. – Uważa pan, że tym razem uwinęliśmy się wystarczająco szybko?

Nadkomisarz miał taką minę, jakby chciał ją udusić własnymi rękami.

– Dalej pan chce, żebyśmy przekazali śledztwo do IGPN? – zapytał Vincent takim samym tonem.

– Nic nie rozumiecie – warknął tamten. – To was przerasta. Wszyscy jesteście tacy naiwni! Uważacie, że aresztując nas, działacie na rzecz dobra publicznego? Rozejrzyjcie się dookoła! Dziury w prawie i szczeliny w demokracji stały się jak tunele, przez które przechodzą nasi wrogowie, ci wszyscy, którzy chcą nas zniszczyć od środka. Tylko tacy ludzie jak generał mogą nas jeszcze uratować. Jedynym wyjściem dla społeczeństwa jest stawić opór temu, co chce je zniszczyć. Powinniście się do nas przyłączyć. Powinniście...

– Gdzie Léa? – zwrócił się Servaz do Samiry. – Chcę się z nią zobaczyć.

Nagle na zewnątrz rozległo się rzenie koni. Martin, Samira i Vincent rzucili się do wyjścia, pozostawiając Chabrillaca i pozostałych w rękach funkcjonariuszy z RAID. Servaz wypadł na deszcz. Lśniące konie biegały we wszystkich kierunkach, z oszalałym wzrokiem i rozwianymi grzywami, a członkowie brygady śledczo-interwencyjnej i wydziału spraw kryminalnych na próżno usiłowali je wyłapać i okiełznać. Panował całkowity chaos, noc wypełniały krzyki, tętent i rzenie. Konie galopowały, przystawały, ruszały w przeciwnym kierunku, wpadając na siebie nawzajem. Servaz zobaczył, jak

jeden z policjantów pchnięty przez wielkie zwierzę upada w błoto, przetacza się, by uniknąć stratowania, i wpada pod kopyta innego. Mężczyzna krzyknął z bólu.

– Jezu! – zawołała Samira.

– Gdzie jest generał? – spytał Servaz.

Przetarł oczy. Deszcz bębnił mu o czaszkę, lał się za kołnierz i spływał po karku.

– Są tam goście z RAID. Wygląda na to, że go nie znaleźli.

Zrozumiał, że konie miały odwrócić ich uwagę. Omiótł wzrokiem posiadłość. I wtedy go zobaczył. Koń niosący na grzbiecie jeźdźca zbiegał z pagórka po ich prawej stronie. Dzieliło go od nich już kilkaset metrów. Zbliżał się do żywopłotu i drzew grodzących łąkę w dole. W ślad za nim biegli z boczem jacyś ludzie.

– Daj mi swoją broń – rzucił do Vincenta.

Espérandieu się zawahał, ale podał mu pistolet.

– Martin, goście z RAID na pewno już wkroczyli do akcji. To niebezpieczne!
– zawołała Samira.

Generał zeskoczył ze swojego wierzchowca i uspokoił go jednym klapssem. Podbiegł do umieszczonej między dwiema akacjami drewnianej bramki w żywopłocie i ją otworzył. Po czym znowu dosiadł konia, przejechał przez bramkę i ruszył z boczem. Deszcz spływał mu po twarzy. Zmrużył powieki, nie przestając ścisnąć kolanami końskich boków. Mokra, śliska trawa i nasiąknięta wodą ziemia pod kopytami jego ulubieńca, Barona Nishi, niepokoiły go bardziej niż goniący go policjanci, którzy byli pieszo i poza sytuacją obrony własnej nie odważyliby się do niego strzelać. Chyba żeby któryś miał jaja. Otarł twarz, drugą dłonią wczepiając się w końską grzywę. Nagle z prawej strony zobaczył światła samochodu. Cholera! Policyjna toyota land cruiser kołyszając się, jechała ścieżką, która dochodziła do spadzistej łąki. Podskakujący snop światła przecinały strugi deszczu. Tor terenówki był prostopadły do jego trasy.

Popędził Barona Nishi, zostawiając land cruisera w tyle, ale był pewien, że kierowca skręci, by ścigać go po zboczach. Jeszcze mocniej spiał piętami ociekające wodą boki konia. Jego ubranie bojowe również było przemoczone, ale nie zwracał na to uwagi. W swojej karierze przeżył wiele podobnych sytuacji.

Toyota była tuż za nimi. Poznawał to po ruchomym strumieniu światła, od którego trawa i deszcz lśniły, a cień konia chwilami znajdował się z przodu. Zbliżali się do podnóża pagórka, tam gdzie znajdowała się główna przeszkoda – ogrodzenie z drutu kolczastego biegnące wzdłuż strumienia. Nie miał czasu, by

szukać innej drogi. Nie z tym pieprzonym pościgiem na karku. Był tylko jeden sposób, by ich zgubić. Baron Nishi był w stanie to zrobić. Dał koniowi ostatni impuls. Zwierzę gnało wprost na ogrodzenie. Przypuszczał, że samochód zwolnił. Teraz... Osobiście wybierał ten drut, wiedział, jak jest ostry.

No dalej, kochany, skacz! Koń ruszył przed siebie. Generał krzyknął. Rytm jego serca zsynchronizował się z gorączkowym tętnem wierzchowca. Baron Nishi już miał skoczyć, ale nagle, w ostatniej chwili, odmówił wzięcia przeszkody i stanął dęba, wyrzucając generała w powietrze. Jeździec przeleciał lotem ślizgowym ponad karkiem i głową konia, a kiedy wylądował na ogrodzeniu, poczuł, jak ostrza drutu przecinają mu ubranie i wbijają się w ciało.

Miał wrażenie, jakby jakiś rozpustny, zębaty stwór zaciskał na nim swoje macki. Nie ruszał się: leżał z tyłkiem w błocie strumienia, z zakrwawionym czołem i policzkami, w więzieniu z galwanizowanej stali.

Nie krzyczy. Oddycha spokojnie przez otwarte usta. Deszcz leje się na niego, spływa do oczu, cieknie po karku i plecach, prosto pod kurtkę bojową. Czuje tysiące drobnych nacięć metalowych ostrzy, które wbijają się w jego skórę, rozdzierając ją milimetr po milimetrze. Górną część ciała zawisł na drucie kolczastym. Cały puls czuje w miejscu, gdzie jedno z ostrzy naciska na tętnicę szyjną. Ostre sploty galwanizowanej stali tworzą straszliwe więzienie.

Bez ruchu patrzy, jak schodzą z boczem. Idą do niego. To zadziwiające, jaką jasność umysłu można mieć w takiej chwili. Jak wtedy, w Afganistanie albo w Kongu, gdy został wraz ze swoimi ludźmi otoczony przez liczniejszy oddział złożony z naćpanych, gotowych na śmierć bojowników. Ci, którzy się zbliżają, nie są naćpani ani gotowi na śmierć, za to umiera ich cywilizacja. Cywilizacja, której bronił przez całe życie. Znalazł się po niewłaściwej stronie historii, wie o tym, ale w tej chwili nie ma to już żadnego znaczenia. Trzyma w ręku swój los. O tak, teraz brzmi to bardzo adekwatnie: czuje, jak ostrza drutu wbijają mu się w dłoń, jak kapie krew. Wystarczy jedno szybkie pociągnięcie i będzie po sprawie. O czym w tej chwili myślą? On myśli o tym, że to i tak nie jego czasy.

Zbiegając z boczem, przewrócił się na śliskiej jak lodowisko trawie, podniósł pistolet, wstał i ruszył dalej. Dobiegł do pozostałych, którzy się rozstąpili, by odsłonić mu widok. W blasku reflektorów land cruisera zobaczył postać uwięzioną w zwojach drutu kolczastego. Generał miał zakrwawione policzki. Nie patrzył na nich, skierował wzrok wprost przed siebie.

– Generale, wyciągniemy pana z tego – powiedział Servaz.

W strumieniu ostrego światła przecinanym strugami deszczu niebieskie oczy de Ribes'a poruszyły się powoli, jak u lalki, i jego spojrzenie spoczęło na nim.

– Nie radzę...

– Co?

– Widzi pan te dwa ostrza dotykające mojej szyi? Opierają się dokładnie na tętnicy. Niech mi pan wierzy, wiem, o czym mówię. Wystarczy, że szarpnę drut. Wykrwawię się, zanim zdążyście mnie wyplątać.

Servaz i generał mierzyli się wzrokiem.

– Co w takim razie robimy? – zapytał Martin.

– Pan nic, komendancie – odparł generał, mrugając z powodu deszczu, ale także dlatego, że krew spływała mu z czoła jak spod korony cierniowej. – Pan ma tylko słuchać.

Servaz zauważył, że jeden z ludzi oddalił się, by sprowadzić pomoc – karetkę i nosze. Wątpił, że zdąży wrócić na czas.

– Był pan już w Hongkongu? – zapytał cicho Thibault Donnadiu de Ribes. –

Widział pan cuda Kraju Dogonów? Widział pan noc zapadającą nad Kapsztadem? Zna pan park Namib-Naukluft? A meczet w Mazar-i-Szarif? A wielką migrację gnu w Serengeti? Na tym świecie jest tyle rzeczy wartych zobaczenia, komendancie. Ale niech pan sobie wyobrazi, że na tej ziemi się urodziłem i na niej chcę umrzeć.

– Nie umrze pan, generale. Zostanie pan osądzony za spowodowanie śmierci niewinnego dzieciaka i zamordowanie Kevina Debrandta. Oraz za inne przewinienia.

– To nie były dzieciaki. I wcale nie były takie niewinne. Proszę, niech pan nie będzie sentymentalny, komendancie, dość się już nasłuchałem jęczenia

pięknoduchów. Sądzi pan, że nasz wróg ma takie skrupuły?

– O jakim wrogu pan mówi?

W niebieskich oczach generała zobaczył przelotny błysk wściekłości. Ulewa znowu się wzmogła. Thibault Donnadiou de Ribes spojrzał na niego z twarzą ociekającą deszczem.

– Żegnam, komendancie.

– Generale!

Servaz rzucił się w jego stronę. Za późno. Jego rozmówca z pogodnym, emanującym wewnętrznym pokojem obliczem szybko pociągnął za drut kolczasty, który trzymał w dłoni. Martin zobaczył, jak stalowe kolce wbijają się w jego szyję, przebijając pulsującą tętnicę. Przez ułamek sekundy myślał, że nic się nie wydarzy. Krwotok nie następował, nie było gejzera krwi. Nie działo się nic spektakularnego. A potem nagle krew zaczęła rytmicznie wypływać jak ropa naftowa z odwiertu w czasach gorączki czarnego złota, potężnym, ciemnym strumieniem, który tryskał na metal, trawę, na ich ręce, gdy uwijali się w strugach deszczu, by otworzyć stalowe więzienie. Servaz czuł, jak kolce wbijają mu się w dłonie, rozrywając skórę, ale nie przestawał wściekle potrząsać zwojami, klęcząc w błocie jak pozostali.

Serce generała wciąż pompowało krew, ale on, obojętny na wysiłki ludzi próbujących go oswobodzić, już patrzył w oczy zbliżającej się śmierci. I stało się: wrócił do dworu z dzieciństwa. Do potężnych dębów w parku i do sadu zalanego czerwcowym słońcem. Niedziela na wsi. Jego ojciec w mundurze kapitana piechoty z mnóstwem guzików, które lśniły w świetle, i dziadek – który pamiętał sprawę Dreyfusa i pierwszą wojnę światową – siedzący na krześle pod topolą w słomkowym kapeluszu, jego cień zmieszany z cieniem drzewa. Brzęczenie owadów, letni upał, łabędzie na stawie, woń glicynii i słodki zapach mamy w letniej sukience z falbankami. Ma dziesięć lat. W radiu, którego odległy dźwięk dochodzi do nich z wnętrza domu, Sheila śpiewa *L'Heure de la sortie*, a Polnareff – *La Poupée qui fait non*. Zaś chłopiec w krótkich spodenkach, który ma przed sobą całe życie, biegnie przez park, trzymając patyk udający karabin i woła: „Pif-paf, pif-paf!”.

Stopniowo jego splukiwane deszczem oczy – oczy, które widziały przeszłość, które oglądały dzieciństwo, które wiedziały, że właśnie trwa jedyna walka, której się nie wygrywa – straciły blask. Zrobiły się nieruchome i matowe jak niebieskie kulki.

Minęło mnóstwo czasu, zanim rozcięli drut nożycami i uwolnili go ze stalowych więzów. Jego przesiąknięty wodą bojowy mundur był poplamiony krwią. Rozcięli go i ułożyli mężczyznę na trawie. Ale już nie oddychał.

Epilog

Spadły ostatnie krople i ulewa się skończyła. Kolorowe światła kogutów migotały w kałużach i odbijały się od mokrego żwirku. Martin i Léa byli obojętni na otaczającą ich kakofonię dźwięków – głosy, telefony, komunikaty przekazywane przez walkie-talkie.

Servaz przysiadł na tyle otwartej karetki. Domyślał się, że cały ten pozorny chaos jest jakoś skoordynowany. Léa stała obok niego. Zeszła z noszy, na których położyli ją ratownicy, i piła kawę, również obserwując całą operację.

– Wygląda na to, że wreszcie udało im się wyłapać wszystkie konie – zauważyła.

Uśmiechnęli się. Przyglądanie się ludziom z RAID, którzy w ciężkich butach, w pełnym rynsztunku uganiaли się za tymi eleganckimi stworzeniami, na chwilę ich rozluźniło.

– Jak się czujesz?

– Jestem w lekkim szoku. – Popatrzyła na niego. – Ale dzięki temu coś sobie uświadomiłam – dodała.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

– Zrozumiałam, jak wygląda twoja praca.

Pokręcił głową.

– A! Nie, nie, to nie był zwyczajny dzień. Normalnie jest o wiele nudniej i bardziej rutynowo.

Po chwili wahania wziął Léę za rękę. Pozwoliła mu na to, parujący kubek trzymała w drugiej. Na ramionach miała koc termiczny, który lśnił i odbijał światła kogutów. Kawalek dalej ktoś palił papierosa, Servaz jednak oparł się pokusie wyjęcia swojej paczki.

Popatrzył na zegarek. Była trzecia nad ranem. Rozejrzał się w poszukiwaniu Vincenta i Samiry, żeby im powiedzieć, że on i Léa już wracają, ale nigdzie ich nie widział. Esther Kopelman odjechała karetką godzinę wcześniej, wyrzekając i przekonując, że „wszystko jest w jak najlepszym porządku, dziękuję”. Ma już po kokardę oglądania lekarzy, pokazują ich wszystkie telewizje. Wolałaby wrócić taksówką, jeśli nie mają nic przeciwko temu. Najwyraźniej jednak mieli.

– Podjęłam decyzję – powiedziała nagle Léa.

Przeniósł wzrok na nią, lekko unosząc głowę: była od niego odrobinę wyższa.

– W jakiej sprawie?

– Lekarzy bez Granic...

Poczuł w gardle cementową kulę. Tuż obok zazgrzytała krótkofalówka: sędzia Nogaret minął ich szybkim krokiem w towarzystwie jakiegoś policjanta. Pełnił tu rolę szefa i regularnie przecierał okulary.

– Myślałem, że już zdecydowałaś.

– No tak...

Próbował zachować zimną krew, mimowolnie przeglądając w głowie inne możliwości.

– ...ale zmieniłam zdanie.

Poczuł, że jego serce zaczęło szybciej bić. Pokręcił jednak głową, wziął głęboki oddech i powiedział:

– Przepraszam, że cię nie wspierałem. Że byłem egoistą. Że myślałem przede wszystkim o sobie. To dla ciebie ważne. Powinnaś to zrobić. Nie chcę, żebyś kiedyś wyrzucała mi, że cię zatrzymałem.

Zaprzeczyła ruchem dłoni.

– Nie rozumiesz. Nie zostaję dla ciebie, Martin. Albo inaczej. Tak, zostaję dla ciebie, dla siebie, dla Gustava i dla nowego członka naszej rodziny. Dla całej naszej czwórki.

Mimowolnie przełknął ślinę.

– O czym ty mówisz?

Puściła rękę Martina i położyła dłoń na brzuchu.

– Jestem w ciąży.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jestem w ciąży.

Odkąd się poznali, nigdy nie poruszali tematu wspólnego dziecka. Léa miała czterdzieści pięć lat, on wkrótce skończy pięćdziesiąt dwa. Czasem czuł się zbyt stary na wychowywanie dziewięciolatka, a tu coś takiego...

– Jesteś pewna?

Wiedział, że to głupie pytanie. Skinęła głową.

– Który to tydzień?

– Piąty.

Nie powiedział już nic więcej. Dziecko. Ich dziecko. Zastanawiał się, czy ma ochotę po raz kolejny być tatą. Uniósł głowę i spojrzał na kilka gwiazd, które ukazały się w przerwie między chmurami. Jak złoty piasek. Uśmiechnął się szeroko.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytała Léa i też się uśmiechnęła.

Policjant zerknął na zegarek. 7.30. Noc była długa. Za szpitalnymi oknami dopiero zaczynało świtać. Zwrócił się do pielęgniarki:

– Obudził się?

Skinęła głową i klapiąc crocsami, odeszła powoli korytarzem zastawionym pustymi łózkami. Zaczekał, aż postać w białej bluzie oddali się i zniknie w pokoju pielęgniarek. Wstał, odstawił kubek z kawą na krzesło stojące przy zamkniętych drzwiach, delikatnie zastukał i nie czekając na odpowiedź, nacisnął klamkę.

W słabo oświetlonym pomieszczeniu słychać było przypominający oddech olbrzymiego zwierzęcia stłumiony rytmiczny pomruk respiratora i aparatury monitorującej funkcje życiowe. Mężczyzna leżący na szpitalnym łóżku był zaintubowany. Miał grube opatrunki na szyi i na czole. Ponieważ miał przymknięte powieki, policjant z początku myślał, że śpi, dlatego wzdrygnął się, gdy nagle niebieskie oczy się otworzyły i skierowały w jego stronę.

Pacjent o niebieskich oczach – człowiek, którego żołnierze nazywali Lwem, a którego ratownicy dzięki defibrylatorom i własnemu doświadczeniu w ostatniej chwili przywrócili do życia – wpatrywał się w niego bez słowa. Posterunkowy z trudem wytrzymywał jego spojrzenie. Przełknął ślinę.

– Generale – zaczął nieśmiało – chcę, żeby pan wiedział, że zawsze będzie miał pan tu wszystko, czego będzie pan potrzebował. Także w celi. Jeśli cokolwiek mógłbym dla pana zrobić, proszę mnie wezwać: jestem w korytarzu. Kolega, który mnie zmieni, również jest nasz, będzie się panem dobrze zajmował.

– Chcesz z ras el hanout? – zapytał Sami.

– Oczywiście. I bez kwaśnego sosu... Czyli co, zatrzymali cię?

Ekspresyjna twarz Samiego od razu się nachmurzyła.

– Tak. Czy to nie jest bezczelność? Mimo że człowiek nic nie zrobił i jest uczciwym obywatelem szanującym prawo. Nie powinno tak być.

Omiotła wzrokiem pustą salę za ich plecami, krzesła ustawione do góry nogami na stołach, a potem spojrzała na swój talerz.

– Jeden przepis chyba właśnie złamałeś – zauważyła.

– Ty nie jesteś klientką – powiedział, z uśmiechem kręcąc głową. – Jesteś moją przyjaciółką, wielka Esther Kopelman, obrończyni słusznych spraw i poszkodowanych.

– Raczej przegranych spraw i orientalnej kuchni – poprawiła go.

Zaśmiał się szczerze tym swoim zaraźliwym śmiechem, ale Esther zachowała powagę.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co? Zrobiłabyś dla mnie to samo, nie?

Zobaczył, że dziennikarka ma łzy w oczach.

– Kopelman, wołę jak się wściekasz. Z tą czułościowością ci nie do twarzy.

Ale poczuł, że sam ma wilgotne oczy, i zmieszany wrócił do kuchni, żeby tego nie zauważyła.

– Dziękuję, że wpadł pan zdać mi raport, komendancie – powiedziała piękna prefektką, gdy spotkali się nazajutrz.

– Nie bardzo miałem wybór.

Usiłował nie zerkać na jej skrzyżowane nogi w białych nylonowych rajstopach. Siedziała naprzeciw niego na skraju biurka. Ponieważ on sam został posadzony w o wiele niższym fotelu, musiał podnosić podbródek, by na nią patrzeć.

– Jest pan dla mnie zagadką. Wciąż nie mogę zdecydować, czy jest pan samcem alfa czy beta, mięsożercą czy roślinożercą. Wszystko jednak wskazuje na tę pierwszą opcję. W każdym razie nie jest pan jednym z tych zniewieściałych hipsterów, których styl stał się dziś normą: którzy za swoimi brodami ukrywają brak... mentalnego zarostu, że się tak wyrażę.

Rozplotła nogi i na moment oczom Servaza ukazał się trójkąt białej koronki.

– A czy to, kim jestem, ma jakieś znaczenie? – zapytał.

Uśmiechnęła się do niego wymownie.

– Dla mnie ma. Wciąż nie ma śladu po innych zaginionych?

– Żadnego.

Przewrócili zamek do góry nogami, zaangażowali psy i georadary, przekopali ziemię, zmieniając posiadłość generała w kretowisko. Na próżno.

– A w sprawie panów Lantenaisa i Hambrelota?

– Twierdzą, że generał kłamie. Że cała ta historia z polowaniem za pieniądze to szaleństwo. Sędzia chce doprowadzić do konfrontacji różnych uczestników postępowania, żeby umożliwić... ustalenie prawdy.

– Rozumiem – powiedziała Michèle Saint-Hamon, gestem dając do zrozumienia, że umywa ręce. Jak Poncjusz Piłat.

– Pani telefon miga. Myślę, że ktoś próbuje się do pani dodzwonić.

– Zaczeka. O tej porze to na pewno mój mąż.

– Hefajstos...

Niepewnie zmarszczyła brwi.

– On nie z tych ognistych – stwierdziła. – Ale jeżeli ma pan na myśli legendę, według której Hefajstos miał być nieszczęsnym małżonkiem Afrodyty, która na okrągło go zdradzała, to niech pan uważa. Znam mitologię grecką i mogłabym to uznać za brak szacunku. Jeśli natomiast robi pan aluzję do urody owej bogini, to z przyjemnością przyjmę pański komplement. – Roześmiała się i zeskoczyła z biurka, a do nozdrzy Servaza dotarła świeża, pikantna woń jej perfum. – Sądziłam, że wszyscy policjanci mają kochanki – powiedziała. – Wygląda na to, że się myliłam. Szkoda. Nie zatrzymuję pana, komendancie.

Promień porannego słońca pieścił twarz śpiącej Léi. Jej jasne włosy lśniły w blasku wpadającym przez okno, a z wpełotwartych warg wydobywało się tajemnicze tchnienie. Zapisał w sobie ten obraz, jak jedno z tych zdjęć, które tak kochali nasi rodzice i dziadkowie i które przechowywali w ręcznie robionych kuferkach. U jego boku spała kobieta, którą kochał. I nosiła w swoim łonie ich dziecko.

Tak jakby budząc się, otworzył się także na piękno świata. Był wstrząśnięty. Jakiś czas temu, nie tak dawno, wypełniały go ból i melancholia. Jak niewiele trzeba, by przejść od zniechęcenia do nadziei, od łez do śmiechu, od klęski do zwycięstwa. Kilka punktów tu, kilka tam, jak w tenisie. Bo wszystko jest możliwe. Zawsze. Poza granicami strachu, choroby i śmierci.

Pomyślał o tym młodym mężczyźnie w lesie – tym, od którego wszystko się zaczęło – o życiu, jakie mógł mieć, o tym, jakim dorosłym mógłby się stać, gdyby w tę lodowatą październikową noc nie potracił go samochód. Ale po chwili myśl uleciała i spojrział na Léę.

Wpatrując się w nią, zastanawiał się, w jakim świecie przyjdzie dorastać jego synowi lub córce. Bo kraj, w którym żyli, upadał. To się zaczęło na długo przed pandemią. Nie miał jednak wątpliwości, że z matką taką jak Léa ich dziecko będzie wzrastać bezpiecznie, że stanie się silne i będzie potrafiło znaleźć swoje miejsce. Zauważył, że poduszka przy jego policzku jest mokra. I że jego wzrok zaszedł mgłą. Płakał. Z radości, rzecz jasna.

Nie był jednak naiwny. Wiedział, że ten przypływ uczuć jest wynikiem stanu, który właśnie przeżywał. Że to jedna ze sztuczek Matki Natury, która w ten sposób go zmiękcza, przygotowuje do roli ojca. I że we wszystkich naszych tańcach godowych, porywach serc, obietnicach i zobowiązaniach chodzi tylko

o jedno: zapewnienie przetrwania gatunku, nieskończonego cyklu rozmnażania, narodzin i śmierci.

*Lecz w owej krainie zapadłej bez grzechu i bez wybawienia,
gdzie zła nie odczuwa się bólem, bo jest bólem ziemskim,
tkwiącym niezmiennie w rzeczywistości,
Chrystusa nigdy nie było. Chrystus zatrzymał się w Eboli ¹.*

1. Carlo Levi, *Chrystus zatrzymał się w Eboli*, przeł. Alfred Gontyna, KiW, Warszawa 1949. [\[wróć\]](#)

Źródła i podziękowania

Akcja tej powieści nieustannie balansuje na pograniczu rzeczywistości i fikcji. Przytaczając wątki zaczerpnięte z rzeczywistości, korzystałem z pomocy i doświadczenia wielu osób. Nie wszystkie życzyły sobie, żeby wymieniać je z nazwiska, dlatego nie wymieniam żadnej. Pragnę jednak gorąco im podziękować. Ta książka wiele im zawdzięcza. Żadna z tych osób nie może jednak odpowiadać za ewentualne błędy w niej zawarte ani za poglądy wyrażane przez bohaterów, które – chciałbym to podkreślić – niekoniecznie pokrywają się z poglądami autora.

Inspiracją przy pisaniu tej powieści były też lektury. Między innymi – bo podana lista bynajmniej nie jest wyczerpująca – *L'Archipel français* Jérôme'a Fourqueta (wyd. Seuil), *Les Territoires perdus de la république* pod redakcją Emmanuela Brennera (wyd. Pluriel), *Le Maire et les Barbares* Eve Szeftel (wyd. Albin Michel), *Les Ingouvernables* Érica Delbecque'a (wyd. Grasset), *Le Viol de l'imaginaire* Aminaty Traoré (wyd. Pluriel), *Opération Licorne 2003* generała Nicolasa Casanovy (Éditions du Signe), *Dictionnaire des opérations extérieures de l'armée française, de 1963 à nos jours* pod redakcją Philippe'a Chapleau i Jeana-Marca Marilla (wyd. Nouveau Monde), *Impunité zéro, violences sexuelles en temps de guerre* pod redakcją Justine Brabant, Leïli Miñano i Anne-Laure Pineau (wyd. Autrement), *La Haine dans les yeux* Davida Le Barsa (wyd. Albin Michel), *Colère de flic* Guillaume'a Lebeau (wyd. Flammarion), *Toulouse, art de vivre* Grega Lamazèresa i Arnauda Späniego (wyd. Privat), *Toulouse, le caractère d'une ville* („La Revue des vieilles maisons françaises”, nr 231), *Preuve par l'ADN, la génétique au service de la justice* Raphaëla Coquoza, Jennifer Comte, Diany Hall, Tachy Hicks i Franca Taroniego (wyd. Presses polytechniques et universitaires romandes), *Sur les traces de la police technique et scientifique* François Daousta (wyd. Puf), *Manuel de criminalistique moderne et de police scientifique* Alaina Buqueta (wyd. Puf), *Police scientifique* Benoit de Maillarda i Sébastiena Aguilara (wyd. Hachette).

I wreszcie po raz kolejny muszę podziękować całemu zespołowi wydawnictwa XO, zaczynając od Bernarda Fixota i Édith Leblond, za ich niezawodne wsparcie

i przyjaźń, a także Sarah Hirsh za jej niezrównaną pracę z tekstem (ileż to razy toczyliśmy nad jednym słowem dyskusje, w których – i owszem, zdarzało mi się przywołać na pomoc samego Flauberta!), Brunonowi Barbette za to, że zilustrował mój pierwszy pomysł i przerobił go na coś innego, Stéphanie Le Foll za niestrudzone i pochlebne opowiadanie o autorze, Renaudowi Leblondowi, Catherine de Larouzière, Davidowi Strepenne, Roxanie Zaharii, Isabelle de Charon, Marie Salle, Pascale Vachon i wszystkim innym za serce, jakie włożyli w to dzieło.

Pragnę też wyrazić uznanie dla całego zespołu wydawnictwa Pocket za pasję, która niesie mnie jeszcze długo po tym, jak światła na scenie zgasną.

Jeśli chodzi o Laurę – zwykle podziękowania to stanowczo za mało.

Inne książki Bernarda Miniera

Bielszy odcień śmierci, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012.

Krąg, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2013.

Nie gaś światła, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2014.

Paskudna historia, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2015.

Noc, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2018.

Siostry, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2019.

Na krawędzi otchłani, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2019.

Dolina, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2020.

Spis treści

Strona tytułowa

Motto

Wstęp

Pełnia

PONIEDZIAŁEK

1

2

3

4

5

6

WTOREK

7

8

9

10

11

12

13

ŚRODA

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

CZWARTEK

24

25

26

27

28

29

30

PIĄTEK

31

32

33

34

35

36

37

38

SOBOTA

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

NIEDZIELA

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

Epilog

Źródła i podziękowania

Polecamy

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *La chasse*

Copyright © XO Éditions 2021

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2021

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Michał Pawłowski/www.kreskaikropka.pl

Fotografie na okładce

Unsplash/Artur Rutkowski/@alienowicz

Unsplash/Bruno Kelzer

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Polowanie*, wyd. I, Poznań 2021)

ISBN 978-83-8188-889-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**